

BRUJI TOM CYKLU OSTATNI LEGION

C H R I S  
BUNCH

---

MASKA  
OGNIA



PROLOG



# **BUNCH CHRIS**

**Ostatni Legion 02: Maska**

**Ognia**

# CHRIS BUNCH

## Ostatni Legion tom II

**Przekład Radosław Kot Dla Knicksów Kelly, Eda, Erwin i Eda juniora, Którzy uczynili życie znacznie łatwiejszym.**

**Przed bitwą wspomnij trzynaście prawd o ogniu:**

- 1. Silniejszy jest niż najroślejszy rumak, a jednak ukryć go można w dziecięcych szatach.**
- 2. Jasny i żywy, raduje serce każdego, kto go używa.**
- 3. Jego widok ujmuje sił wrogowi, który wie, że w spotkaniu z nim nie może liczyć na litość.**
- 4. Wzniecony w odpowiednim miejscu nigdy się nie podda.**
- 5. Gdy już gorzeje, wojownik może spokojnie czynić swoje.**
- 6. Choć niewiele zachęty mu trzeba, mało pożywienia ponad garść chrustu, będzie walczył bez wytchnienia.**
- 7. Zawsze toczy własną bitwę, kierując się raz tutaj, raz tam, i nikt nigdy do końca nie odgadnie, dokąd jeszcze.**
- 8. Znosi niemal wszystkich, czy wrogowie to, czy sojusznicy, wiatr jest mu rumakiem, ziemia fortecą i dopiero wielka woda może stawić mu czoło.**
- 9. Wojownik skryty za maską ognia może spokojnie obmyślać swoje posunięcia. 10. Gdy strzeże ze skrzydeł, można mieć pewność, że nikt wojownika stamtąd nie zaskoczy. 11. Niszczy wszelką majątność wroga, jego wozy, konie i prowiant, tak samo jak dzierżących miecze łuczników. 12. Rany przez niego zadane są straszne i niewielu wraca po nich do zdrowia. 13. Po jego przejściu zostaje naga pustynia, na której króluje rozpacz.**

**Rozważ te prawdy, przemyśl, ile daje maska ognia i jak ją wykorzystać, a potem ruszaj do boju z wiecznym płomieniem w sercu.**

**Rady dla samotnego wojownika walczącego z zastępami wroga Lai Shi-Min, późniejszy cesarz Tai Tsung, ok. 630 r.n.e.**

Langnes 37421/Czwarta Planeta/ Miejsce Spotkań Ledwie okręty pojawiły się w normalnej przestrzeni, wzięły kurs na czwartą planetę układu. Gdy były już blisko niej, luki stanęły otworem i wychynęły z nich półkoliste myśliwce, śmiercionośne aksaie. Otoczyły jednostki macierzyste zwartym szykiem.

Wyglądało to na przygotowania do ataku, ale nimi nie było.

Przywódcy klanów musthów zbierali się na naradę, aby postanowić o losie ludzi okupujących odległy układ Cumbre.

Dotyczyło to w każdym razie tych przywódców, którzy byli w jakiś sposób zainteresowani sprawą. Reprezentowali nie więcej niż jedną piątą wszystkich klanów. Pozostali albo woleli pozostać neutralni, albo zamierzali zaangażować się dopiero później.

Wedle mitologii musthów, Czwarta była ich kolebką, chociaż naukowcy głosili, że ich rasa wyewoluowała jednocześnie na wielu, może nawet ponad dziesięciu planetach, co miało dowodzić praw musthów do całego wszechświata. Za potwierdzenie tego uznawali łatwość, z jaką opanowali swoją gromadę gwiazdną i inne jego regiony.

Czwarta była spokojną planetą. Pokrywały ją wielkie masy kontynentów z niskimi górami i trawiastymi równinami poprzedzielanymi skromnymi spłachetkami puszczy.

Słońce należało do typu G, jego blask był jednak zdecydowanie zbyt przenikliwy i naznaczony błękitem, aby Ziemiak mógł czuć się w nim dobrze. Było tu również nieco za zimno, ale śnieg padał bardzo rzadko, podobnie jak sezonowe deszcze, które niekiedy jednak przeradzały się w porządne ulewę.

Nie zawsze tak było. Przez tysiące lat planeta tętniła życiem. Uprawiano na niej pola, drążono kopalnie, wycinano lasy, budowano miasta i fabryki. Aż w końcu musthowie odlecieli do gwiazd.

Teraz, niemal opuszczona, Czwarta wracała do swojego naturalnego stanu. Miasta zrównano z ziemią, trawom i lasom pozwolono zarosnąć dawne tereny uprawne, zatrute rzeki i jeziora z wolna znowu się oczyściły. Obecnie był to świat niemal tak samo czysty jak u zarania historii musthów.

Problem przeludnienia zniknął, jakby nigdy nie istniał, zatem te kilka milionów musthów, którzy zostali na planecie, przeniosło się do specjalnie wybudowanych podziemnych miast. Po jednym na klan. Ślady cywilizacji widać było tylko na samotnym małym kontynencie. Tutaj mieściły się bazy wojskowe, wielkie lotniska,

**zautomatyzowane fabryki i stocznie oraz wcale nie taki wielki ośrodek administracyjny, z którego rządono tysiącami zamieszkanymi przez musthów planet. To właśnie było Miejsce Spotkań.**

**W jego centrum rozciągał się cylindryczny budynek o średnicy dwóch kilometrów, którego kopulasty dach wznosił się na trzysta metrów. Przybywali tu wszyscy musthowie, którzy mieli problemy przerastające kompetencje przywódców klanów albo potrzebowali mediacji w zagrażającym wojną sporze.**

**Gmach nie miał żadnej nazwy, co musthowie uważali za nad wyraz logiczne. Skoro w całym imperium nie było drugiego takiego, nazwa stawała się zbyteczna.**

**Krążyło wśród tej rasy ironiczne powiedzenie: „Tylko dlatego nie panujemy nad całym wszechświatem, że musimy nieustannie jednym okiem strzec naszej przyszłości, drugim godności, trzecim zaś naszych tyłów, a Prastary dał nam tylko po dwoje oczu”.**

**W murach olbrzymiej rotundy mieściły się apartamenty, każdy z platformą lądowiska wystarczającą na zaparkowanie dwóch statków. Przywódca klanu mógł przybyć tu ze swoją świtą i załatwić wszystko, co zamierzał, nie opuszczając tego bogato wyposażonego w elektronikę lokum. Apartamenty były całkowicie niezależne, z własnymi generatorami i filtrami powietrza na wypadek, gdyby ktoś wpadł na pomysł zagazowania przeciwnika.**

**Jeśli udawało się zażegnać spór, przywódcy klanów, ich podwładni i krewni mogli się spotkać oko w oko.**

**Tym razem zjawilo się prawie pięciuset klanowych przywódców. Niektórzy mieli we władaniu po kilka światów, inni kontrolowali cechy albo gildie, inni jeszcze dowodzili flotami wojennymi.**

**Podczas gdy aksaie krążyły po niebie czujne i zwinne niczym ziemskie jaskółki, władcy po kolei docierali do swoich apartamentów. Komputer gmachu pilnował, aby nie doszło przy tym do spotkania wrogów, którzy mogliby wykorzystać okazję do konfrontacji.**

**Wysiadali z ładowników dumni i pełni arogancji właściwej rasie, która miała się za panującą. Wysocy na dwa metry, a wyprostowani nawet wyżsi, z szorstką sierścią, czasem żółtą, czasem ciemniejszą aż do rudego brązu, z małymi głowami osadzonymi na długich węzowych szyjach szybkim krokiem znikali w kwaterach.**

**Wszyscy nosili pasy z bronią, która pod żadnym względem nie była ceremonialna.**

**W nocy przed oficjalnymi rozmowami łączy rozgrzały się od nieustannej wymiany pomysłów, sugestii taktycznych i strategii.**

**Właściwe spotkanie zaczęło się o wschodzie słońca.**

**Niektórzy skorzystali z wielkich ekranów ściennych, na których ukazała się wielopolowa mozaika przedstawiająca oblicza uczestników. Nie wszystkich, bo niektórzy nie włączyli kamer.**

**Przedstawieniem sprawy zajął się Aesc, były ambasador w układzie Cumbre.**

**Wspomniał, że chociaż stosunki między ludźmi a musthami zawsze były napięte, ostatnio znacznie się zaogniły za sprawą tak zwanych Raumów, nieco mniejszych i o ciemniejszej skórze niż pozostali ludzie. Słudzy zbuntowali się przeciwko swoim panom i zaatakowali także musthów.**

**–Dlaczego? – spytał jeden z przywódców klanów. – Niewiele wiem o ludziach, ledwie tyle, by się nimi brzydzić, ale wydawało mi się, że ostatnim razem, gdy zawieraliśmy pokój, udało się uzgodnić stanowiska. Przynajmniej oni tak twierdzili.**

**–Raumowie żywią przekonanie, że są nacją wybraną, aby rządzić nie tylko całą rasą ludzką, ale też wszystkimi innymi istotami i całym wszechświatem po wieki wieków – wyjaśnił Aesc.**

**Rozległy się pomruki i warknięcia świadczące o rozbawieniu, ktoś krzyknął: „Herezja!”, inni się roześmiali.**

**–Nasz dowódca Wlencing miał okazję walczyć z nimi w sojuszu z ludzką armią – dodał Aesc.**

**–I jak pan to widzi, Wlencing? – spytał Keffa, jeden z przywódców klanów.**

**–Ludzie nazywają Raumów „robakami”, czyli stworzeniami pełzającymi w błocie – powiedział Wlencing, cytując ludzkie słowo. – To tchórze, którzy unikają otwartej walki, a jeśli już muszą ją podjąć, nie stają do niej jak się godzi wojownikom.**

**Potrafili jednak zadać nam bolesne straty, wysyłając statek do samobójczego ataku na naszą kwaterę główną na trzeciej planecie.**

**–Jak można wyczytać w dostarczonych panom dokumentach, to właśnie skłoniło nas do wycofania się z tamtego układu – wtrącił Aesc.**

**–Czytałem – powiedział Keffa. – Ale Wlencing nie skończył jeszcze odpowiadać na moje pytanie. Mało mnie obchodzą ci głupcy, którzy mają się za wybranych, szczególnie że, jak słyszę, zostali rozbici.**

**–Nie całkiem – sprostował Wlencing. – Raczej zapędzeni z powrotem do nor.**

**–Tak czy owak, najbardziej interesuje mnie ludzka armia i o nią chcę spytać.**

**Jacy są ich żołnierze? Wlencing zastanowił się, kręcąc głową.**

**–Jako wojownicy niektórzy radzą sobie bardzo dobrze – odezwał się po chwili – szczególnie ci wyszkoleni do indywidualnej walki. Jak zachowują się jako armia podczas dłuższego konfliktu, trudno powiedzieć. Konflikt z Raumami składał się z szeregu drobniejszych potyczek. A co do nas... Konfederacja, z którą kiedyś walczyliśmy, najwyraźniej przestała wspierać ten sektor, więc brakuje im zaopatrzenia i muszą improwizować. Jednak należy wspomnieć, że przynajmniej część z nich ma szczególny talent do błyskawicznego znajdowania zastępczych rozwiązań, zwłaszcza w nagłej potrzebie.**

**–Gdy ktoś tak często bierze się do sprawy od złego końca i z byle czym, nic innego mu nie zostaje – prychnął niejaki Paumoto, budząc ogólną wesołość.**

**Paumoto był rzecznikiem najbardziej radykalnych musthów, którzy niczego tak nie pragnęli, jak zniszczenia chwiejącej się obecnie Konfederacji. Spośród wszystkich ras tylko ludzie mogli zagrozić musthom i vice versa. Wszystkie inne były mniej ambitne, niezdolne do ekspansji albo znajdowały się na niższym etapie rozwoju, ewentualnie po prostu nie należały do tlenodysznych, co stawiało je poza konkurencją, jako że wybierane przez nie światy nie nadawały się ani dla musthów, ani dla ludzi.**

**Jak dotąd Paumoto nie zyskał wielkiego poparcia. Przeważająca część musthów nie miała żadnego kontaktu z ludźmi, nie była nimi zainteresowana albo wierzyła, że rasa ta jest skazana na wymarcie z powodu wrodzonej głupoty.**

**Jednym z najsilniejszych sprzymierzeńców Paumota był Keffa, który jednak reprezentował zbyt wielkie i zbyt młode pieniądze.**

**–Może to i prawda, ale nie lekceważyłbym przeciwnika – odezwał się Wlencing, gdy ucichły odgłosy świadczące o rozbawieniu. – Niemniej jestem dogłębnie przekonany, że mądrze walcząc, zdołamy ich zniszczyć.**

**–Podziwiam i ciebie, wodzu, i twoich co bardziej spostrzegawczych podwładnych – powiedział Paumoto. – Zrozumieście to, przed czym ostrzegaliśmy połowę naszego życia. Pojęliście, że musimy stawić czoło człowiekowi. Musimy to zrobić jak najszybciej i na naszych warunkach. Ta galaktyka i wszystkie w jej okolicy mogą mieć tylko jednego pana i naszym zadaniem jest pokazać ludziom ich miejsce, zanim zdołają wzrosnąć w siłę! Chaos, który zapewne ogarnął Konfederację, stwarza nam niepowtarzalną okazję.**

**–Słuszne słowa – odezwał się kolejny klanowy przywódca imieniem Senza. – Pamiętajmy jednak, czym skończyło się kiedyś lekceważenie ludzi.**



**Przed trzydziestoma pięcioma standardowymi latami musthowie wysłali liczną wyprawę kolonizacyjną do bogatej w surowce mineralne gromady gwiazdnej, która została odkryta równocześnie przez obie rasy, ale zajęli również te planety, które ludzie ogłosili już swoją własnością. Konfederacja odpowiedziała uderzeniem, zniszczyła większość sił musthów i narzuciła twarde warunki rozejmu, na mocy którego przeciwnik poza spornymi obszarami musiał oddać jeszcze kilka innych układów planetarnych w tym sektorze.**

**Przywódcy klanów poruszyli się niespokojnie, paru gniewnie postawiło uszy. Żaden musth nie lubi, żeby mu wypominać przeszłość, a szczególnie taką, która wiązała się z klęską.**

**Senza był powszechnie uważany za niezrównoważonego, przy czym niektórzy twierdzili nawet, że sprowadza nieszczęście. Gdyby nie był taki ostrożny, zapewne dawno już skończyłby marnie.**

**Niemniej szanowano go, gdyż stał na czele wszechobecnego i energicznego Polperra, szczególnego klanu, do którego należeli musthowie z wszystkich innych, gromadził bowiem dyplomatów i prawników, główne „smarowidło” całej tej cywilizacji, ratujące ją od nieustannej wojny domowej.**

**W odróżnieniu od większości musthów, Senza dobrowolnie składał wizyty na planetach zasiedlonych przez ludzi i nie krył, że zrobiły one na nim wrażenie.**

**Uważał, że obie rasy mogłyby się wiele od siebie nauczyć, i skłaniał się ku sojuszowi z ludźmi.**

**Jego stanowisko było popularne tylko wśród młodych musthów, dopuszczających odstępstwa od tradycji, albo wśród radykalnych elementów pragnących zmian dotychczasowego porządku.**

**–Przeszłość jest martwa – warknął Keffa.**

**Senza machnął łapą w geście powątpiewania.**

**–Jest – dodał stanowczo Paumoto. – Przynajmniej teraz i tutaj. W tej chwili musimy się zastanowić, co zrobić z obecnością ludzi w układzie Cumbre. Mamy akurat szansę. Jakież propozycje?**

**–Powinniśmy tam wrócić, tym razem z wojskiem, a nie z górnikami – odezwał się Wlencing. – Uderzymy raz a mocno i układ będzie nasz. Zostawiliśmy tam dość sond zwiadowczych, aby wrócić jak po swoje. Jeśli Konfederacja jeszcze istnieje, postawimy ją przed faktem dokonanym. Jeśli nie... – uniósł łapę z rozczapierzonymi palcami – powrócimy na ścieżkę podbojów. Moim zdaniem nie ma innego rozwiązania, nie ryzykujemy też większych strat.**

**–A co z tymi ludźmi, którzy nie zgodzą się potulnie umrzeć? – spytał Senza. – Skierujemy na nich żądła? Żądła były jedną z bardziej paskudnych broni stosowanych przez musthów.**

**Upakowane w niej owadopodobne stworzenia budziły się błyskawicznie po uwolnieniu i atakowały wszystko co żywe w najbliższej okolicy.**

**–Nie jesteśmy potworami – powiedział Wlencing. – Nie chciałbym zabijać niewinnych młodych ani samic. Jednak nie możemy pozwolić, żeby uciekli po naszym zwycięstwie. Mogliby sprowadzić siły Konfederacji. Na szczęście zawsze jest sporo zajęć, którymi sami wolelibyśmy się nie parać. Będzie trzeba znaleźć górników, całe zastępy sług.**

**Ci, którzy przeżyją walkę i nie będą myśleć o dalszym oporze, bardziej przydadzą nam się żywi.**

**–Nie! – warknął Keffa z płonącymi gniewem ślepiami. – Jeśli musthowie zaczną uważać, że jakaś praca im nie przystoi, będzie to w praktyce oznaczało gotowość przekazania władzy innej, silniejszej i bardziej żywotnej rasie! Senza mógł nie traktować swoich słów metaforycznie, ale ma rację. Jeśli teraz zadziałamy zdecydowanie, a nawet brutalnie, oszczędzimy sobie kłopotów w przyszłości.**

**–Keffa jest nader pewny siebie – mruknął Senza. – Jeszcze nie zaczęliśmy przygotowań do walki, a już próbujemy dzielić łupy i zastanawiamy się, jak usunąć tych zbyt głupich, aby się z nami dogadać.**

**–Powątpiewasz w nasze zwycięstwo? – spytał zaczepnie Paumoto.**

**–Oczywiście, że nie. Jeśli, podkreślam, jeśli zdecydujemy się na wojnę. Zanim jednak temperatura dyskusji wzrośnie za bardzo, chciałbym spytać, ilu właściwie przywódców klanów zamierza ruszyć przeciwko ludziom?**

**–Ledwie zaczęliśmy o tym rozmawiać... – rzucił Keffa.**

**–Jednak biorąc pod uwagę cel spotkania, taka informacja może mieć olbrzymie znaczenie dla jego dalszego przebiegu. Wzywam do zdeklarowania się.**

**Senza pierwszy wyciągnął łapę ku przyciskom. Kilka sekund później na ekranie zajaśniały wyniki.**

**Niemal dokładnie jedna trzecia była za, jedna trzecia przeciwko i tyle samo zebranych nie podjęło jeszcze decyzji.**

**–Nasza wielka rasa jakoś nie podziela stanowiska Wlencinga, Paumota i Keffy – powiedział Senza, kładąc lekki nacisk na słowo „wielka”. – Większość nie uważa**

starcia za nieuniknione.

–Chcesz przez to powiedzieć, że powinniśmy pogodzić się z klęską? – spytał Aesc.  
– Mam pokornie zaakceptować wygnanie z Cumbre?

–Wedle oficjalnych raportów to właśnie pan, razem z Wlencingiem, podjął decyzję o wycofaniu naszych tamtejszych sił, żeby naradzić się z nami. Trudno tu mówić o wygnaniu.

–Pańskim zdaniem ludzie też tak to widzą? – syknął Aesc. W całym gmachu podniósł się gwar.

–Nie obchodzi mnie, jak widzą to ludzie. To tylko ludzie. Za bardzo ufam w przeznaczenie naszej rasy, aby przejmować się ludzkimi rozterkami. Dodam jeszcze, że pańskie dokonania w układzie Cumbre nie budzą mego podziwu. To samo dotyczy pana, Aesc. Uwikłaliście się w mało istotną operację, nie dostrzegając, ile naprawdę było do zyskania. Niewiele nam przyszło z waszego wojowania. A teraz chcecie, abyśmy zwiększyli zaangażowanie w tym systemie. Myślę, że to głupota. Powinniśmy raczej obrać inny kurs, a właściwie jeden z dwóch kursów, które chcę wam zaproponować.

Pierwszy to wznowienie zaangażowania w układzie Cumbre, ale siłami nie większymi niż przedtem. Zaraz poddam to pod głosowanie, ale proszę o cierpliwość, póki nie przedstawię drugiej propozycji. Chodzi mianowicie o to, aby całkiem zarzucić plany podboju Cumbre i wysłać tam jedynie kupców, którzy będą normalnymi metodami nabywać dla nas kopaliny, w które obfituje ten układ. Może się zdarzyć, że w przyszłości spotkamy jeszcze inne rasy zajmujące tę samą niszę życia opartego na węglu. Mogą to być rasy równie ambitne jak my. Jeśli teraz, w spotkaniu z ludźmi, nauczymy się rozpoznawać zamiary i możliwości przeciwnika, łatwiej poradzimy sobie w przyszłości, będziemy umieli ocenić, czy mamy do czynienia z wrogiem, czy z potencjalnym sojusznikiem. Zastanówcie się nad obiema tymi możliwościami, panowie. Chociaż dziś wspomniany problem nie wydaje się wielce znaczący, ostatecznie może zdecydować o całej naszej polityce. A teraz proszę o głosowanie.

Senza nie był zdziwiony, gdy obie propozycje zostały zdecydowaną większością odrzucone.

–Zatem, skoro już nie musimy zajmować się głupstwami, zabierzmy się bez sentymentów do tego, co najważniejsze – powiedział Paumoto. – Wzywam, byśmy wrócili do Cumbre, ale ze znaczniejszymi i lepiej wyposażonymi siłami. Dowodzenie objąłby Aesc, jako że on najlepiej zna ten układ, a jego zastępcą byłby Wlencing. Zastępcą, że zaznaczę, we wszystkim, nie tylko w kwestiach militarnych. Zamiast skupiać siły na Silitricu, powinniśmy założyć bazy we wszystkich większych miastach na planecie ludzi.

**–Nie rozumiem po co – wtrącił Aesc.**

**–Oficjalnie dla zmniejszenia napięcia pomiędzy oboma rasami. W rzeczywistości po to, żebyśmy mogli lepiej kontrolować poczynania ludzi i w razie potrzeby szybciej na nie reagować.**

**–A może kryje się pod tym jeszcze inna sugestia? – spytał cynicznie Senza. – Ludzie otrzymaliby łatwe cele, a my przy pierwszym ataku zyskalibyśmy pretekst do masakry...**

**–Przecież nie namawiałbym do czegoś, co pociągnęłoby za sobą śmierć musthów! – obruszył się Paumoto.**

**–Tego nie powiedziałem – odparł Senza.**

**–Za dużo myślisz, Senza – wtrącił się Keffa, a wszyscy ujrzeli na ekranach, jak wysuwa i chowa pazury. – Kiedyś napytasz sobie przez to biedy.**

**–Czy to wyzwanie? – spytał Senza. – Wobec mnie osobiście czy całego mojego klanu? Jeśli to pierwsze, pamiętaj, co kiedyś powiedziałem, że nie mam zwyczaju się pojedynkować. Rozlana krew mało co załatwia. Sam się o tym przekonasz, Keffa, gdy będziesz w moim wieku. O ile go dożyjesz.**

**–Starczy – rzucił Paumoto. – Chciałbym poddać moją propozycję pod głosowanie.**

**Przypominam, że ci, którzy się za nią opowiedzą, będą zobowiązani do współfinansowania kampanii. I do udziału w niej, oczywiście.**

**Przeplatana kolejnymi głosowaniami dyskusja trwała jeszcze kilka godzin.**

**Przerzucano się argumentami, jedne klany wycofywały poparcie, inne wahały się, oczekując konkretnych korzyści, które mogłyby wynieść z całej awantury. Ostatecznie stu dwunastu przywódców klanów zadeklarowało swój udział, przeciwko była tylko garstka.**

**Większość, w tym Senza, pozostała neutralna. – Czy to wystarczy? – dyskretnie spytał Wlencinga Aesc.**

**–Aż nadto. Mamy większość tych z najlepszym uzbrojeniem, najlepszym wojskiem.**

**Najbogatszych. Gdy stanie się to, co stać się musi, reszta się do nas przyłączy.**

**To początek nowego. Wkrótce wszyscy musthowie staną u naszego boku i nadejdzie dzień, w którym raz na zawsze usuniemy ludzi z drogi naszej rasy.**

**Następnego dnia statek Senzy wystartował z planety.**

**–Twój uczeń Alikhan, potomek Wlencinga, pozostał na Czwartej – powiedział Kenryo, asystent przywódcy klanu, gdy byli już w próżni.**

**Senza uniósł łapę w geście zdziwienia.**

**–Postanowił służyć ojcu na Cumbre – dodał Kenryo.**

**–To znaczy, że przegraliśmy jeszcze jedną bitwę – rzekł Senza. – Jeszcze jeden wybrał drogę przemocy, która nie wymaga myślenia ani ważenia argumentów.**

**–Podważasz własne nauki?**

**–A to dlaczego?**

**–Nie sądzę, żeby Alikhan postradał zmysły. Nie wydaje mi się też, aby zmarnował czas nauki. Chyba przyswoił sobie coś z twojej mądrości.**

**–Dziękuję za komplement, ale jeśli masz rację, to ten młodzieniec niebawem wielce się rozczaruje, widząc rozziw pomiędzy tym, w co wierzy, a postępowaniem ojca.**

**Obawiam się, że jak to już wielokrotnie bywało, i tym razem podjął decyzję wiedziony tylko złością.**

Układ Cumbre/Cumbre D – Naprawdę nie podoba ci się armia okresu pokoju? – wydyszał alt Garvin Jaansma, obecnie dowódca kompanii zwiadu. – Zadajemy szyku w mundurach prosto spod igły, wszyscy gapią się na nas z podziwem, forsa brzęczy w kieszeni...

–Zamknij się i wsadźmy tę cholerną formę na miejsce, zanim Monique nas zaleje – warknął jego zastępca, aspirant Njangu Yoshitaro.

Obaj oficerowie mieli ledwie po dwadzieścia standardowych lat, obaj też nosili sfatygowane i przepocone podkoszulki, robocze buty i poplamione cementem portki.

W ciemnogrnatowych, paradnych mundurach wyglądaliby o niebo lepiej.

Szczególnie Jaansma.

Miał prawie dwa metry, blond włosy, dobrze rozwinięte mięśnie i nader proporcjonalną sylwetkę. Można było iść o zakład, że jeśli pozostanie dość długo w armii i przeżyje wszystkie związane z tym zawieruchy, za sam wygląd awansuje w końcu na sam szczyt hierarchii. Przyszedł na świat w rodzinie cyrkowców, a zaciągnął się pospiesznie zaraz po tym, jak zdarzyło mu się wypuścić tygrysy na ludzi, którzy poważnie mu się narazili.

Njangu Yoshitaro był nieco niższy, smuklejszy, czarnowłosy i śniady. Nie oszałamiał urodą, a jego oczy były nieustannie czujne. Nigdy nie wspominał o swojej przeszłości, nie rozwodził się też nad wyrokiem i wyborem, przed którym postawił go sąd: uwarunkowanie albo kamasze.

Spotkali się jako całkiem zieloni rekruci na pokładzie ostatniego transportowca wysłanego ze Świata Centralnego, stolicy Konfederacji, a podczas niedawnego powstania Raumów wyróżnili się jako agenci oraz żołnierze, za co ich awansowano. Obecnie stali na dnie dołu o wymiarach pięć na pięć na sześć metrów, który wykopali wraz z innymi zwiadowcami. Nie obyło się bez materiałów wybuchowych, ale większość roboty odwalili łopatami. Dużą rolę odegrały też kosze z repulsorami i obsceniczne wyrażenia.

Wyspę Chance i Leggett, stolicę Cumbre D, owiewał chłodny wiaterek znad zatoki Dharma, niebo było niewiarygodnie niebieskie, piasek żółty, przybój znaczył białą powierzchnię oceanu.

Jednak z dna jamy nie było widać zbyt wielu tropikalnych uroków. W pewnej chwili nad kopaczami zawisł poobijany cook z ładownią pełną cementu. Za sterami siedziała twęg Monique Lir. Była to pani podoficer o wybitnie wojskowej postawie i całkiem

interesująco rozwiniętej muskulaturze, lecz mimo to można by ją było wziąć za modelkę. Albo aktorkę.

–Gotowi do wylewania?! – zawołała.

Njangu spojrział sceptycznie na szalunek.

–Wiesz, że gdyby nas zabetonowała, to właśnie ona objęłaby dowództwo kompanii?

–Dzięki niech będą Allahowi i jego hurysom, że to dziewczę ma dość rozumu, aby trzymać się z dala od blasku reflektorów – mruknął Garvin. – Dawaj! – krzyknął w górę.

–To ona tak twierdzi – odparł Yoshitaro i dodał coś, co zginęło w bulgocie spływającego gwałtownie cementu.

–A tak właściwie, co my robimy w tej dziurze...? – odezwał się znowu, gdy hałas trochę przycichł. – Co robi tu dwóch podobno niezłych oficerów, skoro koniec końców pozbyliśmy się już wszystkich drani w okolicy?

–Genialne pytanie – sapnął Garvin. – To może i ja dorzucę swoje. Kto wpadł na ten pomysł, że dowódca nie powinien zagrzewać słowem, ale przykładem?

–Ty, dupku. Musiałeś to chyba przeczytać w jakimś poradniku.

–Szlag... Powinniśmy teraz spacerkiem robić inspekcję. Najlepiej z zimnym piwem w każdej łapie. A tymczasem...

–Właśnie użyłeś aż dwóch przykrych wyrazów w jednym zdaniu: zimne i piwo. Zaraz cię uduszę, mimo że jesteś wyższy stopniem.

–Puste! – krzyknęła Lir. – Lecę po więcej!

–Co w nas jest takiego szczególnego? – zadumał się Garvin. – Dobra, ruszaj! – zawołał do Lir.

–A właściwie to dlaczego ona pilotuje? Jakim cudem Dill się wyłgał od wożenia cementu?

–Robi dzisiaj za pilota doświadczalnego i ma nadzieję zginąć śmiercią bohatera nad Mullion. Nie ma dla nas czasu.

–Dupek. Nie powinni przyjmować słoni do wojska.

Wyspa Lanbay, na której się znajdowali, niegdyś nie tylko nie zamieszkana, ale też uznawana za niezdatną do zamieszkania, była obecnie przemieniana w małą fortecę z

**półtuzinem silosów na rakiety i bunkrem dowodzenia. To samo robiono pośpiesznie z wieloma innymi wyspami. Umocnienia wyrastały też na Mullion oraz na obu półwyspach okalających zatokę Dharma. Część z nich zamierzano od razu obsadzić, pozostałe miały czekać na wypadek, gdyby musthowie spełnili rzuconą przed kilkoma miesiącami groźbę i wrócili w złych zamiarach.**

**Albo gdyby Alena Redruth, protektor Lariksa i Kury, nabrał ochoty na ponowną wizytę. Tym razem na czele floty dodającej wagi jego propozycjom roztoczenia „opieki” nad układem Cumbre.**

**Grupa Uderzeniowa była bardzo zajęta i wszystko świadczyło o tym, że w niedalekiej przyszłości będzie jeszcze gorzej. Na dodatek czekała ich dłuższa wyprowadzka z wygodnego obozu Mahan, który w razie ataku nazbyt łatwo byłoby zniszczyć.**

**Grupa, która otrzymała kiedyś paradną nazwę Szybka Lanca, miała strzec układu Cumbre. Oraz majątku i życia kolonistów. Głównie przed innymi kolonistami.**

**Dwa miejscowe lata wcześniej, gdy Jaansma i Yoshitaro przybyli na planetę, w Szybkiej Lancy panował typowy rozlazły porządek tyłowego garnizonu.**

**Polerowanie na błysk guzików i te rzeczy. Jednak powstanie Raumów przywołało wszystkich do porządku. Tyle że była to terapia wstrząsowa.**

**Obecnie formacją tą dowodził caud Prakash Rao, stąd zyskała ona miano RaoGrupy, chociaż coraz częściej mówiło się po prostu o Grupie albo o Legionie. W każdym razie wtedy, gdy z jakiegoś powodu nie wypadało wyrażać się wulgarnie.**

**Podczas powstania ponieśli wielkie straty, wliczając w to głównodowodzącego i większość jego sztabu, a ocaleli żołnierze, tacy jak Yoshitaro i Jaansma, szybko awansowali. Dziury zapchano miejscowymi rekrutami. Tak jak przewidział Jon Hedley, niegdysiejszy dowódca kompanii zwiadu, w większości byli to dopiero co pokonani Raumowie.**

**Jeśli ktokolwiek z nich okazywał nadspodziewanie dobrą znajomość broni, nie pytano go, gdzie się tego nauczył, ale wyznaczano do wcześniejszego awansu.**

**RaoGrupa liczyła teraz już prawie dziesięć tysięcy ludzi, ale miała o wiele uboższe wyposażenie niż przed konfliktem. Wciąż nie było łączności z Konfederacją, o dostawach czy uzupełnieniach nie wspominając. Musieli rekonstruować wraki albo adaptować to, co znaleźli na rynku sprzętu cywilnego.**

**Wszyscy wiedzieli, że nie zostało już wiele czasu. Zastanawiali się jedynie, czy najpierw przyjdzie im stawić czoło ludziom, czy musthom.**



**Dec Biegący Niedźwiedź przeciągnął się za sterami smukłej luksusowej limuzyny pokrytej plamistym kamuflażem.**

**–Jeśli zeszywniałeś, mogę cię zmienić – powiedział siedzący z tyłu caud Rao. – Umieję tym latać.**

**–Nie, sir – odparł Biegący Niedźwiedź. – Upewniałem się tylko, że to nie sen i nie obudzę się za chwilę w zwykłym cooku.**

**Rao spojrział na niego sceptycznie i wrócił do prowadzonej półgłosem narady z milem Angara, zastępcą dowódcy Grupy, i adiutantem, altem Erikiem Penwythem.**

**Ciemnowłosy i nieco śniady Rao mógłby uchodzić za Rauma. Był średniego wzrostu i masywnej budowy, miał około pięćdziesięciu lat. Angara, chociaż wciąż przypominał atletę, zaczynał już przegrywać walkę z nieubłaganą grawitacją i dokładkami deserów.**

**Penwyth nosił nieco za długie włosy, które niezbyt przystawały oficerowi, mógł się za to poszczycić pociągłą arystokratyczną twarzą. Żaden z nich nie nadawał się na plakat werbunkowy.**

**Biegący Niedźwiedź wiedział, że coś się stało. Coś poważnego. Trzej oficerowie byli zbyt milczący, zbyt obojętni. No, ale to nie była jego sprawa.**

**Zastanowił się nad propozycją Rao, że zmieni go przy sterach. Niegdyś nie do pomyslenia. Caud Williams był miłym człowiekiem, ale nigdy, przenigdy nie usiadłby na miejscu kierowcy.**

**Zresztą nawet latanie tą limuzyną, darem przekazanym wojsku w chwili słabości przez wdzięcznych miejscowych rentierów, było już wielką zmianą.**

**Biegący Niedźwiedź musnął palcami nowe pagony i wiszący na jego piersi Krzyż Konfederacji, najwyższe odznaczenie imperium. Rany trochę jeszcze dokuczały, ale nie przejmował się nimi. Wracający co jakiś czas ból przypominał mu, że na dobrą sprawę powinien zginąć niczym tamten białoloki Cutter czy Cluster, czy jak się gość nazywał, i narzekanie na cokolwiek byłoby teraz co najmniej niestosowne.**

**Zmiany... Zerknął w okno po lewej na plażę Leggett, a potem na pustkowie, które niegdyś było gettem Raumów. Eckmuhl zostało niemal całkowicie zniszczone podczas ostatniego, desperackiego kontrataku przeciwnika.**

**Niedźwiedź wciąż nie był pewien, czy ma ochotę służyć w jednym szeregu z ludźmi, którzy jeszcze tak niedawno do niego strzelali, ale gdy podzielił się kiedyś tymi wątpliwościami z Rao, dowódca kazał mu się nie przejmować takimi drobiazgami.**

**Posłuchał więc i wyszło mu to na dobre, szczególnie gdy jeden ze szturmowców z jego drużyny, Raum z pochodzenia, zabrał go do siebie, kiedy dostali przepustkę, i przedstawił swojej siostrze.**

**Nie znaczyło tu jednak, że życie wróciło całkiem do normy. Odbudowa Leggett nie przebiegała tak szybko, jak można by sobie było życzyć. Wojna domowa kosztowała nie tylko życie wielu tysięcy ludzi, ale też horrendalne sumy pieniędzy. Mimo pokoju trudno było teraz dojść do ładu z budżetem, szczególnie że brakło pozaukładowego rynku na tutejsze kopaliny.**

**Potomek amerykańskich autochtonów wzruszył ramionami. To nie jego sprawa, nie jego zmartwienie.**

**–Dolatujemy, sir – powiedział i skierował limuzynę w dół, ku nowemu budynkowi z prefabrykatów, obecnej siedzibie rządu planetarnego. Wzniesiono go niecały kilometr od ruin starego gmachu, który runął w piekło płomieni, grzebiąc większość miejscowych oficjeli.**

**Pojazd wylądował i oficerowie wysiedli. Penwyth zabrał mały projektor i ekran.**

**–Zaparkuj w cieniu i zjedz coś w kantine – powiedział Rao do Niedźwiedzia. – Zabawimy tu pewnie cały dzień.**

**–Tak jest, sir – odparł Indianin i wystartował.**

**–No to zaczynamy – mruknął Rao. – Penwyth, ty znasz wyższe sfery, więc kopnij mnie, gdybym zaczął się podlizywać niewłaściwym osobom. Musimy dostać to, czego chcemy.**

**Penwyth uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział. Istotnie należał to elity Cumbre D. Zaciągnął się z nie znanych nikomu powodów, a potem tak wyszło, że o mało nie trafił pod sąd polowy za podszywanie się pod oficera, lecz ostatecznie uznano, że prościej będzie rzeczywiście zrobić go oficerem. Ale już nie w zwiadzie.**

**–Ciekawe, jak nam pójdzie – bąknął mil Angara. – I tak już jest paskudnie, a kiedy jeszcze usłyszą nasze rewelacje...**

**–Szczególnie że wielu z nich ma krewnych na Lariksie albo Kurze – dodał Penwyth. – Będą się burzyć. W końcu jednak powinni zrozumieć.**

**–Zabiją nas śmiechem – mruknął Rao. – Ale nic, idziemy – dodał i ruszył do gmachu.**

**–Podobno jak coś ładnie wygląda, powinno dobrze latać – powiedział alt Ben Dill, dowódca drużyny rozpoznania powietrznego przeniesionej ostatnio do kompanii zwiadu i wywiadu polowego.**

**–Ani myślę zaprzeczać – odparł haut Jon Hedley, szef Sekcji II, czyli wywiadu.**

**Ten pozornie rozlazły i leniwy oficer jakimś cudem potrafił tak przegonić dowolny pluton, że żołnierze ledwo dopęłzali do obozu. On zaś wracał, niosąc ich plecaki. Ze śpiewem na ustach.**

**Obaj kłamali dla dobra sprawy. Każdy mógłby wymienić ze sto przykładów maszyn o zachwycającej linii, które latały gorzej niż muszla klozetowa.**

**Dillowi trochę brakowało do rozmiarów słonia, chociaż niezbyt wiele. Miał około trzydziestki i przedwczesną łysinę. Mimo masywnej postury był zaskakująco sprawny fizycznie.**

**Dowodził griersonem, czyli standardowym bojowym pojazdem powietrznym piechoty, do którego Garvin Jaansma został przydzielony zaraz po zameldowaniu się w jednostce. Podczas powstania Raumów dał się poznać jako mistrz operacji na tyłach przeciwnika. Po ustaniu walk otrzymał zadanie zreorganizowania zwiadu powietrznego jako integralnej części jego dawnej kompanii. Mimo zupełnie niewojskowej postawy był świetny w swoim fachu. Nie robiło mu najmniejszej różnicy, jaki sprzęt akurat pilotuje.**

**W każdej maszynie czuł się tak, jakby urodził się za sterami.**

**Obszedł aksaia i zbliżył się do kokpitu. Był to jeden z kilku myśliwców musthów porzuconych podczas ich nagłego wycofania się z układu.**

**Grupa po cichu przejęła te maszyny, chociaż wszystkie były zdekompletowane, i wraz z różnego rodzaju cywilnymi pojazdami i statkami kosmicznymi obcych zgromadziła w tajnej, pospiesznie zbudowanej w dżungli bazie na wyspie Mullion. Technicy zaraz wzięli je w obroty, aby poznać ich napęd i wyjaśnić, jakim cudem utrzymują się w powietrzu.**

**Hedley miał nadzieję, że nie będą musieli sięgać po sprzęt obcych, którego koszty utrzymania zostały dobrze zakamuflowane w tajnym budżecie wywiadu, ale wolał przygotować się na najgorsze.**

**–Jesteś pewien, że się zmieścisz, Ben? – spytał. O ile nie było w pobliżu jakiegoś wyższego rangą oficera spoza kompanii, wszyscy w zwiadzie zwracali się do siebie po imieniu. A do dowódcy „szefie”.**

**–Będzie trochę ciasno, ale przed tygodniem odstawiłem piwo, więc pewnie się wcisnę. Na wazelinę, ale zawsze.**

**Obok stało dwóch techników. Jeden pilnował wózka rozruchowego, drugi drabinki.**

**Dill ponownie obszedł aksaia.**

**–Nic nie dynda, więc chyba wszystko gotowe – powiedział i raz jeszcze sprawdził kombinezon, a szczególnie układy ratunkowe. – Powiedzcie mojej mamie, że poległem na polu chwały – rzucił, wdrapując się do kabiny pilota. Drabinka zatrzeszczała, ale jakoś to zniosła.**

**Poszczególne wersje aksaiów różniły się liczbą wieżyczek strzeleckich rozmieszczonych na całej długości sierpowatego kadłuba liczącego od jednego do drugiego rogu około dwudziestu pięciu metrów. Pilot spoczywał w pozycji leżącej w niesymetrycznie zamontowanej „wannie”. Dill wpełzł do niej tyłem.**

**–Chyba się wpasowałem. Niech nikt się nie waży wspominać teraz o klaustrofobii.**

**Zamknął oczy i przebiegł palcami po kontrolkach, które nie zostały zaprojektowane dla człowieka. Wcześniej spędzał w kokpicie każdą darowaną przez techników minutę i starał się zapamiętać położenie poszczególnych przełączników i urządzeń oraz dociec do czego służą. W ostatnim opierał się na tym, co podpowiadało mu doświadczenie wsparte komputerową analizą danych oraz próbami, które można było przeprowadzić na ziemi. Wszędzie naklejono kartki z opisami, ale Dill wolał polegać na swoich odruchach.**

**–Uruchamiamy – rozkazał, dotykając przełącznika chronionego odsuwaną kopułką.**

**Włączył też zwykłą radiostację, którą zamontowano tu specjalnie na jego cześć, i nastroił ją na rzadko wykorzystywaną częstotliwość.**

**–Szybki Jeden, tutaj Test Alfa, jak mnie słyszysz?**

**Cywilna maszyna akrobacyjna z oficerem Grupy Uderzeniowej za sterami unosiła się tysiąc metrów wyżej.**

**–Test Alfa, tutaj Szybki Jeden. Na pięć punktów.**

**–Mówi Alfa. Silniki zapaliły. Dajcie mi znać, gdybym zgubił jakiś większy kawałek.**

**W głośniku rozległo się pojedyncze kliknięcie.**

**Dill poczuł wibracje kadłuba. Technicy uwijali się przy wózku rozruchowym. Na osłonie kabiny pojawiło się kilka świetlnych kresek, które jednak zaraz zgasły.**

**Dill docenił podejście do sprawy inżynierów musthów. Póki nie było kłopotów, przyrządy nie podnosiły alarmu. Żaden z sygnałów nie był barwy fioletowej, która oznaczała u obcych niebezpieczeństwo.**

**Wibracje ustały.**

**Dill znowu dotknął sensorów. Wszystko zdawało się przebiegać jak powinno.**

**Włączył kolejną dodaną do wyposażenia skrzynkę.**

**–Alfa do Kontroli Testu. Telemetria włączona. Zaczynam próbny lot.**

**Haut Chaka, na co dzień dowódca klucza ciężkich zhukovów, przycisnął do krtani laryngofon.**

**–Mówi Kontrola Testu. Odbieramy dane z telemetrii. Jesteśmy gotowi. Powodzenia.**

**–Alfa do wszystkich uczestników testu – powiedział Dill i zmarszczył brwi, zauważywszy, że nie wiecie skąd przyplątała mu się lekka chrypka.**

**Przeprowadził już na tym aksai wszystkie możliwe próby statyczne i symulacje i nie było żadnych powodów do niepokoju. Naprawdę żadnych. – Startuję.**

**Przesunął palcami po kilku sensorach i maszyna zakołysała się, po czym uniosła nieco nad ziemię. Mocniej nacisnął ostatni sensor.**

**Myśliwiec z lekkim wahaniem ruszył pionowo w górę.**

**–Chowam podwozie. – Płozy wsunęły się gładko w przewidziane dla nich szczeliny.**

**–Przechodzę na napęd główny i zaczynam realizację programu testu. – Zwiększył moc i aksai zaczął się wznosić szybciej, Dill miał jednak kłopoty z opanowaniem bocznego kołysania i musiał przejść do lotu poziomego.**

**–A to drań – mruknął pod adresem myśliwca.**

**–Mówi Kontrola – powiedział spokojnie Chaka. – Co się dzieje?**

**–Stateczność. Łatwiej balansować talerzem na kiju. Nie przeszkadzaj.**

**Haut Chaka nie zwrócił uwagi na niesubordynację. Wpatrywał się pilnie w trzy ekrany ukazujące wznoszącą się coraz wyżej maszynę.**

**–Dobra – usłyszał głos Dilla. – Już go mam.**

**Dill zwiększył moc i znowu przeszedł na wznoszenie.**

**–Test Alfa, tutaj Szybki Jeden – odezwał się pilot maszyny akrobacyjnej. – Przeleciałeś obok jak dzień wypłaty. Idę za tobą na pełnym ciągu... ale i tak mi uciekasz.**

**–Ja mam chyba połowę mocy – powiedział Dill. – Zdaje się, że wszystko gra.**

**Zaczynam wiązankę akrobacji.**

**Sięgnął ku kolejnym sensorom. Aksai przechylił się w lewo, potem w prawo i wywinął beczkę. Trwało chwilę, zanim Dill zdołał ustabilizować maszynę.**

**–Cholernie wrażliwe stery. Spróbuję raz jeszcze.**

**Powtórzył manewr kilkakrotnie na różnej wysokości i przy różnej szybkości.**

**–Chyba chce, żebym zaczął się starać – powiedział. – No, to teraz coś trudniejszego. Zanurkował ku lśniącemu daleko w dole oceanowi.**

**–Radar mówi, że masz siedem machów – odezwał się po chwili Chaka. – Zszedłeś poniżej pięciu tysięcy metrów.**

**–Czuję te machy. Zaczynam wyprowadzać. Dajcie znak, gdyby skrzydła odpadły.**

**Skrzydła czy co to tam jest...**

**Dill mocniej przycisnął sensor i aksai bez problemu wyszedł z nurkowania, wyrównał i gładko wystrzelił ku niebu. – Ładnie urządzone – powiedział Dill. – Moduł antygravitacyjny włącza się chyba przy pięciu G. Nie zdążysz się nawet porządnie porzygać. Tak to mogę cały dzień.**

**Szybki Jeden, uważaj na mnie. Zamierzam wyskoczyć w próżnię. Kontrola, powiadomiliście Wielkie Ucho? Nie chciałbym, żeby odstrzelili mi dupę.**

**–Załatwione – odparł Chaka. – Wszyscy mają na chwilę oślepnąć.**

**Stacje wczesnego ostrzegania na obu biegunach Cumbre C i na księżycach Fowey i Bodwin otrzymały rozkaz, aby nie odnotowywać przebiegu testów.**

**–Ucho oślepiło... no, no. Ha! Szybki Jeden, minąłem cię, jakbyś stał w miejscu... Szybki Dwa, mówi Test Alfa, widzisz mnie?**

**Przebudowany z prywatnego jachtu patrolowiec wiszący na niskiej orbicie miał wreszcie okazję się odezwać.**

**–Mam cię na radarze. Ładnie idziesz.**

**–Zbliżam się na dwóch trzecich mocy. Zaraz zobaczymy, co to cudeńko potrafi.**

**Wyłączam się.**

**Dwie godziny później Dill ponownie włączył mikrofon.**

**–Kontrola Testu, Kontrola Testu, mówi Test Alfa. Wracam z lotu na przeciwną stronę księżyca.**

**–Widzę cię, Alfa.**

**–Fenomenalny grat. Szkoda, że nie miałem zgody na włączenie napędu nadprzestrzennego. Ciekawe, co by się stało, gdybym nacisnął ten duży czerwony guzik...**

**–Tym zajmie się już następny bohater – powiedział Chaka. – Sprowadź maszynę do domu. Chyba nam się udało.**

**–Poczekajcie, aż wyląduję. O ile wyląduję. Jak się uda, otwórzcie szampana i szykujcie awans. Rada, czyli rząd planetarny, przed powstaniem Raumów składała się przede wszystkim z polityków przysłanych przez władze Konfederacji, jednak dwudziestka, która objęła władzę po zamachu, w komplecie pochodziła z Cumbre. Caud Rao bardzo się napocił, zanim przekonał rentierów, że nie mogą sami obsadzać wszystkich stołków, dzięki czemu w tym gronie znalazło się też trzech reprezentantów Raumów, jeden kupiec, jeden rybak, dwóch górników, również Raumów, oraz przedstawiciel Grupy, tyle że jako obserwator, bez prawa głosu. Reprezentowali niemal wszystkie klasy tutejszego społeczeństwa, chociaż oczywiście większość wciąż była tu w mniejszości.**

**Niemniej od czegoś trzeba było zacząć, a w ciągu roku miały się odbyć wolne wybory.**

**Rentierzy ucierpieli w zamieszkach nie mniej niż wszyscy, więc obecna średnia wieku ich reprezentantów była o wiele niższa niż przed powstaniem.**

**Był wśród nich Loy Kuoro, przystojny dziedzic imperium prasowego Matin, największego i najbardziej konserwatywnego koncernu informacyjnego. Jego ojciec zginął w eksplozji, która zniszczyła poprzedni gmach rządu. Była też Jasith Mellusin, która po tymże wybuchu stała się nagle głową Mellusin Mining.**

**Poza tym łączyło ich jeszcze jedno: znajomość z Garvinem Jaansmą. Kuoro stał się jego wrogiem po pewnej drobnej awanturze na przyjęciu, Jasith zaś była jego kochanką, jednak nagle, zaraz po ustaniu walk, bez wyjaśnienia zerwała znajomość.**

**Caud Rao odczekał, aż Rada upora się z zaplanowanymi sprawami, po czym poprosił o włączenie jego wystąpienia do porządku obrad. Nie odmówiono mu. Pamięć o powstaniu była jeszcze świeża i wszyscy pamiętali, kto ocalił skorumpowany reżim przed całkowitą zagładą.**

–Chyba wszystkich nas obecnie niepokoi głównie jedna sprawa – zaczął Rao. – Co stało się z Konfederacją, a ściślej: dlaczego Cumbre całkowicie utraciło kontakt z innymi światami. Nie znamy odpowiedzi, jednak co nieco udało nam się ustalić.

Podstawowym powodem takiego stanu rzeczy jest działalność naszych wieloletnich pozornych sojuszników z Lariksa i Kury. Już od jakiegoś czasu przechwytywali oni wszystkie konwoje, a nawet pojedyncze statki przelatujące przez ich sektor.

Rao zamilkł i odczekał, aż ucichnie szmer zaskoczenia. Skinął na Penwytha, który już ustawił sprzęt.

–Dotyczy to nie tylko jednostek zdążających do nas, z których ostatnia zjawiała się tu ponad dwa lata temu. Również statki wysyłane z układu Cumbre przepadały bez wieści, i to niezależnie od tego, dokąd w obrębie Konfederacji się kierowały. Postanowiliśmy więc na miarę naszych skromnych możliwości sprawdzić, co się dzieje. Znaleźliśmy nieduży frachtowiec, który został wyposażony w automat sterowniczy i najlepsze czujniki, jakimi dysponowaliśmy. Jego śladem miała ruszyć druga jednostka, tyle że z załogą na pokładzie.

Pierwszy statek został zaprogramowany na typowy lot z Cumbre na Świat Centralny, stolicę Konfederacji. Zwykle podczas takich rejsów trzeci albo czwarty skok odbywa się obok Lariksa i Kury. Zautomatyzowana jednostka miała zaraz po każdym skoku wystrzeliwać kapsułę z napędem nadprzestrzennym. Wszystkie dane uzyskiwane ze statku były przekazywane wąską wiązką do kapsuły. W razie zerwania transmisji miała ona zaraz wejść w nadprzestrzeń i przekazać namiar na siebie drugiemu statkowi.

Przy pierwszym skoku nic się nie zdarzyło, wydano więc polecenie wykonania następnego. Z podobnym skutkiem. Niemniej trzeci miał inny przebieg. Znajdujący się nadal w nadprzestrzeni frachtowiec został namierzony, a gdy wyszedł z niej, natychmiast otrzymał wezwanie do poddania się. Ponieważ nie było na pokładzie załogi, która mogłaby odpowiedzieć, został zaatakowany.

Jeśli to kogoś interesuje, mamy pełny raport na temat przebiegu lotu do tego miejsca, jednak najciekawsze jest to, co stało się później. Skinął znowu na Penwytha, który włączył projektor.

–Oto obraz mozaikowy sporządzony na podstawie danych dostarczanych przez czujniki zamontowane na pierwszym frachtowcu. Tutaj widać jednostkę wychodzącą z nadprzestrzeni. Została ona niemal na pewno zidentyfikowana jako niszczyciel, zbudowany w stoczni Konfederacji przewodnik flotylli należący do klasy Remora. Przypomnę, że Alena Redruth dysponuje taką jednostką. Nosi ona nazwę Corfe.

To oczywiście jeszcze niczego nie przesądza. W ciągu ostatnich dwudziestu lat do



**służby weszło ponad dwieście takich okrętów, a niektóre mogły wpaść w ręce piratów, rzecz jasna o ile takowi istnieją.**

**Naszemu frachtowcowi nakazano zmienić szybkość oraz kurs i przygotować się do inspekcji. Był to praktycznie rozkaz nie zostawiający miejsca na dyskusję, nic też nie zdradzało, kto właściwie go wydał. Statek oczywiście nie odpowiedział. A teraz... widzicie trzy kolejne jednostki, które pojawiły się na ekranie? Tutaj, tutaj i tutaj? To niezwykle widok, chodzi bowiem o całkiem nowe patrolowce klasy Nirvana. To konstrukcja z ostatnich lat, wciąż jeszcze tajna i kierowana wyłącznie do obrony stolicy Konfederacji.**

**Nie potrafię powiedzieć, jakim sposobem mój poprzednik, caud Williams, dowiedział się, że powstały, i zdobył kilka z nich. Zrobił to jednak i miały one do nas trafić na pokładzie Malverna, wielkiego transportowca, który zniknął tajemniczo razem z całym naszym zaopatrzeniem. Na jego pokładzie było też siedmiuset pięćdziesięciu rekrutów.**

**Czystym przypadkiem tylko trzech spośród nich uniknęło niewoli u tych „piratów”.**

**Udało im się dotrzeć na Cumbre w szalupie ratunkowej. Dwóch wciąż służy w armii.**

**Trzeci, doświadczony żołnierz Konfederacji, bez żadnych wątpliwości zidentyfikował jednego z tych „piratów” jako weterana, który wystąpił z szeregów sił zbrojnych Konfederacji, aby zaciągnąć się u Aleny Redrutha. Niestety, ten trzeci mężczyzna nie żyje, zginął podczas niedawnych... zająć. Niemniej jego przyjaciele widzieli tę osobę w świetle Aleny Redrutha podczas jego ostatniej wizyty na Cumbre C.**

**Nie słyszeliście o tym dotąd, ponieważ nieodżałowani gubernator Haemer i caud Williams nakazali im milczenie. Nawiasem mówiąc, te jednostki klasy Nirvana towarzyszyły Corfe podczas wspomnianej wizyty. Nie wiem, czy caud Williams je rozpoznał ani czy wspomniał o tym gubernatorowi Haemerowi, ale ponieważ obaj nie żyją, to w zasadzie bez znaczenia. I tak dysponujemy w tej chwili dowodami, że tym „piratem”, który blokuje łączność pomiędzy nami a Konfederacją, jest nasz przyjaciel Alena Redruth.**

**Rada nie kryła zaskoczenia i niedowierzania. Rao czekał cierpliwie.**

**Pierwszy odezwał się Kuoro.**

**–Ale co to oznacza? – zapytał nieswoim głosem.**

**–Na początek tyle, że mamy nie jednego, ale co najmniej dwóch wrogów. Gdy protektor Redruth zjawi się u nas ponownie, zapewne podyktuje o wiele surowsze warunki niż ostatnio. Nie waha się wzbudzić gniewu Konfederacji, więc zapewne bez skrupułów będzie chciał zagarnąć bogactwa Cumbre, jeśli tylko nadarzy mu się**

okazja.

–A co my zrobimy?

–Przysięgłem bronić Konfederacji – powiedział Rao. – Tak jak wszyscy moi oficerowie. Jeśli ktokolwiek spróbuje obalić legalny rząd Cumbre, będziemy walczyć.

–Ależ oni mają okręty kosmiczne, ciężki sprzęt i o wiele więcej wojska niż my, prawda? – spytał inny członek Rady.

–Tak wynika z naszego rozpoznania – przyznał Rao.

–Pokonamy ich? – odezwała się Jasith Mellusin.

–Nie wiem – szczerze odparł oficer. – Dlatego właśnie tu przybyłem. Musimy jak najszybciej przestawić gospodarkę Cumbre na tory wojenne. Lada miesiąc możemy spodziewać się ataku, a może nawet inwazji. – Kolejne pytanie – ciągnęła Jasith – ważne szczególnie dla mnie i kompanii górniczych, które odziedziczyłam po ojcu.

Jeszcze przed wojną podczas wizyty protektora Redrutha usłyszeliśmy, że zamierza on zwiększyć zakupy rudy w naszym układzie i wybuduje do jej transportu wiele statków. Jednak nigdy do tego nie doszło. Moi doradcy mówią, że sprawa nie była później omawiana z moim ojcem, nie znaleźliśmy też żadnego śladu nowych kontraktów. Nie domyśla się pan, co może być tego przyczyną?

–Nie wiem. Gdybym był cyniczny, powiedziałbym, że Redruth czeka zapewne na lepszą okazję do położenia łapy na tej rudzie.

–Kiedy będzie mógł ją sobie po prostu wziąć?

–To bardzo prawdopodobne.

Jasith skrzywiła się, ale nic już nie powiedziała.

–Chcę spytać o coś odbiegającego trochę od zasadniczego tematu – spytała cicho kobieta, która była nowa w tym gronie. Raumka. Rao sprawdził, jak się nazywa. Jo Poynton.

–Tak?

–Nie znam się na podróżach międzygwiazdnych, ale czy jest tylko jedna trasa, jeśli to właściwe słowo, prowadząca do Konfederacji? Tylko ta, która wiedzie obok Lariksa i Kury?

–Nie, ale ta jest najekonomiczniejsza. Dotąd powszechnie z niej korzystano.

**–Gdyby Konfederacja trwała jak dotąd i wciąż była zainteresowana utrzymaniem granicznych układów w rodzaju Cumbre, to po kolejnej nieudanej próbie dotarcia do nas chyba spróbowałyby drugiej, a może i trzeciej trasy?**

**–Na miejscu decydentów Konfederacji tak bym właśnie postąpił.**

**–A jednak od czasu Malverna nic nie przyleciało – powiedziała zamyślona Poynton. – Zatem nawet jeśli przyjmiemy za dobrą monetę ustalenia waszego śledztwa, w które naprawdę bardzo trudno uwierzyć, pozostaje zasadnicze pytanie: co właściwie stało się z Konfederacją? To przecież wiele tysięcy planet. Potęga, wobec której Redruth jest niczym. Owszem, z tego, co opowiedzieli ostatni rekruci oraz imigranci spoza układu, w obrębie imperium już od jakiegoś czasu dochodziło do niepokojów, a nawet poważnych zamieszek, jak na Capelli. Na wielu światach wprowadzono stan wyjątkowy. Docierały, nie potwierdzone, co prawda, informacje, że utracono kontakt z całymi sektorami, a niektóre z nich podobno nawet ogłaszały niepodległość. Jednak jakaż katastrofa może być przyczyną tego głuchego milczenia?**

**–Niestety, nie wiem – powoli odpowiedział caud Rao. – Nie stać mnie nawet na domysły.**

Njangu Yoshitaro oparł łokcie na barierce w kompanijnej dyżurce i nastawił ucha na wyczytywaną właśnie listę nazwisk żołnierzy, do których przyszła poczta.

–Irthing... Bassas... Fleam...

Obcinając paznokcie nożem bojowym, zastanawiał się, jak by to było dostać od kogoś list... i powtarzał sobie, że wcale mu na tym nie zależy. I nigdy nie zależało. – ...Bayloe... alt Jaansma...

Njangu zdumiony uniósł głowę. Garvin nie dostawał poczty częściej niż on i Yoshitaro zaciekał się, kto też mógł mu coś przysłać. Pewnie rachunek od krawca – Jaansma namiętnie ubierał się niczym nieprawy syn marszałka. Czasem zresztą rzeczywiście podawał się za kogoś takiego.

Poczta została rozdana do końca, a Jaansma otworzył w końcu małą kopertę i pod czujnym okiem Njangu wyciągnął z niej coś, co wyglądało na kartonik z zaproszeniem. Nagle twarz mu poczerwieniała i rozejrzał się wkoło, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Njangu pilnie zajmował się swoimi paznokciami.

Garvin raz jeszcze przeczytał zaproszenie, zmiął je i cisnął do kosza. Potem, głośno tupiąc, ruszył schodami na kompanię. Minął go młody rekrut przeskakujący po dwa stopnie naraz, tak jak oczekiwano od energicznych kandydatów do zwiadu.

–Stój, żołnierzu! – warknął Garvin.

Szturmowiec zatrzymał się w pół kroku i zebrawszy nogi, wyprężył się na baczność.

–Tak jest, sir!

–Słyszałeś kiedyś o salutowaniu?

–Przepraszam, alcie Jaansma. Przepraszam, sir.

Zasalutował, a Jaansma ze złością oddał mu honory.

–Możesz odejść!

–Tak jest, sir. Jeszcze raz przepraszam, sir.

Garvin oddalił się pierwszy, a żołnierz dłuższą chwilę patrzył za nim z niepokojem, po czym pobiegł dalej.

Njangu podszedł do kosza, wyciągnął to, co przyjaciel ta wrzucił, i rozprostował

**kartonik.**

# LOY KUORO ORAZ JASITH

## MELLUSIN

MAJĄ ZASZCZYT I PRZYJEMNOŚĆ

ZAPROSIĆ

WIELCE SZANOWNEGO PANA

NA SWOJE POWESELNE

BACHANALIA PLAŻOWE...

–Rany... – westchnął Njangu. – Nie myślałem, że można być tak wrednym. – Zastanowił się, kto właściwie wysłał zaproszenie, ten dupek Kuoro czy przyszła panna młoda. Yoshitaro nigdy nie miał o niej najlepszego zdania, raczej pogardzał nią jak każdy, kto wyrastał nie tylko bez bogactwa, ale nawet bez własnego nocnika.

Pomyślał, że najlepiej będzie przez kilka najbliższych dni schodzić Garwinowi z drogi. Dobrze, że przynajmniej nie zaprosili go na wesele, przyszło mu jeszcze do głowy. Pewnie bali się, że zjawiłby się na czele paru griersonów... co nie byłoby wcale złym pomysłem. Pozbylibyśmy się części tej rentierskiej bandy...

Dwa dni później na Garvina wpadł Ben. Spotkali się na lądowisku kompanii zwiadu.

Dill był pełen entuzjazmu.

–Buzi! – zawołał.

Garvin spojrzał na niego krytycznie, ale Ben jakby tego nie zauważył.

–Właśnie dostałem papiery na próżnię! Jestem prawdziwym pilotem! Chodź do klubu, pomożesz mi to oblać.

–Przepraszam, ale robi się późno, a ja muszę się zameldować na kompanii – uciał Garvin. – Może innym razem.

Skłonił lekko głowę i zaraz się oddalił.

Dill patrzył za nim tępo.

–Coś takiego – powiedział urażonym tonem. – Moje perfumy mu się nie spodobały czy co?

**Jon Hedley przyjrzał się zaparkowanym maszynom, a potem siatkom maskującym, które nie przepuszczały także promieniowania podczerwonego.**

**–Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zostać całkiem niezłym armatorem – powiedział do mila Angary.**

**Angara skinął głową.**

**–Sześć frachtowców, osiem jachtów, masa drobnicy, sześć przerobionych patrolowców, a do tego griersony i zhukovy. Wszystkie sprawdzone w próżni. Czego jeszcze można chcieć?**

**–Jakiegoś niszczyciela na przykład... Albo krążownika. Czy pancernika. Albo nosiciela myśliwców. To na początek – powiedział Angara.**

**–Wiesz, jak popsuć komuś dzień. Rozumiem, że lada dzień oczekujesz wizyty musthów albo niejakiego Redrutha.**

**–Niczego nie oczekuję, jestem otwarty na wszystko. Jak jakiś kosz na śmieci.**

**–Musisz jednak przyznać, że osiągnęliśmy najwyższy możliwy stan gotowości. – Owszem – zgodził się Angara. – Ale szkoda, że nie mamy więcej sprzętu. Dobrze chociaż, że rozproszyliśmy nasze siły po polowych lądowiskach, zostaje więc tylko czekać.**

**–Nie całkiem – powiedział Hedley. – Do obozu mamy stąd pół godziny, a zaraz otworzą bary, więc lepiej się pospieszmy.**

**–Można słowo? – zagadnął nieco oficjalnie Njangu.**

**Garvin oderwał się od papierzysk.**

**–Jasne.**

**–Czy ktokolwiek ci powiedział, że ostatnio zachowujesz się trochę jak dupek?**

**Garvin nabrał nieco kolorów i wstał od sztabowego biurka.**

**–Nie spodziewałem się, że usłyszę to akurat od ciebie.**

**–A kto inny mógłby ci to powiedzieć? – spytał Yoshitaro. – Wiesz, w zasadzie jesteśmy przyjaciółmi.**

**–Zostaw mnie – mruknął Jaansma. – To przejściowe.**

**–Oczywiście, że przejściowe. Wcześniej czy później dojdiesz do siebie. Nikt**

jeszcze nie umarł od złamanego serca. Ale zanim ci przejdzie, dasz w kość połowie kompanii. Tak warczysz na ludzi, że nikt już nie wie, jak do ciebie podejść. Raz ich ignorujesz, innym razem każesz się czołgać...

Garvin zapatrzył się przez okno na przebiegającą obok kompanii uliczkę. Jedna z drużyn uczyła się tam właśnie obsługiwać wyrzutnię rakiet wypożyczoną od artylerzystów.

Bardzo dbano o to, aby żołnierze kompanii zwiadu znali wszystkie rodzaje broni i pojazdów, które miała na wyposażeniu RaoGrupa.

–Ktokolwiek wysłał to zaproszenie, nie był twoim przyjacielem – nie dawał za wygraną Njangu. – I udało mu się to, co zamierzył.

–To ty wiesz o tym?

–Wiem. Już z pół jednostki orientuje się, o co chodzi.

–Myślałem, że to minęło. Że już zapomniane. A jednak nagle wróciło...

–Tak. Czasem los wykręca nam taki numer, przypominając, że jesteśmy tylko ludźmi.

–Gdzie, u diabła, nasłuchałeś się takich mądrości?

–Spokojnie. To nie ja mam tutaj problemy.

Garvin uśmiechnął się krzywo.

–Cóż więc powinienem teraz zrobić, proszę kompanijnego psychoterapeuty?

–Wylewać żale gdzie indziej.

–Co? Wziąć urlop? A jeśli akurat wtedy się zacznie? Nie ma mowy – powiedział Garvin. – Poza tym muszę odwalić masę roboty.

–Nie powiedziałem, że nic tu nie robisz. Niemniej nowi są już blisko egzaminów.

–Dziwnie się porobiło. Praktycznie nie mamy braków kadrowych, ledwie jakieś dwa procent. A do tego wygląda na to, że z jedenastu szkolonych odpadnie dwóch, góra trzech. Jeszcze trochę, a Hedley pomyśli, że po jego odejściu zrobiły się z nas mięczaki i przyjmujemy jak leci.

–No to weź całą bandę w góry i daj im szkołę. Okaże się, ilu zacznie płakać za mamusią i domem.



**–A gdzie dokładnie mam ich wziąć?**

**Njangu spojrział na ścienną mapę.**

**–Tutaj chyba jest kawałek naprawdę trudnego terenu. Po drugiej stronie wyspy Dharma, za górą Najim. Potem możesz ich poprowadzić na płaskowyż. Panuje tam miły chłodek, dobra odmiana po tropikach na dole. Nie dawaj im odsapnąć tak długo, póki to nie będzie naprawdę konieczne. – Njangu zerknął znowu na mapę i sprawdził legendę. – Właśnie. Wejść możesz tędy... teren jest tu jeszcze całkiem znośny... a potem wspiąć się wyżej, do tego miejsca. To porzucona baza musthów. Przy okazji sprawdzisz, czy któryś nie lubi polować na suweniry. Później zapowiesz, że zaraz przyleci maszyna z gorącym żarciem i zimnym piwem i zabierze wszystkich na uroczyste zamknięcie szkolenia, a gdy nic się nie zjawi, zrobisz smutną minę i oznajmisz, że coś musiało się zepsuć, więc wracacie na piechotę.**

**Daję głowę, że paru się popłacze i będzie chciało do cywila.**

**Garvin spojrział na mapę, a potem na Yoshitara.**

**–Perfidne. Jak dawno sam przez to przechodziłeś?**

**–Chyba z rok już minął. I to mi o czymś przypomniało. Ty też nigdy oficjalnie nie przeszedłeś testu szkoleniowego, więc teraz masz okazję. Może być? Ale pamiętaj, że jak skrewisz, narobisz sobie... nam... wstydu. Dowództwo kompanii trafi w moje ręce, a ja odeślę cię do pucowania griersonów. Nadam twojej drużynie jakiś seksowny kryptonim.**

**Taki jak w holo. Może nie Jaja Jaansmy, ale na przykład...**

**–Yądra Yoshitara – wtrącił Jaansma, uśmiechając się po raz pierwszy od niepamiętnych dni. – Albo Yebaki Yoshitara. Yurnego Yoshi...**

**–Zamknij się z łaski swojej, sir. I idź się pakować.**

**–Dziękuję, aspirancie. Przyjmuję propozycję. Niech Bóg ma w opiece tych biedaków.**

**Pilnuj kompanii do mojego powrotu.**

**–Jasne. Nie poznasz jej, gdy wrócisz.**

**Grierson opuścił się nad polaną i miażdżąc z rozpędu kilka krzaków, zawisł w upalnym powietrzu. Z maszyny wyskoczyło jedenaścioro mężczyzn i kobiet.**

**Przygarbieni pod ciężarem wypchanych plecaków przypominali szympanse, w ramionach tulili broń. Zalegli w zaroślach na skraju polany, organizując obronę**

okrężną.

Siedzący jeszcze w maszynie Garvin zaczął odpinać laryngofon, ale zawahawszy się, wcisnął przycisk.

–Jaansma do dowódcy pojazdu.

–Taa? – rzucił obojętnie Ben Dill.

–Na razie. I przepraszam za moje ostatnie humory.

Nie czekając na odpowiedź, zdjął hełmofon, nałożył czapkę polową i pobiegł między swoich. Opadł na kolano obok czarnowłosej dziewczyny, którą wyznaczył tego dnia na dowódcę drużyny, i jej łącznościowca.

Podobnie jak inni rekruci, wychudła po długich tygodniach treningu wkoło obozu Mahan, a jej twarz, która po paru dniach snu mogłaby się nawet okazać piękna, mimo jasnego słońca była dziwnie blada. Dziewczyna miała siedemnaście lat i jak wszyscy zgoliła włosy aż do skóry.

Rampa griersona zatrzęsnęła się z hukiem i maszyna poderwała się raptownie. Było to już drugie zejście poniżej poziomu koron drzew, a przed powrotem do bazy Dill miał jeszcze raz przećwiczyć z ludźmi desant.

Kadetka Montagna czekała przez chwilę, aż Jaansma powie jej, co ma robić, w końcu jednak przypomniała sobie, że teraz ona tu rządzi. Sprawdziła pospiesznie na mapie, gdzie zostali wysadzeni. Wyszło jej, że mniej więcej w wyznaczonym miejscu.

Rozkazy dostali jeszcze przed startem, więc tylko skinęła na prowadzącego, zerknęła na prymitywny kompas, wstała i powoli ruszyła przez dżunglę. Jaansma nalegał, aby nie korzystali z SatPosu, co miało nie tylko utrudnić zadanie, ale także przygotować na wypadek, gdyby przeciwnik zaczął fałszować dane z satelitów albo namierzać korzystających z systemu.

Zaraz za prowadzącym szła kobieta wyznaczona na dyktującą tempo, potem reszta oddziału.

Jaansma maszerował za Montagna i łącznościowcem. Szedł równym krokiem, jak podczas wielu wcześniejszych ćwiczebnych patroli, i zastanawiał się, dlaczego właściwie dał się namówić do porzucenia spokojnej fuchy strzelca griersona i zaciągnął się do tych wariatów ze zwiadu. Całkiem przy tym zapomniał o Mahan, Leggett i wszystkich nowożeńcach świata.

–Dobra – powiedziała mistrzyni ceremonii. – A teraz wyobraźcie sobie, że rozlega się muzyka. Umpa, umpa, umpa... i panna młoda, czyli ty, Jasith, wchodzi przez te

drzwi. Tak, dobrze... nie, wolniej, kochana, bo dziewczynki z kwiatami nie nadążą.

Zatrzymujesz się pośrodku, gdzie już będzie stał Loy. Czekać potem chwilę, aż wyregulują kamery. Jedna, zdalnie sterowana, będzie na krokwi pod dachem, druga na tej ławie, a trzecia za wami, nad głównym wejściem. Nie macie zwracać na nie uwagi, żadnego machania ani wygłupów, bo nie dostaniecie potem szampana. A teraz przećwiczmy raz jeszcze. Umpa, umpa... przerwa, obrót, teraz do mnie... umpa, umpa... a tutaj kto się kręci? – Korpulentna kobieta o czerwonej twarzy spojrzała zezem na szczupłą dziewczynę.

–Jestem z kwiaciarni, proszę pani. Muszę wiedzieć, gdzie ustawić wiązanki i co zrobić z kwiatami od gości.

–Niech mnie... oczywiście. Dziewczyny, chwila przerwy.

Jasith Mellusin opadła na ławę i otarła pot z czoła. Nie była najbogatszą kobietą na Cumbre C, ale niewiele jej do tego brakowało. Miała tylko dwadzieścia lat, cieszyła się smukłym ciałem modelki, długimi czarnymi włosami i wybitnie uwodzicielską twarzą. Wzrostu była raczej średniego.

–Bez sensu i męcząca ta cała próba – stwierdziła.

–W dniu ślubu będzie jeszcze gorzej – powiedziała jedna z jej druhen, Karo Lonrod.  
– Nie cieszysz się, że wychodzisz za mąż?

Lonrod, o rok młodsza od Jasith i nieco niższa niż ona, miała rude włosy i byłaby pulchna, gdyby nie fanatyczne zamiłowanie do sportu. Podobnie jak pozostałe kobiety obecne w wielkiej świątyni należała do klasy rentierów. Była bogata i umiała z tego korzystać.

Jasith zawahała się.

–Mogło być gorzej – odparła po chwili. – Zawsze też mogę sobie strzelić drinka.

–A tak jest lepiej? Nie zamierzam brać sobie męża, póki nie będę starą panną.

Co najmniej dwudziestopięcioletnią. I nieważne, co truje tata ani ilu starych przyków próbuje mi wcisnąć. – Zachichotała. – W każdym razie ze mną będzie inaczej.

Jasith zdobyła się na uśmiech i rozejrzała wkoło. Nikt nie mógł ich słyszeć.

–Karo, mogę cię o coś zapytać?

–Jasne. Może nawet będę знаła odpowiedź.

–Chodziłaś z Loyem...

**–Tak – przyznała dziewczyna, nagle nabierając ostrożności.**

**–Jaki on jest w łóżku?**

**Karo zamrugła zdumiona.**

**–Naprawdę nie wiesz?**

**–Nie – odparła Jasith, nie patrząc na przyjaciółkę. – Chciałam, ale powiedział, że nie zrobi tego z kobietą, którą dopiero zamierza poślubić.**

**–Niesamowite...**

**–O co mu chodzi?**

**–Nie mam pojęcia – mruknęła Lonrod. – Kiedyś w naszej bandzie przelataliśmy wszystko, co się zbliżyło na wyciągnięcie ręki. Nie powiedział dlaczego?**

**–Nie. Wspomniał tylko, że to dla niego ważne.**

**–Dziwne. Ale dobra, coś widać ma na myśli. W zasadzie jest w porządku. Mało pomysłów, ale zwykle nie kończy przed tobą. Jednak nie przypomina tych całonocnych gości, których po paru zdarzyło nam się spotkać w życiu.**

**Z twarzy Jasith ulotniła się powaga i dziewczyna zachichotała.**

**–A skoro już tak rozmawiamy... – powiedziała Lonrod. – Jak było z tym żołnierzem, z którym jakiś czas temu kręciłaś? I dlaczego go rzuciłaś?**

**Jasith momentalnie spoważniała.**

**–Nie chcę o tym rozmawiać. Ale powiem, dlaczego z nim zerwałam. Kojarzył mi się z krwią i strzelaniną. I ze śmiercią taty.**

**–Nie rozumiem. Przecież to nie on rozpętał wojnę.**

**–Sama nie wiem. Ale po tym wszystkim nie mogłam się zmusić, żeby pójść z nim do łóżka. Naprawdę nie wiem dlaczego. Może... – Urwała i nie podjęła tematu.**

**Lonrod przyjrzała się jej uważnie.**

**–Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – Ogarnęła ręką wnętrze świątyni i dwie dziesiątki ludzi czekających na wznowienie próby.**

**–Przecież muszę kiedyś wyjść za mąż, prawda? A Loy z pewnością spodobałby się tacie.**

–Och, na pewno – pospiesznie przytaknęła Lonrod. Chciała coś dodać, ale ugryzła się w język. – Za gorąco tu na poważne rozmowy – stwierdziła. – Sprawdźmy, czy w limuzynach nie ma czegoś zimnego do picia.

Po trzech dniach w terenie drużyna dotarła do stromych stoków płaskowyżu. Już tutaj było nieco chłodniej niż w dolinach. Z góry dął zimny wiatr.

Dotąd nikt nie wyraził chęci wystąpienia z szeregu, chociaż Garvin robił, co mógł. Nikomu nie zostawiał na sen więcej niż trzy godziny i starał się, żeby nocne ćwiczenia były zajmujące.

Wskazał w górę, wyszedł o krok z linii i skinął na dowodzącą tego dnia Abanę Calafę, niewysoką nastolatkę, której dotąd nic nie popsuło humoru. Garvin wiedział, że ta dziewczyna ukończy ćwiczenia bez problemu. Podeszła do niego.

–Tamtędy – wyszeptał. – Liny. – Żartem powtarzano czasem, że dziewczę ze zwiadu poznać po tym, że nawet na własnym ślubie mówi szeptem.

Pokiwała głową, podeszła do prowadzącego i powtórzyła mu rozkazy. Garvin czekał niecierpliwie, chociaż chętnie korzystał z chwili oddechu przed kolejnym wysiłkiem. Drużyna rozwijała tymczasem liny, które każdy nosił wkoło bioder, wiązała je i po kolei przystępowała do wspinaczki. Zbocze było strome i gdyby ktoś się poślizgnął, czekała go ostra jazda.

Ostatni szedł Baku al Sharif, masywny Raum. Garvin zauważył, że chłopak pilnie wpatruje się w pośladki Montagni.

–Widzę, że energia cię rozpiera, chłopie – szepnął. – Jest bardzo ślisko i lina właśnie się zerwała. Pójdiesz sam tamtą drogą. – Pokazał na równie stromą, porośniętą gęstymi krzewami rozpadlinę.

Al Sharif zacisnął wargi i nieżyczliwie łypnął na Jaansmę.

–Za trudno? – spytał Garvin. – Jak chcesz. Zrozumiem. Nie musisz się męczyć.

Jedno wezwanie, a za kilka chwil będzie tu grierson. Nim minie godzina, skorzystasz z prysznic w Mahan i zjesz prawdziwy obiad zamiast suszonych żelaznych racji. A potem się wyśpisz. W czystej, białej pościeli. I może dostaniesz trzy dni przepustki, aby dość do siebie na plaży i zapomnieć o tej gównianej przechadzce.

Al Sharif chłodno spojrzął na Garvina.

–Pieprzę takie gadki, szefie – warknął, wcisnął się w zarośla i ruszył pod górę.

Jaansma roześmiał się. Przynajmniej dwoje ukończy ćwiczenia.

**Chrząknął i też ruszył pod górę. Nad nim wspinała się Montagna. Naprawdę ma kształtny tyłek, pomyślał. Wielka szkoda, że nie można zadawać się z podwładnymi. Potem zdał sobie nagle sprawę, że od rana ani razu nie pomyślał o Jasith.**

**–Nie będzie ci tego brakowało?! – zawołał jeden z mężczyzn, przekrzykując hałaśliwą muzykę. Wskazywał trzy tańczące na scenie striptizerki i spoglądał na Loya.**

**Kuoro, patrzył na ubrane jedynie w boa i uśmiechy dziewczyny, uniósł szklankę do ust. Połowy zawartości udało mu się nie rozlać. – Żadne takie, Jermy... – powiedział, kiwając się na krześle. – Było... minęło...**

**–Jeszcze nie minęło. Dopiero jutro, jak wstaniesz, przyrzekniesz, że będziesz już dobrym chłopcem... a w każdym razie nie dasz się złapać na czymś innym. Ale i tak szkoda. Nie będziemy już jak dawniej chodzić na dziewczynki. Jasith byłaby na mnie wściekła, a tego wolałbym uniknąć. – Mrugnął do Kuora i ponownie napełnił mu szkło mieszanką pochodzącą aż z trzech butelek. Ktoś przechodzący obok ich stolika złapał szklankę i zniknął z nią jak sen złoty. Jermy zaklął, znalazł inne naczynie, opróżnił je na dywan i ponownie zaczął czary z butelkami. – Rozejrzyj się, chłopie. Sami przyjaciele wkoło.**

**Rzeczywiście, klub pełen był młodych rentierów. Niektórzy naprawdę byli przyjaciółmi Kuora, inni mieli dość rozsądku, aby ich przed nim udawać.**

**Największy wydawca medialny był kimś na planecie.**

**–Dziewczyny już kończą i zaraz będą wolne – oznajmił Jermy. – Na górze jest pokój, możesz się tam przejść z którąś z nich. Albo ze wszystkimi, jeśli masz ochotę.**

**Zamówiliśmy już następne, niebawem się zjawią. Niech to będzie dla ciebie pamiętna noc.**

**–Nie... – mruknął Kuoro. – To by nie było uczciwe. Gdyby Jasith się dowiedziała, miałbym przerąbane. Zresztą pora dorosnąć. Jak Hank Sank.**

**–Kto?**

**–Taki gość ze starej ziemskiej sztuki. Jednego takiego... Właściwie to było kilka sztuk. O Heniu piątym. Był księciem... takim drugim po królu. Miał pusto we łbie, aż objął tron, a potem został wielkim... wieeelkim wodzem. Wygrał pod Hastings czy gdzieś. Ojciec czytał mi to dawno temu. A teraz go nie ma, ale muszę zrobić to, czego ode mnie chciał. Dobrze się ożenić, pomyśleć o dzieciach. Dynastia nie może wygasnąć.**

**–Boże, w kogo ty chcesz się zmienić?**

**–Kiedyś trzeba dorosnąć.**

**–Kto tak mówi?**

**Kuoro nie odpowiedział, tylko sięgnął po drinka. Stracił jednak równowagę i padł twarzą w rozlany alkohol. Po chwili zaczął głośno chrapać.**

**Jermy spojrzał na niego.**

**–Padł na własnej imprezie. Trzeba wymyślić kilka historyjek o tym, co niby się dzisiaj zdarzyło, żeby rano mu opowiedzieć. Na kacu przyda mu się parę powodów do wstydu.**

**Wstał i zamachał w kierunku sceny.**

**–Dziewczyny, nasz chłopak wysiadł, ale jest tu jeszcze ktoś, kto chętnie umili wam wieczór.**

**Ktoś kopnął lekko stopę Garvina, który zmusił się do otwarcia oczu. Ignorując rozdzierający ból mięśni, starał się wyglądać na czujnego i wypoczętego. Drużyna leżała w gwiazdę, niemal stykając się butami.**

**To był dzień, kiedy mieli „wejść w kontakt z przeciwnikiem”, a dokładniej dotrzeć do opuszczonej bazy musthów.**

**Garvin zastanowił się, czy mgła zgęstniała już na tyle, aby można było uznać ją za deszcz, i wyszło mu, że owszem. Od dnia wymarszu nie było im tak mokro.**

**Czuł się nieziemsko brudny... Spędzili w terenie już... musiał policzyć na palcach... dziesięć dni i nikt się nie kąpał, chyba że w przygodnym strumieniu czy mgle.**

**Nosili ciągle te same mundury, w których wyskoczyli z griersona. Jaansma wziął przynajmniej trzy pary skarpet. Jedną miał na nogach, druga „prała się” w deszczu przyczepiona do plecaka, a trzecia schła, jak miał nadzieję, upakowana na szczycie maneli.**

**W zwiadzie to jednak normalna sprawa i tym trudniej było pojąć, dlaczego zawsze mieli tylu ochotników. Garvin dziwił się też, dlaczego on sam nie przeniósł się do lżejszej roboty.**

**Darod Montagna znowu była tego dnia dowódcą, zorganizowała więc odprawę.**

**Garvin podał jej dokładne położenie patrolu oraz sytuację taktyczną i teraz dziewczyna instruowała ludzi.**

**Wszyscy słuchali w napięciu, przesuając palcami po własnych mapach, nikt**

**jednak niczego nie nanosił, bo gdyby podczas prawdziwej akcji choć jedna wpadła w ręce wroga, mogłaby ściągnąć zgubę na cały oddział.**

**–Gdy dotrzemy do obszaru celu, grupa Alfa zostanie na szlaku, a Bravo pójdzie w lewo albo w prawo, zależy jak pokażę. Bravo oczyści teren, Alfa będzie ją wspierać ogniem. Gdy zrobi się już bezpiecznie, Alfa przejdzie obszar i obie grupy znowu się połączą. Jeśli dojdzie do kontaktu, każdy może wystrzelać jeden magazynek. Gdyby przeciwnik był silniejszy niż my, dam rozkaz zerwania kontaktu i powrotu do punktu zbornego...**

**–Podawała koordynaty i poinstruowała ludzi na temat prowadzenia łączności, wsparcia ogniowego oraz zasad dowodzenia. Gdy skończyła, spojrzała na Garvina.**

**–Dobrze – stwierdził. – Teraz zjemy i ruszamy. Pozwólcie jeszcze, że zapoznam was z tym, co naprawdę zastaniemy na górze. Jest tam kwatera główna musthów, teraz najpewniej zamknięta na głucho. Wszyscy macie ostrą amunicję, ale niech nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzać trwałości murów. Te budynki to prywatna własność, a my nie jesteśmy w stanie wojny z musthami. Jeśli ktokolwiek wybije okno czy podziurawi mur, policzę się z takim po powrocie. To samo w razie prób zbierania upominków, rabowania czy innego wandalizmu. Kara będzie jedna – powrót do macierzystej jednostki.**

**Tradycyjnie grożono tym rekrutom, którzy chcieli dostać się do kompanii zwiadu.**

**–Tak jak powiedziała Montagna, przejdziemy między zabudowaniami i spotkamy się po drugiej stronie, a potem wezwiemy transport i wrócimy do domu, gdzie czeka na nas ciepła kąpiel.**

**Uśmiechnął się złośliwie w duchu, wyobrażając sobie reakcję drużyny, gdy za jakiś czas powie, że niestety, ale przeciwnik zestrzelił griersona i trzeba wracać na własnych nogach. Ciekawe, ilu siądzie na ziemi, stwierdzi, że ma to wszystko gdzieś, i zmarnuje w ten sposób wysiłek ostatnich dwóch miesięcy. Miesiące pełnych potu, nerwów, a czasem nawet krwi. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że nie dotarł jeszcze do granic swojej wytrzymałości i ciągle ma olbrzymie rezerwy sił. Całe to wyczerpujące szkolenie miało ich właśnie nauczyć, jak je wykorzystywać.**

**Garvin sięgnął do plecaka, wyjął coś i wrzucił do swojej menażki. Polał to wodą z manierki, którą zaraz podstawił pod deszczołap zrobiony z kawałka impregnowanej tkaniny.**

**To coś w menażce zaczęło się miotać i rosnać, aż w końcu upodobniło się do racji proteinowej z grzybkami.**

**Garvin dodał do brei całą torebkę ostrego sosu, w który każdy doświadczony żołnierz wyposażał się już na własny rachunek, i zjadł, nie próbując delektować się**



smakiem. Potem wytarł menażkę i łyżkę trawą i schował wszystko do plecaka.

–Gotowi? – spytał i po chwili ruszyli w drogę przez wysokie do kostek, nasiąkłe wilgocią mchy rosnące między wyłaniającymi się z mgły drzewami.

Muzyka zalała wielką świątynię, aż zadrżały wypełnione do ostatniego miejsca ławy. Po chwili umilkła, a muzycy opuścili instrumenty.

Kapłan wstał i wszedł na podium.

–Oto nadszedł dzień wesela i szczęśliwości wszelakiej, gdyż dziś zaznamy ponownie mistycznego zjednoczenia ze Stwórcą, dziś dopełni się podniosłe ślubowanie.

Przeto jeśli ktokolwiek zna powody, dla których tych dwoje nie powinno połączyć się świętymi więzami, niech je teraz wypowie...

Zabudowania bazy musthów wyłoniły się z mgły. Dziwne kanciaste konstrukcje jakby ze szkła i onyksu nie wyglądały wcale na opuszczone, nie było też widać, aby je zabezpieczono przed uszkodzeniami. Zniszczeń zresztą nie było wiele: jakiś ciekawski zwierzak stłukł jeden z paneli, nieco miejscowego bluszczu wspinało się po ścianach.

Montagna dała znak i grupa Alfa zajęła pozycje strzeleckie. Unieśli broń, chociaż magazynki mieli ciągle przy pasach.

Bravo cicho i powoli ruszyła naprzód.

Nagle prowadzący padł na ziemię i dał znak pozostałym, żeby zrobili to samo.

Posłuchali bez wahania, chociaż nikt nie wiedział, co jest grane. Czyżby nasz porąbany alt wymyślił jakąś niespodziankę? Potem prowadzący pokazał pięść ze skierowanym w dół kciukiem. Wróg w polu widzenia?

Garvin już miał przywołać żołnierza do porządku, gdy w ich kierunku poleciało niewielkie pudełko. Równocześnie dostrzegł pazurzastą łapę znikającą za rogami budynku.

Granat rozerwał się i cały rój owadopodobnych stworzonek rzucił się na najbliższego człowieka. Ten krzyknął, prawie że rozorał sobie skórę paznokciami i umarł.

–Musthowie! – krzyknął Garvin, sięgnął po magazynek, wsunął go do gniazda i wprowadził nabój do komory. – Ładować ostrymi! – rozkazał.

Warknął miotacz insektoidów i wypełnione nimi pociski wielkości palca uderzyły w torf obok jednego z żołnierzy.

–Przestańcie strzelać, musthowie! – krzyknął Garvin. – Nie atakujemy was!

Ze strony musthów padł kolejny strzał.

–Wstrzymać ogień, do cholery! Nie jesteśmy waszymi wrogami! – zawołał znowu Garvin, łapiąc za granat. Cztery razy przycisnął palcem mechanizm zegarowy i rzucił granat z wyprostowanej ręki.

Cztery sekundy później kawał pobliskiej ściany runął z hukiem do wnętrza budynku.

W otworze pojawił się musth z bronią miotającą kwas. Wymierzył w al Sharifa, ale Raum ściął go serią.

–Ruszać! To już nie ćwiczenia! – zawołała Montagna.

Mimo zaskoczenia odruchy zadziały. Grupa Bravo otworzyła ogień i pobięła zygzakami w kierunku kompleksu.

Loy Kuoro i Jasith Mellusin spotkali się na tyłach świątyni i razem podeszli ku czekającemu na podium kapłanowi. Muzyka znowu wypełniła dostojne wnętrze.

Jeden ze zwiadowców uniósł się, żeby rzucić granat, a przebiegający musth strzelił do niego dwa razy. Mężczyzna upadł, gdy uderzył go pocisk, a po chwili zaczął się wić. To insektoidy wydostały się z pojemnika i zaczęły wgryzać się w ciało dookoła rany.

Musth chciał wystrzelić ponownie, ale Garvin był szybszy. Potem przetoczył się dwa razy, gdy ledwie metr od niego wybuchł granat. Zamarł, czekając na ugryzienia, zjadliwe ale stworzenia z jakiegoś powodu zostawiły go w spokoju.

–Czy ty, Loyu Kuoro, gotów jesteś wziąć tę kobietę za żonę i żyć z nią zgodnie z nakazami Stwórcy w świętym związku małżeńskim?

–Tak – odparł pewnym głosem Kuoro.

–Czy ty, Jasith Mellusin, gotowa jesteś wziąć tego oto mężczyznę za męża i żyć z nim zgodnie z nakazami Stwórcy w świętym związku małżeńskim?

–Tak – powiedziała Jasith. Nikt nie zauważył, że się zawahała.

Garvin rozbił kolejny panel i przez nieregularny otwór drzwiowy zanurkował do budynku. Gdzieś obok rozległy się strzały. Przebiegł przez próg, minął szereg dziwnych mebli i kopniakiem otworzył drzwi. Musth obrócił się, celując w Jaansmę z

**jakiejś krótkiej broni.**

**Garvin dwa razy ściągnął język spustowy. Musth upadł i znieruchomiał.**

**Dało się słyszeć jeszcze kilka pojedynczych strzałów, potem parę serii, huknęły dwa granaty.**

**–Ci tutaj już załatwieni! – krzyknął ktoś, ale pojedynczy strzał zadał kłam jego słowom. Znowu zrobiło się głośno.**

**–Nie żyje! – krzyknął ktoś inny.**

**–Nie ma ich więcej?!**

**Na chwilę zapadła cisza.**

**–Nie! Zabiliśmy już wszystkich!**

**–O wieczny Stwórcu – zaintonował kapłan. – Stwórcu i obrońco gatunku ludzkiego, pobłogosław dwoje twoich sług i niech ta obrączka, którą ten mężczyzna dał tej kobiecie, stanie się symbolem ich wiecznego związku i przymierza pomiędzy nimi.**

**–Jakie straty? – spytał Garvin.**

**–Troje naszych nie żyje... dwoje rannych – odparła Montagna. – I sześciu martwych musthów. Próbowałam pomóc jednemu z nich, ale zastrzelił się, zanim zdołałam zabrać mu broń. – Teraz, gdy było już po wszystkim, dziewczyna była bliska płaczu. – Cholera jasna...**

**Dlaczego do nas strzelali? Co ich napadło? Przecież nie walczymy z nimi. Co tu się, u diabła, dzieje?**

**–Jeśli poznasz odpowiedź na któreś z tych pytań, nie zapomnij mnie poinformować – powiedział ponuro Garvin.**

**–Niech Stwórca strzeże was i zachowa w zdrowiu, niech ma baczenie na wasze ścieżki i ześle na was błogosławieństwo i łaskę, abyście razem spędzili to życie, a i w życiu przyszłym razem przez wieczność bytowali.**

**–Lanca, tu Sybilla Sześć – powiedział Garvin do mikrofonu, stwierdzając z zadowoleniem, że jego głos brzmi pewnie i chłodno. – Przekazuję koordynaty:**

**XRAY, VELDT, RANGE. Powtarzam: XRAY, VELDT, RANGE. Zostaliśmy zaatakowani przez musthów. Wszyscy obcy zabici. Potrzebujemy pilnie pomocy medycznej i griersona, żeby nas podjął. Wskazane też dwa ciężkie pojazdy wsparcia i kompania osłony. Musthowie prowadzą tu chyba jakąś szerszą operację szpiegowską,**

**znaleźliśmy całą górę sprzętu łącznościowego. Chyba siedzimy po uszy w gównie...**

**–Loyu Kuoro, możesz pocałować pannę młodą.**

–Wychodzi więc na to, że przez cały czas mieliśmy tu musthów nadających jakieś meldunki – powiedział caud Rao. – Bóg jeden wie, co to były za informacje, bo nikt nigdzie nie widział tych futrzaków od czasu, gdy oficjalnie zwinęli żagle. A potem, gdy wypadliście na nich z krzaków, pomyśleli, że to koniec, i zaczęli strzelać.

–Tak, sir – mruknął Garvin, walcząc z opadającymi powiekami. Było już dobrze po zmroku i pozostali żołnierze drużyny byli albo w szpitalu, albo spali na kompanii. – To moja wina...

–Gówno tam wina – rzucił Angara. – Zaakceptowałem plan ćwiczeń, a oni pierwsi otworzyli ogień. Rao, wydaje mi się, że nasz alt potrzebuje teraz snu. Maglujemy go już czwarty raz. Jaansma, zbieraj dupę i kładź się. Nie zwracaj uwagi na nic poza głośnymi eksplozjami.

–Ale...

–To rozkaz. No już. Yoshitaro czeka na zewnątrz, wskaże ci pryczę. A przedtem wpakuje cię pod prysznic. Teraz znikaj.

Rao, Angara i Hedley milczeli, póki Jaansma chwiejnym krokiem nie opuścił pomieszczenia.

–I co teraz? – spytał Angara.

–To twoja działka, Hedley – zwrócił się Rao do swojego szefa wywiadu.

–Rozpraszamy nasze siły jak nigdy wcześniej, aby zostawić jak najmniej łatwych celów – powiedział Hedley. – Żadna z pozaplanetarnych stacji nasłuchowych nie wychwyciła nic podczas walki w bazie musthów, ale wcześniej też niczego nie słyszeliśmy.

Należy więc przypuszczać, że zdołali przekazać wiadomość na jakiejś nie kontrolowanej przez nas częstotliwości i jeśli nawet ich kumple nie byli jeszcze wtedy w drodze, to teraz już wystartowali. Dokładnie tak, jak obiecali nam po rewolcie Raumów. Nie możemy też zapominać, że nasz przyjaciel Redruth ma, albo miał, tutaj kogoś składającego meldunki, kogo też nigdy nie namierzaliśmy. O nim również możemy niebawem usłyszeć, a jeden Bóg wie, co dla nas szykuje. Myślę jednak, że nie będzie to nic przyjemnego.

–Nie wiem, czy masz rację – stwierdził Rao. – Jednak nie stać nas na założenie, że się mylisz, musimy więc od razu zabrać się do roboty. Oto, co zrobimy: sztab, jego zabezpieczenie minus pododdziały, które jeszcze wyznaczę, a także kompania

**zwiadu wraz z rozpoznaniem powietrzynym zostają tutaj, w Mahan. To będzie nasza grupa reagowania, mała, ale zawsze. Baza ma dość dobrze przygotowane podziemia, aby wytrzymać wszystko poza dłuższym ostrzałem nuklearnym. Będziemy tu dość bezpieczni. Jedną kompanię piechoty przerzucimy do bazy lotniczej na wyspie Mullion jako zabezpieczenie.**

**Tam też odeślemy wszystkich pilotów, którzy mają doświadczenie z naszą tajną flotą.**

**Pierwszy pułk rozproszy się na terenie Leggett, najlepiej gdzieś za dzielnicą bogaczy. Drugi przeniesie się do Aire, trzeci do Tauman City, czwarty do Kerrier.**

**Rozdzielcie artylerię i ciężkie pojazdy wsparcia razem z całym zapleczem pomiędzy pułki, ale tak, żeby każda grupa mogła działać samodzielnie. Niech wykorzystają bunkry wkoło miast, w razie potrzeby mogą zbudować nowe. Dostaną też prysznic i kuchnie polowe. Załatwię z rządem przydział transportowców, tak żeby przerzucić wszystkich z Mahan w jakiś tydzień.**

**Nie damy rady szybko zareagować, gdyby ktoś na nas uderzył, ale zachowamy szansę na dalszą walkę. Wolę już to, niż siedzieć na kupie i czekać, aż ktoś nas zmasakruje. Od teraz żadnych przepustek ani urlopów, jedna trzecia zawsze w stanie gotowości. Chcę słyszeć, jak kwękają. I jeszcze jedno: ile mamy sprawnych maszyn musthów?**

**–Cztery aksaie w pełnej gotowości. Jutro albo pojutrze będzie pięć. Mamy też dziesięciu pilotów, którzy zostali na nich przeszkoleni. Zapewne w walce manewrowej nie dadzą rady asom musthów, ale na pewno sprawią im sporo kłopotów.**

**–Dobrze. Dajcie ich na lądowiska polowe na Balar z jednym transportowcem jako jednostką wsparcia i zaopatrzenia. Mogą nam się bardzo przydać poza atmosferą, przynajmniej jako element zaskoczenia. Dodajcie im jeszcze trzy zhukovy, jeden patrolowiec i kilka jachtów.**

**–Tak jest, sir.**

**–Następne, czym powinienem się zająć, to piloci. Mamy teraz tyle jednostek, że zaczyna nam brakować własnych ludzi. Przekażcie dowódcom pułków, aby skontaktowali się z miejscowymi szkołami pilotażu i posłali tam wszystkich żołnierzy, którzy chcą się nauczyć latać. Kosztami mogą obciążyć rząd. Wyszukajcie też wszystkich, którzy mają jakiegokolwiek doświadczenie lotnicze i nie będą się bali opuścić planety. Zamierzam znaleźć jakiś sposób na stworzenie własnej floty kosmicznej, ale to już zadanie dla rządu i dla mnie. To wszystko, co przychodzi mi do głowy.**

**–A co z cywilami, sir? – spytał Angara.**

**Rao zastanawiał się przez chwilę.**

**–Tym zajmuje się rząd, ale ja nie sędzę, aby należało ogłaszać, że lada chwila z nieba może zlecieć szambo. Wszyscy zaczęliby w panice gromadzić zapasy i tyle. Poza tym przypuszczam, podkreślam: przypuszczam, że musthowie nie uderzą na cele cywilne.**

**W każdym razie nie na początku. Budźcie zatem trzecią część ludzi i niech się zwijają.**

**–Już lecę, sir. – Mil Angara wypadł z gabinetu, a po chwili nad obozem poniosło się monotonne wycie syren. Rao wyobraził sobie, jak żołnierze zrywają się nieprzytomnie z prycz i klnąc, szukają broni i wyposażenia alarmowego.**

**–Znasz jakieś modlitwy, Hedley?**

**–Ani jednej, sir.**

**–Ja też nie. Może być ciekawie. Normalnie uroczystość ukończenia kursu kwalifikacyjnego była skromna i trwała krótko, a zaraz po niej przyjęci do zwiadu dostawali trzy dni urlopu na dłuższe pijaństwo.**

**Sześć dni po strzelaninie z musthami caud Rao zebrał swój sztab na rozległym placu w obozie Mahan. Obecni też byli specjalnie ściągnięci na tę okazję przedstawiciele wszystkich pułków.**

**Przed caudem prężyło się pięcioro mężczyzn i kobiet. Jaansma i Yoshitaro stali po obu stronach Rao. Wszyscy byli w ciemnogramatowych galowych mundurach z żółtym lamowaniem.**

**Obok tej piątki sterczały wbite lufami w ziemię trzy blastery, na których zawieszono kepi rekrutów poległych na płaskowyżu. Przed bronią stały ich wypolerowane buty.**

**Dla dwóch żołnierzy leżących ciągle w szpitalu zorganizowano transmisję z uroczystości.**

**–Daliście radę – powiedział Jaansma. – Było trochę trudniej niż zwykle, ale w naszym fachu tak już jest. Gratuluję. Dobrze się spisaliście. Jestem dumny, że mogę was powitać w naszej kompanii.**

**Yoshitaro tylko skinął im głową.**

**Rao przemawiał niewiele dłużej niż Garvin.**

**–Szturmowiec Darod Montagna, za męstwo i opanowanie pod ogniem nieprzyjaciela**

otrzymujecie Order Zasługi i awans na finfa. Szturmowiec Baku al Sharif, otrzymujecie nagrodę Legionu Bojowego. Wszyscy oprócz Montagni zostaliście awansowani na starszych szturmowców. Ci, którzy zginęli na polu chwały, szturmowcy Joanes, Zelen i Hathagar, oraz ranni Mahue i Seelam, otrzymują Wstęgę Krwi. Obawiam się, że to dopiero początek, i wzywam was wszystkich, nie tylko tych wyróżnionych podczas dzisiejszej uroczystości, abyście w najbliższych tygodniach i miesiącach jak najlepiej wykonywali swoje zadania. Nie zapominajcie, że służycie zarówno Konfederacji, jak i Cumbre, i że zależy od was honor Grupy. Walczcie dzielnie jak tych jedenaścioro, a nigdy nie okryjemy się hańbą.

Dziękuję wam raz jeszcze. Alcie Jaansma, proszę zająć się swoimi żołnierzami i pozwolić im się rozejść.

Jak podała rubryka towarzyska „Matin”, państwo Kuoro wybrali na swój miesiąc miodowy jedną z należących do rodziny wysepek.

–Pamiętam, jak pewnego razu wybrałem się z rodzicami kupować nowe zwierzęta – powiedział w zamyśleniu Jaansma. – Nie pamiętam, co to była za planeta, ale obfitowała w pustynie. Szukaliśmy tam latających gadów.

Razem z Yoshitarem został zaproszony przez Monique Lir do klubu podoficerskiego.

Zazwyczaj rojne pomieszczenie przytłaczało pustką.

Jedno dobre, że w odróżnieniu od przerzuconych w teren oddziałów nie musieli się martwić zaopatrzeniem. Mieli do dyspozycji zapasy całej RaoGrupy, które należało zniszczyć, aby kompania zwiadu nie okryła się niesławą. Yoshitaro zauważył jednak, że nikt spośród podoficerów nie próbuje pić więcej niż goście. Czasy nie sprzyjały beztrosce.

–Latające węże? – spytała Lir. – To nie wystarczą te pełzające?

–Ludzie lubią dreszczyk emocji – wyjaśnił Garvin. – Znajdują to w cyrku.

–Teraz rozumiem, dlaczego moi starzy nigdy mnie nie zabrali do cyrku – powiedziała Monique. – Obrzydlistwo.

–Podzielam – mruknął Njangu. – Ale kontynuuj. Jak to nasz zmyślny Garvin ściągnął wijące się ścierwo z nieba?

–Po prawdzie to nie węże zwróciły moją uwagę, ale futrzaste gryzonie, którymi te węże się żywiły – stwierdził Garvin, cierpliwie znosząc przytyki. – Były całkiem sympatyczne i przemykały od krzaka do krzaka, jednym okiem zezując zawsze w górę, aby nie stać się czymś obiadem. – Upił piwa i wydawało się, że skończył już



**opowieść.**

**–I co? – spytała Monique. – Hmm... zaczynam je chyba rozumieć. Teraz tu wygląda podobnie.**

**–To ma być morał? – mruknął Njangu. – Ale ty nie jesteś sympatycznym futrzakiem.**

**–Tego by tylko brakowało. Ale i tak czuję się jak potencjalny obiad.**

**–Można o coś spytać? – zagadnął cicho Njangu.**

**–No?**

**–Lepiej ci? – Że jak?**

**–Nie kręć, braciszku – westchnął Yoshitaro. – Myślę o twojej byłej.**

**–O niej?**

**–Ano.**

**–Czy ostatnio wyrwałem komuś płucka?**

**–Bez powodu? Nie.**

**–No to już wiesz.**

**Njangu zmierzył przyjaciela wzrokiem i uznał, że to wystarczająca odpowiedź.**

**Po tygodniu nadszedł sygnał alarmowy z posterunku na orbicie gazowego giganta Cumbre F, a godzinę później z automatycznej sondy krążącej wokół Cumbre D.**

**Sygnalizowano pojawienie się jednego okrętu średnich rozmiarów.**

**Bardziej czułe skanery dostrzegły też towarzyszące mu cztery jednostki patrolowe.**

**Większy okręt zidentyfikowano jako produkowany przez Konfederację niszczyciel klasy Remora, patrolowce były nieznanego typu.**

**Niedługo potem na standardowej częstotliwości rozległ się mało przyjazny głos:**

**–Do kontroli Cumbre C, tutaj Corfe w locie z Lariksa i Kury z protektorem Redruthem na pokładzie. Podajcie instrukcje do lądowania w obozie Mahan.**

**Oczekujemy oficjalnego powitania protektora Redrutha przez członków obecnego rządu.**

**Wyraźnie było słycać, że ostatnie zdanie w żadnym razie nie jest prośbą.**

**Piętnastu członków rządu planetarnego oraz caud Rao czekali niecierpliwie przed zamkniętym jeszcze głównym włazem Corfe. Za nimi stało trzydziestu ochotników z Grupy. Oficjalnie stanowili kompanię honorową, jako że Redruth wciąż był przedstawicielem świata Konfederacji, ale w rzeczywistości byli zebraną pośpiesznie ochroną. Jedyną, jaką dało się zebrać tak szybko.**

**Każdy z nich krył pod paradnym mundurem dwa magazynki do blasterów i broń krótką podebraną z „prywatnej” zbrojowni Hedleya. Władali też bronią białą i znali się na walce wręcz.**

**W pobliskim hangarze, którego wrota były lekko uchylone, czekały dwa uzbrojone cooki. Jednym dowodził Garvin, za pilota mając osobistego szofera Rao, deca Biegnącego Niedźwiedzia, a za strzelca finf Ho Kang, niegdyś specjalistkę od walki radioelektronicznej w griersonie Bena, w drugim czekał Yoshitaro z równie wprawną, chociaż naprędce pozbieraną załogą.**

**Działka były załadowane, strzelcy w gotowości.**

**Garvin przyjrzał się Corfe. Wieże działowe niszczyciela były w pozycji bojowej, pokrywy wyrzutni pocisków raketowych odsunięte.**

**–Uwaga – powiedział. – Właz się otwiera.**

**Rampa opadła z sykiem i dotknęła płyty lądowiska. Zbiegło po niej czterech żołnierzy w ciemnozielonych mundurach. Stanęli po bokach na baczność, ale z blasterami gotowymi do strzału.**

**–Chciałbym zaprosić wszystkich członków rządu Cumbre na pokład mojej jednostki flagowej, abyśmy mogli przedyskutować spokojnie kilka nader pilnych spraw – rozległo się z głośnika. Ton ponownie nie pozostawiał złudzeń: to był rozkaz. Oficjele wymienili zakłopotane spojrzenia i powoli ruszyli do środka.**

**W służbie czekał na nich protektor Redruth. Z przysadzistą sylwetką i łysiną przypominał raczej urzędnika średniego szczebla niż dyktatora dwóch układów planetarnych.**

**–Witam – powiedział oschle. – Musimy porozmawiać. Zechcecie przejść ze mną do sali konferencyjnej?**

**Z jakiegoś zakamarka wyjrzał żołnierz z detektorem i mimo protestów członków Rady sprawdził ich wszystkich. Caud Rao nie protestował. Wiedział, że żaden znany mu detektor nie wykryje tego, co schował pod mundurem.**

**–Nie są uzbrojeni, protektorze.**

**–To dobrze. Tędy proszę.**

**Poszli za Redruthem. Rao rozglądał się uważnie, próbując oszacować gotowość sił Redrutha. Okręt był idealnie utrzymany, dwa stanowiska bojowe, do których zdołał zajrzeć caud, miały pełną, czujną, czystą i porządnie umundurowaną obsadę.**

**Sala konferencyjna była wyłożona imitacją drewna, na ścianach wisiały reprodukcje starych obrazów. Równie dobrze mogłaby znajdować się w siedzibie korporacji jakiegoś rentiera.**

**–Usiądźcie, proszę – powiedział Redruth.**

**Po chwili drzwi się odsunęły i wszedł dowódca wojsk dyktatora. Rao poznał Celidona. Też w ciemnych zieleniach, przy orderach, z kaburą po jednej i sztyłem po drugiej stronie pasa. Był wysoki i muskularny, czoło przecinała mu szrama. Skinął głową caudowi Rao, spojrzał lekceważąco na członków Rady, ale nic nie powiedział.**

**–Wiem, że oderwałem was od obowiązków, więc będę się streszczał – zaczął Redruth.**

**–Na pewno pamiętacie, że jakiś czas temu proponowałem układowi Cumbre pomoc i ochronę. Ówczesny rząd odrzucił moją ofertę, mimo że dopiero co utraciliśmy kontakt z Konfederacją, a musthowie zaczęli się zastanawiać nad opanowaniem Cumbre.**

**Była to więc głupia decyzja. Od tamtej pory wasze położenie nie poprawiło się ani o jotę, ja zaś nie mogę narazić moich obywateli na ryzyko, że musthowie zyskają bazę w tym układzie. Przyszła więc pora na nieuniknione. Wolę pokojowe metody, niemniej postanowiłem, że Cumbre ze skutkiem natychmiastowym przejdzie pod moje zwierzchnictwo.**

**Rozległy się krzyki i protesty. Redruth spokojnie odczekał, aż ucichną.**

**–Nie zamierzam dyskutować na ten temat – stwierdził. – Oczywiście nie zamierzam pozbawiać was stanowisk. Rada nadal będzie sprawować swe obowiązki, tyle że wyznaczę gubernatora, aby koordynował jej prace, składał mi meldunki i przedstawiał wam moje stanowisko we wszystkich żywotnych sprawach, abyście mogli lepiej sobie z nimi radzić.**

**Znowu podniosła się wrzawa. Jedni głośno protestowali, inni wspominali o racji stanu czy pogwałceniu praw Konfederacji albo wymyślali gospodarzowi od piratów. Rao zauważył, że tylko Jo Poynton milczy, za to uśmiecha się jakby z rozbawieniem.**

**Redruth odczekał jeszcze chwilę i uderzył pięścią w stół.**

**–Jak powiedziałem, nie ma o czym dyskutować – rzucił lodowatym tonem. – Oczekuję, że jak najszybciej podporządkujecie się moim decyzjom. W przeciwnym razie poniesiecie surowe konsekwencje. Zamierzam...**

**–Przepraszam – odezwał się caud Rao. – Jak pan wie, moja Grupa Uderzeniowa jest częścią sił zbrojnych Konfederacji. Przysięgę, że będzie bronić Cumbre, składaliśmy przed obecnym rządem. Czy wypowiada pan wojnę Konfederacji?**

**Celidon uśmiechnął się lekko.**

**–Chyba to zbyt drobna sprawa, aby mówić aż o wojnie.**

**–Celidon chciał powiedzieć, że nie zamierzamy ingerować w funkcjonowanie Grupy Uderzeniowej – rzekł Redruth. – Niemniej, ponieważ nie macie floty, zapewniamy wam opiekę swojej. Nie widzę żadnego powodu, aby nasze siły nie miały współdziałać w celu utrzymania porządku.**

**–Niestety, ja dostrzegam taki powód – odparł Rao. – Przedstawione przez pana plany dowodzą zamiaru uzurpowania władzy. Musimy się im przeciwstawić.**

**–Nie przypuszczam, aby doszło do konfrontacji – rzucił Redruth. – Szczególnie gdy Rada zaakceptuje moją obecność. A wybór jest prosty: albo ja, albo musthowie.**

**Wówczas wszystko stanie się legalne i nie będzie pan miał powodu do niepokoju. Proszę tylko pomyśleć, caudzie Rao. Układ Cumbre leży na granicy pustki i sam ledwie sobie radzi. Sprzymierzony z Lariksem i Kurą zyska nie tylko bezpieczeństwo, ale i profity z handlu. Do układu napłynie dobrobyt.**

**–A co wypłynie? – spytała Poynton.**

**–To, co tradycyjnie eksportujecie. Ale będziemy płacić uczciwie.**

**–Doszliśmy do kopalń – rzucił jeden z członków Rady.**

**–To bardzo ważna kwestia – stwierdził Redruth. – Czy jest na sali przedstawiciel Mellusin Mining?**

**–Jasith Mellusin wyszła niedawno za mąż – powiedział jeden z członków rządu planetarnego. – Obecnie cieszy się miesiącem miodowym. Przekazano jej wiadomość natychmiast po tym, jak wezwał nas pan na spotkanie. Nie wiem, czy została odebrana, ale przypuszczam, że pani Mellusin jest już w drodze.**

**–Dobrze – stwierdził Redruth. Zaczniemy od rud na Cumbre C, a potem zajmiemy**

się pozostałymi sprawami, takimi jak zwiększenie stopy podatkowej, aby zdobyć środki na utrzymanie mojego garnizonu w tym układzie.

–Jak liczego? – spytał Rao.

–Na razie trudno powiedzieć. W wielkiej mierze będzie to zależało od tego, jak dobrze ułoży się nasza współpraca.

–Rozumiem – spokojnie odpowiedział Rao i przycisnął ukryty pod bluzą nadajnik, który wysłał pojedynczy sygnał.

–A o ile mają wzrosnąć podatki? – spytała jedna z członkiń Rady.

–Z początku nie więcej niż jeden procent na wszystkie produkty, chociaż możliwe że wybierze inne wyjście, aby zyskać potrzebne środki. Nie zamierzam ingerować w wasz system podatkowy ani obciążenia poszczególnych grup ludności.

–Innymi słowy, jeśli zdecydujemy się oskubać najbiedniejszych, pana to nie obejdzie – skwitowała Poynton.

–Do diabła, idzie nam i tak dość źle bez takiej raumskiej gadki! – warknął na nią jeden z mężczyzn.

–Przepraszam – odezwał się Redruth. – Rozumiem wasze bolączki, ale nie ma powodu, żeby je teraz roztrząsać. Zastanówmy się raczej, jakie wytwarzane na Cumbre produkty mogą mieć największe znaczenie dla obronności naszych układów...

Sygnał z nadajnika Rao dotarł do wszystkich dowódców Grupy.

–Zaczyna się – mruknął Garvin, po czym rozkazał: – Odpalać i czekać.

Silniki jego pojazdów ożyły ze świstem.

Obok wyspy Lanbay przelatywał ślizgacz kierujący się prosto do zatoki Dharma. Za sterami siedział Loy Kuoro, a obok niego Jasith Mellusin. Gnali na pełnej szybkości ledwie pięćdziesiąt metrów nad falami.

–To największa sprawa od rebelii, a ja, kurwa, zabawiam się z tobą! – wściekał się Kuoro.

–Dwutygodniowy miesiąc miodowy to był twój pomysł, Loy.

–Nieważne. Swoją drogą, nie domyślasz się, czego mogą chcieć?

–Jestem pewna, że nic dobrego – powiedziała Jasith.

**–Za dziesięć minut będziemy nad Chance.**

**–Tutaj Kosa Jeden – zgłosił się Ben Dill. – Idziemy z Balaru. Planowany czas przybycia nad Mahan trzy zero. Kosa Dwa i Kosa Trzy prowadzą nasłuch. Odbiór.**

**Trzy aksaie lecące na trzech czwartych mocy zbliżały się do Cumbre D. – Mówi Kontrola – powiedział do mikrofonu mil Angara i zaszyfrowany sygnał z bunkra pod obozem Mahan pomknął w przestrzeń kosmiczną. – Rozkazy bez zmian. Macie zgodę na odpowiedź na każde wrogie działanie wedle własnego uznania. Jeśli nic się nie będzie działo, pozostaniecie poza atmosferą i czekajcie na instrukcje.**

**–Zrozumiałem. – Dill zmienił częstotliwość. – Słyszeliście. Załatwimy trochę tych Lariksan czy jak tam się teraz nazywają. Bez odbioru.**

**Musnął sensory, aby uzbroić pociski.**

**Wszystkie jednostki rozrzucone po Cumbre D przeszły w stan gotowości bojowej.**

**W narastającym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi na sygnał automatycznej stacji rozpoznawczej z małej planetoidy krążącej w pobliżu orbity Cumbre L.**

# SZEŚĆ OBIEKTÓW WCHODZI DO

## UKŁADU. WSTĘPNA ANALIZA

WSKAZUJE NA ICH NIENATURALNE  
POCHODZENIE. CHARAKTERYSTYKI  
NIE

PASUJĄ DO OBRAZU ZNANYCH  
JEDNOSTEK KOSMICZNYCH. IDĄC  
DALEJ TYM

SAMYM KURSEM, ZA TRZY GODZINY  
PRZETNĄ ORBITĘ CUMBRE D.  
SZEŚĆ

OBIEKTÓW WCHODZI DO UKŁADU.

WSTĘPNA ANALIZA...

Redruth otworzył właściwy plik w kompie i zaczął odczytywać, jakie daniny ma płacić układ Cumbre, gdy nagle wszedł jakiś żołnierz i zbliżywszy się do Celidona, wyszeptał mu coś do ucha.

Celidon zmarszczył brwi.

–Przepraszam, protektorze – powiedział. – Mostek melduje, że wkoło planety panuje ożywienie w eterze i że odbiera nieznanne sygnały z księżyca.

–Co to ma znaczyć? – spytał ostro Redruth.

Rao pokręcił głową.

–Nie wiem – skłamał. – Siedzę tutaj od dwóch godzin.

Możliwe, że mój zastępca uznał za stosowne podnieść stopień gotowości.

–Celidon! – warknął Redruth. – Żaden problem. Jeśli spróbują jakichś sztuczek, odpowiemy im tym samym – oznajmił i ruszył na mostek.

**Redruth wstał i cofnął się pod drzwi.**

**–Nie wiem, co wam chodzi po głowie, ale uprzedzam, że jeśli coś szykujecie...**

**Caud Rao wyciągnął spod munduru mały ceramiczny cylinder i wycelował go w dyktatora.**

**–Odradzam gwałtowne ruchy – powiedział spokojnie. – W środku jest tylko jeden pocisk, staroświecka fajansowa kula, która jednak przy uderzeniu w cokolwiek rozpada się na mnóstwo kawałków. Zbyt głębokie wdechy też niewskazane.**

**Redruth poczerwieniał na twarzy, ale ani drgnął.**

**–A teraz wrócimy do służy – oznajmił Rao. – Członkowie Rady przodem. Szybko.**

**Opuszczamy pokład.**

**Plasnął dłonią w płytkę przy framudze i otworzył drzwi. Skinął na zaskoczonych polityków.**

**Nagle w progu pojawił się ktoś z załogi. Zobaczywszy broń, sięgnął do kabury, ale Jo Poynton była szybsza. Uderzyła go nasadą dłoni w twarz, poprawiła łokciem w szyję i nim jeszcze padł z charkotem, wyłuskała mu broń z kabury.**

**–Całkiem jak za dawnych czasów – powiedziała z uśmiechem. – Spotkamy się w służy – dodała i pobięła.**

**–Teraz ty – nakazał Rao, wskazując Redruthowi drogę na korytarz. – Jakby co, jestem twoją ochroną.**

**–Moi ludzie nigdy na to nie pozwolą!**

**–Może – powiedział z uśmiechem Rao. – Ale jeśli spróbują nam przeszkodzić, ty ucierpisz pierwszy.**

**Redruth spojrzął na samopał, skrzywił się i posłuchał.**

**–Dobra – rzucił Celidon, wchodząc na mostek. – Co jest grane?**

**–Obserwujemy co najmniej pięćdziesiąt maszyn w powietrzu, sir. Może więcej – zameldował kapitan. – Wszystko, od jachtów po maszyny bojowe.**

**–Co ich naszło?**

**Kapitan pokręcił głową.**



**–To się dowiedz! Nie możemy nic zrobić, póki nie mamy pewności, co zamierzają!**

**Kapitan dobrze pamiętał, że awansował tylko dzięki wściekłości Celidona na jego poprzednika oraz celności plutonu egzekucyjnego, toteż bez dyskusji zażądał meldunków od podwładnych.**

**Celidon czekał, słuchając i bezwiednie dotykając rękonożki sztyletu.**

**–Mówi Corfe Dwa – zameldował pilot jednego z patrolowców klasy Nirvana. – Trzy jednostki zbliżają się od Balaru... Wedle „Jane’s” to maszyny musthów – dodał z nagłym ożywieniem.**

**–Tu Corfe Cztery – natychmiast odezwał się drugi patrolowiec. – Sześć dużych jednostek na kursie do Cumbre D, przynależność nieznana, nie ma ich w „Jane’s”.**

**Oczekuję instrukcji.**

**Na mostku Corfe rozległ się nagły gwar głosów. Celidon krzyknął, żeby wszyscy się uciszyli.**

**–Sir, tu jedenasty przedział bojowy – dobiegło zaraz potem z głośnika. – Słyszeliśmy strzał w głębi okrętu.**

**–Co?**

**Powtórzono meldunek.**

**–Ruszyć oddział desantowy – rozkazał Celidon. – Niech sprawdzą, co to, u diabła...**

**Patrol do sali konferencyjnej, upewnić się, że protektor jest bezpieczny!**

**–Sir, wykryliśmy nadlatujący obiekt – zameldował jeden z operatorów. – Idzie ze wschodu na niskim pułapie, szybkość koło dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie odpowiada na wywołanie na standardowej częstotliwości. Prowadzą go trzy stanowiska ogniowe.**

**–Zestrzelić!**

**–Tak jest, sir. Trzecie stanowisko, ognia!**

**Wiązka pocisków wzburzyła wodę niecałe dwadzieścia metrów od ślizgacza Loya Kuoro, który w bezgranicznym zdumieniu otworzył usta i szarpnął sterami, zahaczając o wierzchołki fal.**

**Pojazd wymknął się spod kontroli. Kuoro próbował odzyskać panowanie nad sterami i na moment mu się to nawet udało, ale zaraz potem ślizgacz wykonał dwie**

**szybkie becзки, a gdy pilot próbował go zmusić do nabrania wysokości, zgasł silnik i maszyna przepadła.**

**Kuoro wyrównał stery, żeby tracić wysokość jak najwolniej, ale i tak uderzyli w fale z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę. Ślizgacz przekoziółkował.**

**Zaraz po tym, jak Corfe otworzył ogień do jakiegoś celu nad oceanem, drzwi hangaru stanęły otworem.**

**–Cel: prowadzące ogień stanowisko działek! – krzyknął Garvin.**

**–Przyjęłam – powiedziała spokojnie Ho i dotknęła występu języka spustowego.**

**Działko kalibru dwadzieścia milimetrów ryknęło niczym dzika bestia i pociski o uranowych rdzeniach zaczęły masakrować odsłonięte stanowiska ogniowe niszczyciela.**

**Niemal od razu doszło do eksplozji dwóch bębnow amunicyjnych i cały przedział wypełniła kula ognia. Obsługa zginęła, zanim zdołała sobie uświadomić, co ją zabija.**

**Corfe aż zakołysał się na podporach, ale osłona stanowiska zatrzaskała się z hukiem.**

**–Unik! – zawołał Jaansma i oba cooki, wyleciawszy z hangaru, pomknęły zygzakami na stanowiska zapasowe. Inne działka niszczyciela otworzyły do nich ogień, ale pociski podziurawiły tylko beton płyty postojowej.**

**–Takiego! – mruknął Biegnący Niedźwiedź, szarpiąc sterami, żeby uniknąć zderzenia z pobliską szopą.**

**Rao dostrzegł w korytarzu trzy leżące bezwładnie ciała i pchnął Redrutha do szybszego biegu. Członkowie Rady czekali w śluzie. Poynton trzymała po pistolecie w każdej dłoni.**

**–Jak teraz stąd wyjść, żeby nas nie poszatkowali? – spytała.**

**–Daj mi jeden – powiedział Rao i Poynton rzuciła mu pistolet.**

**–Kompania honorowa zajęła się już strażnikami przy włazie – oznajmiła. – Potem rozproszyła się, zanim okręt odpowiedział ogniem; będzie służyć za wsparcie.**

**–Próbują zamknąć śluzę – zauważył jeden z mężczyzn. – Cały czas trzymam dźwignię awaryjnego otwierania.**

**–I co teraz?**

**–Nie uciekniecie – odezwał się Redruth. – Moi strzelcy załatwią was, zanim przebiegniecie dziesięć metrów.**

**–No to chyba najlepiej będzie, jeśli teraz cię zabijemy – zauważyła Poynton.**

**Redruth zbladł, widząc, że Rao kieruje na niego broń.**

**–Mam cię, mam cię, mam cię jak nic – mruczał Ben Dill, naprowadzając aksaia na kurański patrolowiec. Trzykrotnie nacisnął przycisk uzbrojenia i pociski raketowe pomknęły ku celowi.**

**Przeciwnik przeszedł na pełną moc i próbował uciec w nadprzestrzeń, ale nie zdążył.**

**Jeden z pocisków przetrącił mu dziób, drugi zdemolował maszynownię i po chwili jednostka zmieniła się w idealnie proporcjonalną ognistą kulę.**

**–Dostał! – krzyknął Ben do mikrofonu. – Pierwsza krew...**

**–Corfe, Corfe, tu Corfe Dwa! – krzyknął spanikowany dowódca kolejnego patrolowca.**

**–Corfe Trzy zniszczony przez musthów. Jest ich zbyt wielu, wszyscy atakują...**

**Corfe Cztery ma jednego na ogonie...**

**Pocisk wystrzelony przez skrzydłowego Dilla eksplodował w odległości pół kilometra od kurańskiej jednostki. Pilot patrolowca drgnął i czym prędzej uciekł w nadprzestrzeń.**

**Rao usłyszał jakiś szmer i wystrzelił pół magazynka w głąb korytarza. Nawet nie spojrzał, co to było.**

**–Jeśli tu zostaniemy, to po nas – powiedział. – Wymykamy się i prosto do hangaru. Rozproszyć się jak to tylko możliwe!**

**Spojrzeli na niego ze strachem, ale posłusznie zbiegli po rampie.**

**Rao odprowadził ich wzrokiem i Redruth wykorzystał tę okazję. Odepchnąwszy cauda, pobiegł korytarzem. Wpadł do najbliższej kabiny i zatrzęsł za sobą drzwi.**

**–Sukinkot – mruknął Rao i pognał za swoimi.**

**Kurański strzelec dojrzał biegnących i skierował na nich działka.**

**Cook Yoshitara wychynął znad stojącego w pobliżu transportowca i wpakował w**

**jego stanowisko ponad sto pięćdziesiąt pocisków.**

**Chwilę potem uciekinierzy wbiegli do hangaru i nie zwalniając, skierowali się ku tylnym drzwiom. Caud Rao biegł ostatni. Odwrócił się, przyklęknął i wystrzelił resztę magazynka w otwartą szluzę Corfe. Oczywiście nic z tego nie wynikło.**

**Ledwie ruszył dalej, pociski z działek przeorały podłogę hangaru.**

**–Zamknąć szluzę – rozkazał Celidon. – Dlaczego nikt jeszcze tego nie...? – Urwał. To nie był odpowiedni czas na szukanie winnych.**

**–Mostek, tu przedział trzynasty. Protektor jest z nami, cały i zdrowy... – rozległo się z głośnika. Coś zatrzeszczało i po chwili usłyszeli głos Redrutha:**

**–Celidon, podrywaj okręt! Wpadliśmy w pułapkę!**

**Celidon zmusił się do zachowania spokoju.**

**–Kapitanie, startujemy. Kurs nad ocean, potem w górę.**

**Jak tylko opuścimy atmosferę, przechodzimy na nadprzestrzenny.**

**–Tak jest, sir. – Ściągnąć patrolowce, żeby nas osłaniały.**

**–Tak jest, sir.**

**Celidon wyczuł w uszach zmianę ciśnienia. Wreszcie zamknięto szluzę.**

**–Trzech do przedziału trzynastego! – rozkazał dyżurnemu. – Niech przyprowadzą protektora na mostek.**

**–Tak jest, sir!**

**Przytłumione wycie napędu antygravitacyjnego oznajmiło, że jednostka uniosła się z lądowiska. Ben Dill przemknął przez zewnętrzne warstwy atmosfery. Na ekranach ujrzał położony daleko w dole obóz Mahan. Powiększył obraz startującego Corfe.**

**Z jakąś nieprawdopodobną liczbą machów zanurkował w trzydziestokilometrową przepaść i odpalił pociski. Aksai zadrżał. Dill, obawiając się, że zaraz wybije dziurę w powierzchni planety, ściągnął stery i zdławił moc. Maszyna znowu zadrżała i zaczęła wychodzić z nurkowania. Przeciężenie było tak wielkie, że ledwie dawało się nad nią zapanować.**

**Pociski, przewidziane do użycia przeciw celom latającym, straciły cel na tle ziemi i uderzyły w płytę niecałe sto metrów od niszczyciela.**

**Dwie sekundy później aksai Dilla przemknął ledwie trzydzieści metrów nad kadłubem wznoszącego się Corfe.**

**Wlencing, stojący na mostku wielkiej i ciężko uzbrojonej jednostki flagowej, patrzył ze zdumieniem na ekrany. Obok stał nieco niższy od niego musth. Też nie był pewien, co właściwie widzi.**

**–Walczą ze sobą – powiedział do Aesca. – Ale skąd te aksaie? Żadni inni musthowie nie byli zainteresowani tym regionem...**

**–Racja. Zagadkowa sprawa – przyznał Aesc. – Ludzie chyba odnaleźli remontowane maszyny, które musieliśmy zostawić, bo nie było czasu na załadunek.**

**–Wodzu, jeden z ich patrolowców odpalił w nas pocisk – zameldował operator systemów uzbrojenia. – Wystrzeliliśmy antyrakietę, która trzyma namiar i zaraz zniszczy cel. Mam ostrzelać patrolowiec?**

**Wlencing spojrzął na stojącego obok mustha.**

**–Alikhan, pewnie wolałbyś pokonać ich sam, aby odnieść pierwsze zwycięstwo?**

**Potomek uniósł pazurzastą łapę.**

**–Nie jestem tak naiwny, aby myśleć, że będę szybszy niż pocisk.**

**–Dobrze – powiedział Wlencing. – Nigdy nie sięgaj po nóż, gdy możesz strzelać.**

**Zniszczyć patrolowiec.**

**W kierunku Corfe Cztery pomknęło aż dziesięć pocisków. Drugi patrolowiec zdołał wymanewrować, trzeci uderzył w śródkręcie i jednostka przestała istnieć.**

**–Dobrze – odezwał się Aesc. – Odwołać pozostałe pociski i przygotować się do lądowania.**

**–To są jednostki musthów – powiedział Celidon. – Największa to chyba coś w rodzaju okrętu bazy. Za późno wystartowaliśmy i...**

**Redruth wpadł na mostek. Ciężko dyszał, oczy lśniły mu niezdrowo.**

**–Wyrrywajmy w kosmos! – krzyknął. – To pułapka!**

**–Może nie – spokojnie odparł Celidon. – Ale z pewnością nie doceniliśmy Cumbrian. Nikt też nie oczekiwał, że nasza wizyta zbiegnie się z przylotem musthów.**

**Jesteśmy już na wznoszeniu. Nie ma się czym martwić, protektorze. Zabierzemy się**

do nich innym razem...

Corfe oddalał się od wyspy Chance, nie zauważając sunących jego śladem dwóch cooków. W pierwszym siedział Garvin Jaansma, w drugim, lecącym nieco z tyłu, Njangu Yoshitaro. – Możemy go dostać? – spytał zniecierpliwiony Garvin, wiercąc się na fotelu.

–Wątpię, sir – odpowiedziała Ho Kang.

–Odsądza się od nas – zameldował Biegnący Niedźwiedź. – Jest znacznie szybszy.

–Co wy wyprawiacie? – zachrobotało w głośniku. – Jak zechce, to tak wam przyłoży, że mokra plama nie zostanie.

Garvin nie zwrócił uwagi na gadanie Yoshitara.

–Puść mu serię – rozkazał Ho.

–Tak jest, sir.

Ho Kang nacisnęła spust. Pociski zatoczyły łuk i wpadły do morza setki metrów za umykającym Corfe. Cook zadrżał i wyraźnie zwolnił.

–Cholera jasna. Nie dałoby się z przewyższeniem? – Żadnej szansy, sir.

Garvin oprzytomniał nieco, widząc, jak Corfe staje na ogonie. Po chwili widzieli już tylko mały punkt na tle nieba. Kilka sekund później, już poza atmosferą, niszczyciel wszedł w nadprzestrzeń i zniknął na dobre.

Garvin usiadł spokojnie, a cook zwolnił do szybkości przelotowej.

–Trudno. Przynajmniej próbowaliśmy – powiedział z uśmiechem.

Biegnący Niedźwiedź łypnął na niego dziwnie, ale nic nie powiedział. Ho spojrzała na Jaansmę z jawną dezaprobatą.

–Dobra – mruknął Garvin, którego nagle ogarnęło zmęczenie. – Wracamy do domu.

Ale nie wymyślajcie mi potem zbyt głośno.

–Nie będziemy, sir.

Cook zawrócił. Po chwili dołączył do niego boczny.

–Mogę zapytać, co ty, u diabła, chciałeś zrobić?! – krzyknął Njangu przez radio.

**–Chyba nieco mnie poniosło.**

**–Aha – przyznał Yoshitaro. – Coś mi się zdaje, że nie umrzesz jako marszałek z pierśią w medalach, bo przedtem cię uduszę...**

**–Hm, hm... – przerwał mu Biegnący Niedźwiedź. – Mam wezwanie o pomoc. Tuż przed nami. Chyba w wodzie.**

**Garvin spojrział na niego zdumiony, ale przypomniał sobie, że Corfe strzelał do czegoś nad oceanem.**

**–Zobaczmy, czy jest kogo zbierać.**

**Biegnący Niedźwiedź zwolnił i zmniejszył pułap. Lecieli tuż nad falami.**

**–Tam! – wskazał.**

**Na powierzchni oceanu kołysały się łagodnie dwie połówki ślizgacza. Jedna była bliska zatonięcia.**

**–Nie wydaje się, żeby było po co się zatrzymywać.**

**–Jest. Ktoś tam macha – zauważył Jaansma. – Zejdź niżej.**

**Cook zawisł nad wrakiem. Niewiele zostało ze ślizgacza, ale poduszki powietrzne zadziałały. Na tej przy sterach leżał twarzą w dół jakiś mężczyzna.**

**Obok siedziała z zadartą głową wstrząśnięta Jasith Mellusin.**

**–Garvin?**

**–Jakoś się tak złożyło – odparł i zeskoczył na tonący kadłub. Omal nie wpadł do wody.**

**Loy Kuoro uniósł zakrwawioną twarz.**

**–Jestem ranny – wybełkotał. – Weźcie mnie do szpitala.**

**Usiłował się podnieść, ale Garvin pchnął go z powrotem na fotel.**

**–Poczekaj – powiedział. – Panie mają pierwszeństwo.**

**Uniósł Jasith. Poczul zapach znajomych perfum i wróciły wspomnienia. Łzy napłynęły mu do oczu, ale zdołał się opanować i podał dziewczynę strzelcowi.**

**–Dobra, teraz ty, żaloszny dupku – zwrócił się do Loya.**

**Chwilę później z hukiem weszły w atmosferę jednostki musthów.**



W sali znajdowało się dziewiętnastu członków Rady, a ponadto caud Rao z zastępcą i oficerem wywiadu oraz Aesc, cywilny przywódca musthów w układzie Cumbre, i Wlencing, dowodzący ich siłami.

–Pierwsza ssprawa – powiedział Aesc językiem ludzi, charakterystycznie dla swojego gatunku posyкуюjąc. – Muszę zapewnić co do jednego. Wprawdzie odczuwamy gniew po sstracie naszych braci, posstanowiliśmy jednak dać wam drugą szansę.

Sądząc po wyrazie twarzy, większość członków Rady przyjęła to sceptycznie.

–Chcemy wsspółżyć z wami w pokoju – rzekł z naciskiem Aesc. – Możliwe, że nasze wcześniejsze problemy wzięły się z tego, że żyliśmy ossobno, nie ufając ssobie.

–Co konkretnie chce pan przez do powiedzieć? – spytała Jo Poynton.

–Przede wszystkim powinniśmy puścić w niepamięć zarówno śmierć naszych podczas niedawnego powsstania, jak i ekipy utrzymującej ład w opuszczonej bazie na Plasskowyżu. Nie bierzemy nawet pod uwagę, aby mogło to być morderstwo z zimną krwią. Chcemy zaoferować ludziom miejscsca pracy w naszych kopalniach na Ssilitricu, i to na wszystkich szczeblach, od górników dołowych po sstanowiska nadzorcze. Płacić będziemy w złocie, co chyba łatwo przełożyć na wasze kredyty. Możliwe też, że niektórzy nasi ekssperci mogliby zyskać na wsspółpracy z ludzkimi sspecjalisstami albo na obsserwacji waszych metod pracy. Ponadto, ponieważ nasza kwatery główna będzie tam gdzie przedtem, na Plasskowyżu, w tych ssamych budynkach, które najpierw będziemy musieli oczyścić z zapachu śmierci naszych braci, zamierzamy otworzyć konssulaty w większości miasst na planecie.

–W jakim celu? – zapytał jeden z członków Rady.

–Jak już powiedziałem, dysstanss, brak kontaktu mogą rodzić nieufność.

Przebywając blissko wass, poznamy się wzajemnie być może dość dobrze, aby się nie powtórzyły godne pożałowania wypadki z przeszłości. Może kiedyś będziemy mogli wam zaproponować podróż na kilka naszych światów, żebyśmy poznali się jeszcze lepiej.

–Mam wrażenie, że wróciliście w znacznie większej liczbie niż stąd odlatywaliście – powiedział caud Rao. – Poza tym zjawiliście się na okrętach wojennych, a nie frachtowcach.

–To prawda – przyznał Wlencing. – Jesteśmy osstrożną rassą. Może zresztą

**dobrze się składa, bo udało nam się przegonić tego, który jak powiedzieliście, próbował zdobyć zwierzchność nad tym układem.**

**–Nie zaprzeczę – odparł Rao. – Jednak jaki cel ma wasza obecność militarna? Nie zapominajcie, że ten układ wciąż jest częścią Konfederacji.**

**–Tylko głupiec zaczyna się rządzić, ledwie się gdzieś pojawi – powiedział Wlencing.  
– Przez kilka cykli chcemy was poznawać i szkolić naszych żołnierzy z waszymi.**

**Jesstem pewien, że uda nam się osiągnąć porozumienie. Możemy podzielić się zadaniami obronnymi, przy czym nasze siły wzięłyby odpowiedzialność za obronę kosmiczną i powietrzną, wasze za lądową. Moglibyśmy też stworzyć jednostki mieszane, co byłoby ciekawym eksperymentem.**

**–Komu przypadnie dowodzenie? – spytał caud Rao.**

**Wlencing machnął łapą, dając do zrozumienia, że to go nie interesuje.**

**–O tym możemy zdecydować we właściwym czasie, nie teraz. Nawiassem mówiąc, zauważyłem, że rozproszyliście swoje siły. Ostatnio tego nie było. Uznałbym to za gest dobrej woli, gdybyście sprowadzili wojsko do bazy i przeszli ponownie na pokojowy tryb służby. Na jedno jeszcze muszę nalegać. Widzieliśmy, że bardzo umiejętnie zastosowaliście w walce nasze aksie. Domyślamy się, że zamierzaliście zwrócić nam je w dogodnym dla was terminie. Rao wahał się przez ułamek sekundy.**

**–Oczywiście – powiedział.**

**–To dobrze – rzekł Wlencing i skłonił się lekko Aescowi. – Przepraszam, że przerwałem, ale moim zdaniem były to sprawy istotne.**

**–Nie mam już wiele do powiedzenia – podjął Aesc. – Pragnę pozostać w bliskim kontakcie z waszą Radą, gdyż na pewno szybko pojawi się wiele tematów wymagających przedyskutowania. Wtedy też ustalimy terminy następnych spotkań, oby równie owocnych jak to.**

**Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł. Wlencing ruszył za nim, ale przystanął jeszcze przed caudem Rao.**

**–Czy to nie dobrze, że moje słowa, iż następnym razem spotkamy się na polu bitwy, nie okazały się prawdziwe?**

**–Wojna nigdy nie jest dobra – powiedział Rao.**

**Wlencing położył łapę na piersi i wyszedł.**

**–Co miał znaczyć ten gest? – spytał Angara.**

**Rao wzruszył ramionami, Hedley pokręcił głową.**

**–Może chciał dać do zrozumienia, że pogardza pacyfistami?**

**–Nie podoba mi się perspektywa, że musthowie będą latali gdzie im się żywnie podoba, a my pozostaniemy przykuci do ziemi – powiedział Angara. – To nie jest równy podział ról. Nie jestem też przekonany do ściągania wszystkich sił z powrotem do Mahan. Znowu bylibyśmy jednym dużym i bardzo dogodnym celem. Nie przychodzi mi jednak do głowy, jak tego uniknąć.**

**–A ja wzdragam się przed oddaniem im aksaiów – mruknął Hedley. – Ale jak powiedziałeś, nie mamy wielkiego wyboru.**

**–Jaka jest pańska ocena? – spytał Rao oficera wywiadu.**

**–Musthowie sprowadzili wiele tych dziwnych jednostek... nazywają je macierzystymi.**

**Zapewne słusznie, i to w obu znaczeniach. Poza tym wyglądają raczej na wojowników, nie robotników gotowych pracować w kopalniach. Przypuszczam, że przewyższają nas liczebnie dwu albo i trzykrotnie.**

**–Mówiąc krótko, potrafią kłamać niemal równie dobrze jak ja – stwierdził Hedley.**

**–Pomyślałem to samo – powiedział Rao.**

**–Znowu kwiaty? – zapytała Jasith.**

**–Owszem – odparł pielęgniarz i spojrzał krytycznie na sporą wiązanekę. – Chyba te są najładniejsze. Pewnie chcą ci powiedzieć: zdrowiej, płac rachunek i spadaj.**

**–Pielęgniarze nie odzywają się tak do chorych, Merle.**

**–A co ty możesz wiedzieć o pielęgniarzach? – spytał młodzieniec.**

**Jasith uśmiechnęła się.**

**–Płacę tu za wszystko.**

**–Skoro tak... Twój mąż dzwonił, że spóźni się godzinę. Jest na spotkaniu Rady z futrzakami.**

**–Tylko godzinę. Jak na niego to niewiele.**

–Proszę... I jeszcze jedna poufna informacja. Twój lekarz mówi, że infekcja zaczęła ustępować. Powinnaś stąd wyjść za parę dni.

–Skoro tak, to jeśli chcesz całusa, wystarczy poprosić – odparła żywo Jasith.

–To nie w moim stylu – stwierdził Merle. – Poza tym mu nie wierzę. Cokolwiek podłapałaś w tej kąpieli, pewnie jeszcze tym siejesz. Dbam o swoje zdrowie.

–To może załatwisz nieco soku owocowego? I dolejesz ze trzy palce wódki? – Żeby potem sam musiał to pić? – spytał pielęgniarz, kładąc bujną wiązanekę na jednej z ław, która już teraz wyglądała jak grządka w ogrodzie botanicznym.

Zaraz potem wyszedł.

Jasith spojrzała na kwiaty i uznała, że Merle miał zapewne rację. Te były chyba najładniejsze. Sięgnęła po bilecik.

Najlepszego

Garvin Skrzywiła się, zmięła kartonik i cisnęła go do kosza.

Podeszła do okna i spojrzała na Leggett oraz majaczącą w porannej mgiełce wyspę Chance.

Nad miastem przemknęły dwa dziwaczne myśliwce musthów. W ostrym wznoszeniu skierowały się ku wiszącej znacznie wyżej jednostce macierzystej. Przez dźwiękoszczelne okna przebił się grom towarzyszący przekroczeniu bariery dźwięku.

Jasith długo wpatrywała się w widok za oknem, aż w końcu wróciła do kosza, wyjęła bilecik od Garvina, po czym go wygładziła. I schowała.

Alikhan, potomek Wlencinga, zmierzył spojrzeniem trzy aksaie zaparkowane na jednej z dróg kołowania lądowiska bazy Mahan.

–Wszystkie trzy są zdolne do lotu? – spytał stojącego za nim oficera, człowieka niemal tak wysokiego jak musth.

–Tak. Dwa latają całkiem dobrze, trzeci trochę kulawo... przepraszam, jest w gorszym stanie.

–Rozumiem. – Alikhan znowu spojrzał na maszyny. – To na nich starliście się z intruzami?

–Zgadza się – odparł Ben z nadzieją, że obcy przełknie to oczywiste kłamstwo.

–Niezwykłe. Nie sądziłem, że w takim stanie technicznym w ogóle mogą latać, o

walce manewrowej nie wspominając.

–To było ciekawe doświadczenie – powiedział Ben, tym razem nie kłamiąc.

–Byłeś jednym z ich pilotów?

–Tak.

–Który z was zestrzelił te dwa patrolowce?

–Jednego ja, a drugiego mój skrzydłowy... to jest boczny, który zawsze trzyma się obok mnie i pilnuje, żeby nikt nie zaatakował od tyłu. Ale chybiłem Corfe, jednostkę flagową Redrutha. – Dill pomyślał, że mówi za wiele.

–Masz więc zestrzelenie – mruknął Alikhan. – Ja dotąd nie miałem tego szczęścia.

–Mam nadzieję, że nie zmieni się to podczas waszego pobytu w układzie Cumbre – zauważył Dill.

Alikhan otworzył szeroko usta, z których dobył się gardłowy syk przypominający ostrzeżenie rozwścieczonego kota. Dill odstąpił od niego i dotknął kabury, ale zaraz przyszło mu do głowy, że musth może się po prostu śmiać.

–Bystrzak jesteś – rzekł Alikhan.

–Dziękuję. I przepraszam za nieporozumienie. Nie miałem z wami wiele kontaktów.

–Ani ja z wami.

–Jak nauczyłeś się tak dobrze wspólnego? – spytał Dill. – Niektórych musthów trudno czasem zrozumieć, tak syczą.

–Syczenie to taki dźwięk, jaki wydaje uciekające powietrze?

–Mniej więcej.

–Ten, który uczył mnie wspólnego, surowy i mądry mistrz, był dla mnie dobrym wzorem.

Dill uśmiechnął się.

–A jak my mówimy językiem musthów?

–W ogóle nie mówicie – powiedział Alikhan. – Żaden człowiek nie opanował dotąd naszej mowy.

**Dill zaśmiał się. Nie zauważył, że teraz musth dotknął dyskretnie broni, czekając na reakcję człowieka. Gdy jednak nic się nie stało, Alikhan też dał wyraz wesołości.**

**–Zaprosiłbym cię do kantyny oficerskiej na piwo, ale nie wiem, czy pijacie alkohol – powiedział Dill.**

**–Nie pijamy. Ale wiem co nieco o waszych zwyczajach, nawet jeśli mi nie odpowiadają. Niemniej i wam nie spodobałoby się to, co my spożywamy dla odprężenia.**

**–A co to jest?**

**–Poddane procesom gnilnym mięso z przyprawami.**

**–Hmm... Znamy coś podobnego, ale jemy to po ugotowaniu.**

**–Ale to niszczy cały aromat!**

**–Szkoda, że wasi przywódcy nie pozwolili nam zatrzymać tych maszyn – powiedział Dill, zmieniając temat. – Ciekawie byłoby zmierzyć się z wami w pozorowanej walce na tym sprzęcie.**

**–Owszem – przyznał Alikhan. – Ale taka próba generalna byłaby trochę nie na miejscu.**

**Dill spojrzał na niego uważnie.**

**–Powiedziałaś: próba generalna? Na pewno o to ci chodziło?**

**–Z pewnością. Bo co innego nas czeka, jak nie wojna? To, co my dwaj o tym sądzimy, jest bez znaczenia.**

**Dill zamyślił się.**

**–Myślę, że wojnę zaczynają ci, którzy uważają ją za nieuniknioną – powiedział.**

**–Tyle że jej wynik nie zawsze jest taki, jakiego oczekiwali.**

**Caud Rao postanowił poczekać ze ściąganiem jednostek na wyspę Chance do czasu, aż musthowie ponowią żądanie.**

**Jednak minęły dwa tygodnie, a ponaglenie nie przychodziło. Czyżby zapomnieli?**

**A może nie brali Rao Grupy poważnie?**

**Pogwizdujący wesoło Garvin wszedł do kwatery, którą dzielił z Njangu. Trwało**

chwile, nim zauważył osobliwe zachowanie przyjaciela, który wpatrywał się jak zahipnotyzowany w nieruchomy obraz na ekranie odbiornika.

–Co jest?

–Sam zobacz – powiedział Njangu nieswoim głosem.

–Co to za jedni?

–Nasz rząd, ciołku.

–Powiedziałbym raczej, że banda spasionych złodziei.

–To też.

–No to o co chodzi?

Njangu pomanipulował kontrolkami, powiększając obraz jednej z osób. Garvin przyjrzał się jej bliżej.

–Ejże... to jest... jak jej tam? Ta Raumka, która była szefem wywiadu w Ruchu, gdy bawiliśmy się w szpiegów? Ta, której kazałeś na koniec uciekać?

–Jo Poynton – powiedział Njangu. – To ona. Myślałem, że działała pod pseudonimem, jak większość z nich, ale jeśli nawet, dalej go używa.

–I zasiada w Radzie? – spytał z niedowierzaniem Garvin.

–A dlaczego nie? Wojna się skończyła – rzucił cynicznie Yoshitaro. – Rany już się zabiły.

–Ale ona była ich głównym szpiegiem, należała do dowództwa, do całej tej ich Grupy Planowania!

–To tylko dowodzi, że niektórzy zawsze wypływają.

–Ale jakim cudem nikt nie nadał tego dziennikarzom? Ten idiota Kuoro byłby wniebowzięty, mogąc zmieszać ją z błotem.

–Możliwe, że jedyne zapiski na ten temat ocalały w naszych archiwach – powiedział Njangu. – Przypuszczam, że wraz ze zburzeniem siedziby rządu przepadły wszystkie akta policyjne. Razem z tymi draniami od przesłuchań.

–No to co zrobimy?

Njangu wzruszył ramionami.

**–Chyba nic.**

**Garvin spojrzał uważnie na swojego zastępcę.**

**–Czy ty przypadkiem z nią nie tego...? – „Nie tego” jest właściwym określeniem.**

**–Odezwiesz się do niej?**

**–I co powiem?**

**–Nie wiem – westchnął Garvin. – Sam mam dość takich problemów.**

**Njangu zmierzył Jaansmę wzrokiem.**

**–Wcześniej nie rzucało się to w oczy, ale teraz widzę, że jesteś dziwnie radosny. Dlaczego?**

**–Hm... – powiedział niezbyt pewnym głosem Garvin. – Wysłałem właśnie kwiaty...**

**–A niech cię – westchnął Njangu. – Nigdy się nie poddasz? To mężatka, zapomniałeś?**

**–Wiem – rzucił Garvin i Njangu zrozumiał, że rozmowa na ten temat właśnie dobiegła końca.**

**–Dobra. Mniejsza. – Wziął biuletyn z najświeższymi raportami i podszedł do Garvina.**

**–Lepiej sobie poczytaj.**

**–Co jest?**

**–Wyspy Leeat. Taka mała grupa wysepek na krańcu świata. Mają tam problemy z piratami.**

**–Z piratami... dobre sobie.**

**–Serio. W każdym razie tak twierdzą. Raumowie, dawni buntownicy, którzy nie mieli ochoty wracać do pozorów uczciwego życia, zaczęli nękać miejscowych rybaków.**

**Niemiała banda, jak można sądzić, chociaż brak szczegółów. Policja jest bezradna, bo ile razy coś się stanie, zawsze wychodzi na to, że nikt nic nie widział.**

**–I pewnie chcą, żebyśmy się tym zajęli – stwierdził Garvin.**

**–A co, wolisz tu siedzieć i dumać o musthach?**



**–Racja. Co wiemy o tych piratach?**

**–Właściwie nic. Łodzie znikają bez śladu. Żadnych ciał, niczego. Czasem słycać tylko urwane w połowie wezwania o pomoc na częstotliwości ratunkowej.**

**Przypuszczam, że zabijają rybaków, przetrząsają łodzie w poszukiwaniu cenniejszych rzeczy, a potem albo je zatapiają, albo odprowadzają do jakiejś kryjówki. Wystarczy je przemalować i można wypływać pod nową nazwą. Nie zdziwiłbym się, gdyby we wioskach rybackich mieli szpiegów wskazujących cele. I tyle.**

**–Masz jakieś mapy tamtych okolic, żebyśmy mogli zacząć coś planować? – spytał Garvin.**

**–Czy byłbym godzien służyć w Grupie, gdybym nie miał?**

**–Niech mnie... – powiedział Njangu. – Byłem pewien, że zginąłeś!**

**–Prawie – odparł poważnie Ton Milot. – Dostałem w ramię i nogę, prawie ją straciłem.**

**Teraz mam w niej z metr syntetycznej kości.**

**–Wiesz, że Hank Faull dostał Gwiazdę Walecznych? – spytał Yoshitaro. Milot został ranny w Eckmuhl, pod koniec powstania Raumów. Faull wtedy zginął.**

**–Tak... Wdowa po nim ma teraz z czego żyć i może wykarmić dzieciaki.**

**–A ty co po tym wszystkim robisz jeszcze w mundurze?**

**Milot odwrócił wzrok. – Żebym to ja wiedział. Gdybym miał trochę oleju w głowie, wziąłbym rentę i poszedł łowić ryby. A tak... – Urwał niepewnie. – Chwila, nie powinienem ci przypadkiem salutować?**

**Jesteś w końcu aspirantem...**

**–Wypchajcie się, finf – rzucił Njangu. – Starczy, że będziecie bić czołem.**

**–Jak zwykle serdeczny i skromny.**

**–Miło, że się nie zmieniłeś. Witaj z powrotem w zwiadzie. Zakładam, że wciąż możesz nosić plecak.**

**–Albo nosić, albo zrobić kogoś w noszenie – odparł Milot. – Przy okazji, wiesz, że ożeniłem się z Lupulą?**

**–Gratulacje. Dlaczego nie zaprosiłeś mnie na wesele?**

**–Przyszło nam to do głowy dość nagle. Ugadywałem się już trochę z Deirą...**

**Pamiętasz ją?**

**Njangu skinął głową. Podczas urlopu po promocji odwiedził wraz z Milotem jego rodzinne Issus. Skończyło się na przelotnym trzyosobowym związku: on, należąca do jego drużyny strzelec Angie Rada i tamta szesnastolatka.**

**–No właśnie... Lupula dowiedziała się o tym, niestety – ciągnął Milot. – A może to i dobrze... Powiedziała, że pora, abym został albo szczęśliwym kawalerem, albo kimś innym. I dodała, że jeśli chodzi o kawalerstwo, to ma nadzieję, że mi szybko odpadnie mały. Tak czy owak, zastanowiłem się i wyszło mi, że nikogo lepszego od niej nie znajdę, pobraliśmy się więc. Z całym rybackim obrządkiem na łodzi i tak dalej. Nawiasem mówiąc, Deira o ciebie pytała.**

**–Za piękne, żeby było prawdziwe – mruknął Njangu, myśląc o Jo Poynton.**

**–Może kiedyś pojechałbyś ze mną do Issus? – zaproponował Milot. – O ile taki oficer może się zadawać z pospolitakiem, oczywiście.**

**–Pomyślmy o tym w stosownej chwili – obiecał wymijająco Njangu. Pomysł był jednak kuszący. – Ton, dałoby się pożyczyć na miejscu łódź rybacką?**

**–Nie pożyczyć, ale wynająć. Rybacy też muszą zarabiać. A jeśli pytasz oficjalnie, to dodam, że inaczej byłoby trudno. Coś mi podpowiada, że po twoim rejsie łajba może mieć sporo przestrzelin. Do pomocy możemy zatrudnić mojego brata. Pamiętasz Aleia... to z jego łodzi wypadłeś za burtę jako przynęta.**

**–Mniejsza o tamto – mruknął Njangu. – Ale mam pytanie. Kojarzysz wyspy Leeat?**

**–Trochę. Grupka wysepek na drugiej półkuli, gdzie diabeł mówi dobranoc? Nigdy nie łowiłem w ich pobliżu, ale wiem, że niektórzy owszem. Praca kontraktowa. Dowożą samolotem, pracuje się sezon, potem odwożą. Ciekawa robota. Nie można się wprawdzie za bardzo wzbogacić, ale jest potem o czym opowiadać. Tam są naprawdę duże ryby.**

**–Chętnie pogadałbym z tymi, co tam byli – powiedział Yoshitaro. – Myślmy ruszyć na jeszcze większe ryby.**

**Milot poruszył brwiami.**

**–Dobra, szefie. Świetny pretekst. Fajnie, że nie chcesz zajrzeć do Issus z żadnego innego powodu.**

**–Mówię prawdę, do cholery.**

**–A czyja mówię co innego? To bardzo przekonująca prawda.**

**–Chyba nic lepszego nie mogło mi przyjść do głowy – powiedział zadowolony z siebie Njangu.**

**–Nie wykluczam – zgodził się Garvin. – Co więcej... tylko nie pęknij z dumy... przypadkiem mogłoby zadziałać.**

**–No to może wynagrodziłbyś swojego genialnego i nieustraszonego zastępcę świeżym piwem? Ostatnie dwa dni użerałem się z rybakami.**

**–Naprawdę byłeś tak zajęty, że nie udało ci się zabrać nikogo na spacer przy księżycu?**

**–Cholera jasna – warknął Njangu. – Czy wszyscy muszą znać moje sprawy miłosne?**

**Cokolwiek poza tym robiłem, nic ci do tego. A teraz mogę prosić o piwo?**

**Garvin spełnił prośbę, wziął też piwo dla siebie i raz jeszcze przyjrzał się holoprojekcji.**

**–Tu go przeprowadzimy... – mruknął. – Dzień żeglugi od obszaru największej aktywności... łowiąc, dopłyniemy tutaj... jest szansa, że piraci wyskoczą na nas i dadzą się skrócić o głowę. Masz rację, Yoshitaro. Nie widzę błędów w tym planie.**

**Rozległo się pukanie do drzwi.**

**–Kto tam?**

**–Lir – usłyszeli. – Z gościem.**

**–Jaki certyfikat bezpieczeństwa ma ten gość?**

**–Wyższy niż wy – powiedział Hedley, wchodząc do kancelarii dowódcy kompanii. – Planujecie coś niecnego?**

**–Prawie. Chcesz usłyszeć?**

**–Potem. Mam dodatek do waszego planu. Spokojnie, nic strasznego.**

**–Hmm – rzucił powątpiewająco Njangu.**

**–Zamieniamy się w słuch – dodał podejrzliwie Jaansma.**

**–Chodzi o obserwatorów.**

**–Szefie – sapnął Garvin. – To naprawdę tajna operacja, do cholery! Nie mamy miejsca dla ciekawskich, którzy nigdy nie byli na akcji.**

**–Dokładnie trzech.**

**–Cudownie, kurna – powiedział Njangu. – Nie da się im powiedzieć, żeby się pakułami wypchali?**

**–Nie – odparł Hedley, starając się nie uśmiechać. – Żeby to... – rzucił Garvin. – Który jajogłowy z rządu wpadł na ten genialny pomysł, żeby się na nas uwiesić?**

**–W zwiadzie nie ma łatwo. Nasi obserwatorzy chcą zobaczyć prawdziwą operację, a tylko zwiad akurat coś takiego przeprowadza. Co zaś do tego, kto... nie chodzi o rząd. – Żeby to jasna... -...cholera – dokończył Hedley. – Ci obserwatorzy, którzy notabene o nic nie poprosili, tylko wleźli bez pukania, to Wlencing i jego dwóch adiutantów. – A niech ich dżuma wydusi... – Njangu padł na fotel. – Jak, u diabła, mam ukryć trzech futrzaków na łodzi rybackiej? Przypominam, że mamy nie budzić podejrzeń...**

**–Może jeden mógłby robić za galion? – zaproponował Hedley.**

**Njangu spojrzał na niego, jakby chciał go przestrzelić wzrokiem.**

**Ciężki ślizgacz transportowy stoczni został załadowany zapasowymi ogniwami paliwowymi, a jego moduły antygravitacyjne przeszły szczegółową kontrolę. Tuż przed świtem wymknął się z doków z dwoma żołnierzami na pokładzie i przez zatokę skierował się na wschód. Koło południa okrążył półwysep i nieco przed świtem osiadł na plaży za Issus.**

**Tam czekał już dwudziestometrowy kuter o nazwie Urumchi Darling, bardziej łódź wypornościowa niż ślizgacz, gdyż przeznaczono go do długich rejsów, podczas których użycie modułów antygravitacyjnych byłoby zabójczo kosztowne. Przypominał sylwetką łodzie używane do połowów w okolicy Leeat, a wynajęto go od rybaka z Issus.**

**Zgodnie z obietnicą na pokładzie czekał już Alei, brat Tona Milota. Jego gaża była tylko trochę wyższa niż suma, która trzeba było zapłacić za wyczarowanie kutra.**

**Alei został ostrzeżony, że wyprawa może być niebezpieczna, ale tylko wzruszył ramionami i powiedział, że na pewno nie bardziej niebezpieczna niż porządny tajfun, który trwa zresztą zwykle o wiele dłużej od byle strzelaniny.**

**Ton spytał też, czy Yoshitaro nie ma przypadkiem ochoty zabrać Deiry, co dodałoby**

wyprawie autentyzmu, gdyż wielu rybaków zabierało ze sobą rodziny. Njangu pokręcił głową i pomyślał o rozmaitych brudnych zajęciach, które wynajdzie dla Milota, gdy już będzie po wszystkim.

Urumchi Darling wyciągnięto na brzeg i nieco przebudowano, aby jeszcze bardziej przypominała łodzie z wysp Leeat. Otrzymała mały żagiel na rufie, dwa bomby trałowe na głównym maszcie, usunięto też pomost harpunnika.

Na koniec Njangu kazał namalować czerwony pas nad linią wodną, w kolorze bliźniaczych rur wydechowych, relingi zaś pociągnąć niebieskim lakierem. Całą robotę wykonały dwie skierowane do tej operacji drużyny z kompanii zwiadu dowodzone przez deca Dęba Irthinga. Garvin nie uprzedził ich, że przed akcją będą musieli chwycić za młotki i pędzle, ale nikt nie protestował. To i tak było ciekawsze niż zajęcia w koszarach.

Przybyli z obozu Mahan w trzech griersonach prowadzonych przez Bena Dilla, które ukryli pod drzewami i obłożyli gałęziami. Wszyscy byli w zwykłych cywilnych ubraniach.

O świcie następnego dnia, gdy czekali na przyływ, pochłaniając żelazne racje, specjalistka od walki radioelektronicznej podniosła alarm. Radar namierzył wchodzącą w atmosferę dużą jednostkę kosmiczną kierującą się na wschód. Dziewczyna straciła jej ślad za masywem pobliskiej wyspy, odzyskała zaś, gdy maszyna wzniosła się nad pagórki nie zamieszkanego lądu i skierowała się ku nim na niskim pułapie.

Pięć minut później już widzieli, co ku nim leci. Był to jeden z tych wielkich okrętów zwanych przez musthów macierzystymi.

Jednostka zwolniła i zawisała nad linią brzegową. W powietrzu zawirował wzbity przez jej napęd wodny pył.

Otwarto właz, opuszczono pochylnię i na plażę zszedł Wlencing oraz jeszcze dwóch futrzaków. Byli w pełnym oporządzeniu bojowym ze zrolowanymi zapasowymi ubraniami. Jeden niósł na plecach skrzynkę, która wyglądała na moduł łączności.

Garvin i Njangu podeszli do nich. Garvin zasalutował. Obie drużyny czekały za jego plecami w postawie na baczność. Wlencing uniósł łapę, skłonił głowę i stał w bezruchu.

–Witamy serdecznie – odezwał się Yaansma.

–Nie przypuszczam – powiedział Wlencing.

–Słucham? – spytał obojętnym tonem Garvin. – Gdybym miał ruszać do walki, nie

**byłbym szczęśliwy, że dodaje mi się do towarzystwa isstoty mało mi znanej rassy.**

**–To prawda, nie jestem zachwycony, ale takie dostałem rozkazy.**

**–Posstaramy nie plątać się pod nogami, chociaż jeśli dojdzie do walki, chętnie pomożemy.**

**Njangu usłyszał, jak ktoś z tyłu mruczy: „Ale kit wciskają”, poznał, kto to powiedział, i zakarbował sobie, żeby się nim zająć.**

**–Może tak się zdarzyć – powiedział Jaansma. – Jeśli... a raczej gdy dojdzie do walki, przyda się każdy zdolny do noszenia broni. Ale chcę, żeby jedno było jasne od początku. Tu jest tylko jeden dowódca.**

**–To jedyne logiczne rozwiązanie – zgodził się Wlencing. – W czasie walki będziemy wykonywać twoje rozkazy.**

**Garvin poprowadził ich w kierunku wydm.**

**–Chyba już się kiedyś sspotkaliśmy – powiedział Wlencing.**

**–Owszem – przyznał Garvin.**

**–Byłeś wtedy... sstrzelcem. Dopiero się uczyłeś na żołnierza – Masz dobrą pamięć.**

**–A teraz dowodzisz tymi, którzy idą przed wszystkimi?**

**–Tak.**

**–Musiałeś dobrze się uczyć.**

**Garvin wzruszył ramionami.**

**–Ciekaw jestem waszych sspособów walki i umiejętności. I planów.**

**–Na razie załadujemy się do griersonów – wyjaśnił Garvin. – Na kuter przesiądziemy się dopiero w pobliżu Leeat. Irthing, każ wsiadać!**

**Napęd stocznioowego ślizgacza ożył i obie części dwudzielnego wehikułu uniosły się z wolna. Z każdej opuszczono liny, które przeciągnięto pod dziobem i rufą Urumchi, a gdy łódź została podźwignięta – również pod śródokręciem.**

**Pilot ślizgacza dał znać swojej towarzyszce siedzącej w kabinie drugiej części, po czym obie się zsunęły, obejmując Urumchi Darling.**

**Pod eskortą griersonów ślizgacz skierował się nad morze, najpierw ku wschodowi,**

aby oddalić się od lądu, a potem na północny wschód, w kierunku Leeat.

Szturmowiec Mar Henschley właśnie ukończyła szkolenie w obsłudze wyrzutni pocisków Shrike, ale wciąż czuła się jak zwykła piechociara. Siedziała skulona na ławie griersona i żałowała, że w tej akcji musi się zadowolić zwykłym blasterem.

Naprzeciwko niej, tuż obok wieży, siedział musth. A właściwie nie tyle siedział, ile stał, bo opierał się na dwóch łapach i wyprężonym ogonie. Chociaż zgięty wpół, głową sięgał do pancernego dachu pojazdu.

Było mu chyba tak samo niewygodnie jak strzelec Henschley.

Posłała mu współczujący uśmiech, ale w zamian otrzymała zrazu tylko zaciekawione spojrzenie, potem jednak futrzak postawił uszy i pokiwał przypominającą łeb węża głową. Henschley miała nadzieję, że nie było to wyzwanie do walki na śmierć i życie.

Stoczniowy ślizgacz osiadł na wodzie. Tuż nad nim, nieco z tyłu, unosiły się trzy griersony.

Byli na pełnym morzu, horyzont mieli zupełnie pusty.

Kuter został opuszczony, a gdy zaczął swobodnie kołysać się na falach, Milot z bratem przeszli na niego ze ślizgacza. Alei pobiegł do sterówki i odpalił silniki, a griersony podeszły do rufy i przerzuciły obie drużyny. Njangu i Garvin gotowi byli pomóc musthom, ale obcy zgrabnie zeskoczyli na pokład.

Griersony zahuczały basowo i oddaliły się.

–Wylądują na jednej z nie zamieszkanym wysepek – wyjaśnił Garvin Wlencingowi.

–Oprócz nich będziemy mieli jeszcze wsparcie kilku zhukowow... to nasze ciężkie maszyny wsparcia artyleryjskiego. W pogotowiu czeka też wydzielona grupa piechoty.

Wlencing pokiwał głową, ale nie odpowiedział.

–Dobra! – krzyknął Garvin. – Kogo tu nie trzeba, pod pokład. Finfie Milot, zaczynamy połów.

–Ta jest, panie szyper – odparł Milot i Urumchi Darling ruszyła pół naprzód.

–Ryby na sonarze – obwieścił godzinę później Alei Milot. – Skoro mamy być rybakami, to pora brać się do sieci.

Na pokładzie zrobiło się nagle tłoczno, gdy niewprawni żołnierze zaczęli wyciągać sieci ze składziku. Ton podczepił je do bomów i wyrzucił za burtę.

**–A co będzie, jeśli naprawdę coś złapiemy? – zainteresował się jeden z żołnierzy.**

**–Sprzedamy połów – odparł Njangu. – A forsa pójdzie na fundusz piwny.**

**–Mam lepszy pomysł – odezwał się sterczący na rufie Wlencing. – Może byśmy go zjedli?**

**–A jak myślisz, ile ryb dasz radę zjeść?**

**–Wiele, naprawdę wiele. Może będziemy mieli szczęście.**

**–Wyciągać! – krzyknął Alei i zaczęła się skomplikowana operacja wydobywania obu włoków z morza. Gdy już się wynurzyły, zostały zabezpieczone na bomach, a potem kolejno wciągnięte na pokład.**

**–Ale szpetne stworzenia tu żyją – mruknął Irthing, patrząc na to, co złowili.**

**Alei dał znak, by otworzyć pierwszy włok, i po chwili ryby zasały cały pokład.**

**–I co teraz? – zapytał jeden z żołnierzy.**

**–Jak to co? Na patelnię! – rzucił Ton i pokazał mu nóż do patroszenia.**

**Mar Henschley trzymała na kolanach talerz z zacnie usmażoną rybą, ale z niezdrową fascynacją wpatrywała się w jednego z musthów, zapewne tego samego, który tkwił naprzeciw niej w griersonie.**

**Futrzak też miał talerz pełen ryby, która jednak ruszała się jeszcze trochę po wypatroszeniu. Z zapomnianym kęsem na widelcu Henschley ujrzała, jak obcy rozcina pazurem rybę na dwa płaty, po czym unosi jeden z nich do ust. Poruszywszy trzy razy szczękami, przełknął kęs.**

**Zaraz potem zauważył, że jest obserwowany. Usunął z drugiego płata kręgosłup, wyrzucił go za burtę i wyciągnął filet w stronę Mar.**

**Zawahala się.**

**–Bierz! – zawołał Njangu z pełnymi ustami. Henschley ze zgrozą zauważyła, że jego talerz też jest pełen surowizny. – Dobrze!**

**Ostrożnie przyjęła rybę, zamknęła oczy i nie myśląc o tym, co je, zaczęła przeżuwać.**

**Kubki smakowe podpowiedziały jednak, że to coś smacznego. Bardzo smacznego.**

**Chciała się zrewanżować musthowi swoją smażoną rybą, ale odmówił gestem.**



**Podbudowana odgryzła następny kawałek surowego mięsa i zaczęła żuć z zapalem.**

**Njangu odwrócił się, aby ukryć uśmiech.**

**Następnego dnia trafili na całą flotyllę łodzi rybackich. Żołnierze skryli się za wysokimi nadburciami Urumchi albo stłoczyli pod pokładem.**

**Tkwiący w sterówce Alei Milot zlustrował obce kutry przez lornetę.**

**–Sądząc po odbłyaskach, oni też nas obserwują – powiedział do Njangu. – Pewnie zastanawiają się, czy nie jesteśmy piratami. Zaraz któryś wywoła nas na fonii.**

**Rybacy rzadko korzystają z wizji... zbyt łatwo się wtedy połapać, że ktoś kłamie.**

**–No to sprawdzimy, co nam nałgają – mruknął siedzący przy sterach Ton i sięgnął po mikrofon.**

**–Ktoś mnie słyszy?**

**–Kim jesteście? – usłyszał w odpowiedzi.**

**–Urumchi Darling z Teku. – Teku była najdalszą z wysp archipelagu.**

**–Daleko się zapaściliście.**

**–Tym bardziej zależy nam na dobrym połowie – odparł Milot.**

**–Kto szypruje? – dobiegł z głośnika inny głos. Njangu wyczuł w nim nutę podejrzliwości.**

**–Bracia Milot. Jesteśmy z Issus, ale chcieliśmy spróbować połowu gdzieś dalej.**

**Wynajęliśmy tę balię.**

**Na chwilę zapadła cisza.**

**–Znam jednego z braci Milot, nazywa się Alei. Piliśmy kiedyś razem. Jestem Juba Nushki. Na Dharmę przypląłem jako mat na Ayalew.**

**–Pamiętam – powiedział Alei. – Piłeś wino i żuleś jakieś zielsko, a potem ganiałeś za dziwkami, jakby to one miały ci płacić.**

**–To ja. Jedną nawet złapałem, ale byłem za bardzo urżnięty na cokolwiek.**

**Następnego dnia miałem łeb jak włok. Odtąd uważam na ludzi z miasta i trzymam się swojej okolicy.**

**Issus liczyło około pięciuset dusz. Jeśli to było dla niego miasto...**

**–Jak idzie?**

**–Ech... Podobno wieczorem mają się pojawić flądry, ale na razie słabo. Za mało ryby dla nas wszystkich.**

**–To znaczy, że mają pełne sieci – wyjaśnił Ton, zwracając się do Njangu. – Żaden rybak przenigdy nie pochwali się dobrym połowem przed kimś, kto mógłby mu odebrać ryby z łowiska.**

**–Całkiem nic, jak mówił Juba – dodał przez radio ktoś silący się na przygnębienie. – Sama drobnica i jeszcze piraci w okolicy.**

**–Słyszeliśmy o nich – powiedział Ton. – Naprawdę tu są?**

**–Lepiej uwierz, że są – włączył się kolejny rybak. – Miesiąc temu straciliśmy przez nich dwie łodzie z naszej wyspy. Was też nie byliśmy pewni z tym nowym malowaniem.**

**–Ciężkie czasy nastały – rzucił Ton. – Może faktycznie należałoby się do nich przyłączyć?**

**–Może – odparł Nushki. – Jak chcecie tu łowić, trzymajcie się lepiej blisko nas. W kupie siła. – Żebyście mi w sieci zaglądali? Niedoczekanie, aż tak głupi nie jestem. – Ton odwiesił mikrofon. – Teraz już wszyscy wiedzą, kim jesteśmy. Zwykli chciwi rybacy, jak wszyscy tutaj.**

**–Miejmy nadzieję, że piraci też słuchali – rzekł Njangu.**

**Przez następne dwa dni oglądali wyłącznie ryby i przemykające w oddali inne łodzie rybackie, w końcu więc Wlencing zdecydował się podsunąć Garwinowi, co mu przyszło do głowy.**

**–Czy to możliwe, że ci rybacy nie mówili prawdy? – zapytał.**

**–Jasne – odpowiedział Alei. Poza nim, Jaansmą i obcym w sterówce nie było nikogo więcej. – Rybak jest nieszczęśliwy, póki kogoś nie nabierze. Dwa kłamstwa dziennie to zdrowa norma.**

**–Nie macie firm, którym się płaci za to, żeby w razie niepowodzenia poratowały was pieniędzmi? – indagował musth.**

**–Mówisz o przedsiębiorstwach ubezpieczeniowych? Owszem, mamy. – Łódź rybacka może zatonać... a wtedy dosstaje się od nich pieniądze. I można jeszcze**

**ssprzedać tę ssamą łódź gdzieś daleko.**

**–A wezwania pomocy? – spytał Garvin.**

**–Pozory, żeby dodać realizmu – syknął Wlencing.**

**–Może i tak – mruknął Garvin. – Myślę jednak, że policja sprawdziła już wszystkich, którzy odebrali pieniądze z ubezpieczenia. A gdyby któryś z domniemanych topielców zaczął szastać kredytami, trafiliby na jego ślad.**

**–Na pewno? – spytał Wlencing. – A jeśli załatwił wszystko przez podsztawioną osobę? I czy w waszej policji nie ma takich, którzy za garść kredytów przymkną na coś oko?**

**Garvin zastanowił się.**

**–Może to ma sens. A za kilka dni, jeśli nic się nie stanie, nabierze nawet jeszcze większego sensu. Na razie tylko się tu nudzimy na koszt Grupy.**

**Dwa dni później piraci zaatakowali.**

**Urumchi Darling szła pół naprzód przez długi archipelag w kształcie półksiężyca, z antygravami na małej mocy, aby nie wynurzać się przesadnie z wody.**

**Njangu pełnił wachtę w sterówce, Alei siedział obok przy sterze. Patrzył z rozmarzeniem na tropikalne wysepki przesuwane się za burtami. Kusilo go, żeby zdezerterować i osiąść na którejś z nich. Słońce, łagodna bryza, brak problemów... Owoce i ryby w zasięgu ręki, mógłby też wziąć kilka gipteli, żeby tropiły pieczone.**

**Pływać, wygrzewać się na plaży, zapomnieć o tej przeklętej armii...**

**Chociaż samotność może się znudzić. Mógłby wziąć hoło... Njangu otrząsnął się, przypomniał sobie, co uważano na Cumbre za dobrą rozrywkę. Książki? Nie zwykł sięgać po lekturę, chyba że musiał się doedukować. Towarzystwo? Hm... zawsze była Deira... ewentualnie Jo Poynton. A może...**

**Njangu westchnął i zaczął tworzyć w myślach portret wymarzonej partnerki złożony z cech kobiet, które znał albo chciałby poznać. Starał się nie pamiętać, że tak naprawdę jest miejskim szczurem i tydzień w samotności przyprowadził go o szaleństwo...**

**Nagle ktoś krzyknął:**

**–Szefie! Kilka ślizgaczy z prawej! Ostro idą.**

**Yoshitaro złapał lornetkę i ujrzał pięć niewielkich maszyn mknących jakieś pięć stóp**

nad wodą. Wyleciały z ukrycia w jednej z zatoczek i szybko kierowały się na nich.

–Wszyscy na nogi! – rozkazał i wachtowi zaczęli budzić kopniakami resztę załogi.

Jaansma wspiął się po drabince do sterówki. Zaraz za nim zjawił się Wlencing.

Kropki na niebie rosły coraz większe.

Njangu już miał powiedzieć futrzakowi, aby był uprzejmy gdzieś się schować, gdy rozpoznał nadlatujące maszyny.

–Cholera, cooki... i to uzbrojone!

Atakowała ich piątka cooków, małych maszyn bojowych, które Grupa częściowo wycofywała z linii. Njangu zastanowił się, gdzie piraci mogli je kupić...

–Prowadzący cook ma działko – oznajmił obserwator. – Podobnie jak numer trzeci.

–Czyli to naprawdę oni – zawołał Jaansma. – Obsada działka, czekać. Reszta załadować i przeładować broń, ale na razie nie pchać się w oczy. Już ja się zajmę każdym, kto wystrzeli bez rozkazu.

Jedno z automatycznych działek kalibru dwadzieścia milimetrów leżało na dziobie obok trójnożnej podstawy. Obsługa podpełzła do niego i przeładowała je. Reszta żołnierzy przycupnęła z bronią w rękach za nadburciami.

–Deb – rzucił Njangu. – Ściągnij nasze wsparcie powietrzne. Tamtych jest trochę za dużo jak na nasze możliwości.

Wlencing zszedł na pokład i przywołał podwładnego, tego ze skrzynką na plecach.

Musth podał przełożonemu kawałek metalu. Wlencing umocował go w okolicach krtani i zaczął coś mówić po swojemu.

Potem zapadła cisza. Njangu słyszał pomruk silników kutra, plusk fal uderzających o burty i coraz głośniejszy poszum nadlatujących maszyn.

Nagle w górze zawyły syreny. Miał to być najpewniej atak psychologiczny obliczony na sparaliżowanie ofiar.

–Chyba już wiem, dlaczego nie było żadnych rozbitków – mruknął Njangu.

–Zgadza się – powiedział Garvin. – Słuchajcie, nie wystrzelajcie ich do nogi! – zawołał do wszystkich. – Chcę, żeby jeden pokazał nam drogę do domu. Inaczej szybko tu wróć w większej liczbie.

**–Jesteś pewien, że nas nie wystrzelają? – spytał Njangu.**

**–Całkowicie. Przecież to my jesteśmy ci dobrzy, prawda? Dobrzy chłopcy zawsze wygrywają, a źli strzelają panu Bogu w okno.**

**–Jako niegdysiejszy zły chłopiec czuję się urażony. Chyba weszli już nam w zasięg, można by więc...**

**Przerwała mu salwa z działka prowadzącego cooka. Zmąciła wodę pięć metrów przed dziobem Urumchi.**

**–Wyłączyć silniki! – ryknęło z megafonu. – Wchodzimy na pokład!**

**–Działko – rzucił spokojnie Garvin i obsługa osadziła dwumetrowy kawał żelastwa na podstawie.**

**–Cel: prowadzący cook! Odległość sto siedemdziesiąt pięć metrów!**

**–Mam! – odkrzyknął celowniczy.**

**–Pięć pocisków.**

**Działko huknęło natychmiast. Pierwszy strzał był za krótki, ale pozostałe rozdarły dziób maszyny, która okręciła się, zanurkowała, zgubiła działko i załogę, po czym zniknęła pod lśniącymi w słońcu falami.**

**–Reszta strzelać, gdy tylko wejdą warn pod lufy!**

**Odezwały się blastery i działka piechoty. Cooki zaczęły rozpaczliwie zygzakować.**

**Po chwili odezwało się drugie działko piratów. Smuga trafień popęzła leniwie w kierunku łodzi, minęła Njangu i zadudniła po nadbudówce. Ktoś krzyknął z bólu, a Njangu uniósł blaster, wycelował starannie, wziął poprawkę na kołysanie pokładu i strzelił.**

**Pirat prowadzący ogień z działka zadrżał, rozrzucił ręce i wypadł z maszyny.**

**Njangu przestawił broń na ogień ciągły i wypuścił w cooka ćwierć zawartości magazynka.**

**–Mam Kosę na linii – oznajmił łącznościowiec głosem tak spokojnym, jakby byli na ćwiczeniach. Przekazał mikrofon Garwinowi.**

**–Tu Sybilla Sześć, odbiór.**

**–Mówi Sybilla Kosa – odezwał się Ben Dill. – Golan już w powietrzu. Macie dla nich**

**jakąś robótkę? Odbiór.**

**–Sybilla Sześć, cześć, Ben. Siedzą nam na karku cztery dokuczliwe cooki.**

**Ostrożnie, mają dwudziestkę. Odbiór.**

**–Przyjąłem. Mam już kontakt wzrokowy. Idziemy na tysiącu pięciuset. Lepiej pochylcie głowy.**

**–Uwaga, nasi lecą! – krzyknął Garvin i ujrzał trzy nurkujące griersony. Za nimi nadlatywały trzy masywne zhukovy. Pojawiły się smugi dymu wystrzeliwanych rakiet.**

**Jedna trafiła kolejnego cooka, który zniknął w chmurze ognia, pozostałe zmlóciły wodę wkoło pływających szczątków.**

**Ktoś zastąpił już przy działku zabitego strzelca i dwudziestka piratów ponownie się rozgdała. Pociski przecięły tor lotu nadlatującego griersona, który odrzucił wszystkie rakiety i chybotając się, zaczął ciągnąć za sobą smugę czarnego, tłustego dymu.**

**–Cholera! – krzyknął ktoś na kanale ogólnym.**

**Grierson wyrównał lot i zaczął nabierać wysokości.**

**–Mówi Kosa Dwa – rozległo się w radiu. – Dostałem, operator ranny. Tracę moc.**

**Wracam do bazy. Powinienem dociągnąć.**

**–Sybilla Gamma – odezwał się Dill. – Mówi Kosa. Dołącz do dwójki i pilnuj go.**

**Odbiór.**

**–Do dwójki, zrozumiałem. Bez odbioru.**

**Jeden z zhukowow przemknął obok kutra zwiadowców, strzelając z działa sto pięćdziesiąt milimetrów. Ocean wkoło cooków zagotował się.**

**–Mówi Kosa... ponawiamy atak.**

**Pozostałe dwa griersony znów zanurkowały.**

**Gdzieś z prawej nagle coś błysnęło w słońcu i Njangu ujrzał sierpowatą maszynę nadlatującą może z trzy metry nad falami. Dill zauważył ją w ostatniej chwili i gwałtownie zmienił kurs griersona. Omal nie stracił przy tym panowania nad maszyną.**

**Skrzydła aksaia spowiła zielonkawa poświata i kolejny cook eksplodował. Maszyna obcych zaraz się poderwała, a za nią dwaj skrzydłowi.**

**–Skubaniec – mruknął ktoś obok Garvina. – Skąd on się tu wziął?**

**–Masz z nim łączność?! – krzyknął Jaansma do Wlencinga.**

**–Tak!**

**–Chcę, żeby chociaż jeden pirat ocalał!**

**–Zaraz przekażę!**

**Gdy Wlencing sięgnął po mikrofon, prowadzący aksai wyszedł z przewrotu, zanurkował i przedostatni cook zniknął w błysku eksplozji. Myśliwiec przemknął tuż nad kutrem. Njangu mógłby przysiąc, że minął go o wyciągnięcie ręki.**

**Kiedy aksai wrócił na pułap, między nim a ostatnim, uciekającym w kierunku lądu cookiem był już grierson Dilla. Obcy chciał go wyminąć, ale Ben ryzykownym manewrem zagroził mu drogę.**

**Wlencing krzychał coś do mikrofonu.**

**W końcu myśliwiec musthów zawrócił, wzniósł się ponad griersony i zhukovy i zaczął krążyć nad pobojuwiskiem.**

**Garvin obrócił się do Aleia.**

**–Nie zgubcie tego cooka... i dawać tu sanitariusza!**

**Alei, ciągle w hełmie, patrzył z zainteresowaniem na odstrzelony z nadbudówki długi kawał tworzywa, który utkwiał w jego przedramieniu.**

**–To będzie jednak kosztowna wyprawa – zdążył jeszcze powiedzieć i zaczął tracić przytomność.**

**Garvin oderwał go od steru. Jego miejsce zajął zaraz Ton Milot, który zdążył się już zjawić w sterówce. Njangu i sanitariusz znieśli ранego na pokład.**

**Chwilę później Yoshitaro wrócił do sterówki. Urumchi Darling szła całą naprzód za ostatnim cookiem.**

**–Mówi Sybilla Sześć – powiedział Garvin cicho do mikrofonu. – Ben, trzymaj się tuż za mną. Cholera wie, co oni jeszcze potrafią. Ale nie załatwiaj tego ostatniego, póki nie dowiemy się na pewno, gdzie leci. Gdy tylko wyląduje, naprowadź tam zhukovy.**

**Niech walą w każdy godny uwagi cel. Odbiór.**

**–Potwierdzam.**

**–Wlencing, wycofaj swoich pilotów! Nie chcę, żeby z nadmiaru zapału wybrali niewłaściwy cel. Njangu, idź na dół i przygotuj ludzi. Ton, znajdź jakieś miejsce, w którym moglibyśmy ich desantować. Njangu, gdy dobijemy do brzegu, wszyscy wysiadają.**

**–Wojsko słyszało?! – zawołał Yoshitaro do podkomendnych. Równocześnie zagdakało znów działko w griersonie Dilla. – Nie sterczeć na brzegu, tylko zaraz ruszać. Każdy z bronią to cel. Ale starajcie się nie strzelać do nie uzbrojonych.**

**Z zadowoleniem stwierdził, że jest całkiem spokojny. Rozejrzawszy się wkoło, zobaczył jeszcze dwóch rannych leżących obok Milota. Twarze mieli blade i ściągnięte, ale byli wyraźnie zdeterminowani.**

**Uciekający tuż nad wodą cook kierował się ku zatoczce, nad którą widać było nieco rozrzuconych pod drzewami budynków wzniesionych w większości z prefabrykatów.**

**Wejścia strzegły ostrogi usypane z głazów. Ktoś strzelał stamtąd do kutra, cook również otworzył ogień.**

**–Zdjąć go, już nam niepotrzebny! – zawołał Garvin, wskazując maszynę.**

**–Mam go, szefie – rozległo się od działka. Starczyło kilka pocisków, a tył cooka buchnął ogniem i wrak runął w dół. Odbił się od plaży na samym skraju wody i eksplodował nad wąskim wejściem do zatoczki.**

**Rozpędzona Urumchi Darling wyskoczyła na plażę i Garvin krzyknął, żeby zastopować silniki, ale idąca na antygrawach łódź zdążyła już staranować jeden z budynków.**

**W końcu jednak stanęła i żołnierze zaczęli wyskakiwać przez burty.**

**Ktoś strzelił do Njangu, który odpowiedział ogniem. Nie dostrzegł, czy trafił.**

**Jakiś żołnierz odepchnął go i pobiegł uliczką. Huknął blaster i część muru obok runęła. Njangu posłał serię ku strzelcowi, ktoś krzyknął i ucichł. Z chaty naprzeciwko wypadł wielki brodaty mężczyzna. Uniósł broń, ale nagle jego pierś eksplodowała i zaroła się od białych owadów.**

**Wlencing przebiegł obok niego, cisnął do chaty granat z insektoidami i znów do kogoś strzelił.**



**Nadbiegł Garvin z łącznościowcem oraz Irthing.**

**–Wezmę Gammę i obejdę ich. Wy naciskajcie tutaj.**

**–Jak zwykle wybierasz łatwą robotę – rzucił Njangu, ale przyjaciela już nie było. Pobiegnął, machając na ludzi z drużyny Gamma, żeby się zbierali.**

**Yoshitaro ruszył za Wlencingiem. Dotarli do małego placu. Za drewnianym straganem kryła się jakaś postać.**

**Njangu strzelił przez deski, udowadniając, że są o wiele za cienkie i zbyt przegniłe, aby zatrzymać pocisk. Wysunęło się zza nich bezwładne ciało kobiety, jej sportowy karabinek zagrzechotał o bruk. Obok Njangu dostrzegł jakiegoś mężczyznę. Nie miał czasu sprawdzać, czy jest uzbrojony czy nie, zastrzelił go więc i pobiegł dalej.**

**Cisnął granat w kolejne drzwi. Huknęło, rozległy się krzyki. Nagle w ścianie obok pojawiła się wielka dziura i Njangu wykonał szybkie padnij w coś, co chyba było nie tylko błotem, ale i zawartością latryny. Przetoczył się, oddał pięć strzałów, pozbiarał się i znowu pobiegł.**

**Na końcu uliczki wznosił się nieco większy budynek, z którego wysypywały się jakieś postaci. Mężczyźni i kobiety. Njangu otworzył ogień, ale tłum zaraz zaczął machać białymi ręcznikami, gatkami, halkami i czym jeszcze się dało. Ktoś strzelił i jeden z machających upadł.**

**–Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień! – krzyknął Njangu i z wolna strzelanina ucichła.**

**Po chwili słychać było już tylko czyjś płacz i głos umierającego mężczyzny, który wzywał matkę.**

**Godzinę później wszyscy zwiadowcy zebrali się na placu. Przed nimi stały trzy dziesiątki wystraszonych mężczyzn i kobiet oraz pięcioro dzieci. Żołnierze mieli pięciu rannych, jednego zabitego.**

**Grierson Dilla wylądował na plaży, zhukowy krążyły cały czas nad wioską. Aksaie zniknęły tak samo nagle, jak się pojawiły.**

**Wlencing i jego dwaj przybocznicy z zainteresowaniem przypatrywali się jeńcom.**

**–Teraz urządzą im proces?**

**–Tak. Już po nich lecą – odparł Garvin.**

**–Co im grozi?**

**–Tutaj wciąż karze się za takie rzeczy śmiercią – powiedział Jaansma, czując, że zwycięstwo traci dla niego smak. – To samo spotka pewnie każdego, kto nie będzie umiał przekonująco wytłumaczyć, dlaczego znalazł się na tej wyspie.**

**–To dobrze – stwierdził Wlencing. – Sschwytyany bandyta to śmieć.**

**–A taki, któremu się udało? – spytał Njangu. W odróżnieniu od Garvina nie współczuł jeńcom.**

**–Taki może zostać panem wszechświata.**

**–W sumie myślimy chyba podobnie – zauważył Njangu. – Tyle że wy to mówicie bez osłonek.**

**–Dobre wieści! – zawołał truchtający ku nim Ben Dill. – Mój skrzydłowy bez problemów dociągnął do Mahanu. Teraz tylko chciałbym dostać w swoje ręce pilota tego przeklętego aksaia, który odebrał mi zwycięstwa.**

**–Doprawdy? – powiedział Wlencing. – Nie ssądzę, aby któraś z tych waszych maszyn bojowych mogła pokonać akssaia w walce manewrowej.**

**–Nie da rady – przyznał Dill. – Ale się wkurzyłem.**

**–Mój potomek nie ucieszy się z tego, co mu powiem, chociaż ssprawił się dobrze.**

**Zbyt długo sstudiował pokój, zamiast zająć się wojną.**

**–Twój potomek? Twoje dziecko? – spytał Dill. – Alikhan?**

**–Znasz go?**

**–Tak. Przekaż mu, że tylko przez zaskoczenie powiodło mu się lepiej niż mnie.**

**Jestem gotów do rewanżu w dogodnej dla niego chwili. – Przekażę mu to. Gdy już wystarczająco sspokornieje.**

**–Dlaczego nas nie uprzedziłeś, że będziesz miał własne wsparcie powietrzne? – spytał Garvin.**

**–Nie zapytałeś – odparł Wlencing.**

–Wygląda na to, że już niebawem przyjdzie nam walczyć z musthami, co, szefie – powiedziała z lekkim wahaniem dec Ho Kang, niegdyś operator systemów walki radioelektronicznej w grieronie Garvina, obecnie dowódca pojazdu. Nie przywykła jeszcze do zwyczajów panujących w kompanii zwiadu.

–Nie da się tu utrzymać żadnej tajemnicy – westchnął haut Hedley, lecz odpowiedział:

–To bardzo prawdopodobne.

–Ale wciąż niewiele o nich wiemy?

–Tylko trochę więcej niż nic.

–A może warto by zdobyć jakieś informacje o ich imperium? Na przykład gdzie leżą ich świąty? – dopytywała się Ho.

–Jasne – odrzekł z przekąsem Hedley. – Gdybyśmy jeszcze mieli flotę, moglibyśmy pomyśleć o podboju...

Ho stanęła na baczność.

–Proszę o dwa tygodnie delegacji i zgodę na podróż na Cumbre C, sir.

–A powiesz mi, w jakim celu?

–Nie, sir.

–Masz zgodę Garvina i Njangu?

–Nie, sir. Skoro mam ryzykować tyłkiem, im mniej ludzi będzie wiedziało, tym lepiej.

–Tak już u nas jest. Za dużo dowódców, za mało podwładnych. Ale chyba wpadłaś na ciekawy pomysł. Ruszaj.

Przysmak musthów śmierdział pod niebiosa nawet obsypany przyprawami i z odległości czterech metrów. Zepsute mięso było dla futrzaków tym, czym wysokoprocentowy alkohol dla ludzi.

Garvin Jaansma starał się ignorować odór i skupiać uwagę na mało znanych układach sterowniczych jednostki, która na dodatek znalazła się w dość trudnym położeniu.

**Z naprzeciwka nadlatywało czternaście pękatych okrętów musthów. Były jeszcze odległe o dwie średnice planety, ale ekrany pokazywały, że wszystkie namierzają przybysza jako cel.**

**–Wcale mi się to nie podoba.**

**–A komu by się podobało? – spytał Njangu. Jego jednostka, wraz z dwoma małymi korwetami Konfederacji, szła kursem równoległym za Garvinem.**

**Wszystkie cztery okręty właśnie wyszły z nadprzestrzeni i wpadły na szykującą się do ataku flotę musthów.**

**–Propozycje? – spytał Njangu.**

**–Zygzakujemy – rzucił Garvin. – Nie ułatwiamy im życia. – Przesunął palcami po kontrolkach i jego jednostka wróciła na moment w nadprzestrzeń, aby wynurzyć się między flotą musthów i ich planetą. – Cel... najbliższy okręt. Jak tylko będzie można, przejść na naprowadzanie automatyczne.**

**–Przyjęte – rozległ się mechaniczny głos.**

**–Dwie mile... gotowe... ognia.**

**–Wystrzelony. Unik niemożliwy.**

**Garvin „skoczył” ponownie i znalazł się na tyłach formacji musthów.**

**–Najbliższa jednostka... ta sama procedura... dwa pociski... gotowe... ognia.**

**–Wystrzelone... na śledzeniu...**

**Odezwał się alarm.**

**–Mam trzy ślady w naszym kierunku... trafienie za trzy sekundy.**

**Garvin ledwie spostrzegł, że w odległości połowy średnicy planety pojawiła się kula gorącego gazu, gdy pierwsza z jego rakiet doszła. Skoczył trzeci raz, tym razem na skrzydło floty obcych, odpalił ponownie, ujrzał na ekranie, że pozostałe jednostki jego zespołu też toczą walkę, i nagle wszechświat zawirował, a następnie pociemniał.**

**Zdjął hełm, a siedzący na sąsiednim stanowisku Njangu po chwili zrobił to samo.**

**–Też zginąłeś, co?**

**–Chyba tak.**

**Wlencing i kilku innych musthów wstało od swoich konsoli i podeszło do ludzi.**

**Wśród nich był też Alikhan, potomek Wlencinga.**

**–To nie była logiczna, przewidywalna reakcja – ocenił Wlencing.**

**Garvin zamrugał i przeciągnął się. Jakoś nie przywykł do tego, by ginąć na polu chwały.**

**–Zgodnie z czyją logiką? – spytał nieco zaczepnie.**

**Wlencing spojrział na niego zdumiony.**

**–No... ze zwykłą logiką kogoś, czym zawodem jesst walka.**

**–Dobra – rzucił Njangu. – Co więc powinniśmy waszym zdaniem zrobić? – Podeszedł do długiego stołu pod ścianą i otworzył jedną z butelek piwa czekających w kubelku z lodem. Musthowie dostarczyli je specjalnie dla nich. Konsole symulatorów tworzyły pierścień otaczający zagłębienie pośrodku pomieszczenia. Dwa stosy poduszek tworzyły tam zaimprovizowane siedziska dla ludzi.**

**–Też chcesz?**

**Garvin skinął głową i Njangu podał mu butelkę.**

**–Co robić...? – zdziwił się Wlencing. – Oszacować szanse i uciekać.**

**–A wasze jednostki nie zdołałyby nas dogonić? – powątpiewał Garvin.**

**–Może, ale nie na pewno.**

**–Czy to była prawdziwa bitwa? – spytał Njangu.**

**–Tak. Tak wyglądała jak jedna z pierwszych bitew ludzi i mussthów – odpowiedział inny obcy, Argolis.**

**–I jak się zakończyła?**

**Ani Wlencing, ani Argolis jakoś nie palili się do odpowiedzi.**

**–Wasze jednosstki weszły do walki – odezwał się w końcu Argolis. – Prowadzący zaatakował raketami nasz okręt flagowy. Pociski zostały zniszczone, zanim doszły do celu, ale wasz pilot i tak sstaranował nasz okręt. To ssamo zrobiła inna wasza jednosstka z jednym z naszych okrętów ze sskrzydła. Dzięki temu pozosstałe dwie zyskały szansę ucieczki.**

**–Zginąłem więc tak samo – mruknął Garvin. – Ale ja zabrałem ze sobą trzy wasze okręty. W sumie nie najgorszy sposób, aby odejść.**

**–To tylko twoja opinia. – Njangu spojrział sceptycznie na przyjaciela.**

**–Przecież ty też zginąłeś.**

**–Ale nie z nadmiaru bohaterstwa. Wykonałem unik w złą stronę.**

**Garvin wyszczerzył zęby.**

**–Jeszcze jednego nie rozumiem – powiedział Wlencing. – Jesteście dowódcą i podwładnym, a nie obserwuję w waszym zachowaniu szacunku, który ten drugi powinien okazywać pierwszemu.**

**–Mam nadzieję, że nie – obruszył się Garvin. – Jesteśmy przyjaciółmi.**

**–Znam to słowo – powiedział Wlencing. – Niezbyt jednak rozumiem, co znaczy, chociaż wiem, że nie chodzi tu o towarzysza broni, podwładnego czy przełożonego ani partnera godowego...**

**–Wyobraź sobie kogoś, z kim masz ochotę przebywać – wtrącił Njangu. – Mimo że nie chodzi o gody.**

**–Z tego, co mówił ojciec, wnioskuję, że mówicie o więzi, która nie występuje wśród musthów – powiedział Alikhan.**

**–A co ze wspólną zabawą? – spytał Njangu. – Poza prowadzeniem gier wojennych znacie chyba jakieś inne formy spędzania wolnego czasu?**

**–Oczywiście – odparł Wlencing. – Jemy, polujemy, co tu niesstety akurat nie jest możliwe, śpimy, obgadujemy.**

**–Na czym polega to ostatnie?**

**–Na wymianie doświadczeń.**

**–Może więc byśmy tego spróbowali? – zaproponował Njangu. – Nie chcę być nieuprzejmy i niczego wam narzucać, w końcu jestem waszym gościem na Płaskowyżu, ale...**

**–Zaprosiliśmy wass w rewanżu za zgodę na nasz udział w jednej z waszych akcji.**

**–To skorzystajmy z okazji – zaproponował Garvin. – Przystawię tylko bliżej kubelek z piwem, siądziemy wygodnie i możemy zacząć sobie mydlić oczy.**

**–Nie rozumiem, czemu ma służyć to odniesienie do mydła i oczu – powiedział Wlencing.**

**–A ja chyba tak – odezwał się Alikhan i powiedział coś w mowie musthów.**

**Njangu zbliżył się do Garvina.**

**–To chyba będzie długi i męczący wieczór.**

**–Zamknij się i trzymaj fason. Robimy za oficjalną reprezentację w misji dyplomatycznej.**

**–Dlatego właśnie nigdy nie chciałem zostać dyplomatą – mruknął Njangu, ale wykrzywił twarz w radosnym uśmiechu.**

**Baza kopalniana musthów na Cumbre C stała cicha i pusta pod palącym słońcem.**

**Tylko wiatr szemrał pośród ruin.**

**Zabudowania zostały zniszczone podczas samobójczego ataku Raumów, obcy zaś porzucili je kilkanaście dni później.**

**Ho Kang torowała sobie drogę przez poskręcane elementy wraku masowca. Minęła wyschnięte zwłoki mustha leżącego z odrzuconą do tyłu głową i kłami obnażonymi w ostatnim warknięciu na ogień, który go zabił. Starła się nie zwracać uwagi ani na tego, ani na trzy pozostałe trupy, zastanowiła się tylko przelotnie, jakie mogą być zwyczaje pogrzebowe musthów. Weszła na mostek, do którego utorowała sobie drogę poprzedniego dnia o zmroku.**

**Szybko zaczęła się orientować w układzie wnętrza. Tutaj stał fotel kapitana... ten obok należał pewnie do drugiego pilota. Stos zwęglonych instrumentów mógł być kiedyś stanowiskiem inżyniera pokładowego.**

**Całkiem z boku, pod pękniętym ekranem, stał jeszcze jeden fotel. Za nim widać było nie knięty przez płomień panel.**

**–Nie bardzo wiem, co widzę, ale mam nadzieję, że widzę to, o co chodzi – mruknęła pod nosem. Zgięła palce w kształt pazurów obcych, zwolniła obejmy i zdjęła pokrywę panelu.**

**Wewnątrz ujrzała jakiś półcyldryczny przedmiot. W szafce pod panelem znalazła takich więcej. Zabrała wszystkie.**

**–Rozgryzą to mądrzejsi ode mnie – westchnęła. – Oczywiście jeśli okażą się wystarczająco mądrzy.**

–I co sądzisz o naszych futrzakach? – spytał Njangu, pilotując cooka. Lecieli w kierunku Leggett i zatoki. Było dobrze po północy.

–Bywałem już na ciekawszych przyjęciach – ziewnął Garvin.

–Ja też – stwierdził Njangu. – Gdy nie chodzi o zabijanie czy podboje, nie ma z nimi zbyt o czym gadać. Chociaż... Alikhan wydaje się nieco bystrzejszy. Tyle że u musthów dzieci chyba nie mają głosu.

–Musimy im podesłać paru weteranów, co to nigdy się nie nudzą opowiadaniem o dawnych kampaniach.

–Przesadzam czy też naprawdę nasze futrzaki nie mają poczucia humoru?

–Ani trochę nie przesadzasz – mruknął Garvin. – Chociaż i tutaj mamy wyjątek.

Jest szansa, że jeśli Alikhan będzie się rozwijał w obecnym tempie, kiedyś wreszcie opowie kawał. I to niedługo. Za jakieś kilkaset lat.

–No to po co nas zaprosili? Nie wierzę, że tylko z wdzięczności za to, że wzięliśmy ich na tę łajbę.

–Może dlatego, że dotąd większość z nich nie miała żadnego kontaktu z ludźmi.

Podobnie jak większość z nas z nimi. Przypuszczam, że pozostali należeli do sztabu Wlencinga czy co oni tam mają.

–Poznaj wroga przed walką?

–Coś w tym guście.

–Ale to działa w obie strony – stwierdził Njangu. – I chyba my więcej wynieśliśmy.

–Miejmy nadzieję. Jeśli nie udawali na naszą cześć kompletnych naiwniaków.

–Potrafisz dodać ducha.

–Nieprawdaż?

Ho Kang była bardziej niż rozczarowana. Oczekiwała, że „największy fizyk w układzie Cumbre” okaże się niewysokim, nieco otyłym facetem z krótkimi prostymi włosami, pewnie nieco zaniedbanym, w czystym, ale wygniecionym ubraniu – czyli będzie trochę przypominał ją samą.

Zamiast tego stanęła oko w oko z kobietą, i to kobietą smukłą, długowłosą i świetnie uczesaną. Jakby tego było mało, Ann Heiser nosiła się dystyngowanie niczym



**rentierka albo przynajmniej ktoś z wyższej kadry zarządzającej. A na domiar wszystkiego była piękna, co Ho musiała przyznać, aczkolwiek zrobiła to niechętnie.**

**Dobrze, że chociaż jej kolega, Danfin Froude, wyglądał na matematyka. Włosy sterczały mu jak po elektrowstrząsach, niemodny prochowiec chyba nigdy nie widział żelazka. Nosił workowate spodnie i archaiczne okulary. Był jednak uprzejmy, a na dodatek – jeden z bardzo niewielu ludzi – znał pismo musthów.**

**Oboje ze względów bezpieczeństwa zostali przewiezieni do obozu Mahan. Wcześniej Hedley dokładnie ich sprawdził.**

**Przed szefem leżał jeden z małych półcylindrów zabranych przez Ho z wraku transportowca. Hedley najpierw przedstawił naukowcom podwładną, a potem wyjaśnił, skąd pochodzi znalezisko.**

**–To mapa – powiedziała Heiser.**

**–Miałam nadzieję, że jeśli uda nam się to odczytać – odezwała się Ho – poznamy położenie światów musthów, a wtedy moglibyśmy... -...zrobić z tej wiedzy użytek – dokończył za nią Hedley. – Jednak na razie to nie twoje zmartwienie.**

**Froude wziął półcylinder do ręki.**

**–Nim do czegoś dojdziemy, może upłynąć sporo czasu, a nie łudzę się, że mamy go wiele. Gdybyśmy chociaż wiedzieli, od czego zacząć...**

**–Być może coś mamy – powiedziała Ho. – Zauważyłam, że o większości wejść jednostek musthów do układu meldowała przynajmniej jedna stacja z planet zewnętrznych. W większości koordynaty były takie same. – Podała Froudemu mikroflszkę. – To jest wyciąg z dwudziestu pięciu meldunków o jednostkach kierujących się na Cumbre C. W większości były to chyba masowce lecące po rudę.**

**–Można przyjąć takie założenie – zgodziła się Heiser.**

**–Stąd też pomyślałam, że może gdyby dało się odszukać któryś z tych statków i sprawdzić jego dziennik pokładowy albo mapy, dałoby nam to jakiś punkt zaczepienia, bo poznalibyśmy ich końcowy albo początkowy kurs, zależnie od tego, czy wchodziły do układu, czy odlatywały.**

**Froude aż poczerwieniał z ekscytacji.**

**–Jeden ślad... coś na początek...**

**–Mamy pod ręką bezpieczne komputery, izolowane od sieci – powiedział Hedley. – Chcemy, żebyście zaraz zaczęli pracę. Jeśli będziecie jeszcze czegoś potrzebowali...**

**ludzi, sprzętu... macie najwyższy priorytet. Powodów chyba nie muszę wyjaśniać.**

**Przypominam też, że z oczywistych przyczyn nie wolno wam o tym rozmawiać z nikim, kto nie ma odpowiedniego upoważnienia. Przydzieliłem do was dec Ho Kang, aby z wami nad tym pracowała.**

**Ho i Heiser wstały, a Hedley wezwał strażnika, aby odprowadził gości do przeznaczonych dla nich pomieszczeń. Froude jednak ociągał się z wyjściem.**

**–Chcę panu podziękować za szansę wspomnienia armii – powiedział. – Miałem jednak nadzieję, że potrzebuje mnie pan do czego innego – dodał z lekkim żalem.**

**–Do czego?**

**Froude obejrzał się i zamknął drzwi.**

**–Brakuje wam tu zaplecza naukowego.**

**–Jesteśmy żołnierzami, jeśli pan jeszcze tego nie zauważył.**

**–Takimi, co to do krwi ostatniej wierni przysiędze i zawsze na baczność?**

**Hedley uśmiechnął się krzywo.**

**–Może też. Ale na pewno nie jesteśmy stetryczali. Słucham, jak jeszcze chciałby nam pan pomóc?**

**–Podam przykład. Wcześniej dowodził pan kompanią zwiadu... tak, proszę się nie dziwić, trochę interesuję się armią i jestem w miarę na bieżąco. Brał pan młodych żołnierzy i po intensywnym szkoleniu odrzucał co najmniej połowę kandydatów do kompanii.**

**Jest pan pewien, że opłaca się aż tak ich forsować?**

**–Jasne.**

**–A może pan to precyzyjnie oszacować? W ilu akcjach może wziąć udział pański gruntownie przeszkolony żołnierz, zanim fizycznie albo psychicznie stanie się niezdolny do walki? O ile bardziej, albo mniej, opłacalne byłoby wykorzystanie do takich zadań zwykłych żołnierzy? Czy wyższe straty nie byłyby wówczas kompensowane mniejszymi kosztami szkolenia?**

**–Nie wiem, co odpowiedzieć.**

**–A ja owszem. Wedle moich szacunków pański zwiadowca wytrzyma do dwunastu misji, podczas gdy przeciętny żołnierz, który nie przeszedł takiej ostrej szkoły, cztery**

do pięciu. To tylko jedna ze spraw, którymi chciałbym pana zainteresować.

Hedley przesunął dłonią po głowie.

–Doktorze Froude, jestem pod wrażeniem i być może ma pan rację, że powinniśmy ściśle współpracować z naukowcami, ale czy moglibyśmy zająć się tym później?

–Oczywiście. Chciałem tylko dać panu do myślenia.

Garvin siedział w nieskalanie białym oficerskim mundurze przy długim, łukowatym, zupełnie pustym barze w Shelbourne i patrzył na zacumowane przed lokalem jachty.

Zwrócony do zachodzącego słońca upił kolejny łyk tropikalnego drinka, którego lepiej było nie przyjmować w ilości większej niż trzy szklaneczki, i pomyślał, co zrobić z tak mile rozpoczętym wieczorem.

Poprzedniego dnia złapał go Hedley i spytał, od jak dawna nie był na przepustce.

Gdy Garvin zaczął się zastanawiać, usłyszał, że natychmiast ma zdać na parę godzin obowiązki i wynosić się z koszar. Garvin wbił się zatem w galowy mundur i ruszył do Leggett, aby poszukać tam kłopotów.

Pamiętał wieczór, który spędził tu zaraz po zakończeniu szkolenia podstawowego.

Przygruchał sobie wówczas piosenkarkę hotelowego zespołu i wpakował się w tarapaty, z których ledwie się wyplątał.

Było to prawie trzy lata temu. Prehistoria. Ciekawe, co porabia ta dziewczyna, Marya. Miał nadzieję, że już tu nie śpiewa. Wprawdzie doskwierał mu celibat, ale wolałby nie przeżywać drugi raz czegoś takiego jak z nią.

Ktoś podszedł do baru, usiadł i dość miłym kontraltem zamówił likier.

Garvin zerknął na barmana nalewającego trunek i cały spokój cichego wieczoru zniknął jak sen złoty.

Po chwili również Jasith zorientowała się, kto siedzi obok niej.

–Ee... cześć – wykrztusił Garvin.

–Cześć.

Patrzyli na siebie w coraz trudniejszej do zniesienia ciszy.

–Dziękuję za kwiaty – powiedziała w końcu. I za uratowanie mnie... nas.

Garvin wysilił umysł, aby odpowiedzieć coś mądrego, ale jakoś nie mógł pozbiierać myśli.

–Nie ma sprawy. Już w porządku?

–Tak. Przetrzymani mnie dłużej w szpitalu, bo wdała się jakaś infekcja.

–Rozumiem – mruknął Garvin, czując się jak głupiec. – Taka infekcja to czasem niebezpieczna sprawa.

–Dobrze wyglądasz – powiedziała Jasith, której też jakoś brakowało tematów do rozmowy.

–Dzięki. Ty też. Co cię tu sprowadza? – spróbował jednak ruszyć z miejsca. – Nie masz wszystkiego tam u siebie, na Wzgórzach?

Jasith spojrzała na niego uważnie, ale doszła do wniosku, że nie próbuje jej obrazić.

–Umówiłam się z Loyem na obiad. Z nim i paroma jego redaktorami. Mamy się naradzić, jak podejść do musthów. Pewnie będzie nudno, więc przyszłam wcześniej, żeby się trochę wzmocnić.

–Pewnie masz rację. Ale skoro tak, potrzebne ci raczej to, co ja piję. – Skinął na barmana.

Jasith dostała nowego drinka i zaraz go spróbowała.

–Wysokooktanowe paliwo. Mógłby nieźle ożywić naradę.

–Jeśli chcesz ożywienia atmosfery, wystarczy, jeśli spytasz tych pismaków, jakie plany ich zdaniem musthowie mają wobec nas.

–Co przez to rozumiesz? Jak dotąd nie było kłopotów.

–Tak samo gadał pewien facet, który wypadł z okna. Nawet gdy miał tylko pięć pięter do chodnika.

Jasith rozejrzała się wkoło. Nikogo nie zauważyła, usiadła więc obok Garvina.

–Szczerze mówiąc, trochę się niepokoję – powiedziała. – Loy powtarza, że to głupota, ale musthowie zawsze byli górnikami, a mój ojciec uważał, że chcą opanować wszystkie kopalnie na Cumbre C.

–Według mnie to wcale nie głupota – stwierdził Garvin. – Chciałbym móc powiedzieć coś więcej, ale... Jakby co, nie słyszałaś tego ode mnie. Gdy odlatywali, zapowiedzieli, że wrócą, i to wcale nie w pokojowych zamiarach.

**–Ale nie zaatakowali, gdy przelecieli.**

**–Jednak zjawili się w idealnej chwili. Pomogli przegnać Redrutha i wyszli na bohaterów. Może celowo tak to zgrali.**

**–Zatem co zamierzają? I kiedy?**

**–Nie wiem. Ale założę się, że szukają jakiegoś pretekstu, aby zająć o wiele silniejszą pozycję w układzie.**

**–A gdy wzrosną w siłę, w pierwszej kolejności zajmą się mną.**

**–A raczej twoją własnością – zgodził się Garvin.**

**Jasith odwróciła nagle głowę i wpatrzyła się w zachodzące słońce. Odezwała się po dłuższej chwili, nie spoglądając na Garvina.**

**–Mam wrażenie, że paskudnie cię potraktowałam.**

**Garvin najpierw miał ochotę zachować się uprzejmie, potem szczerze, w końcu jednak zdecydował się milczeć.**

**–To wszystko stało się za szybko – ciągnęła Jasith. – Miałam ochotę uciec, schować się gdzieś. Nie wiedziałam, co robić.**

**–Więc wyszłaś za Loya Kuoro – wypalił Garvin, nie mogąc się już powstrzymać.**

**Jasith zaczerpnęła haust powietrza, ale nie odezwała się, tylko energicznie pokiwała głową.**

**–Wiesz... czasem chciałabym...**

**–Nie. I bez tego jest już dość trudno.**

**Jasith uniosła drinka, ale zaraz go odstawiła.**

**–Przepraszam – rzuciła i szybko wyszła.**

**Garvin spojrzał na ledwo napoczęty napitek, po czym odwrócił się wraz ze stołkiem i zerknął na wyjście z lokalu.**

**–Niech to szlag – mruknął do pustej sali.**

**–Przypuszczam, że możemy sobie pozwolić na szklaneczkę sherry – powiedział z namaszczeniem doktor Froude.**

**–A co to jest? – spytała Ho.**

**–Pewien pradawny gatunek wina, którym wielcy myśliciele nagradzali się, gdy ukończyli jakieś dzieło.**

**–Ja zaś chyba strzelę sobie czystego spirytusu i zatańczę nago na stole – dodała Heiser. – Jesteśmy coraz bliżej, prawda? – Trzy z czterech ostatnich permutacji wskazały na sposób oznaczania Cumbre J, Fowey i Cumbre C, co jest sporym sukcesem.**

**–A co z czwartą? – spytała Ho.**

**–Chyba przepadłaś jako żołnierz, skoro zadajesz takie pytania – stwierdziła Heiser. – Z taką ciekawością powinnaś zostać naukowcem.**

**–Rodzina nie miała dość forsy, żeby mnie posłać na studia – powiedziała z zakłopotaniem Ho.**

**–To pójdziesz na nie, gdy to się skończy. – Że jak?**

**–Mniejsza z tym. Cicho bądź. Pora się napić.**

**–Ale i tak chciałabym wiedzieć, do czego odnosił się czwarty zamiar – powiedziała Ho. – O ile dobrze zrozumiałam to, co wcześniej mówiliście, chodzi o punkt leżący w połowie średnicy planety za orbitą Cumbre M. Tam przecież nic nie ma!**

**–Zgadza się – przyznał Froude. – Żle. Jestem idiotą. Gdy startujecie z Mahan na griersonach, wyznaczacie jakieś miejsce, od którego lecicie potem razem z innymi maszynami?**

**–Oczywiście, zawsze wyznacza się jakiś punkt zborny. – Ho pokiwała głową. – Dlaczego musthowie mieliby być inni... Ale to daje nam czwarty punkt odniesienia. Łatwiej nam pójdzie z pozostałymi mapami.**

**Froude uśmiechnął się szeroko.**

**–Teraz już możemy wypić? – zapytał.**

**–Jasne. Kapuję. – Ho zerwała się od biurka, zrzucając klawiaturę i stos papierów. – Jesteśmy już prawie w domu! – Żyjesz? – spytał troskliwie Njangu.**

**–Niezbyt – jęknął Garvin.**

**–Gdzie się tak urządziłeś?**

**–Ostatnie, co pamiętam, to jedna z tawern na nabrzeżu.**

**–Byłeś z kimś?**

**–Wtedy chyba nie, ale parę godzin wcześniej owszem.**

**Chyba ich nawet obraziłem i zdaje się, że mi potem dołożyli.**

**–To wszystko?**

**–Prawie – odparł Garvin. – Bo jeszcze jest to. – Sięgnął do kieszeni wymiętych spodni i wyciągnął wielki zwitek banknotów. – Gdy się obudziłem, wszystkie kieszenie miałem wypchane kredytami.**

**–No tak. Ktoś inny na twoim miejscu obudziłby się oskubany w jakimś zaułku, ale nie ty. Ty jeszcze zarobiłeś.**

**–Tak, bardzo jednak chciałbym wiedzieć, jakim sposobem – mruknął Garvin. – Męczy mnie to prawie tak samo jak chętką na zimne piwo. – Żadne takie. Jesteśmy na służbie i nie możesz dawać złego przykładu.**

**–I bez tego jestem złym przykładem.**

**–Nie przeczę. Za karę utrudnię ci trochę życie – rzucił Njangu. – Gdy wybyłeś, Hedley mnie wezwał. Miał dla mnie trochę biegania po krzakach. Radarowcy wykryli silny sygnał emitowany wąską wiązką w kosmos gdzieś z drugiego końca wyspy. Mniej więcej w tym samym czasie automatyczna stacja krążąca za Cumbre L odnotowała wejście do układu nieznanej jednostki w miejscu, przez które przechodziła wiązka. Obcy wszedł na daleką orbitę i wysłał przyspieszoną wiadomość w kodzie, którego nie znamy. Prosto do Leggett. Odpowiedź otrzymał właśnie z tych krzaków. Hedley uznał, że nie zdołamy w tak krótkim czasie wysłać na Cumbre L niczego poza aksaiami, z którymi teraz lepiej nie pchać się nikomu przed oczy, ale że możemy sprawdzić, co z nadajnikiem na wyspie. I tak zrobiliśmy.**

**Wystartowaliśmy koło północy, kiedy ty pewnie zaczynałeś się bawić na całego.**

**Znaleźliśmy tam szalasa, a w nim nadajnik tak wielki, że w razie potrzeby mógłby emitować sygnał poza granice układu. Ale nikogo nie było w domu.**

**–I co Hedley na to wszystko?**

**–O świcie zauważył, że częstotliwość pokrywała się z tą, której niegdyś używała armia Lariksa i Kury.**

**–Niech to...**

**–Właśnie – zgodził się Njangu. – Ktoś, zapewne jeden z chłopców od Redrutha,**

przeniknął do układu Cumbre, przejął meldunek od agenta, być może przekazał mu instrukcje i już go nie było. Transmisja była przyspieszona, więc mogła to być cała powieść. Pamiętasz, już podczas powstania Raumów było coś podobnego. Jednak nigdy nie przyskrzyniliśmy tego, kto przemycał dla nich broń z Lariksa czy Kury.

–Dobrze pamiętam – westchnął Garvin. – Mamy zatem coś, ale nie wiemy, co to takiego.

–Witaj w wywiadzie. I jak tam twój kac? Gorzej?

–Mam coś ciekawego, czego w żaden sposób nie potrafię rozgryźć – powiedział mil Angara do cauda Rao. – Hedley też nie.

–Skoro tak, to musi chodzić o coś bardzo obyczajnego – mruknął Rao.

–Musthowie zaczęli otwierać konsulaty. Nazywają je ośrodkami informacyjnymi.

–Dostałem już meldunki na ten temat.

–Stało w nich, gdzie te ośrodki są zakładane?

–W różnych miastach. Zawsze w śródmieściu.

–Owszem, ale specyficznie – powiedział Angara. – Wybierają wyłącznie najpodlejsze dzielnice.

–Zawsze?

–Zawsze.

–Może mają mały budżet i szukają tanich lokali – rzucił Rao, ale jego zastępca się nie roześmiał. – Gdybym chciał sprowokować jakiś nieszczęśliwy wypadek, też pewnie bym tak wystawił paru ludzi – dodał po zastanowieniu. – Każdy może ich tam dopaść. A wtedy musthowie będą mieli pretekst do lamentów.

–Zgadza się.

–Gdybym się jeszcze nie przejmował, że może być parę ofiar, kazałbym im krążyć po podejrzanych miejscach, aby na pewno ktoś wreszcie na nich napadł. Przypuszczam, że jedna zmasakrowana sekretarka z takiego konsulatu narobiłaby niezłego zamieszania.

–Cholera – mruknął Angara. – To całkiem prawdopodobne, zwłaszcza obok Vagrant Central. – Święte słowa.

–Co więc z tym zrobimy?



–Jakbyśmy nie mieli dość zmartwień... ale dobra – powiedział Rao. – Musimy wystawić więcej patroli, które zupełnym przypadkiem będą zaglądać w okolice konsulatów, szczególnie po zmroku.

–Szefie! – zawołała Lir. – Rozmowa na trójce! Jakiś Glenn. Nie chciał powiedzieć, w jakiej sprawie.

Garvin ze złością spojrział na dwa ekrany przed sobą, zmniejszył obraz i odebrał połączenie. Pokazało się oblicze nieco zużytego cherubinka.

–Alt Jaansma.

–Gy Glenn – powiedział cherubinek. – Jestem starszym partnerem w kancelarii adwokackiej Glenn Lansky.

–Czym mogę panu służyć?

–Jeden z moich klientów, który chce zachować anonimowość, okazał się patriotą.

Uznał, że RaoGrupa nie jest wystarczająco finansowana przez nasz rząd.

–Trudno mi to kwestionować.

–Z tego też powodu mój klient postanowił wspomóc Grupę sumą miliona kredytów.

–Słucham? – Garvin zamrugnął, starając się zachować pokerową twarz.

–Nie przesłyszał się pan.

–To... to bardzo miły gest. Ale nie jestem dowódcą Grupy, panie Glenn. Mil Prakash Rao...

–Wiem, kto jest pańskim dowódcą – przerwał mu adwokat. – Powinienem od razu przejść do szczegółów. Mój klient życzy sobie, aby ta suma została przekazana bezpośrednio kompanii zwiadu RaoGrupy.

–Co, u diabła... przepraszam, kim u diabła jest pański klient?

–Jak już wspomniałem, chce on pozostać anonimowy.

–Milion... Cóż kompania zwiadu pocznie z milionem kredytów? Może pański klient nie zdaje sobie sprawy, że liczy ona tylko sto trzydzieścioro czworo mężczyzn i kobiet?

–Mój klient dobrze zna wasz stan osobowy.

**–Hm... A czy wspomniał, na co mają zostać przeznaczone te pieniądze?**

**–Jak powiedział, cytuję: „na takie zaspokojenie potrzeb mężczyzn i kobiet z kompanii, które poprawi ich warunki służby oraz życia wedle uznania dowódcy kompanii”, koniec cytatu.**

**–Czy to znaczy, że mogę wybudować dla nich nowe koszary, jeśli mil Rao zaakceptuje taki pomysł?**

**–Owszem.**

**–Albo rozdać pieniądze żołnierzom, po jakieś osiemdziesiąt tysięcy na głowę, i puścić ich na przepustki, żeby to przeahulali, a pański klient nie będzie miał nic przeciwko temu?**

**–Być może uzna, że to trochę niezwykły sposób poprawy warunków służby, ale nie, nie będzie zgłaszał obiekcji.**

**–To naprawdę niezwykle – westchnął Garvin.**

**Glenn pokiwał głową.**

**–Powiedziałem to samo, gdy o tym usłyszałem.**

**–Oczywiście nie mogę teraz udzielić panu wiążącej odpowiedzi. Najpierw muszę porozmawiać z przełożonym.**

**–Oczekiwałem takiego postawienia sprawy – przyznał prawnik.**

**–Zadzwonię do pana.**

**–Będę czekał na telefon.**

**–Chwilę! – rzucił Garvin. – Czy jednym z klientów waszej kancelarii nie jest przypadkiem Mellusin Mining?**

**Prawniki uśmiechnęli się leciutko.**

**–W pewnych sprawach rzeczywiście reprezentujemy to konsorcjum. Do widzenia, alcie Jaansma.**

**Ekran pociemniał.**

**–Co za historia – mruknął Garvin, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadł Njangu w przepoconym podkoszulku, szortach i butach do biegania.**

**Padł bezwładnie na krzesło.**

**–Ta zaprawa mnie wykończy. Pokaż mi drugiego takiego uczciwie leniwego gościa, co dał się wrobić w bieganie i skakanie... Dobrze przynajmniej, że mogę się tu schować, podwładni nie zobaczą, jak wypluwam płuca.**

**–Weź się do kupy – rzucił Garvin. – Mam tu coś naprawdę ciekawego.**

**Dwie godziny później Garvin ciągle jeszcze nie mógł wyjść z szoku. Po konsultacji z milerem Rao i prawnikiem jednostki wciąż wszystko wyglądało na całkowicie legalne.**

**–I co zrobimy z tą forszą Jasith? – spytał.**

**Njangu wzruszył ramionami.**

**–Urządź wielką trzydniową imprezę – zasugerował. – Ale mam ważniejsze pytanie: co zrobisz z Jasith, skoro najwyraźniej chce cię przeprosić? W jedyny sposób, jaki zna, ale zawsze...**

**Morze lekko fosforyzowało, niewielkie fale załamywały się ze szmerem na plaży.**

**Dwoje musthów wędrowało po piasku i rozmawiało półgłosem.**

**Po prawej jaśniała pośrodku zatoki baza Mahan, po lewej paliły się latarnie promenady Leggett. Przed nimi wysuwał się w ocean jasny palec Shelbourne.**

**Nagle ciemność za musthami ożyła. Wyłoniło się z niej czterech mężczyzn, nieco chwiejnie, ale szybko. Jeden potknął się, padł na piasek i zaklął.**

**Musthowie odwrócili się i dostrzegli intruzów.**

**–Czego chcecie? – spytała samica.**

**Odpowiedział jej śmiech i butelka, która trafiła ją w bok. Zaraz postawiła uszy i uniosła głowę, oczy zapłonęły jej gniewem. – Zosstawcie nass – powiedział jej towarzysz. – Zosstawcie albo zginiecie.**

**Znowu rozległ się śmiech.**

**–Nie macie broni. Śledziliśmy was, czekając na okazję.**

**–Załatw się z nimi, Sayid! – krzyknął jeden z mężczyzn.**

**Ten, którego nazwał Sayidem, rzucił się naprzód z nożem.**

**Samica uchyliła się i pazurami rozdarła ramię napastnika, który zawył, potknął się i**

upadł. Jej towarzysz chciał go kopnąć, ale chybił. Po chwili mężczyzna wstał.

Dwóch jego współników podchodziło tymczasem do samicy. Jeden z nich kołysał pałką, drugi ścisnął w dłoni szyjkę stłuczonej butelki.

Nagle fosforyzujący ocean ożył i wyłonił się z niego potwór z fajką do nurkowania. Warknął coś i już był przy napastnikach.

Ten z butelką wrzasnął, gdy pękło jego przedramię, a zaraz potem masywna pięść wydusiła mu oddech z płuc i połamała żebra. Drugi błyskawicznie stracił pałkę, która zatoczyła łuk i uderzyła go w głowę. Zakrył zmasakrowaną twarz dłońmi i upadł.

Trzeci wyciągnął zza paska mały pistolet. Zdążył go nawet unieść, nim Ben Dill złapał go za rękę i pociągnął, wrywając kończynę ze stawu. Dla pewności uderzył go jeszcze bykiem w twarz.

Na placu boju został już tylko kiwający nożem Sayid.

–Nie podchodź, bo... – zwrócił się do Bena.

Dill nie tracił czasu na gadanie, tylko skoczył. Trafił bandziora piętą w łokieć. Nóż zniknął. Sayid już chciał uciekać, ale Dill złapał go za włosy, pociągnął i przegiął przez kolano. Rozległ się trzask pękającego kręgosłupa.

Ten, który wcześniej wymachiwał pałką, klęczał i pojękiwał, gdy plażą nadbiegło czworo ludzi w cywilnych ubraniach. Wszyscy byli uzbrojeni.

–Stać! – krzyknął jeden z przybyłych. – Siły zbrojne Konfederacji!

–Za późno, proszę kawalerii! – zawołał Dill. – Już po zabawie!

Kopnął klęczącego w pierś, a gdy mężczyzna padł na plecy, postawił mu stopę na szyi, miażdżąc tchawicę.

Potem odwrócił się i uśmiechnął szeroko do czworga ludzi mierzących w niego z pistoletów.

–Za późno, powiedziałem.

–Co ty tu, u diabła, robisz? – spytał Steff Bassas z kompanii zwiadu, poznając wreszcie, z kim ma do czynienia.

–Chciałem trochę popływać przed kolacją, a reszta to nie twój interes. Nie zapomniałeś czegoś?

–Przepraszam. Sir.

**–Tak już lepiej – mruknął Dill, poznając następną osobę z patrolu. – Mahim, to ty?**

**–Tak, sir – odparła kobieta, opuszczając broń.**

**–Co macie na swoje usprawiedliwienie?**

**–Aż sześćcioro musthów opuściło konsulat jednocześnie – odparła. – Wybraliśmy niewłaściwych.**

**–Jesteś sanitariuszką, zgadza się?**

**–Tak jest, sir.**

**–Masz zamiar zająć się ofiarami?**

**–Nie wiem, sir – powiedziała Mahim. – Czy któryś z nich jeszcze żyje?**

**Dill rozejrzał się.**

**–Ten nie... ten też... temu niewiele brakuje, ale jak chcesz, możesz sobie na nim poćwiczyć. Temu, któremu dałem w łeb, pewnie nic nie będzie, chociaż mamusia go nie pozna.**

**–Dziękuję, sir. Chyba nie jestem zainteresowana.**

**–Powiem wam coś – rzucił Dill. – Zajmiecie się teraz własnymi sprawami... czyli pewnie chronieniem musthów... ale nie będę miał pretensji, jeśli na razie nie będziecie przesadnie gorliwi.**

**–A co z nimi? – spytał Bassas, wskazując kciukiem dwoje obcych.**

**–Sam się nimi zajmę – powiedział Ben. – A następnym razem bardziej się starajcie, bo zajmę się wami.**

**–Tak jest, sir – odparł Bassas i cała czwórka zniknęła w mroku. Dill obrócił się do musthów.**

**–Przepraszam za to zajście. Zwykle jest tutaj całkiem bezpiecznie.**

**–Pomogłeś nam – powiedział samiec.**

**–To takie niezwykle?**

**–Nie wiemy, jak ci się odwdzięczyć.**

**–Nie oczekuję wdzięczności.**

**–Czy dobrze ssłyszałem, że ci, którzy właśnie odeszli, byli żołnierzami wyznaczonymi, aby nas chronić? Bez powiadamiania naszego dowództwa?**

**–Ciekawe, jak na to wpadłeś? – mruknął Dill.**

**–Mam wobec ciebie dług.**

**–Nie szkodzi – zaśmiał się Dill.**

**–Jak możemy go opłacić?**

**–Raczej spłacić.**

**–Zgadza się.**

**–Macie jakieś pieniądze Konfederacji?**

**Samica sięgnęła do torby przy pasie.**

**–Dosstaliśmy trochę.**

**–No to postawicie mi drinka. Chodźcie. Poszukamy knajpy.**

**Musthowie spojrzeli po sobie najwyraźniej zdziwieni, a potem ruszyli za zwalistym człowiekiem ku pobliskiemu hotelowi.**

**–Panowie, proszę usiąść – powiedział mil Rao.**

**–To jest doktor Froude – przedstawił naukowca Hedley.**

**–Doktorze, przepraszam, że nie udało mi się porozmawiać z panem wcześniej, ale mamy tu urwanie głowy – rzekł dowódca Grupy.**

**–My też – odparł matematyk.**

**–Domyślam się, że chodzi o te półcylindry nawigacyjne, które dostaliście do zbadania? – spytał Rao.**

**–Niestety nie – powiedział Hedley. – Prace nad nimi postępują, ale teraz chodzi o coś innego. Jest źle.**

**Uśmiech Rao natychmiast się ulotnił.**

**–Słucham.**

**–Doktor Froude zaraz po rozpoczęciu zasadniczych prac zaproponował, abyśmy**

zaczęli w większej niż dotąd mierze korzystać ze zdobyczy nauki i wzięli się do systematycznej analizy naszych poczynań. Teraz pojawiła się sposobność, aby skorzystać z jego propozycji. – W obecności cywila Hedley wolał rozmawiać z przełożonym możliwie okrągłymi zdaniami. – Podczas kolejnych ćwiczebnych patroli naszej kompanii zauważyłem coś osobliwego. Sprawdziłem potem meldunki wstecz aż do czasu przylotu musthów.

Okazało się, że większość podawała to samo: gdy nasi zwiadowcy ruszali w drogę, zwykle natykali się na jakiegoś aksaia. Nie dochodziło do kontaktu, nikt im nie przeszkadzał, niemniej dwie rzeczy są oczywiste. Po pierwsze, aksai pojawiał się tylko wtedy, gdy zespół nawiązywał łączność radiową.

–Doktorze Froude, jakie jest prawdopodobieństwo, że to przypadek? – spytał Rao.

–Tak małe, że nie ma co go brać pod uwagę.

–Czyli musthowie złamali nasz standardowy szyfr – mruknął Rao. – Akurat tego było mi trzeba przed obiadem.

–Gorzej, sir – powiedział Hedley. – Nakazałem naszym drużynom używać innych szyfrów. Przez dwa tygodnie zmieniali je losowo, a aksai i tak pojawiał się jak kukułka.

Potem nagle przestał. Sądzę, że ktoś z ich wywiadu połapał się, że mogliśmy wpaść na trop, i zmienił zasady gry.

–Ile naszych kodów czytają?

–Większość zwykłych i jeden nadzwyczajny. Oraz jeszcze szyfr używany w sytuacjach nadzwyczajnych w łączności z rządem.

–Niedobrze... – westchnął Rao. – Bardzo niedobrze. Ciekawe, od jak dawna czytają naszą pocztę?

–Co najmniej od rebelii Raumów, sir – powiedział Hedley. – Przyjrzelśmy się uważnie okolicznościom ich niby to przypadkowych przelotów. Uważam, że to nie były zbiegi okoliczności. – Dobra. Musimy zatem zmienić wszystkie kody...

–Tak i nie – stwierdził Hedley. – Doktor Froude ma pewną propozycję, którą chyba moglibyśmy rozważyć.

Mężczyzna, który podawał się za niejakiego Aba Yohnsa, siedział w niewyróżniającym się ślizgaczu zaparkowanym przecznicę od ambasady musthów w Leggett. Mógł obserwować wejście do budynku przez kamerę, którą zamontował w swojej willi na górze Tungi, ale na razie miał czas. Jego akcja dopiero się rozkręcała,

**a uważał, że lepiej będzie rzucić na wroga gołym okiem.**

**Zastanawiał się nad otrzymanymi niedawno od Redrutha rozkazami i możliwościami ich realizacji.**

**Prawdę mówiąc, uważał Redrutha jeśli nie za szaleńca, to z pewnością za niezrównoważonego człowieka z przerośniętym ego. Był tego pewien, chociaż nigdy nie spotkał się z pryncypałem. I co z tego, że musthowie zepsuli mu jedną okazję?**

**Będą następne.**

**Na dodatek ostatnie pomysły mogły tylko pogorszyć sytuację, miast zwiększyć szansę protektora. Może nawet nieodwracalnie.**

**Ale to już nie było zmartwienie Yohnsa. Szczycił się tym, że zawsze wywiązuje się z powierzonych zadań. O ile nie są to oczywiście misje samobójcze i dobrze mu się za wszystko płaci.**

**Nieraz załatwiał już takie sprawy dla Redrutha, zarówno w układzie Cumbre, jak i na innych terenach Konfederacji. Wydawało mu się przy tym zabawne, że mimo to nigdy nie stanął oko w oko z tym człowiekiem, który go tam wysyłał i uczynił naprawdę bogatym.**

**Ale to nie przeszkadzało mu działać i przyjmować wpłat.**

**Gdyby miało dojść do najgorszego, mógł się ewakuować małym jachtem kosmicznym ukrytym w dżungli. Przy ostatniej transmisji niewiele brakowało, aby musiał z niego skorzystać. Zgodnie z umową Redruth powinien wtedy wysłać statek, żeby podjął go zaraz po opuszczeniu układu.**

**Gdy więc protektor rozkazał doprowadzić Cumbre do ruiny, Yohns tylko wzruszył w myślach ramionami. Poza tym niczym nie zdradził, co o tym sądzi. Tak jak i teraz, gdy obserwował ambasadę musthów.**

**Największy problem miał z tym, że dotąd brakowało odpowiedniego celu do ataku.**

**Takiego, którego zniszczenie doprowadziłoby do tego, czego życzył sobie protektor.**

**Teraz jednak cel się pojawił.**

**–Sir, jedna z naszych zdalnych sond na orbicie Cumbre M melduje wejście do układu – odezwał się technik.**

**–Jaka identyfikacja? – spytał Rao.**



**–Musthowie, sir. Profil pasuje do okrętu macierzystego. Tyle że ten jest wyjątkowo duży. Naprawdę wielki.**

**–Jakim idzie kursem?**

**–Zmierza do Cumbre E.**

**Była to planeta wybrana przez musthów na ich główną siedzibę w układzie.**

**–Kontynuować obserwację – rozkazał Rao i dotknął czerwonego sensora.**

**Na całej Cumbre D ogłoszono alarm i Grupa przeszła w stan pogotowia.**

Okręt macierzysty musthów był tak ogromny, że eskortujące go jednostki wyglądały przy nim jak zabawki. Przypominał archaiczny pocisk artyleryjski z małymi „statecznikami”, z których zwieszały się gondole antygrawów podtrzymujących masyw kadłuba na lądowisku. Musthowie zwali go centrum bezpośredniego dowodzenia, ludzie zaklasyfikowaliby go zapewne jako okręt flagowy. Ponieważ obcy nie byli sentymentalni wobec maszyn, jednostka nie miała nazwy, jedynie numer taktyczny. Obecnie pełniła funkcję ruchomej rezydencji jednego z przywódców klanów, Paumota.

Przyziemiła na jednym z wielkich lądowisk na Cumbre E, którą musthowie zwali Silitric.

Była to zwykła, nieco za chłodna dla ludzi planeta z małymi oceanami, wszechobecną tundrą i niskimi górami. Dziewicze puszcze porastały wyżynne partie lądów.

Musthowie wzniesli tu tylko trzy bazy, wszystkie u podnóża gór i częściowo skryte pod ziemią. Nawet w okresie największej aktywności były tylko w połowie zasiedlone, bo mało kogo tutaj ciągnęło.

Paumoto spotkał się w jednej z sal konferencyjnych z Aeskiem i Wlencingiem.

Wysłuchał ich uważnie, a gdy skończyli, wstał i podszedł do ekranu. Spojrzał na subarktyczny krajobraz, po czym zamyślony zaczął krążyć tam i z powrotem.

–Dziękuję, że podzieliliście się tym ze mną – powiedział w końcu. – Mimo że nie zależy mi na tym, aby szybko podjąć działania.

–Czy zechcesz przekazać nam swoją opinię? – spytał Aesc.

–Być może. Pewnie nie zawadziłoby, gdybyście się dowiedzieli, co teraz myśli się na naszych światach. Wielu poparło wasz powrót do układu Cumbre. Szczególnie Keffa i jego klika, którzy powtarzają, że uprzędacie tylko to, co nieuniknione. Oczywiście Senza i jego poplecznicy wciąż uważają, że sprowadzicie na nas nieszczęście, które cofnie nas do czasów barbarzyńskich. Wasze działania staną się zapewne zarzewiem międzygwiazdnej wojny między nami a ludźmi... i tak dalej, i tym podobne. Chcą, żebyśmy się natychmiast wycofali. Ich gadanie nie ma najmniejszego sensu, ale niektórzy musthowie z jakichś powodów gotowi są ich poprzeć.

–Która strona rośnie w siłę? – spytał Aesc.

–Nie chcę was wprowadzać w błąd, ale przypuszczam, że niektórzy spośród stu

trzynastu przywódców klanów pierwotnie popierających wyprawę przeszli już na pozycje neutralne. Część wcześniej neutralnych zaczyna popierać Senzę.

–Zatem tracimy – powiedział Wlencing.

–Niekoniecznie – odparł Paumoto. – Ale dlatego też nalegałem na spotkanie na pokładzie tego okrętu. Stąd na pewno nic nie przedostanie się na zewnątrz, a wy dwaj podzielacie, jak wiem, mój punkt widzenia. Pozostałych musthów nie jestem taki pewien. Mogą być wśród nich zwolennicy Senzy i jego frakcji. A może nawet szpiedzy.

–Bardzo liczymy na każdą pomoc, jaką możesz nam okazać – stwierdził Aesc.

–Gdyby coś się zdarzyło... jakiś wypadek... – zaczął ostrożnie Paumoto. – Coś, co ukazałoby okrucieństwo ludzi i przeraziło musthów do głębi...

Urwał. Aesc i Wlencing stali z otwartymi ustami i posykiwali z cicha, co świadczyło o skrajnym zdumieniu.

Paumoto zrazu postawił uszy, ale po chwili zrozumiał.

–A... jadę z drewnem do lasu?

–Wpadliśmy już na ten pomysł – potwierdził Aesc. – Ludzie nie chcą z nami pod tym względem współpracować, robimy jednak co możemy, aby zwiększyć prawdopodobieństwo takiego zdarzenia.

–Przenieśliśmy się między nich i zgodnie z wcześniejszą propozycją założyliśmy to, co oni nazywają konsulatami – wyjaśnił Wlencing. – Rozmyślnie wybraliśmy te części ich miast, w których wedle naszych obserwacji, poczynionych jeszcze przed powstaniem Raumów, jest największa przestępczość i gdzie gromadzą się doły społeczne.

–Mądrze pomyślane – pochwalił Paumoto. – Jeśli pracownikom tych konsulatów stanie się coś bardzo niemiłego, dla całej reszty będzie to nad wyraz korzystne. – Święte słowa – rzekł Wlencing. – Niestety, mamy do czynienia z inteligentnym przeciwnikiem, który chyba przejrzał nasze zamiary, gdyż jego wojsko bez ustanku strzeże naszych.

Teraz Paumoto nie posiadał się ze zdumienia.

–Zatem mamy impas!

–Może nie jest aż tak źle – powiedział Wlencing.

**–Działamy bardzo ostrożnie – dodał Aesc. – Chcemy być pewni, że gdy już do czegoś dojdzie, zwolennicy Senzy nie będą mogli zinterpretować tego po swoimu.**

**–Dobrze. Doceniam przemyślane działania, przywódco Aesc.**

**–Jednak nie chciałbym, żebyśmy spędzili cały dzień na prawieniu sobie uprzejmości – stwierdził Wlencing. – Mam pytanie. Powiedziałeś, że nie jesteś zainteresowany szybkim podejmowaniem akcji w układzie Cumbre, a jednak się tu zjawiłeś, i to bez uprzedzenia. Byłoby dziecinną naiwnością przypuszczać, że zrobiłeś to tylko po to, aby wspomóc nas dobrym słowem.**

**Paumoto ponownie nie zdołał ukryć zdziwienia.**

**–Oczywiście, że nie. Złożyło się na to kilka czynników. Po pierwsze, zaplanowałem szereg wizyt na różnych światach, więc kilka dodatkowych skoków do Cumbre nie zrobiło wielkiej różnicy. Po drugie, zainteresowały mnie ostatnie odkrycia bogactw mineralnych tego układu. Przede wszystkim jednak, podobnie jak wy, jestem zdecydowanie przeciwny kursowi, na który chciałby pchnąć musthów Senza. To skończony głupiec, który nie rozumie, że rasa taka jak nasza musi rosnąć w siłę, aby nie zginąć. Tylko nieustanna ekspansja aż po krańce wszechświata może wypełnić nasze przeznaczenie. Nie mówiąc o korzyściach osobistych i własnej satysfakcji. Układ Cumbre to tylko początek. Jeśli go opanujemy i uczynimy tu ludzi naszymi sługami, otworzymy drogę ku innym światom, nad którymi panują.**

**Ruszmy przez obszar Konfederacji, omijając te planety, które i dla nich okazały się bezużyteczne, opanowując za to wszystkie bogate i wysoko rozwinięte. Chcę wam pomóc, bo jestem zainteresowany waszym sukcesem.**

**–Mam zatem propozycję, jak mógłbyś nam pomóc – powiedział Aesc.**

**–Mów.**

**–To naprawdę imponujący okręt. Moglibyście ogłosić, że oto przybył na nim na Cumbre popularny członek naszego rządu – powiedział Wlencing, ostatnie słowo wypowiadając po ludzku.**

**–Nie znam mowy ludzi – zauważył Paumoto. – „Rząd” oznacza grupę ludzi wybranych po to, aby za powszechnym przyzwoleniem wyznaczili, a gdy trzeba, również narzucili, pewne normy zachowania, w domyśle dla wspólnego dobra. Najwyższą formą ich rządu są władze tego, co nazwali Konfederacją.**

**–Absurdalny koncept.**

**–Owszem. Ale oddaje ich sposób myślenia.**

**–To nie myślenie, lecz urojenia – rzucił Paumoto. – Ale rozumiem. Na pewno powinniśmy w jakiś sposób zademonstrować im nasz potencjał militarny. Nie wiem, jak szybko potoczą się wypadki, ale w odpowiedniej chwili odegra to swoją rolę. Wróg pełen wątpliwości to wróg już na poły pokonany.**

**–Wielka krypa – wycedził Garvin. – Chyba chcą nas przerazić. – Święte słowa, szefie – rzuciła jego twęg. – Ale gdyby władować jej z osiemdziesiąt kilo żelastwa w krawędź natarcia tamtej płetwy, zapewne tak naruszyłoby to konstrukcje, że jeden shrike w moduł antygravitacyjny i wszystko runęłoby na beton.**

**–Ale cię ponosi – mruknął Njangu. – Nie możesz przyznać, że nasi źli chłopcy sprowadzili naprawdę imponującą mamuszkę?**

**Z tym ostatnim gotowi byli się zgodzić praktycznie wszyscy w Leggett i na sporej części wyspy Dharma. Okręt macierzysty musthów wyrastał niemal tak wysoko jak Wzgórza, dzielnicę rentierów, i widać go było nie tylko z wyspy Chance, ale nawet z półwyspu po drugiej stronie zatoki. Wraz z trzema mniejszymi jednostkami eskorty zajmował niemal całą główną płytę kosmoportu.**

**–Na mnie większe wrażenie robi to, że sama ta eskorta jest większa niż wszystko, z czym dotąd mieliśmy do czynienia – dodał Njangu.**

**–Owszem. Jeśli chcieli zrobić na nas wrażenie, to im się udało – niechętnie przyznał Garvin.**

**–Na tobie zrobią niebawem jeszcze większe – stwierdził Njangu. – Stary zdecydował, że właśnie my mamy robić za gwardię honorową podczas oficjalnego przyjęcia, które odbędzie się na pokładzie. Białe rękawiczki, buty na lustro i te sprawy.**

**–Jasny gwint! – wyrwało się Lir. – Przecież nie jesteśmy kompanią reprezentacyjną!**

**–Ale na białe rękawiczki nas stać – zaśmiał się Njangu.**

**–Co? – zdumiała się Monique.**

**Garvin, który jeszcze nikomu z podwładnych nie powiedział o prezencie Jasith, spojrzał krzywo na przyjaciela.**

**–Mniejsza z tym – mruknął Njangu. – Rao chce, żebyśmy poparadowali z szablami, bo przypuszcza, że może potrzebować niewinnie wyglądającej obstawy. Na wypadek, gdyby wyszło jak z Redruthem.**

**–Aha... Tak już lepiej – stwierdziła Lir. – Szefie, mogę wybrać ludzi i odświeżyć z nimi zasady ceremoniału i musztrę paradną?**

**–Nie zawadzi – odparł Garvin. – Na pewno im się spodoba.**

**–Bingo! – zawołał Hedley. Stojący obok niego Ho, Angara oraz wyczerpani Froude i Heiser spoglądali triumfalnie na Rao. – Pokójarzyliśmy już wszystkie punkty na ich mapach z naszymi koordynatami. Możemy korzystać z ich zapisów do skoków po układzie.**

**Wysłałem już jedną maszynę, żeby to sprawdziła.**

**–Gratuluje – powiedział Rao. – I co dalej?**

**–Noo... teraz możemy skorzystać z poznanych koordynat, aby rozszyfrować kolejne mapy musthów – powiedział jakby lekko urażony Froude. – Otrzymamy wówczas dane, masę danych na temat położenia ich planet.**

**–A skąd weźmiemy kolejne mapy? – spytał Angara.**

**–Ukradniemy – wyjaśniła Heiser. – Tak jak Ho ukradła te pierwsze.**

**–Prosta sprawa – mruknął Rao. – Wystarczy złapać tygrysa za ogon... a raczej znaleźć tygrysa.**

**–To akurat najprostsze – stwierdził Froude. – Trzeba tylko wejść na ten monstrualny statek i zgarnąć kilka...**

**–Potrzebujecie więc jedynie dobrego włamywacza – dodała Heiser.**

**Rao spojrział na nich i roześmiał się. Ho, nieco bardziej niż naukowcy doświadczona życiowo, wyglądała na zakłopotaną.**

**Hedley się zamyślił.**

**–Niezły pomysł – powiedział. – I chyba mam już właściwego człowieka.**

**–Gdy jest coś łatwego, nigdy nie wyznaczacie mnie na ochotnika – jęknął Njangu.**

**–Wtedy nie byłoby zabawnie – odparł Hedley.**

**–Ale tak można zginąć. – Njangu przyjrzał się hologramowi jednostki flagowej musthów. – Śmierdząca sprawa. Byłem w tym całkiem dobry, zanim Konfederacja mnie ucywilizowała, ale włamanie na okręt obcych, szczególnie gdy się go nie zna...**

**Obawiam się, że podniosą mi składkę ubezpieczeniową.**

**–Dla dobra rozważań założmy na razie, że uda ci się dostać do tego ich dinozaura – powiedział Hedley. – Znajdziesz drogę na mostek...**

**–Który gdzie się mieści?**

**–Zakładamy, że w tym bardziej spiczastym końcu.**

**–Może.**

**–Musisz zatem tylko wemknąć się na pokład, złapać te mapy i zmykać.**

**–A jeśli mnie złapią?**

**–Nie można do tego dopuścić – orzekł Hedley. – To byłaby ciężka próba dla RaoGrupy i Cumbre.**

**–O mnie nie wspominając... – westchnął Njangu. – Te słodkie kociaczki schrupią mnie na śniadanie. – Czym byłoby życie bez odrobiny ryzyka? Poza tym, czy znasz w całym układzie kogoś innego, kto mógłby... przynajmniej mógłby spróbować? – Hedley zamyślił się.**

**–Nie – powiedział w końcu. – Skreślam ten pomysł. Zbyt ryzykowny i nie miałbyś szans się wydostać.**

**–Nie ze mną takie sztuczki, szefie. Teraz powinienem unieść się ambicją i stwierdzić, że wcale nie powiedziałem, że tego nie zrobię, a ty po długim namyśle pozwoliłbyś mi popełnić dość skomplikowane samobójstwo.**

**–No proszę... chyba pora cię awansować na alta. Im dłużej ze mną obcuje, tym więcej rozumu ci przybywa.**

**–Drań – rzucił Njangu, odwracając się od hologramu, i spojrzał w okno.**

**Jednostki obcych nadal szarżały po drugiej stronie zatoki.**

**–Na pochlebstwa też mnie nie weźmiesz. Ale... – dodał po chwili. – Mam pewien pomysł. Własny pomysł.**

**–Cieszę się na ten wieczór – powiedział Loy Kuoro. – Kochanie, nie marszczy mi się nic na plecach?**

**–Wszystko w porządku – powiedziała Jasith, spoglądając na odbicie męża w wielkim lustrze. – Ale nie rozumiem, dlaczego tyle sobie obiecujesz po tym spotkaniu.**

**Paumoto ogłosi pewnie, że musthowie przestają się tu szwendać i wycofują się z Cumbre. W przeciwnym razie po co przylatywałyby tak wielkim statkiem?**

**–Brak ci poczucia realizmu, Jasith. Powinnaś wiedzieć, że ważne osoby nigdy nie podróżują drugą klasą. Paumoto chce w ten sposób pokazać, jak wielkie znaczenie**

**ma Cumbre dla musthów.**

**Jasith odłożyła mały rozpylacz pudru i odwróciła się do Loya.**

**–Czego zatem oczekujesz?**

**–Niczego wielkiego, przynajmniej dzisiaj wieczorem. Założę się, że na razie Paumoto chce tylko poznać najważniejszych ludzi w układzie, żeby ustalić, z kim tu prowadzić interesy. Ty i ja też tak robimy. Przypuszczam, że teraz, gdy zabrakło Konfederacji, musthowie i ludzie zaczną coraz bliżej współpracować. Jestem o tym przekonany i tak mają też myśleć moi publicyści.**

**–Skoro tak, to na pewno będzie, jak mówisz – mruknęła Jasith. – Mam nadzieję, że masz rację, kochanie.**

**Loy uśmiechnął się, pocałował ją w czubek głowy i pogładził po ramionach.**

**–Nic nie wskazuje, że się mylę.**

**Jasith przeciągnęła się pod jego dotknięciem jak kotka.**

**–Miłe – powiedziała nieco niższym głosem niż zwykle. – Zobacz, jak pięknie. Dwa księżycy, czyste niebo...**

**–Niewątpliwie...**

**–Może gdy skończą już z najważniejszym, uda nam się wymknąć... wypłynęlibyśmy na zatokę popatrzeć na wschód Kailasa? Albo czegoś innego...**

**–Ciekawa myśl – zauważył Kuoro. – Ale po drodze zatrzymamy się w redakcji „Matin”. Będę musiał przekazać nocnej zmianie relację ze spotkania. Potem będziemy mieli czas dla siebie.**

**–Jeśli jeszcze trochę go zostanie – odpowiedziała obojętnie Jasith i wróciła do makijażu.**

**Kolorowe światła migotały falami na całym kadłubie jednostki flagowej musthów, kąpiąc Leggett i wody zatoki w kalejdoskopowym blasku.**

**Wkoło kadłuba kłębiły się limuzyny – to elita Cumbre D przybywała na spotkanie, podczas którego miała się dowiedzieć, czy zyska nowych partnerów, sojuszników czy też być może władców.**

**Luk wejściowy był otwarty, a po obu stronach rampy stały wyprężone szeregi musthów z błyszczącymi pasami i barwnymi szarfami pasującymi do oświetlenia okrętu.**



Przed rampą prężyła się setka kobiet i mężczyzn z kompanii zwiadu. Nosili paradne mundury: ciemnogrnatowe spodnie wpuszczone w czarne buty do połowy uda, sięgające bioder kurtki ściągnięte pasem i kepi. Ich czapki i epolety zdobiły żółty szamerunek, a pasy z jednej strony obciągały sztylety, z drugiej zaś kabury z pistoletami. Poza tym mieli jeszcze inne uzbrojenie, którego zazwyczaj nie zabiera się na podobne uroczystości, a to granaty hukowe, miniaturową broń strzelecką i noże do rzucania. Wszystko to było ukryte w różnych zakamarkach umundurowania.

Garvin stał na początku jednego z szeregów, twęg Monique Lir na czele drugiego.

Zasalutowali podchodzącemu caudowi Rao, za którym szła jego zastępczyni mil Ceil Fitzgerald. Dowódca oddał honory i trochę niespokojnie, poprawiając wyłogi kurtki mundurowej, ruszył po rampie.

Cywile tłumnie podreptali jego śladem.

Garvin dostrzegł Loya Kuoro w staromodnym smokingu i Jasith Mellusin noszącą coś, co tylko na pozór było smoliście czarne, gdyż odbijało każdy błysk światła.

Kuoro zlustrował Garvina, uśmiechnął się z wyższością i poszedł dalej.

Jasith została nieco z tyłu. W pewnej chwili udała, że się potknęła i straciła równowagę. Oparła się o Garvina i poprawiła pantofelek.

–Dzięki za prezent – mruknął półgębkiem.

–Zadzwoń do ciebie – odszepnęła. – Musimy się spotkać.

–Z nim czy bez niego? – spytał Garvin z lekkim wyrzutem.

Jasith Mellusin wyprostowała się, spojrzała na niego i bez słowa odeszła. Garvin odprowadził ją wzrokiem, po czym znowu służbiście wbił oczy w przestrzeń przed sobą.

Monique Lir obserwowała go wyczekująco, ale zaraz zamrugła i przybrała oficjalny wyraz twarzy, jak na wzorowego żołnierza przystało.

Njangu Yoshitaro czał się w cieniu, gdzie praktycznie był niewidoczny dzięki dopasowanemu, spowijającemu go od stóp do głów czarnemu ubraniu. Nosił też buty na miękkiej podeszwie i pas z torbą, w której trzymał mały laser tnący, dwa granaty gazowe, scyzoryk o wielu ostrzach i czujnik podczerwieni. Ignorował wielką jednostkę pośrodku lądowiska. Jego celem był jeden z eskortowców.

Jak wszystkie okręty musthów, i ten miał otwarty właz. Co jakiś czas przechodzili przezeń obcy, ze środka biło zapraszająco jasne światło.

**Przy rampie stało dwóch wartowników, ale żaden nie czuwał zbyt pilnie.**

**Przyglądali się tłumom wchodzącym na pokład sąsiedniej jednostki. Co jakiś czas zostawiali rampę, robili obchód wkoło kadłuba i wracali na posterunek, aby dalej podziwiać widowisko.**

**Njangu przemknął przez mrok. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z wartowników.**

**Może był przesądny, ale już mu się zdarzało, że jakiś gliniarz obracał nagle głowę bez wyraźnego powodu...**

**Odliczając w myślach, sprawdził, jak wiele czasu zabiera im obejście jednostki.**

**Trzydzieści sekund albo coś koło tego. Starczy.**

**Podszedł najbliżej jak mógł i przykucnął, plama czerni pośród ciemności. Blask bijący od jednostki flagowej oślepił wszystkich, którzy skierowali tam wzrok.**

**Odczekał, aż wartownicy się ruszą, zerwał się na nogi i nagle coś go ostrzegło... Padł na ziemię.**

**Jeden z musthów powiedział coś do drugiego i wrócili do rampy. Njangu już chciał zerwać się do biegu, gdy dostrzegł, że strażnik wskazuje na zbliżającą się ku okrętowi flagowemu kolejną grupę ludzi. Zastanowił się przelotnie, co też może być w niej aż tak ciekawego, ale zaraz wyrzucił wszelkie myśli z głowy i stał się częścią betonowej płyty lądowiska.**

**Ludzie weszli na pokład, a wartownicy oddalili się w ciemność.**

**Njangu wstał i szybko, po cichu wbiegł na okręt.**

**Zatrzymał się w śluzie, gdzie wejście w lokalne pole ciężenia na chwilę dezorientowało jego zmysły. Przed nim rozciągały się wiodące na boki korytarze.**

**Wybrał jeden i ruszył przed siebie.**

**Na połyskujących metaliczną szarością grodziach i przepierzeniach jednostki flagowej jaśniały barwne trójwymiarowe obrazy.**

**Niektórzy goście przechodzili obok nich obojętnie, większość jednak zatrzymywała się z zaciekawiona, jacy naprawdę są ci musthowie.**

**Projekcje przedstawiały nieznane góry, wysokie budynki wyrastające pośrodku pustkowi, okręty i statki większe nawet niż ten, na którym akurat byli, musthów w trakcie krwawych polowań albo zajętych jakimiś nieznanymi sprawami, dziwne i piękne gromady gwiazdne, których nie oglądało nigdy oko człowieka. Jakby dla**

**kontrastu, na paru można było też ujrzeć gromadki młodych musthów bawiących się niczym kocięta.**

**Caud Rao przystawał przed każdym obrazem i poprawiał wyłogi munduru. Mil Fitzgerald zmierzyła go spojrzeniem.**

**–Na miejscu twojego krawca chyba popełniłabym samobójstwo – powiedziała w końcu.**

**–Nie bądź za mądra – warknął Rao. – Hedley kazał mi wszystko filmować – dodał i znowu poprawił kurtkę, nakierowując w ten sposób miniaturową kamerę.**

**Wiodące przez obszerne wnętrza rampy biegly ku części dziobowej. Njangu dziwił nieco brak barierek, ale uznał, że widocznie istoty dysponujące ogonem nie potrzebują podobnych udogodnień.**

**Przyściśnięty do biodra czujnik podczerwieni zawibrował. Pamiętając o mijanej przed chwilą wnęce, Njangu wycofał się do niej i wtulił w ścianę.**

**Mignął mu przechodzący musth. Rozległ się zgrzyt otwieranego i zatraskiwanego włazu. Chodzą ciszej niż ja, pomyślał z rozczarowaniem Njangu.**

**Podobnie jak Rao, zabrał miniaturową kamerę, która przekazywała na bieżąco obraz do zaparkowanego nieopodal kosmoportu cywilnego ślizgacza. Miał nadzieję, że nikt nie monitoruje wykorzystywanej przy tym częstotliwości. Wyjdzie z tego serial Szpieg w misji samobójczej, przyszło mu do głowy.**

**Jednostka była olbrzymia, ale skąpo obsadzona. Niektóre włazy stały otworem, ukazując fragmenty jakiejś maszyny albo kajuty z wyściełaną podłogą zamiast koi.**

**Njangu zastanawiały z początku te pustki, domyślił się jednak, że większość załogi ma dzisiaj wieczorem inne obowiązki. Na przykład zabawia gości na przyjęciu.**

**Kilka razy słyszał jednak sykliwe odgłosy z mijanych kabin, ale zdołał przemknąć niezauważony.**

**W pewnej chwili coś przed nim zaszumiało. Zanurkował do pustej kajuty i wyciągnął broń.**

**Przed otwartymi drzwiami przeszło dwóch musthów pchających wydające ów szum urządzenia – drągi z jakimś zamontowanym poprzecznie modulem.**

**Nawet obcy muszą czasem sprzątać, pomyślał Njangu. Mógłby przysiąc, że obaj musthowie z odkurzacami nie wyglądali na zachwyconych, jakby dostali tę robotę za karę.**

Odczekał, aż hałas ucichnie, i poszedł dalej.

Musthowie podali niezwykle, ale całkiem smaczne dania. Jasith wydawało się, że zna niektóre smaki, ale nie potrafiła rozpoznać produktów obficie obsypanych najróżniejszymi przyprawami.

Gdzieś w połowie przyjęcia uświadomiła sobie, z czym jej się one kojarzą, i zachichotała.

Pochyliła się mężowi.

–Całkiem jak wtedy, gdy byłam w skautach – wyszeptała. – Wybraliśmy się kiedyś w dzicz. To znaczy dla nas to była dzicz. Żywić też mieliśmy się jak dzicy.

–I co?

–Nikt z nas nie znał się na gotowaniu, więc niemal wszystko było na pół surowe.

Mam wrażenie, że musthowie korzystali z tych samych broszurek co my...

Loy mruknął coś, pracowicie żując ostatni kęs, który dziwnie rósł mu w ustach.

Njangu zbliżył się do zamkniętego wjazdu. Pchnął go, potem dotknął wszystkiego, co nadawało się jego zdaniem do dotykania. Bez skutku. I jak mam go otworzyć, pomyślał, skoro za diabła nie wiem, jak działa?

Nagle dojrzał małą pionową szczelinę w ścianie na wysokości piersi. Zastanowił się chwilę i wyjął scyzoryk. Otworzył najcieńsze ostrze i przesunął nim w szczelinie. Wjazd otworzył się posłusznie. Jasne, zamek na pazur.

Wszedł do sporego pomieszczenia z obracającą się jasnoszarą metalową kulą pośrodku. Nie wiedział, co o niej myśleć. Była dość duża, aby zmieścić się w niej musth, ale nie było widać wejścia. Kokpit na warunki nieważkości? Rampa biegła dalej wzdłuż ściany. Żałując, że nie wziął blastera, który w takich sytuacjach dodaje pewności siebie, przytulił się do ściany i poszedł dalej.

–Dwie wielkie postaci... spotkały się, pokonawszy wielką... hmm... odległość, każda inna, ale obie wiedzione podobnymi zamysłami... – tłumaczył Alikhan, streszczając gościom przemówienie Paumota.

Caud Rao czuł się coraz bardziej błogo. Nie wiedział, co właściwie zjadł, ale było mu dobrze z pełnym żołądkiem. Z wolna dochodził do wniosku, że wszyscy politycy są tacy sami i wygłaszają takie same nudne mowy... Nagle otrzeźwiał.

Przy całej różnorodności ludzkich kultur bardzo niewielu polityków zwykło nosić

przy boku broń wyrzucającą pociski, które wyjadają dziury w ofierze... Większość w ogóle nie wiedziała, jak się posługiwać jakąkolwiek bronią. Rzadko też przybywali na pokojowe spotkania w okrętach wielkości pancernika.

Rao przestał śnić.

Korytarz zrobił się nieco szerszy, po obu jego stronach pojawiły się głębokie wnęki. Przed Njangu, za łukowato wybrzuszonym przejściem, widać było ekrany, panele kontrolne i niską ławę. Dał się słyszeć głos mustha, po chwili drugi i nie licząc poszumu maszyny, znowu zapadła cisza.

Mając nadzieję, że obcy nie są bardziej czujni niż przeciętny gliniarz, Njangu przeczołgał się przez łukowate przejście i zerknął na mostek.

Ujrzał kolejne ekrany, ławy i panele. Niektóre były włączone. Obsługę stanowiło dwóch musthów.

Marzenie o braku wachty rozwiało się jak sen.

Jeden z musthów przebiegał palcami po nie wyróżniającym się spośród innych panelu i patrzył na pojawiające się na ekranie symbole.

Stanowisko nawigacyjne?

Drugi śledził na holo jakieś pracujące maszyny.

Nadzór maszynowni?

Ekran z boku ukazywał schematyczny obraz planety. Poniżej widać było znajomy półcylinder.

Teraz tylko niechby sobie poszli na piwo...

Jednak żaden z musthów nie wydawał się na tyle spragniony.

Njangu zastanowił się, czyby ich nie zastrzelić. Porwałby potem co trzeba i uciekł ile sił w nogach. Przeklął się ponownie za głupi pomysł, aby iść bez broni, i cofnął się do wnęk.

W trzeciej znalazł prawdziwy skarb.

W odróżnieniu od ludzi, obawiających się kurzu niczym zarazy, musthowie mieli szafki bez drzwi. Na półkach we wnęce leżały spokojnie setki map. Każdy z półcylindrów przylegał własnym przemysłem do swojego miejsca, nie był niczym mocowany.

**Było ich tak wiele, że Njangu zawahał się, nie wiedząc, które brać, gdy obok zauważył tablicę, na której wisiało kilkanaście przyczepionych chaotycznie półcylindrów.**

**Przyszło mu do głowy, że to mogą być te najczęściej używane.**

**Przeklinając się w duchu za nadmierną zapewne antropomorfizację, zebrał je do małego plecaka. Jeśli na nic się nie przydadzą, jajogłowi sami będą mogli sobie tu przejść po więcej, pomyślał. A teraz zobaczy my, czy uda mi się stąd zniknąć, zanim ktoś odstrzeli mi tyłek.**

**Ruszył zwawo tą samą drogą, którą przyszedł. Miał nadzieję, że nie czeka go więcej niespodzianek.**

**Dwa razy musiał się chować w kabinach i czekać, aż ktoś przejdzie. Przekradł się obok drzwi, zza których słychać było jakieś zawodzenie, być może muzykę.**

**W końcu dotarł do śluzy. Właz wciąż był otwarty. Dzięki bogom wszelakim, że dzisiaj pracują dłużej, przemknęło mu przez myśli, ale zerknął na zegarek i stwierdził zdumiony, że cała wyprawa nie zabrała mu wcale pół nocy, jak gotów był przysiąc, ale nawet nie pół godziny.**

**Wyjrzał ostrożnie. Nie dostrzegł wartowników. W pierwszym odruchu chciał wybiec w noc, ale opanował się. Cofnął się nieco i poczekał, aż musthowie wrócą. Mimo narastającego zdenerwowania sterczał w śluzie tak długo, aż wyruszyli na kolejny obchód.**

**Wtedy dopiero, siląc się na spokój, niemal spacerowym krokiem zszedł po rampie i zniknął w przyjaznym mroku nocy.**

**Tydzień później stojący pod centralną kopułą na Silitricu Aesc i Wlencing obserwowali okręt Paumota dźwigający się z lądowiska. Z początku wznosił się opieszale, nagle jednak nabrał szybkości i zniknął, nie dolatując do chmur.**

**Nad równiną przetoczył się słyszalny nawet po kopułą grom. To powietrze wypełniło gwałtownie pustkę po okręcie.**

**–Myślę, że wizyta Paumota znacznie wzmocniła naszą pozycję – powiedział Aesc.**

**–Zapewne tak – odparł ostrożnie Wlencing. – Chociaż nie podoba mi się, że ktoś tak wysoko postawiony zaczyna się żywo interesować naszymi poczynaniami. Nie chciałbym, żeby po tym wszystkim pominięto mnie przy podziale łupów.**

**–Spokojnie. Jeśli po opanowaniu Cumbre Paumoto nie zadowolą się tą skromną częścią, do której ma prawo, jakoś sobie z nim poradzimy – powiedział Aesc i**

**pochylił głowę.**

**–A na razie... wiemy już, co robić. Musimy się postarać, żeby jak najszybciej doszło do potrzebnego nam incydentu, i przejść do następnego etapu.**

„Matin”, rubryka „Loy’s Kuorner” Jak oczekiwaliśmy, po przyjaznym i owocnym powitaniu zgotowanym przez mustha Paumota najbardziej szanowanym mieszkańcom Leggett i układu Cumbre (do których mam zaszczyt się zaliczać) dojdzie do cyklu spotkań mustha Aesca z różnymi osobistościami naszej kultury, przemysłu i handlu oraz armii, włączywszy w to niżej podpisanego. Mają one zacieśnić więzy między ludzkością a jej nowym sojusznikiem, chociaż musthowie nie wypowiedzieli się, na razie, w tej materii.

Wspomniane spotkania rozpoczną się dzisiaj w sławnym na cały układ hotelu Shelbourne i potrwać zapewne cały tydzień, obfitując nie tylko w ważne wydarzenia związane ze światem wielkich interesów, ale także kulturalne oraz towarzyskie.

Wasz wierny wydawca został zaszczycony zaproszeniem do poprowadzenia pierwszego dnia spotkań, który zacznie się od...

Njangu zamrugał, nie odrywając oczu od ekranu.

–Wiesz, Monique, mąż byłej dziewczyny naszego szefa chyba nigdy nie nauczy się pisać po ludzku. Jego rubryka zawsze dostarcza mi silnych wrażeń. Ciekawe, co ona w nim widzi?

–Jest przystojny i ma pieniądze – odparła Monique. – Bardziej mnie zastanawia, co on widzi w niej? Mam wrażenie, że to tylko pustogłowy twonk.

–Też nieźle się prezentuje i jest jeszcze bogatsza od niego. Najciekawsze jednak... – Njangu urwał.

–Co jest najciekawsze... sir? – Czy nauczę się kiedyś trzymać język za zębami?

Szczególnie gdy chodzi o cudze sprawy – mruknął Njangu, wstając od biurka i sięgając po kepi. – Gdyby szef przyszedł i mnie potrzebował, powiedz, że poszedłem do sztabu.

Godzinę później zabrzączał komunikator.

–RaoGrupa, kompania zwiadu, mówi twęg Lir.

Ekran pozostał ciemny.

–Chciałabym rozmawiać z altem Garvinem Jaansmą – powiedziała niewidoczna kobieta.

–Przykro mi, jest na poligonie, nie wróci wcześniej niż za godzinę – odparła Lir. –



**Czy mam coś przekazać?**

**–Zadzwoń później.**

**Twęg Lir przypomniała sobie krótkie spotkanie Garvina i Jasith przed imprezą u musthów. Wydało jej się, że poznała ten głos, ale zaraz pomyślała, że Njangu miał rację w kwestii cudzych spraw i lepiej wziąć z niego przykład.**

**–Dział miejski – rzucił znudzony redaktor. – Ted Vollmer.**

**–Wie pan... – zaczął niepewnie mężczyzna, którego pospolita twarz pojawiła się na ekranie. Głos miał równie nijaki. – Jestem fotografem amatorem... ale chciałbym zostać profesjonalistą, chętnie wam coś podeślę... A na początek... może udałoby mi się zrobić parę dobrych ujęć tego przywódcy musthów... nie pamiętam, jak się nazywa... gdy przybywa do hotelu. Nie wie pan, skąd miałbym najlepszy widok?**

**Vollmer już chciał jęknąć, zdecydował się jednak pozostać uprzejmy.**

**–Z tego, co wiemy, ma przylecieć pod sam hotel i wylądować od strony zatoki.**

**Zapewne przy przystani.**

**–Dziękuję – powiedział fotoamator i rozłączył się.**

**–Cholerni maniacy – mruknął Vollmer. – Musthowie, hotele, tamto, siamto... zawsze chcą coś wiedzieć.**

**–Dlaczego mu nie powiedziałaś, że to dzień naszego szefa i posyłamy na miejsce własną silną ekipę? – spytał jego asystent. – Nie robi nic, czego sami byśmy nie mieli.**

**–Bo jakbym zaczął splawiać takich jak on, wszyscy nasi fotoreporterzy dostaliby zaraz fotowstrętu. Cholerni maniacy...**

**–Za to cię lubię. Ostatni altruista...**

**–Ach, ci musthowie – westchnęła Heiser. – Ten ich system ósemkowy...**

**–A to ma jakieś znaczenie? – spytał Froude. – System to system, zawsze i tak wychodzi na to samo.**

**–Może dla ciebie – odparła Heiser. – Ja, gdy pracuję z ich materiałem, zaczynam zapominać, że mam dziesięć palców u rąk. Ale to nie wszystko. Chodzi też o punkt odniesienia na ich mapach.**

**–Każda mapa to ma – zauważył uprzejmie Froude. – Biegun geograficzny,**

magnetyczny, Centralny czy co tam rządowi kartografowie wyznaczą.

–Ale musthowie zawsze oznaczają środek swojego wszechświata w tym samym miejscu.

–I co z tego?

–Nie wiem jeszcze na pewno... Żadna z wykradzonych map nie obejmuje terenów leżących aż tak głęboko w ich imperium. Ale przeprowadziłam symulację, z której wynika, że punkt odniesienia powinien leżeć tutaj. Jedyny układ planetarny, który zdaje się pasować do tych współrzędnych, to 37420 według starego katalogu pozycyjnego Langnesa.

–Nie znam.

–Nic dziwnego – rzuciła Heines. – To jeden z pionierów. Też bym o nim nie słyszała, gdyby mój nauczyciel astronomii nie był taką piłą.

Coraz bardziej zirytowany Hedley słuchał tej wymiany zdań, spoglądając to na Heiser, to na Froudego, całkiem jakby grali w ping-ponga. Już był dość zły, że jedyne, czym dysponuje, to mapy i zapis przemówienia Paumota, co nie posuwało go ani o krok dalej w domysłach, dlaczego właściwie musth przybył z wizytą. – Przepraszam, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale czy potraficie odczytać te mapy tak samo jak poprzednie?

–Oczywiście – odparł Froude z lekką urazą. – Czyżbym mówił, że mamy jakieś kłopoty?

–Zatem co te mapy nam dają?

–Współrzędne szesnastu do dwudziestu układów planetarnych zasiedlonych przez musthów. Niestety, żaden z nich nie leży szczególnie blisko – powiedziała Heiser. – Ciekawe też, w jaki sposób poszerzali swoje imperium, założywszy oczywiście, że przekład mojego kolegi jest prawidłowy. Wychodzi na to, że skakali od gromady do gromady, a cele dla kolejnych ekspedycji wyznacжали, rzucając monetą. Może zresztą rzucali w te mapy strzałkami... Żadnej w tym logiki.

–Tak czy owak, w razie wojny możemy na ich podstawie wyznaczyć potencjalne cele uderzeń? – spytał Hedley.

–W razie wojny... Bez trudu – stwierdził Froude.

–Potrzebujemy zatem tylko jakiegoś okrętu zdolnego do skoków nadprzestrzennych – powiedział Hedley. – Czegóż lepszego niż ten złom, który chowamy po krzakach.

**–To chyba nie problem – zauważył Froude. – Jak zdołałem się zorientować, ma pan całkiem dobrego włamywacza, prawda?**

**Hedleyowi przyszło do głowy co najmniej kilka odpowiedzi, ale żadna nie była cenzuralna, wolał więc zmilczeć.**

**Niech bogowie błogosławią Majormunroemu, pomyślał mężczyzna, który przedstawiał się jako Ab Yohns, i spojrzął z podziwem na swoje dzieło. Miał powody do wdzięczności wobec człowieka, który całe epoki wcześniej odkrył zasady rozchodzenia się fali uderzeniowej.**

**Jego machina piekielna wyglądała całkiem zwyczajnie, jak kawałek wyrzuconego na brzeg drewna, który przypadkiem uwiązał między dwoma palami pomostu.**

**Pięknie, naprawdę pięknie, pomyślał Yohns. Niezła ze mnie złota rączka.**

**Zamknął osłonę hełmu, znowu się zanurzył i popłynął z powrotem do zacumowanej w pobliskiej marinie łodzi.**

**–Alt Jaansma.**

**Ekran pojaśniał, ukazując twarz Jasith. Garvin poczuł, nie po raz pierwszy, że wciąż jest zadurzony. Jak nigdy w życiu.**

**–Cześć.**

**–Witaj – powiedział, siląc się na obojętność.**

**–Próbowałam dodzwonić się do ciebie już wczoraj, ale gdzieś wyszedłeś. Nie zostawiłam wiadomości.**

**–Powiedziano mi, że dzwoniła jakaś kobieta. Nie mam wielu wielbicielek, więc domyśliłem się, że to musiałaś być ty.**

**–Moglibyśmy się spotkać? – spytała Jasith. – Muszę z tobą porozmawiać.**

**–Nie wiem, czy cokolwiek jeszcze nas łączy.**

**Jasith oblała się rumieńcem.**

**–Nie jesteś zbyt zasadniczy? – rzuciła. – Nie każdy zawsze dokładnie wie, co robi, szczególnie gdy zbyt wiele się na niego wali. Nigdy ci się nie zdarzyło popełnić błędu?**

**Garvin czuł, że jeszcze trochę i straci panowanie nad sobą, ale w porę oprzytomniał. Owszem, zdarzyło mu się. A gdy działał jako wtyczka wśród Raumów,**

nie był też tak bardzo wierny ani uczciwy. I to nieraz...

Zaczerpnął wielki haust powietrza.

–Dobrze, Jasith. Przepraszam. Jestem sukinsynem.

Jasith przesunęła językiem po wargach.

–Bardzo chcę się z tobą zobaczyć... porozmawiać. Gdy tylko będziesz wolny.

Garvin zastanowił się.

–Mogę się urwać jutro rano. Nie za wcześnie?

–Nie. Pasuje. Loy będzie przez cały dzień konferował z musthami.

–Powiedz gdzie – powiedział Garvin, ożywiając się nieco.

–Nie trzeba, żeby ktokolwiek widział, co robię... Nawet jeśli chodzi tylko o rozmowę z tobą. Może uda nam się parę rzeczy wyjaśnić...

–Powiedz tylko gdzie.

–Pamiętasz tę plażę, na którą chodziliśmy? Tę ustronną, za kosmoportem?

–Jasne.

–Może tam? W tej małej restauracji?

Garvin dobrze pamiętał ten lokal. Spędzili w nim kiedyś cały wieczór, rozmawiając, patrząc na siebie. Chociaż ledwie tknęli wino, byli wtedy jak pijani.

–Będę. Kiedy?

–O dziewiątej... nie, o dziesiątej. Zaraz, gdy zacznie się konferencja.

Nie czekając na odpowiedź, Jasith zerwała połączenie.

Garvin długo patrzył na pusty ekran, po czym sięgnął po własny komunikator.

–Monique, odzyskaj Njangu i powiedz mu, że ma jutro służbę. Rano muszę jechać do Leggett w ważnej sprawie. Ślizgacz musthów przeleciał nisko nad Wzgórzami eskortowany przez dwa unoszące się na wyższym pułapie aksaie. Przypominał zwykłe ludzkie maszyny, ale był smuklejszy i szerszy, a przednia szyba zapewniała znacznie większe pole widzenia. Po bokach i z tyłu był dodatkowo opancerzony, z kadłuba sterczały lufy pięciu działek. Na pokładzie było pięciu musthów: Aesc, jego

**adiutant, dwóch żołnierzy ochrony i pilot.**

**Zanurkowali prawie nad same fale i akksie zawróciły do bazy na Płaskowyżu.**

**Dzień zapowiadał się pogodnie i obiecująco, łagodne fale z lekkim szmerem załamywały się na piasku.**

**Lecący nad plażą ślizgacz zwolnił przed hotelem i zaczął się zbliżać do pomostu przed tylnym wejściem, u którego czekało kilkunastu dygnitarzy. Pozostali siedzieli w restauracji.**

**Maszyna zatrzymała się przy przerwie w barierkach i niesiona porannym wiatrem osiadła na pomoście.**

**Jeden z żołnierzy wysunął drabinkę i po chwili pojawił się na niej Aesc.**

**Był w połowie drogi między pojazdem a hotelem, gdy Ab Yohns, który obserwował całą scenę przez ustawioną na dachu pobliskiego budynku lunetę, nacisnął guzik.**

**Niemal dziesięć kilogramów teleksu, którym naszpikował niewinnie wyglądający kawałek drewna, eksplodowało dokładnie pod ślizgaczem. Niemal cały impet poszedł tam, gdzie miał się skierować.**

**Aesc zginął na miejscu. Ślizgacz został wyrzucony w powietrze. Pilot próbował nad nim zapanować, ale nie zdążył i maszyna z impetem uderzyła w wodę. Adiutant Aesc i jeden z żołnierzy zginęli wcześniej od fali uderzeniowej.**

**Ab Yohns schował do torby lunetę i urządzenie do zdalnego odpalania, zaciągnął zamek i przekręcił rączkę. Za dziesięć minut mała eksplozja miała rozerwać to wszystko na strzępy.**

**Potem zszedł zwawo po schodach, całkiem jak zwykły biznesmen spieszący do swoich obowiązków. Półtorej godziny drogi i powinien być z powrotem w swojej willi.**

**Yohns nie był aż tak świetnym fachowcem, jak sądził, i bomba nie zadziałała idealnie. Fala uderzeniowa dotarła także do hotelu, wybijając wiele szyb i powodując liczne rany u zebranych.**

**Loy Kuoro stał w tym czasie za kotarą, która zatrzymała odłamki szkła. Podmuchał go na podłogę, gdzie leżał tak długo, aż pojął, że cokolwiek się stało, jest już po wszystkim.**

**Ignorując jęczących rannych, zaczął pokrzykiwać na swoich dziennikarzy, którzy mieli obsługiwać konferencję. „Matin” musiał być pierwszy.**

**Jasith Mellusin wystartowała, gdy zobaczyła czarną chmurę dymu unoszącą się nad oceanem, a chwilę później przez otwarte okno dobiegł ją odgłos eksplozji. To było gdzieś w pobliżu Shelbourne...**

**Zaraz zapomniała o Garvinie. Tam był Loy! Jęknęła i wzięła kurs na hotel.**

**Garvin też słyszał wybuch. Wyciągnął głowę i dojrzał czarną chmurę, która zawisła nad brzegiem.**

**Zawahał się. Był pewien, że musiało się zdarzyć coś bardzo złego, zapewne związanego z konferencją i musthami. Uznał, że Jasith będzie musiała poczekać, i pobiegł ile sił w nogach w stronę Shelbourne.**

**Ślizgacz musiał być w stałym kontakcie z aksaiami, nadleciały bowiem ponownie ledwie kilka chwil po eksplozji i zanurkowały na hotel.**

**Ludzie byli pewni, że obcy zaraz zaatakują, ale myśliwce przemknęły nad wrakiem ślizgacza, a potem weszły na wyższy pułap i zaczęły tam krążyć.**

**Przebywający na odległym Siłitricu Wlencing dowiedział się o zdarzeniu kilka minut później. Zarządził stan pogotowia w całym układzie i kazał podstawić okręt, aby zawiózł go na Cumbre C.**

**Po drodze pozwolił sobie na ironiczną refleksję: wyszło nawet lepiej, niż planowali.**

**Musthowie ogarnęli układ Cumbre niczym tsunami.**

**Dopiero teraz wywiad się dowiedział, co kryły wielkie okręty macierzyste.**

**Poza znanymi już aksaiami wyroiły się z nich przypominające rekiny niszczyciele zwane velvami i wynty, ciężkie pojazdy bojowe piechoty. Przypominały griersony, ale były nieco bardziej spłaszczone i niemal tak silnie uzbrojone jak zhukovy.**

**Nagle było ich pełno nad wszystkimi większymi miastami Cumbre D i kopalniami Cumbre C. Velvy zajęły się też stacjami obserwacyjnymi na księżycach Cumbre D.**

**Plan Wlencinga zadziałał w stu procentach.**

**Układ Cumbre wpadł w ręce musthów bez walki.**

**Mężczyźni i kobiety z RaoGrupy nie mogli zrobić wiele więcej, jak tylko gapić się na krążące nad bazą Mahan maszyny. Zdołali pospieszenie obsadzić jedną wyrzutnię pocisków przeciwlotniczych, ale ledwie zaczęła namierzać cele, kilka rakiet zamieniło ją w kulę ognia.**

**Okręt Wlencinga wylądował w parku obok nowego gmachu rządu, niszcząc krzewy, drzewa oraz niedawno wzniesiony pomnik upamiętniający poległych w raumskim powstaniu.**

**Nad dachem w zwartej formacji krążyły aksaie, a z wynta, który wylądował zaraz przy wejściu, wysypali się musthowie z bronią gotową do strzału.**

**Właz jednostki macierzystej otworzył się i Wlencing razem ze swoimi bocznymi, jak zwykle ustawionymi w typowy dla musthów szyk V, pomaszerował prosto do siedziby władz.**

**Nie zwrócił uwagi na leżące wkoło ciała strażników, którzy zgodnie z rozkazem zginęli w obronie swego rządu.**

**Wlencing wszedł do głównej izby, gdzie piętnastu członków Rady dyskutowało właśnie o kryzysie powstałym po śmierci Aesca. Wszyscy byli bladzi i wciąż nie mogli dojść do niczego konstruktywnego.**

**Musth ruszył ku mównicy. Jeden ze strażników zaprotestował, ale dwóch bocznych Wlencinga sięgnęło po broń i mężczyzna zaraz się odsunął, unosząc ręce. Sam Wlencing zachowywał się, jakby nic niezwykłego się nie działo.**

**–W imieniu mojej rassy, wypełniając to, co nam pissane, obejmuję niniejszym układ**

**Cumbre – powiedział, stanąwszy za mównicą.**

**–Wszelkie postaci rządu czy innych podobnych instytucji zostają zdelegalizowane do odwołania. Wy, ludzie, macie wykonywać nasze rozkazy. Jakiegokolwiek nieposłuszeństwo albo opór karane będą śmiercią.**

**Stojąca w głębi pomieszczenia Jo Poynton przemknęła po cichu do wyjścia. Nie zauważona przez nikogo ruszyła w kierunku ruin Eckmuhl, niegdysiejszego getta Raumów.**

**Raz już prowadziła stamtąd walkę i wszystko wskazywało na to, że czeka ją powtórka.**

**Znała wielu Raumów, którzy nie zginęli w ostatniej bitwie ani nie złożyli po niej broni. Znowu mogła im się przydać.**

**Dwa wynty zawisły nad dachem redakcji „Matin”, po rampach zbiegły dwie drużyny musthów. Obcy wpadli do gabinetu zastępcy dyrektora koncernu.**

**Ktoś rzucił im jakieś pytanie, ale został zignorowany.**

**–Loy Kuoro? – spytał dowódca i roztrzęsiony zastępca Kuora zaprowadził go zaraz do obszernego gabinetu szefa. Loy wyszedł im na spotkanie powoli, z ostentacyjnie rozłożonymi, pustymi rękami.**

**–Macie możliwość nadawania w warunku wyjątkowym?**

**Kuoro musiał się chwilę zastanowić, nim zrozumiał.**

**–Tak.**

**–Inne stacje mogą się z wami ssprzęgnąć?**

**–Możemy narzucić im przekaz – przyznał niechętnie Kuoro. – Ale musiałyby to zaaprobować rząd.**

**–Teraz my jesteście rządem – powiedział musth. – Zaprowadź nas do studia.**

**Kuoro zawahał się i obcy uniósł broń.**

**–Chodźcie za mną. – Loy nie miał już wątpliwości, co robić.**

**–Ssrowadź ekipę techniczną – dodał musth.**

**Większość odbiorników na Cumbre D była włączona, chociaż na razie nie dawało się złapać nic poza rozrywką. Kanały informacyjne nadawały muzykę albo w ogóle**



**przerwały działalność.**

**Nagle oczom głodnych wieści obywateli ukazała się nagrana tego dnia scena zamachu na Aesca.**

**–Ludu Cumbre – odezwał się metaliczny głos zza kadru. – Zostaliśmy poważnie zranieni. Zaznaliśmy wielu krzywd, od rabunków po to morderstwo. Mimo wciąż ponawianych ostrzeżeń wobec was i waszego rządu sytuacja nie uległa zmianie.**

**Nadszedł dzień zapłaty. Odtąd wszystkie planety układu Cumbre przechodzą pod zarząd musthów.**

**Wzywamy ludzi, by zachowali spokój i nie podejmowali nieprzemyślanych działań przeciwko nam. Na każdy przejaw bandyckiej działalności odpowiemy najsurowszymi karami. Ten, kto naruszy prawo, poniesie śmierć, podobnie jak jego współpracownicy. To samo spotka każdego wspierającego takie działania przeciwko nam, a jego własność zostanie natychmiast skonfiskowana. Nakazujemy wszystkim ludziom podjąć normalne obowiązki.**

**Macie stawić się do pracy tak, jakby nic się nie stało.**

**Oczekujemy ponadto, że ludzie podporządkują się wymogom stanu wyjątkowego.**

**Nikt z nich nie ma prawa pokazywać się poza domem od zmierzchu do świtu. Ludzie nie mają prawa zbierać się w grupach większych niż dziesięć osób, chyba że wymaga tego ich praca. Całą broń nakazuje się zdać na najbliższym posterunku policji. Wszyscy policjanci oddadzą się pod dowództwo musthów i będą wykonywać ich rozkazy. Wszyscy członkowie sił zbrojnych mają natychmiast powrócić do macierzystych baz, gdzie będą oczekiwać na dalsze rozkazy.**

**Pamiętajcie, że my, musthowie, pragniemy jedynie pokoju. Wykonujcie nasze rozkazy, a wpisze się w naszą wielką przyszłość.**

**Na ekranie w gabinecie cauda Rao w czterech okienkach widniały cztery różne twarze.**

**–Co robimy, sir? – spytała mil Fitzgerald.**

**Rao wciągnął powietrze w płuca.**

**–Obecnie nie możemy zrobić praktycznie nic – powiedział ponuro. – Nakazano nam się poddać. Tak jak żądają, opuścimy sztandar. Ściągnąć wszystkich do koszar, żadnych urlopów czy przepustek, i pilnować, żeby nikt nie zaczął jakiejś prywatnej wojny. Pełna dyscyplina, żeby nie dać draniom najmniejszego pretekstu. Uważajcie na tych w gorącej wodzie kąpanych. Wiecie najlepiej, którzy to. Ale nie karać ich, nie**

**pozwólcie im tylko na nic, czego obecnie nie zdołalibyśmy przeprowadzić.**

**Mil Cel Reese, dowódca pierwszego pułku, skrzywił się niemiłosiernie.**

**–Nie ma innego wyjścia?**

**Rao ze smutkiem pokręcił głową.**

**–I co teraz? – spytał Froude, patrząc na Ho Kang.**

**Dec zastanawiała się przez chwilę.**

**–Nie możemy pozwolić, żeby musthowie dowiedzieli się, co tu robiliśmy. Musimy zabrać stąd wszystkie mapy i dyski. Teraz, zaraz. Was też gdzieś trzeba ukryć, najlepiej na wyspie Mullion.**

**Naukowcy czym prędzej wyszli się spakować, a Ho sięgnęła po komunikator.**

**–Pralnia pułkowa – usłyszała czyjś wystraszony głos.**

**–Mówi dec Ho Kang z Sekcji II. Wychodzimy we trójkę i nie chcemy, aby ktokolwiek się o tym dowiedział.**

**–Ktokolwiek futrzasty? – spytał z ożywieniem rozmówca.**

**–Linia może być na podsłuchu – ostrzegła Ho. – Ale dobrze kombinujesz.**

**–Da się zrobić – obiecał głos. – Znamy takie sztuczki, że hej. Cokolwiek tam macie, jeśli jest mniejsze od griersona, załatwimy sprawę.**

**–Pieprzyć takie gadanie! – rzucił ze złością cent Elles. – Mamy tu siedzieć i czekać, aż nas załatwią?!**

**–Już nas załatwili – powiedział spokojnie Ben Dill. – Poza tym takie mamy rozkazy.**

**–Rozkazy też pieprzę! – Elles rozejrzał się po pokoju i zerknął przez okno na dżunglę otaczającą tajną bazę na Mullion. – Musimy ruszyć na tych cholernych musthów!**

**Może i nas załatwią, ale przynajmniej zabierzemy paru ze sobą!**

**–Caud Rao rozkazał inaczej.**

**–Tutaj ja jestem dowódcą, do cholery! – warknął oficer. – Obsadzić mi więc maszyny i startować. Macie zniszczyć każdy wojskowy cel musthów, na jaki traficie. Potem zmylić pogoń i wracać. Po zatankowaniu i uzupełnieniu amunicji każdy poleci**

na kolejną misję.

–A jeśli nie uda się ich zgubić? – spytał Dill. – Wracać, ryzykując, że odkryją bazę?

–W żadnym razie nie można ich naprowadzić na tę bazę – warknął Elles. – Podjąć takie działania, jakie będą konieczne. – Wziął mikrofon i musnął czerwony sensor włączający system nagłaśniający lądowiska.

–Tak jest, sir – mruknął Ben. – Można jeszcze jedno?

–Co niby? – rzucił z irytacją dowódca.

Dill rąbnął go pięścią w żołądek, a gdy Elles złożył się wpół, dostał jeszcze w kark i padł na podłogę. Ben wyłączył nagłośnienie, a potem opuścił wzrok na leżącego i smętnie pokręcił głową.

–Może mnie to kosztować sąd polowy – mruknął.

–Lepszy sąd niż pewne samobójstwo – powiedział jeden z pilotów. – Naprawdę nie wiem, jak mielibyśmy wznieść się chociaż na pięć metrów, nie dostając w dupę.

–Może – przyznał Dill. – Ale po raz pierwszy wstrzymujemy się od walki i wcale mi się to nie podoba.

–Wcale mi się to nie podoba – powiedział cicho Garvin Jaansma.

–Zamknij się – odparł Njangu. – Jesteśmy twardziele, nie pamiętasz? Żadnego sentymentalizmu.

Obaj stali z bronią i w pełnym oporządzeniu na skraju placu apelowego bazy Mahan. Przed nimi sterczały trzy maszty. Na środkowym powiewała flaga Konfederacji, na bocznych barwy Cumbre i Grupy.

Dowódca warty, oficer w randze deca, salutował uroczyście, a siedmioro jego podwładnych sięgało właśnie do linek, aby opuścić flagi. Obok stał w gotowości trębacz z archaicznym instrumentem.

–Stać! – krzyknął nagle ktoś aż echo poniosło po placu.

Za pobliskiego budynku wypadł z blasterem w dłoni szpakowaty mężczyzna koło czterdziestki. Njangu już go dziś widział... tak, nazywał się Barker... nie, Barken.

Długoterminowy z jakiegoś odległego układu. Co rusz był awansowany i degradowany.

Uchodził za dobrego żołnierza, sprawdzał się w walce, dostał nawet parę medali za

**tlumienie rewolty Raumów, a potem nawet kilka pasków, ile stracił stopień za dwutygodniowe pijaństwo.**

**–Stać, do cholery! – wrzasnął Barken i wypalił w podetrze. Wszyscy zamarli. – Nie ma mowy o żadnym opuszczaniu flagi! – dodał.**

**Był już całkiem blisko. Dowódca warty sięgnął do kabury.**

**–Uspokój się, żołnierzu! – krzyknął. – Rzuć broń i baczość!**

**–Mam w dupie takie rozkazy, sir – odpowiedział Barten. – Służę już ponad dwadzieścia lat i nigdy nikomu się nie poddałiśmy. Teraz też tego nie zrobimy!**

**–Sprzeciwiasz się wykonaniu rozkazu!**

**–Takich rozkazów nie należy wykonywać! Co to jest, żeby podkulać ogon, nawet nie próbując stawić oporu?! Co to ma być, u diabła?! Co tu jest grane?!**

**Kolejny strzał przeszył powietrze.**

**–Otrzymałeś rozkaz – warknął oficer, odpinając kaburę. – Rzuć broń!**

**–Dość gadania, sir! – zawołał Barken. – Nie opuście tej flagi, chyba że wcześniej mnie zastrzelicie!**

**Dowódca warty do połowy wyciągnął pistolet. Wyglądało na to, że za chwilę na placu będą leżały co najmniej iwa świeże trupy.**

**–Stać! – krzyknął Garvin, nieco zdumiony tym, co robi. Z pistoletem w ręku podbiegł do Barkena i oficera.**

**Obaj spojrzeli na niego zaskoczeni.**

**–Co to ma znaczyć, alcie? – spytał dowódca warty.**

**Garvin nie zwrócił na niego uwagi.**

**–Ty, Barken, przestań się wygłupiać. Rzucaj broń, ale już!**

**Barken poczerwieniał i chyba chciał coś powiedzieć.**

**–Rób, co ci każe – wtrącił się Njangu. Stał już obok Garvina z pistoletem w luźno opuszczonej ręce. – Wyzywasz los, chłopie.**

**Barken zacisnął usta, ale po chwili jego blaster zagrzechotał na betonie.**

**–Dziękuję, alcie... – zaczął oficer.**

**–Cicho – uciął Garvin. Nie był do końca pewien, co właściwie chce zrobić, ale wiedział, że już złamał co najmniej tyle paragrafów co Barken. – Tweg, flagi z masztów.**

**I żadnych trąbek czy innego ceremoniału.**

**Trębacz skinął głową i wcisnął instrument pod pachę. Stojący pod masztami tweg spojrzął na niego niepewnie. Garvin pomachał mu pistoletem.**

**–Wykonać rozkaz!**

**Podoficer posłuchał. Rolki na masztach zapiszczały głośno w zalegającej wkoło ciszy.**

**–Wy – powiedział Garvin, wskazując na dwóch żołnierzy. – Schowacie flagę Cumbre.**

**–Tak jest, sir – odpowiedział jeden z nich.**

**–Pozostali mają wziąć i pociąć na kawałeczki flagi Konfederacji i Grupy.**

**–Sir?**

**Njangu usłyszał coś niepokojącego i obrócił się na pięcie. Jeden z ludzi przy masztach wyciągnął blaster z kabury. Njangu wystrzelił i pocisk wybił szeroką na metr dziurę tuż obok żołnierza, który podskoczył i zaraz potulnie schował broń.**

**–Spokojnie, przyjacielu – powiedział łagodnym tonem Yoshitaro. – To zaczyna być interesujące. – Słyszeliście. Pociąć flagi na male kawałki – powtórzył Garvin. – Każdy weźmie jeden. – Nie czekając, aż wykonają rozkaz, obrócił się ku pozostałym. – Każdy ma wziąć kawałek, żeby mu przypominał, po co tu jesteśmy. Jeśli dla kogoś to zbyt wielki ciężar, niech przekaze go towarzyszowi, który chce walczyć. Komuś, kto nie pozwoli, aby inny człowiek czy musth odebrał mu go bez walki. Dzisiaj przegraliśmy, ale to jeszcze nie koniec. Wojna dopiero się zaczęła.**

–Jest pewna różnica, moi młodzi panowie oficerowie, pomiędzy byle zapaleńcem a prawdziwym żołnierzem – powiedział chłodno caud Rao. – Nie rozumiecie, że mogliście wywołać burzę?

Garvin chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta. Njangu stał obok, tak jak przyjaciel w galowym mundurze i wyprężony jak struna.

–Słucham. Pytanie miało być retoryczne, ale jestem ciekaw, co myślicie.

–Tak, sir – odparł Garvin. – Może i tak. Ale uważałem, że to nie był ani czas, ani miejsce na rozwiązanie siłowe, i byłem pewien, że ludzie mnie posłuchają.

–Mam wrażenie, że wcale nie jesteś skruszony – mruknął Rao, postukał paznokciami o blat i spojrzał na Angarę, który za wszelką cenę starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

–Niech będzie – powiedział w końcu. – Może i przyda nam się paru zapaleńców, chociaż zamierzam zamienić kilka słów z Hedleyem na temat tego, jak wychowuje oficerów.

Proszę pamiętać, Jaansma, że zwiad to nie korpus propagandy. Na razie udzielię wam obu tylko ustnego upomnienia. Mógłbym wam je wpisać do akt, ale nie chcę już więcej tracić na was czasu.

Nie dodał, że przede wszystkim chodzi o musthów, którzy mogą się dobrać do akt w poszukiwaniu informacji o potencjalnych wicherzycielach.

–Odmaszerować.

Energicznie zasalutowali i wykonali w tył zwrot. Gdy wyszli, caud Rao pokręcił głową.

–Czasem żałuję, że nie jestem już tak młody i narwany jak ci dwaj.

–Z tego byłyby tylko kłopoty, sir – powiedział Angara.

–Tak... jakbyśmy mało ich mieli. – Rao wstał i podszedł do okna. – Ciekaw jestem, kiedy musthowie wymyślą, co z nami zrobić. Zdumiewa mnie, że tak sprawnie przejęli władzę, a nami jeszcze się nie zainteresowali.

–Może oczekują, że będziemy walczyć do ostatniego?

Rao rozważył to, co wiedział o musthach, i pokiwał głową.

**–Możliwe. Jeśli masz rację, to by znaczyło, że niezbyt dobrze rozumieją inne kultury.**

**–Raz ich już pokonaliśmy, prawda? To może o czymś świadczyć...**

**–W walce precedensy historyczne nie znaczą wiele.**

**Na dłuższą chwilę zapadła cisza.**

**–Grig, mógłbym cię prosić o przysługę?**

**–Jeśli to tylko wykonalne, sir.**

**–Mógłbyś po cichu zdobyć dla mnie kawałek naszego sztandaru? Nie dam głowy, czy niebawem wszyscy nie będziemy musieli upodobnić się do tych dwóch, a wtedy przydałoby mi się coś, co by przypominało, jak robić z siebie głupka.**

**Angara uśmiechnął się lekko i sięgnął do kieszeni na piersi.**

**–Już o tym pomyślałem, sir. Alt Penwyth pomógł. Mam jeden dla siebie i jeden dla pana, sir.**

**Podał przełożonemu skrawek materii. Rao spojrział na niego z ukosa.**

**–Jest coś niepokojącego w tym, że mam zastępcę, który zna mnie lepiej niż ja sam.**

**Policja ogłosiła, że „bada ślady” pozostawione przez zamachowca, co znaczyło, iż nie ma żadnych śladów.**

**Urzędnik bankowy spojrział nerwowo na obu oficerów.**

**–Ależ panowie! To wbrew zasadom! A przynajmniej niezwykle!**

**–Jak wszystko w ostatnim czasie – zgodził się Garvin. – Zakładam, że będzie pan chciał sprawdzić wszystko z jej prawnikiem. Oto jego numer.**

**–Tak... tak... oczywiście, muszę to zrobić.**

**Sięgnął do pulpitu, zamienił kilka słów z sekretarką, która przekierowała rozmowę do sądu, i poczekał, aż wywołają Gy Glenna z rozprawy.**

**–Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego – rzucił prawnik.**

**Bankowiec unizonym głosem wyjaśnił, o co chodzi. Glenn również się zdumiał.**

**–Mówi pan, że ten oficer tam jest?**

–Jestem – odezwał się Jaansma.

–Może mi go pan pokazać? – spytał Glenn urzędnika. – Dziękuję, to ten człowiek.

Będzie pan łaskaw na chwilę zostawić nas samych?

Bankowiec oddalił się.

–Alcie Jaansma, jest pan pewien, że to najlepsze rozwiązanie?

–Tak.

–Domyślam się, że pańska decyzja ma coś wspólnego z ostatnimi zmianami sytuacji politycznej?

–Tak.

–Nie ma pan nic przeciwko temu, abym skonsultował się w tej sprawie z panną... przepraszam, panią Mellusin?

–Oczywiście, że nie. Ale sądzę, że musimy działać szybko.

Glenn przygryzł dolną wargę.

–Proszę przywołać tego bankowca. Zadzwońię do niej, ale możecie już zacząć przeprowadzać transakcję. Gdyby nasi nowi przyjaciele się o niej dowiedzieli, mogliby mieć pewne obiekcje, lepiej więc nie czekać na ich reakcję.

Urzędnik wysłuchał poleceń, zdumiał się jeszcze bardziej i wyłączył komunikator.

–Rozumiem, że macie odpowiednie zabezpieczenie?

Njangu bez słowa pokazał na czekającą za drzwiami, w pełni uzbrojoną drużynę pod dowództwem Monique Lir.

–Mamy też trzy bojowe pojazdy piechoty i maszynę wsparcia artyleryjskiego – wyjaśnił. – Nie sądzę, aby ktokolwiek nas zatrzymał.

–Widzę, że o wszystkim pan pomyślał – powiedział bankier. – W jakich nominałach życzy pan sobie wypłaty?

–W pięć – i dziesięciokredytowych monetach – odparł Garvin.

–Niezwykłe, naprawdę niezwykle – mruknął urzędnik. – Panno Yazeth – powiedział.

–Proszę zaprowadzić tych ludzi do skarbcza. Po drodze wydam odpowiednie



**polecenia.**

**Pół godziny później żołnierze zaczęli przenosić do griersonów ciężkie worki z monetami. Bankier obserwował ich niespokojnie. Potwierdzenie otrzymane od Jasith Mellusin wcale nie poprawiło mu humoru. Wyglądał, jakby miał ochotę się rozplakać, widząc, że tyle pieniędzy wymyka mu się z rąk.**

**–Możliwe, że nie jest wcale tak źle, jak wszystkim się wydaje – powiedział wesoło Loy Kuoro.**

**Jasith wolno odłożyła widelec. Siedzieli na jednym z tarasów jej rezydencji i jedli późne śniadanie.**

**–W jakim sensie?**

**–Zaczynam wierzyć, że współpracując z musthami, nie tylko przetrwamy, ale może nawet zacznie nam się lepiej powodzić. Nie są tacy straszni, jak ich malują.**

**–Powodzić? – spytała Jasith. – Loy, oni nas podbili. Niech tylko ktoś wyjdzie po zmroku na ulicę, zostanie zastrzelony. To samo, gdy zgromadzi się więcej niż dziesięć osób... Nie rozumiem, jak można mówić, że to coś lepszego.**

**–Och, wojsko zawsze reaguje tak nerwowo. Poczekaj kilka tygodni, a okaże się, że cała ta historia z Aeskiem to był tylko przypadek. Wszystko wróci do normy.**

**Jasith zmięła serwetkę i rzuciła na stół obok nakrycia.**

**–A co z tymi zbójceckimi podatkami?**

**–To zwykła cena robienia interesów. Poza tym za jakiś czas na pewno je zniosą.**

**–Skąd ta pewność?**

**–A dlaczego mieliby wyłączać nas z interesu? – Żeby sami mogli go przejąć – odparła Jasith. – Nie do wiary, że tak myślisz.**

**Nie przeszkadza ci, że ile razy chcą coś ogłosić, robią najazd na „Matin”?**

**–Jasne, przeszkadza. Ale jestem dość dorosły, żeby wiedzieć, kiedy lepiej się nie sprzeciwiać.**

**–Ciekawe, co w tej sytuacji zrobiłby twój ojciec?**

**–Mój ojciec nie żyje – powiedział podniesionym głosem Kuoro. – Teraz ja tu rządę.**

**–Nie, Loy, niczym nie rządysz. To musthowie rozdają karty i rozgrywają wszystko**

**tak, jak chcą.**

**–Typowe górnicze podejście. Widzisz tylko to, co masz przed nosem.**

**–Widzę, że gdy będą chcieli kupić moją rudę, sami podyktują ceny. Założę się, że będą śmiechu warte.**

**–Jak powiedziałem, z pewnymi rzeczami trzeba się po prostu pogodzić.**

**–I to mówi wielki wydawca – zakpiła Jasith. – Ten sam, który uważa się za rzecznika Cumbre.**

**–Co się z tobą ostatnio dzieje? – spytał urażony Kuoro. – Ciągłe jesteś spięta, przy byle okazji skaczesz mi do gardła.**

**–Po prostu uważam, że gadasz od rzeczy. Niektórzy na pewno nazwaliby cię zdrajcą.**

**Kuoro zerwał się na równe nogi.**

**–O to chodzi!**

**–O co?**

**–O tego żołnierza, z którym pieprzyłaś się przed ślubem... Znowu się z nim widzisz? Mały skok w bok?**

**–Nie widuję się z Garvinem. – Jasith wstała z takim impetem, że aż przewróciła krzesło. – Przecież wyszłam za ciebie. I to ty zaproponowałeś mi małżeństwo, zgadza się?**

**–Sam jestem ciekaw, jak dałem się w to wmanewrować. Miałem ci służyć za parawan, żebyś mogła sypiać z każdym kmiotkiem? O to ci chodziło?**

**Co jeszcze wymyślisz? Zacznesz się zabawiać z Raumami? Z kilkoma naraz?**

**Jasith obeszła stół i spoliczkowała męża. Kuoro cofnął się i uderzył ją pięścią w twarz. Jasith krzyknęła, bardziej ze zdumienia niż z bólu, zachwiała się i upadła.**

**Kuoro pochylił się nad nią.**

**–Nigdy więcej tego nie próbuj! Nigdy więcej! – wrzasnął.**

**Wybiegł z domu i chwilę później rozległ się ryk startującego ślizgacza.**

**Jasith usiadła. Lekko ogłuszona otarła wargi i spojrzała na pokrwawione palce.**

**–Nie – powiedziała cicho. – Nigdy więcej tego nie zrobię.**

**–Ciekawe, kiedy się do nas dobiorą – powiedział Garvin. Razem z Njangu „spacerował” w pobliżu pozornie nie obsadzonego stanowiska strzeleckiego.**

**Przy innych stanowiskach też „przechadzali się” żołnierze, jednak nikt nie próbował wchodzić do wieżyczek czy majstrować przy wyrzutniach. Wszyscy świetnie pamiętali pierwszy dzień okupacji. Minęły już trzy tygodnie i Grupa nauczyła się sztuki pozoracji.**

**Nad Mahanem zataczała krąg wielopoziomowa formacja maszyn musthów. Aksai w wysokiej osłonie, niżej okręt macierzysty, dalej dwa velvy, kolejny zespół aksaiów i wreszcie samotny, wypolerowany na błysk wynt, którego strzegła cała reszta.**

**–Długo był spokój – mruknął Njangu. – I co teraz? Kataklizm czy tylko zwykła katastrofa?**

**Wynt przyziemił i wyszedł z niego Wlencing ze sztabem. To była katastrofa, aczkolwiek nie do końca. Wlencing nie zażądał od Rao całkowitego rozwiązania Grupy.**

**Miała zostać zredukowana do batalionu lekkiej piechoty, około dwóch tysięcy ludzi przewidzianych do wspierania policji w tłumieniu zamieszek. Z sił powietrznych musthowie pozwolili zachować Grupie niecałe pięćdziesiąt griersonów w konfiguracji transportowej.**

**Dywizjon zhukowow Wlencing nakazał rozwiązać, a maszyny złomować. To samo miało spotkać resztę artylerii, z wyjątkiem dwóch baterii shrike’ow. Sztab też miał zostać odchudzony proporcjonalnie do potrzeb.**

**Na całą tę rzeź musthowie dali dowódcy Grupy sześćdziesiąt dni.**

**–A co z niepotrzebnymi ludźmi? – spytał Rao, gdy Wlencing skończył.**

**–To chyba oczywiste. Zosstaną zwolnieni do cywila, skąd przyszli.**

**–Wielu z nich nie pochodzi z tego układu. Nie będą mieli gdzie pójść.**

**–To nie mój problem... – zaczął Wlencing, ale adiutant pochylił się ku niemu i powiedział coś cicho. – Ale mam pewną propozycję. Kopalnie na Cumbre C zaczną niebawem pracę z makssymalną wydajnością. Zwolnieni żołnierze zosstaną przyjęci do pracy jako górnicy.**

**Rao zastanowił się, czy warto podejmować dyskusję, i uznał, że to bezcelowe. Bez słowa wstał i wyszedł ze swoimi ludźmi z pomieszczenia.**

**Adiutant Wlencinga zaczekał, aż zamkną się drzwi, i spytał:**

**–Czy będą walczyć po takim dyshonorze?**

**–Nie – odparł Wlencing. – Może by się bronili do końca, gdybyśmy zaatakowali ich wprost. Ale postąpiliśmy mądrze i połknęliśmy ich, gdy już przywykli do naszej obecności. A teraz jest już za późno na walkę. Naprawdę ich pokonaliśmy.**

**–Posłuchają rozkazów?**

**–A mają wybór?**

**–I co? – spytał Rao, patrząc na ekrany z podobiznami dowódców rozproszonych oddziałów.**

**–Nie zostawiają nam wyboru, sir – powiedział mil Ken Fong, szef Sekcji III, operacyjnej.**

**–Nie. Miałem nadzieję przeczekać, udając, że uznaliśmy się za pokonanych.**

**Chciałem zyskać na czasie, żeby coś wymyślić. Ale się nie udało.**

**–Powinniśmy zestrzelić Wlencinga z całym jego sztabem – powiedział Hedley. – To na pewno dałoby nam nieco czasu.**

**–Nie jesteśmy bandytami – odparł oschle Rao.**

**–Może jednak powinniśmy... – zaczął Hedley, ale zamilkł, widząc minę dowódcy.**

**–Mamy zatem dwie możliwości – stwierdził Rao. – Walczyć... albo podkulić ogon.**

**Już zdecydowałem, chcę jednak poznać wasze zdanie.**

**–Wciąż jesteśmy częścią Konfederacji – powiedział Angara. – Walczymy.**

**Rao spojrział na ekrany i na oficerów w bunkrze dowodzenia. Nikt, nawet Hedley, nie zaprotestował.**

**–Dobrze – podsumował Rao. – Póki się da, będziemy przeciągać sprawę, a potem na nich uderzymy, i to mocno.**

**–Trzech oficerów do pana, sir. Cent Hedley, alt Jaansma i aspirant Yoshitaro – zameldował przez interkom dyżurny.**

**–Mogłem się ich spodziewać – mruknął Rao.**

**–Słucham, sir?**

**–Nic. Wpuść ich.**

**Oficerowie weszli do gabinetu dowódcy i wyprężyli się na baczność.**

**–Zakładam, że to ważne – odezwał się do nich Rao.**

**–Tak, sir – powiedział Hedley. – Chcemy zaproponować coś, co pozwoliłoby nam uniknąć zarówno walki, jak i kapitulacji.**

**–Dlaczego nie wspomnieliście o tym podczas odprawy? – Niektórych mogłoby to wzburzyć, sir. Poza tym to pomysł tych dwóch młodych ludzi.**

**Rao skinął na Garvina.**

**–To proste, sir. Poddajemy się... a w każdym razie spełniamy ich żądania.**

**–Pozwalamy im zlikwidować Grupę?**

**–Niech sobie likwidują, co chcą – wtrącił się Yoshitaro. – Nie są głupi i nie pozwolą nam utworzyć rezerwy, ale chyba nie będą protestować, jeśli zwolnieni żołnierze zaczną się zapisywać do klubów weteranów. Jeśli założymy je w każdym mieście na całej planecie, będziemy mogli powołać ich praktycznie w każdej chwili.**

**–My?**

**–Niektórzy zejdą do podziemia – powiedział Garvin. – Założymy dobrze ukryte rozproszone bazy z centralą na wyspie Mullion. Z nich będziemy uderzać.**

**–Wojna partyzancka?**

**–Właśnie, sir – odezwał się Hedley. – Będziemy szarpać ich wszędzie, gdzie okażą się słabi. Jeśli się przyłożymy, niebawem zamarzą o rozejmie.**

**–Mamy się wzorować na Raumach? – spytał z niesmakiem Rao.**

**–Niewiele brakowało, żeby nas pobili – zauważył Yoshitaro.**

**–Paskudny sposób prowadzenia wojny – stwierdził Rao.**

**Nikt mu nie odpowiedział.**

**–Cóż, nie sądzę, aby chcieli sięgnąć po broń atomową, jeśli chcą tu zostać – mruknął po chwili zastanowienia.**

**–Niech zostaną – powiedział Hedley. – Gdy już ich zmiękczymy, rzucimy im tę kość, żeby wyszli z tego z twarzą. Będą się mogli uważać za zwycięzców i dostaną dostęp do kopalń na Cumbre C.**

**–Aspirancie, mówiłeś o zmiękczeniu musthów – odezwał się Rao. – Kto miałby się tym zająć?**

**–Z początku żołnierze z kompanii zwiadu – odparł Njangu. – Jest nas stu dwudziestu ośmiu, z czego prawie dziewięćdziesiąt procent chce walczyć. Poza tym mamy jeszcze ludzi na Mullion, trzeba tylko dopilnować, aby nikt nie wpadł na ich trop.**

**–A co z zaopatrzeniem tych baz? – spytał Rao. – Żadna armia nie zajdzie daleko na dobrych chęciach.**

**–Wiem, skąd wziąć na to środki, sir – powiedział Hedley. – Mam pewien wpływ na ludzi ze sfer wielkiego biznesu.**

**–Zakładasz, że rentierzy okażą się patriotami?**

**–W żadnym razie, sir. Jednak nieodżałowana sekcja analiz policji pozostawiła po sobie sporo akt, które zupełnie przypadkowo trafiły w moje ręce. Zdarzyło się to już kilka miesięcy temu, ale nie informowałem o tych brudach...**

**–Szantaż?**

**–Właśnie, sir – przyznał Hedley bez cienia uśmiechu.**

**–Nieładnie – mruknął Rao. – Wszystko to bardzo mi się nie podoba. Jaansma, Yoshitaro, co każe wam wierzyć, że zdołacie rozpętać prywatną wojnę?**

**Przynajmniej z początku prywatną...**

**–Po pierwsze, mamy doświadczenie z rewolty Raumów. Bez obrazy, ale sądzę, że gdybyśmy walczyli po ich stronie, a nie byli podwójnymi agentami, caud Williams miałby o wiele twardszy orzech do zgryzienia. Po drugie, ludzie przewyższają musthów liczebnie.**

**Wprawdzie większość to cywile, ale z czasem musthowie tak wszystkich roześlą, że będziemy się opędać od chętnych do pomocy. Taka była strategia Raumów. Gdyby w pełni im się ją udało zrealizować, postawiliby na swoim.**

**–Będą ofiary wśród cywilów – zauważył Rao.**

**Njangu i Garvin smętnie pokiwali głowami.**

–Jesteście gotowi wziąć to na swoje sumienie?

–Sir, nie wydaje mi się, aby musthowie zdołali długo utrzymać tu spokój, i to niezależnie od tego, czy podejmiemy walkę czy nie – powiedział Garvin. – Wcześniej czy później zareagują nerwowo i zaczną zabijać przypadkowe osoby, a to napędzi nam rekrutów.

Musimy się z tym pogodzić, w przeciwnym razie zostaniemy niewolnikami w tych ich przeklętych kopalniach. Nie sądzę też, aby ktokolwiek... Konfederacja albo Redruth... zamierzał ratować nasze tyłki.

Rao pokręcił głową.

–Gdy ja byłem altem, interesowałem się tylko moim plutonem, sportem i rachunkiem w kantine. Ta dzisiejsza młodzież...

–Wychowaliśmy się w odmiennych warunkach – zauważył Njangu. – Chyba bardziej dostaliśmy w kość.

–Pewnie tak – mruknął Rao. – Jeszcze jedno pytanie. Zdajesz się godzić ze śmiercią cywilów. Jesteś pewien, że będziesz tak myśleć również wtedy, gdy zobaczysz ciała kobiet i dzieci? Albo spaloną wioskę?

Garvin chciał się odezwać, ale Njangu uniósł rękę.

–Ja odpowiem. Sir, czy sądzi pan, że to będzie bardzo się różniło od tego, co widzieliśmy... co robiliśmy... walcząc z Raumami?

Rao skrzywił się.

–To przeszłość. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową. – Nie.

Zbyt duże ryzyko. Jeśli nam się nie uda, cała planeta utonie we krwi. Dziękuję wam, panowie, ale to nie jest odpowiedź, której szukamy. Zostaniemy przy pierwotnym planie i będziemy prowadzić regularne działania. To wszystko, życzę powodzenia.

Garvin otworzył usta, ale zamknął je pod twardym spojrzeniem Njangu.

Zasalutowali i wyszli.

Na korytarzu Hedley oparł się o ścianę.

–Cholera – powiedział. – A już myślałem, że go przekonaliśmy.

–I co teraz, sir? – spytał Garvin.

**–Trzeba się przygotować do walki i nie dać się zabić, gdy Grupa zostanie zmiądzona.**

**Ktoś musi poprowadzić dalej tę wojnę.**



Caud Rao zebrał kilku swoich sztabowców i w godzinę opuścił Mahan. Skacząc z miasta do miasta i od oddziału do oddziału, przesyłał milowi Angarze zaszyfrowane meldunki, korzystając z kodów, które zostały złamane przez musthów.

Wlencing otrzymywał jego meldunki od nasłuchu niemal równie szybko jak Angara.

We wszystkich było niemal to samo: Rao donosił, że chłodzi zbyt gorące głowy i panuje nad sytuacją, a rozkazy musthów są wykonywane.

Niektórzy podwładni Wlencinga sarkali na uległość ludzi, gdyż chcieli pomścić śmierć Aesca. Dowódca kazał im jednak sięść na ogonach i przypomniał, że wojna prowadzona dla samej wojny to czysta głupota.

Gdyby musthom udało się zwyciężyć bez ofiar, byłby to wielki triumf dowodzący, że pokolenie temu przegrali z ludźmi czystym przypadkiem.

Ludzie aż się palili, żeby im służyć. Dziwne, ale widać taka była wola Prawiecznego, aby to musthowie opanowali wszechświat.

A co do zemsty... Wlencing przypomniał im, że najlepiej smakuje na chłodno...

–Chcesz, żeby cię podjąć? – rozległ się zachrypnięty niewyraźny głos przesłany przez szmat kosmosu i cały ciąg przekaźników wewnątrz układu.

Ab Yohns zastanowił się. W zasadzie chciałby się już stąd wyrwać. To był bardzo długi przydział i nerwy zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa. Z drugiej strony, jaka była szansa, że obcy statek zdoła wejść niepostrzeżenie do układu Cumbre, zabrać go i odlecieć?

–Nie – odpowiedział. – Jeszcze tu trochę posiedzę i zobaczę, co będzie dalej.

Potrzebujecie kogoś na miejscu.

–Mieliśmy nadzieję, że tak zdecydujesz – odpowiedział jego oficer prowadzący. – Rzeczywiście jesteś tam bardzo potrzebny. Zwłaszcza teraz.

–Liczę, że zapłacicie stosownie do moich zasług.

–Niewątpliwie.

Połączenie zostało przerwane.

Ben Dill krążył po urządzonej w kącie hangaru centrali. Co rusz zerkał na ekrany,

panele kontrolne, wskaźniki i wracał spojrzeniem do holo. Było nieco niewyraźne w tych miejscach, których Njangu nie zdołał sfilmować.

Za Dillem chodzili krok w krok Hedley, Kang, Heiser i Froude. W końcu Ben przystanął, więc i oni musieli się zatrzymać.

–Ciekawe – powiedział.

–Dość ciekawe, aby zacząć przygotowania?

–Nie, u diabła. Tylko się zastanawiam.

–Zbudowaliśmy symulator w sąsiednim hangarze – rzekł Hedley.

–Zbyt wiele ode mnie oczekujecie. Czy od tego kogoś, kto by się tego podjął – stwierdził Dill. – Za dużo niewiadomych. I jeszcze kwestia wsparcia. Przykro mi, proszę towarzystwa. To nie jest dobry pomysł.

–Ale można by chociaż spróbować symulacji – nie ustępował Froude. – Wykorzystaliśmy nie tylko zdjęcia, ale i odczyty czujników połączone z tym, co uzyskaliście na temat aksaiów. I jeszcze sporo danych z wykradzionych map.

–Chcecie powiedzieć, że skoro kosztowało to was wiele zachodu, ktoś powinien jednak zginąć? – zapytał skrzywiony się Dill.

–To tylko symulacja – przypomniała Heiser.

Dill chrząknął i zastanowił się.

–Niech tam... Symulacja pewnie nie zaboli. Ale nie pojmuję, co nam z tego przyjdzie.

–Wiedza zawsze daje przewagę – powiedział nieco pompatycznie Froude.

–A gdy ich okręt wpadnie nam już w ręce, będziesz mógł na nim polatać – dodała Ho Kang.

–Ostatnio nie czuję się supermanem – mruknął Dill. – Poza tym nie wiesz przypadkiem, kto siądzie wtedy przy zagłuszarkach i reszcie tej elektroniki? Ty, Ho? Bo chyba nie namawiasz mnie tylko dla zasady?

–To było poniżej pasa... – mruknęła Ho Kang. – Czy kiedyś odmówiłam osłaniania twojego słoniowego tyłka?

–Przepraszam. Masz rację. Chyba nerwy mi puszczają od tego czekania. Zobaczmy, czym to się je, ale gwarantuję, że ta symulacja nie rozwiąże wszystkiego.

**Na placu apelowym stało ponad sto zhukowow, przed każdym prężyła się na baczność załoga. Pomrukiwały silniki, a z megafonów płynęła mowa cauda Rao, który co rusz wspominał o zaszczytnej służbie, ofiarności i wiecznej pamięci.**

**Na koniec zwinięto sztandar i ogłoszono wszem i wobec rozwiązanie dywizjonu.**

**Każdy pojazd został obsadzony przez dowódcę i pilota, wszystkie wystartowały i w czterech grupach skierowały się ku odległemu miastu Seya na wyspie o tej samej nazwie. Reszta członków załóg oraz ludzie z obsługi naziemnej pomaszzerowali do koszar, gdzie otrzymali dokumenty zwolnienia i zaczęli z wolna zmieniać się w cywilów.**

**Cała ta scena była nadzorowana z góry przez grupę aksaiów i dwa velvy. Wlencing czekał jeszcze wyżej, na pokładzie jednego z okrętów wyglądających na niszczyciele.**

**W końcu zadowolony odwrócił się od ekranu.**

**–Pomału czynimy postępy – rzekł do Rahfera.**

**Jego adiutant pokiwał energicznie głową.**

**–Szkoda tylko, że bez walki nie będzie nagród za zwycięstwo – powiedział. – I nie pomścimy Aesca.**

**–Okazje do zdobycia nagród jeszcze się trafią – zauważył Wlencing. – Gdy skończymy z ich armią, pojawią się niezadowoleni z tego wichrzyciele. Będziemy musieli się z nimi uporać.**

**Gdy zhukovy wylądowały w Seyi, piloci i oficerowie zostali odesłani do Mahanu, gdzie dołączyli do czekających na zwolnienie. Ekipy odpowiedzialne za zniszczenie maszyn zaczęły wymontowywać z nich wyposażenie. Puste skorupy pojazdów miały zostać zezłomowane i przetopione.**

**Caud Rao był na bieżąco informowany o postępach prac. Meldunki oczywiście znowu były „zabezpieczane szyframi”, z których odczytaniem musthowie nie mieli najmniejszych kłopotów. Żaden obcy nie zauważył jednak griersonów krążących pojedynczo albo parami pomiędzy Mahanem a Seyą. Zresztą, gdyby je nawet dostrzegł, i tak nie miałby okazji zajrzeć do ich przedziałów desantowych.**

**–Melduję się na rozkaz, sir – powiedział Njangu. – Co się dzieje?**

**–Powiedz mu – polecił Hedley łącznościowcowi.**

**–Prowadziłem rutynowy nasłuch na standardowej częstotliwości Grupy i około dziewiętnastej dziś wieczorem odebrałem coś dziwnego. Ktoś zgłosił się, ale nie**

wiem nawet, czy był to mężczyzna, kobieta czy komp, bo głos został przefiltrowany. Wywoływał Grupę. Zgodnie z tym, co powinienem zrobić, odpowiedziałem. Usłyszałem, że ten ktoś ma wiadomość dla Njangu Yoshitaro i oczekuje odpowiedzi na tej samej częstotliwości zaraz po zakończeniu transmisji, która będzie powtarzana co wieczór o tej samej porze.

Powtórzył to i zamilkł. Zabrakło czasu, żeby zlokalizować nadajnik.

–Dziękuję, odmaszerować – powiedział Hedley do technika i spojrzał na Njangu. – Masz jakichś agentów, którzy mogliby szukać taką drogą kontaktu?

–Nie, sir – odparł szczerze Yoshitaro. – Dopiero zacząłem przygotowania i nie zacznę werbować wcześniej, aż sytuacja się trochę wyjaśni.

–Hmmm...

–Może będzie dobrze, jeśli siądę jutro wieczorem przy radiu?

–Najpewniej nie zaszkodzi – zgodził się Hedley.

–Wiadomość dla Njangu Yoshitaro. Oczekuję odpowiedzi na tej samej częstotliwości zaraz po zakończeniu transmisji, która będzie powtarzana co wieczór o tej samej porze – rozległ się bezbarwny głos. – Wiadomość dla Njangu Yoshitaro. Oczekuję odpowiedzi na tej samej częstotliwości zaraz po zakończeniu transmisji, która będzie powtarzana co wieczór o tej samej porze. Koniec.

Njangu włączył mikrofon.

–Mówi Yoshitaro. Odbiór.

Przez chwilę słyszał tylko szumy statyczne, ale po chwili...

–Powinniśmy się spotkać. Miejsce: pięćdziesiąt metrów na SSW od ruin starego centrum zespołu planowania Ruchu. Wiesz, gdzie to jest. Jutro w południe. Bądź najwyżej z jednym człowiekiem.

–Zrozumiałem – odparł Njangu. – Jeśli przyjdę... jak cię poznam?

Usłyszał coś, co mogło być śmiechem.

–Bez trudu.

Njangu odłożył mikrofon i spojrzał na Hedleya.

–Rozumiesz, o co tu chodzi? – spytał dowódca.

–Ani w ząb.

–Znasz to miejsce, o którym mowa?

–Jasne. Ten ktoś chce, abym wlaź w sam środek Eckmuhl, dokładnie tam, gdzie miałem ostatnie bliskie spotkanie z Raumami.

–Pójdiesz?

–Dlaczego nie? Już od czterech dni nikt nie próbował mnie zabić – mruknął Njangu.

–Jakiej chcesz osłony?

–Dwa griersony. Niech krążą gdzieś w okolicy nabrzeża i będą wyładowane ma maksa.

–A na ziemi?

–Była mowa o jednej osobie i wezmę tylko jedną osobę.

–Kogo, że spytam z ciekawości?

–Mojego drogiego przyjaciela też od paru dni nikt nie próbował zabić. Eckmuhl, leżące w centrum Leggett, było od wieków gettem Raumów. Gdy po niemal całkowitej klęsce w górach rewolta przeniosła się z powrotem do miast, tutaj mieściło się centrum oporu, jednak starannie zaplanowane powstanie, które przez Njangu i Yoshitara wybuchło za wcześnie, spaliło na panewce, Ruch został rozbity, a większość dzielnicy legła w gruzach. Gdy ustały walki, rząd zainicjował program budowy tanich domów dla Raumów, którzy przemieszkiwali teraz głównie pośród wzgórz na północ i na południe od otoczonej murem enklawy.

Jednak w Eckmuhl wciąż żyło prawie sto tysięcy ludzi. Niektórzy trzymali się swoich nie zniszczonych, chociaż obskurnych mieszkań, inni jeszcze odbudowywali domy, część wegetowała w ruinach. Życie płynęło dalej, i to całkiem żwawo.

–Może nie zauważyłeś, że pasuję tutaj niczym pięść do nosa – jęknął Garvin.

Czuł się nieswojo w cywilnym ubraniu włożonym na kamizelkę kuloodporną. – Nie jestem ani śniady, ani niski, ani dość głupi. A ty...

–Nie bądź rasistą – przerwał mu Njangu. – Jeszcze słowo, a zakapuję cię im jako... jak oni nas nazywali?

–Psami łańcuchowymi rentierów – mruknął Garvin. – Też coś... aż tak dobrze nas nie karmili. Kogo więc mamy szukać?

**–Chyba wiem kogo – powiedział Njangu. – Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, mogę ci pomóc. To największy farciarz pod słońcem.**

**–Niemożliwe. Ja jestem największym farciarzem, a nie wysyłałem żadnych wiadomości. – Garvin otarł pot z czoła. – Czy tutaj nigdy nie wieje od morza?**

**Njangu pilnie zerkał na boki. W pobliżu miejsca spotkania natknęli się na wózek z napojami i przystanęli w cieniu parasola. Wzięli po gazowanej cytrynadzie i czekali, trzymając szklanki w mniej sprawnych dłoniach, aby w razie potrzeby móc szybko sięgnąć po ukrytą broń.**

**–Jest już wpół do pierwszej – zauważył Garvin. – Mam skreślić to spotkanie w terminarzu?**

**–W żadnym razie. Jej ludzie nas obserwują. Dalej, idziemy.**

**Garvin odstawił szklankę na wózek, rzucił banknot, nie patrząc na nominał, zignorował bełkotliwe podziękowanie sprzedawcy i w ślad za Njangu wyszedł na palące słońce. Też dostrzegł czekających na coś, uzbrojonych ludzi. Było ich trzech, każdy przy wylocie innej ścieżki wijącej się pośród min.**

**–Jeszcze pięćdziesiąt metrów... – powiedział Njangu. – Jest.**

**Z boku niespiesznie wyszła ku nim zaiste dobrze im znana kobieta.**

**–Powinienem się domyślić – mruknął Garvin.**

**–Powinieneś. Dzień dobry, pani minister Poynton.**

**Jo Poynton pokiwała głową.**

**–Wprawdzie zawdzięczam wam życie, ale wciąż nie jestem pewna, czy was lubię.**

**Njangu wzruszył ramionami.**

**–Nie ma czasu na grzebanie się w przeszłości. Co było, to było.**

**–Racja. Przepraszam.**

**–Nie szkodzi – rzucił przyjaźnie Njangu.**

**–Może zeszlibyśmy ze słońca, bo mózg mi się zagotuje – zasugerował Garvin. – Powie pani nam... czy też Njangu... dlaczego zostaliśmy wezwani?**

**–Zaraz obok jest kafejka mojego starego... znajomego. Będziemy tam bezpieczni.**

**W każdym razie ja będę...**

**–Pójdziemy za panią – odparł Garvin. – Ale żadnej cytrynady, dobrze? I strzelania z za węgła.**

**–Bez obaw. Możecie nam się przydać.**

**–Do czego?**

**–Potrzebujemy broni, żeby walczyć z musthami.**

**–Tak czy owak, niczego nie obiecałem – powiedział Njangu do słuchających pilnie mila Angary i centa Hedleya.**

**–Jak powiedziała? Ilu ludzi może mieć? – spytał Angara z lekkim niedowierzaniem. – Od tysiąca do półtora tysiąca.**

**Hedley pokręcił głową.**

**–Wygląda na to, że nasze sieci na Raumów były dziurawe. Dlaczego ci zapaleńcy nie wstąpili do Grupy? Liczyliśmy na to.**

**Nikt mu nie odpowiedział.**

**–Analiza sytuacji nie należy do zadań młodszych aspirantów – odezwał się Njangu – ale pomyślałem, że to niezły pomysł, aby Raumowie zaczęli zabijać musthów. Nie wiem tylko, skąd weźmiemy dla nich tyle broni.**

**–Pomijając to, że nie palę się do uzbrajania byłych przeciwników, zastanawia mnie, co będzie, jeśli zabiorą się do musthów – powiedział Angara. – Chcą powrotu dawnych czasów?**

**–A jakie to ma znaczenie? – rzucił Hedley i podrapał się po brodzie. – Jak to mówią, jesienią i tak wszyscy zwiędniemy. Angara, przyjacielu, myślę, że możemy dopuścić naszych młodych przyjaciół do tajemnicy. Mamy prawie dwa tysiące zapasowych blasterów.**

**Njangu i Garvin spojrzeli na niego zdumieni.**

**–Dobra, mów – zgodził się Angara.**

**–Pod koniec raumskiej rewolty pewien nie zidentyfikowany frachtowiec, który bez zapowiedzi wszedł w atmosferę Cumbre, dostał rakieta od jednego z naszych zo – oków. Cała załoga zginęła, ale ustaliliśmy, że statek przyleciał od Redrutha, który chyba próbował dolać oliwy do ognia, podsyłając Raumom spory transport broni. Wciąż nie wiemy, kto był jego łącznikiem, ale przynajmniej zgarnęliśmy tę broń i**

**dobrze ją schowaliśmy w jednym z naszych arsenałów.**

**–Nieźle potraficie strzec sekretów – mruknął Njangu.**

**–Oczywiście – powiedział zadowolony z siebie Hedley. – Dlatego mamy wyższe stopnie niż wy. Teraz pytanie: czy wydamy tę broń cynglom Poynton?**

**Trzy pary oczu spoczęły na Angarze.**

**–Pełnię teraz obowiązki dowódcy jednostki, ale w tej sprawie lepiej będzie porozumieć się z caudem Rao – powiedział powoli. – Jest na Kerrier. Wyznaje starą zasadę, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem, więc pewnie się zgodzi. Zaczniecie zatem organizować przerzut broni do Eckmuhl. Hedley, będziesz za to odpowiedzialny.**

**–Dałem Poynton jeden z naszych komunikatorów – odezwał się Njangu. – Zaraz przekażę jej wiadomość.**

**–Będziemy musieli zadbać, aby nasi futrzani przyjaciele nie zorientowali się, co jest grane – zaznaczył Hedley. – Gdyby do tego doszło, zawieszenie broni pryśnie w jednej chwili, a na razie nam na nim zależy.**

**–Owszem – przytaknął Angara. – Chyba i tak nadużywamy ich cierpliwości tymi podchodami. Prędzej czy później się zniecierpliwia i lepiej, żebyśmy byli wtedy gotowi.**

**Caud Rao rozważył sprawę, wyraził zgodę i nakazał niezwłoczne rozpoczęcie operacji.**

**Dwa dni później ktoś podłożył bombę w magazynie trzeciego pułku na przedmieściach Taman City. Eksplozja, która nastąpiła tuż po zmroku, rozsadziła zbiorniki z czekającym na utylizację olejem do pojazdów desantowych. Zdmuchnęło dach i płomienie strzeliły wysoko w niebo, przyciągając powszechną uwagę.**

**Dookoła zaroilo się wkrótce od ślizgaczy stacji informacyjnych oraz pojazdów straży pożarnej. Z odległego o ponad tysiąc kilometrów Leggett przyleciały też patrole musthów.**

**W całym tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na frachtowiec, który wystartował z tajnej bazy na Mullion i skierował się lotem koszącym ku wyspie Dharma. Był to jeden z ukrytych statków należących do Grupy. Przeleciawszy nad półwyspem i zatoką, skręcił na północ i wylądował za bazą Mahan, pośród labiryntu magazynów broni i amunicji, gdzie natychmiast otworzył wszystkie luki.**

**Z góry chroniły go dwa grierzony i jeden aksai pilotowany przez Dilla. Hedley czuwał**



nad operacją w jednym z pojazdów desantowych. Na czas załadunku osłona siadła na z oddalonym od lądowiska placu.

Trzy kompanie robocze wzięły się zaraz do dzieła, wypełniając ładownie frachtowca skrzynkami z bronią. W każdej było pięć blasterów.

Zaraz potem statek wzniósł się w powietrze i przemykając tuż nad wodą, ruszył w kierunku Leggett. Gdy dołączyła doń osłona, wzniósł się nieco, aby bez zwracania powszechnej uwagi przelecieć nad plażą. Po chwili z lekkim świstem antygrawów wylądował za murami Eckmuhl.

Tam czekali już na niego Poynton, Garvin, Njangu i kilkuset Raumów, którzy natychmiast pobiegli rozładowywać broń i zaraz zaczęli z nią znikać gdzieś w głębi getta.

–Do rana przerzucą ją poza Eckmuhl – powiedziała Poynton.

–Sprawnie – mruknął z podziwem Garvin.

–I to mnie niepokoi – wtrącił Njangu. – Za gładko. Coś w końcu na pewno się sieprze.

Poynton spojrzała na niego i dyskretnie skinęła głową. Garvin dostrzegł to i zostawił ich samych.

–Dzięki – powiedziała Poynton. – Chociaż przysięgałam, że nigdy nie podziękuję za nic żadnemu żołnierzowi, nawet tobie.

Njangu wzruszył ramionami.

–Lubię, gdy coś się dzieje – stwierdził z uśmiechem. – Ty chyba też. Nie potrafisz trzymać się z dala od broni, co?

Poynton już chciała się odciąć, ale zrozumiała, że Njangu żartuje.

–Próbowałam, ale nie wyszło.

–Może powinnaś wtedy skorzystać z szansy i wstąpić do Grupy. Wielu z Ruchu tak zrobiło.

–Myślałam o tym – przyznała Poynton. – Nie byłam jednak pewna, czy amnestia sięgnie na tyle wysoko, aby objąć i mnie.

–Poszukałaś więc bezpiecznej synekury... w rządzie. To było bardzo pomysłowe, Jo.

**Uśmiechnęła się.**

**–I zadziało, prawda? Nikt się nie zorientował.**

**–Owszem. I co teraz? – zapytał.**

**–Wrócimy do tego, w czym jesteśmy najlepsi. Tyle że tym razem będziemy strzelać do musthów.**

**–Będzie łatwiej, bo to większe cele – powiedział Njangu. – Ale jedna sprawa.**

**Pamiętasz, co się stało z Brooksem?**

**–Zginął – odparła posmutniała Poynton.**

**–Nie o tym myślę. Chodzi mi o jego plany na przyszłość. Wielkie zamierzenia.**

**Nie jestem pewien, czy gdybyście zwyciężyli, wasze idee przetrzymałyby próbę władzy.**

**Poynton zacisnęła usta.**

**–Obawiasz się, że mogę wpaść w tę samą pułapkę... minii że zgadzam się z tym, co mówisz o Brooksie?**

**–Podobno świadomość, że ma się za plecami ponad tysiąc ludzi pod bronią, utrudnia kontakt z rzeczywistością.**

**–Spokojnie – powiedziała Poynton. – Nie jestem taka.**

**–Nie przypuszczam, abyś była. Ale ostrzeżenie chyba nie zaszkodzi?**

**Poynton spojrzała na niego z ukosa. – Świetnie wiesz, jak wkraść się z powrotem w czyjeś łaski, prawda?**

**Njangu wyszczerzył zęby.**

**–Dlatego ty weszłaś do rządu, a ja zostałem zajęcem. Brak mi taktu.**

**Z jakiegoś trudnego do ustalenia powodu Jo odpowiedziała jednak uśmiechem.**

**–A, jeszcze jedno – dodał Yoshitaro. – Trzymaj gdzieś pod ręką ten komunikator, który ci dałem. Możliwe, że następnym razem to ja będę potrzebował pomocy.**

**–Jeśli będziemy mogli, udzielimy jej.**

Spojrzeni na siebie i Njangu zapragnął nagle pocałować Jo i sprawdzić, czy pamięta ich ostatnią noc. Nawet jakby trochę pochylił się ku niej, Poynton zaś, pewnie całkowitym przypadkiem, przysunęła się bliżej...

–Zmykamy! – przerwał im okrzyk Garvina. – Statek rozładowany!

Odsunęli się od siebie, trochę zakłopotani.

–Do następnego razu? – zapytał Njangu.

Poynton pokiwała głową i pobiegła za znikającą wśród ruin kolumną Raumów.

Frachtowiec wystartował i przeleciawszy nad murem getta, skierował się nad zatokę.

–Pora na nas – powiedział Garvin do pilota i wraz z Njangu wsiedli do cooka, którym tu przylecieli. – Najpierw na zachód, nad morze, potem do Mahanu. Lepiej trzymać się z daleka od tego statku. Daje za duży ślad na radarze.

Zostawili za sobą Eckmuhl. Przez nimi błyszczały wody zatoki, w dali było widać światła bazy. Garvin dojrzał też lecący tuż nad falami frachtowiec.

–Mówi Zabawka Sześć – rozległ się w słuchawkach głos Hedleya. – W powietrzu.

Szczyt masy.

Oznaczało to, że mają kontynuować akcję.

Nagle z mroku wystrzeliła smuga światła ze szperacza. Bez trudu uchwyciła frachtowiec.

–Nie zidentyfikowany statek, tutaj policja – usłyszeli na ogólnej częstotliwości. – Podaj swoje dane i natychmiast przejdź do zawisu, odbiór.

Zaraz potem rozległ się jeszcze jeden głos:

–Do policji, to sprawa Konfederacji. Wyłączcie szperacz i zerwijcie kontakt, odbiór.

Jednak lecący w zmodyfikowanym cooku gliniarze nie chcieli dać za wygraną.

–Do nieznanego nadawcy, tu policja. Nic nie wiemy o żadnej operacji w tym czasie i miejscu. Przedstawić się natychmiast i wykonać rozkaz. Odbiór.

–Mówi Zabawka Sześć – odezwał się znowu Hedley. – Powtarzam, to sprawa Konfederacji, nie wasza. Odbiór.

**–Tu policja. Zapalacie światła pozycyjne, w przeciwnym razie zostaniecie ostrzelani.**

**To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.**

**–Zabawkarz, mówi Zabawka Sześć – powiedział Hedley, przechodząc na częstotliwość operacyjną. – Zdejmij tych gliniarzy.**

**–Zabawka Sześć, przyjąłem.**

**–Kurwa... – mruknął Njangu.**

**Gdzieś znad morza nadleciała ognista smuga i trafiony pociskiem policyjny cook eksplodował. Wirujące szczątki opadły do wody.**

**–Mówi Zabawka Sześć. Szczyt masy. Odbiór.**

**Garvin kliknął raz wyłącznikiem mikrofonu. Żołądek podszedł mu na chwilę do gardła. Nie mógł przestać myśleć o dwóch upartych gliniarzach, którzy właśnie zginęli. Nagle pilot zaklął i wskazał na ekran radaru.**

**Nad ich nieliczną i rozciągniętą na sporym obszarze luźną formacją pojawił się wybłysk nie mniejszy niż ślad frachtowca.**

**–Co, u diabła...? Sądząc po szybkości, musth – stwierdził Garvin. – Teraz się zacznie.**

**Chwilę potem frachtowiec trafiły trzy rakiety odpalone z velva, który nadleciał zwabiony eksplozją policyjnego cooka.**

**W radiu rozległ się zgiełk podnieconych głosów.**

**–Mówi Zabawka Sześć! – krzyknął Hedley. – Wszyscy cisza! Czekać na rozkazy!**

**Jednak zanim zdążył je wydać, Ben Dill zakończył zamieszanie.**

**Leżąc na płask w kokpicie aksaia, dostrzegł velva zaraz po tym, gdy musthowie odpalili rakiety do frachtowca. Przeszedł na pełnej mocy na wznoszenie, musnął dwa sensory i pociski z rykiem wystartowały z podwieszek. Ledwie zdążyły się uzbroić przed uderzeniem w velva.**

**Maszyna musthów straciła najpierw nos, a zaraz potem i ogon. Zaczęła kręcić się bezradnie i chociaż pilot zdołał na moment odzyskać nad nią kontrolę, runęła bezwładnie ku falom. Buchnął szybko stłumiony przez wodę ogień.**

**–No to po ptakach – mruknął Njangu.**

Przez pierwsze trzy dni musthowie milczeli, niemniej była to cisza przed burzą.

Zaatakowali czwartego dnia o zmroku. Wystartowali ze swojej bazy na Płaskowyżu i nadlecieli nad Mahan od zachodzącego słońca. Równocześnie druga grupa, która przybyła z Cumbre E, spadła na obóz prosto z górnych warstw atmosfery.

Velvy i okręty macierzyste z dużego pułapu deszczem pocisków zdusiły mizerną obronę przeciwlotniczą bazy. Wyglądało na to, że musthom ponownie udało się zaskoczenie.

W ciągu paru minut zniszczyli wszystkie baterie.

Wlencing nakazał rozpocząć desant. Wynty i aksaie opuściły hangary okrętu macierzystego.

Dopiero wtedy spadło maskowanie z prawdziwych stanowisk przeciwlotniczych.

Ukryte na wyspie Chance wyrzutnie otworzyły ogień. Te, które zniszczyli obcy, były w większości atrapami. Wraz z nimi stracono tylko paru ludzi.

Pociski wzniosły się gęstym rojem. Przeładowane systemy obronne maszyn musthów odmówiły posłuszeństwa. Formacja wyntów została zdziesiątkowana.

Przez dłuższą chwilę na niebie panował chaos, aż w końcu Wlencing i jego podwładni opanowali sytuację.

Wynty wylądowały na pustkowiu poza obozem oraz na pobliskich plażach. Żołnierze musthów zbiegli po rampach.

Plaże i podejście do Mahan zostały jednak wcześniej zaminowane. Obcy ginęli wśród eksplozji wyrzucających w powietrze fontanny piasku.

Dodatkowo spadały na nich co chwila rakiety uzbrojone w głowice rozpryskowe.

Musthowie znaleźli się tak blisko wyrzutni, że operatorzy shrike'ow musieli najpierw kierować pociski nad ocean, a potem zawracać je nad plażę, aby miały czas się uzbroić.

Niektóre zostały zniszczone przez antyrakiety musthów, ale to była kropla w morzu.

Pierwsza fala piechoty obcych cofnęła się i poszukała schronienia w wyntach.

Kolejne pociski obrońców zostały więc skierowane na pojazdy desantowe.

**Ocaleli dowódcy zaczęli domagać się wsparcia albo zgody na wyjście spod ostrzału.**

**Wlencing rozkazał im się nie wycofywać i posłał do walki drugi rzut poprzedzony uderzeniem z powietrza.**

**Aksaie i velvy przeszły nad wyspą, niszcząc budynki i wszystko, co wyglądało na godny uwagi cel. Baraki i hangary legły w gruzach, płomienie strzeliły wysoko w nocne niebo.**

**Jednak obrońcy tkwili schowani w schronach, głęboko pod ziemią, z kłębów dymu wystartowały kolejne pociski. Śmierć ponownie zebrała żniwo.**

**Druga fala piechoty musthów trafiła pod silny ogień i została przyduszona na pasie pustego terenu na obrzeżach bazy.**

**Wlencing gotował się ze złości i chociaż starał się opanować, pazury drżały mu spazmatycznie, gdy chodził w tę i z powrotem po mostku okrętu dowodzenia.**

**Kilka minut później kryptolodzy zameldowali, że wszystkie pododdziały nieprzyjaciela zmieniły kody.**

**Wlencing wysunął pazury. Znaczyło to, że ludzie musieli od dawna wiedzieć, że musthowie czytają ich przekazy, i karmili go dezinformacją.**

**A on dał się nabrać... Czuł, że jego złość przechodzi we wściekłość. Myślał, że wojska Konfederacji ugięły się, padły na kolana, a one tymczasem czekały tylko na sposobność do działania. Może i ludzie stracili na początku inicjatywę, ale woli walki im przez to nie ubyło.**

**Przede wszystkim jednak Wlencing zadawał sobie pytanie, jak długo nieprzyjaciel będzie zdolny stawiać opór.**

**Musth warknął głośno. Miał ochotę kogoś albo coś rozszarpać. Zdołał się jednak opanować, ale zaraz pojawiła się kolejna myśl, która podsyciła emocje: co jeszcze ludzie zdołali przed nim ukryć?**

**Czuł, że błądzi we mgle i że musi z niej wyjść jak najszybciej...**

**Ponad tysiąc kilometrów dalej, na wyspie Seya, z baraków wzniesionych wkoło złomowiska wybiegły załogi stojących tam od czasu pozornej demobilizacji zhukowow i wskoczyły do maszyn. Chwilę wcześniej kontrola obszaru oznajmiła, że zbliża się formacja musthów, i wreszcie było co robić. Dotąd przerwuceni tu potajemnie ludzie powtarzali tylko rutynowe symulacje i nudzili się na potęgę.**

**Zhukovy były już zatankowane i uzbrojone, wystartowały więc zgodnie z**

oczekiwaniami w ciągu trzech minut i w kluczach po trzy maszyny ruszyły z maksymalną szybkością w kierunku wyspy Chance.

Dwieście kilometrów od Dharmy wspięły się aż do jonosfery.

Dowodzący eskadrą Golan haut Chaka sięgnął po mikrofon.

–Golan, schodzimy prosto na nich. Starajcie się celować w okręty macierzyste, potem w transportowce. Nie bawić się w bohaterów i nie zaczepiać aksaiów. Przejść raz, wracać na pułap i szykować się do następnego ataku.

Pozostali dowódcy wydali podobne rozkazy. Łowiący daleko na morzu rybak, który od dłuższego czasu zastanawiał się, co właściwie dzieje się nad wyspą Chance, dojrzał nagle w blasku zachodzącego słońca dziesiątki migotliwych błysków.

Zhukovy nie były przesadnie zwinne, ale za to naprawdę ciężko uzbrojone.

Po wejściu w nurkowanie operatorzy uzbrojenia zaczęli odpalać goddardy, zwinne pociski powietrze-powietrze. Większość została przechwycona przez musthów, ale dwa trafiły jeden z okrętów macierzystych i wyłączyły go z walki, a cztery dopadły velvy, niszcząc dwa z nich.

Potem wkoło zaroily się aksaie. Zhukovy robiły co mogły, aby się im wywinąć i dopaść łatwe do zniszczenia transportowce piechoty, ale w starciu ze zwinnym przeciwnikiem musiały ponieść straty.

Co rusz jakiś zhukov buchał dymem i spadał ku odległej ziemi. Większość z nich jednak pozostawała poza zasięgiem aksaiów. Korzystając z osłony własnych baterii przeciwlotniczych, maszyny przemknęły nad lądowiskiem bazy, zasypując przeciwnika rakietami, pociskami z dział kalibru 150 milimetrów oraz zwykłych działek. Jeden wynt natychmiast eksplodował, a cała trzecia fala piechoty musthów znalazła się w ciężkich opalach.

Wlencing rozkazał natychmiast, aby aksaie i velvy ruszyły na pomoc i nie zważając na ogień z ziemi, zniszczyły wrogie maszyny.

Gdy tylko osłona musthów zanurkowała, na scenie pojawiła się tajna flotylla Grupy z wyspy Mullion: uzbrojone prowizorycznie jachty, niewielkie patrolowce i trzy starannie wyremontowane aksaie.

W powietrzu zapanował chaos. Mało kto miał szansę utrzymać namiar celu dość długo, aby odpalić pocisk, nie ryzykując, że trafi on przypadkowo w którąś z manewrujących ostro własnych maszyn.

Ben Dill zdołał jednak wpakować dwie rakiety w velva i ciasną pętlą uniknął

**zderzenia z jego szczątkami.**

**–Mówi Kosa Sześć – powiedział do mikrofonu. – Klucz Kosa, jesteście ze mną?**

**–Tak – odezwał się nieco oszołomiony pilot. – Mówi Trójka. Dwójka zajął się okrętem macierzystym.**

**–Tu Dwójka – rozległ się kolejny głos, tym razem całkiem spokojny. – Dochodzę do celu, dwie sekundy do odpalenia... kurwa! Kosa Dwa zamilkł, a Dill dojrzał w ciemności nagły rozbłysk ognia.**

**–Cholera jasna... – mruknął, zapominając, że jest na fonii, i skręcił na wznoszeniu w stronę, gdzie zginął jego skrzydłowy. Po chwili ujrzał dwa nurkujące aksaie.**

**–Teraz zobaczymy, komu puszczą nerwy – szepnął, dając pełną moc, i pomknął ku nim kursem kolizyjnym. – Chodźcie no bliżej...**

**Oba aksaie skręciły gwałtownie, prezentując podbrzusza.**

**–Tak właśnie myślałem...**

**Dill odpalił dwa pociski. Oba skierowały się w ślad za wolniejszym musthem, który po chwili rozpadł się na pół.**

**Ben ze skrzydłowym ruszyli za prowadzącym, ale widać leciał na nowszej albo lepszej maszynie, bo zdołał się od nich odsądzić.**

**W słuchawkach Dilla rozległ się sygnał wzywający wszystkie maszyny do przerwania walki i wycofania się. Większość pilotów od razu wykonała rozkaz, rozrzucając chmury płatków metalizowanej folii i włączając zagłuszarki. Część skierowała się do ustalonych punktów zbornych, inne na Mullion oraz ku pozostałym, rozmieszczonym na całej planecie tajnym bazom, gdzie nie było wiele więcej poza zapasami paliwa, paroma mechanikami i radiostacją. Nadal ciężko zaskoczeni krwawą przeprawą zgotowaną im przez pokonanego podobno przeciwnika, musthowie nie palili się do pościgu i niemal wszystkie maszyny Grupy zdołały oderwać się od wroga.**

**Ben Dill prowadził jednak własną wojnę i nie miał zamiaru zrezygnować z pogoni za samotnym aksaiem.**

**–Mam na ciebie chrapkę... – mruknął, unosząc nos maszyny, i odpalił trzy pociski.**

**Wrogi aksai próbował wykonać unik, ale nadział się na pierwszą z rakiet i stracił kawał skrzydła. Obrócił się wkoło własnej osi, po czym runął w dół.**



**–Czyż nie jestem najzdolniejszym z synów mojej mamusi...? – zaczął Dill, ale w tej samej chwili dziesięć metrów za jego maszyną eksplodował jeden z dwóch pocisków, które nie doszły zestrzelonego przez Bena mustha. Aksai zadrżał i jego napęd umilkł.**

**–Nie wygłupiaj się – jęknął Dill. – Nie mam dziś ochoty na pływanie.**

**Jednak maszyna nie posłuchała. Zaczęła spadać. Dill sprawdził przyrządy, ale nic mu z tego nie przyszło.**

**–Kosa Trzy, Kosa Trzy, tu Kosa Sześć. Muszę wysiadać, odbiór.**

**Nie usłyszał odpowiedzi i dopiero teraz zauważył, że światełko radiostacji zgasło.**

**–Nie wiem, czy mnie słyszycie. Mówi Ben Dill. Będę wysiadał. Byłoby fajnie, gdyby ktoś mógł mnie podjąć. Bez odbioru.**

**Pchnął małą dźwignię z boku i owiewka aksaia odleciała. Do kabiny wpadł lodowaty wichur, który w pierwszej chwili aż wgniół pilotowi policzki. Opuściwszy osłonę hełmu, Dill zwolnił zamki pasów i teraz jedynie pęd powietrza utrzymywał go w kabinie.**

**Aksai obrócił się wkoło własnej osi, wyrzucając Bena w nocny przestwór.**

**Przymocowany do uprzęży spadak wyleciał zaraz za nim.**

**Po pięciu sekundach, które wydawały mu się wiecznością, spadak zadziałał. Dill szybował ku ziemi w tempie znudzonego piechura. Tylko czy na pewno ku ziemi?**

**Spojrzał w dół i zobaczył ciemność.**

**Gdzieś w dali migotały światła. Dill pomyślał, że to musi być wyspa Dharma. A to znaczyło, że czerń pod nogami kryła ocean. – Żeby to cholera... – mruknął. – Dlaczego nie chciałem chodzić na pływalnię?**

**Nagle światła przybliżyły się i coś przeleciało z rykiem tuż obok. Ben zdążył rozpoznać charakterystyczną sylwetkę aksaia.**

**–Wolałbym, żeby mnie nie zestrzelili po walce – powiedział pod nosem, gdy maszyna zawróciła w jego stronę. Została mu nadzieja, że to albo jego skrzydłowy, albo jakiś rycersko nastawiony musth. Dill uniósł bezradnie ręce, a potem wskazał w dół i wykonał kilka ruchów pływackich.**

**Aksai zwolnił niemal do szybkości przepadnięcia i przez chwilę Benowi zamajaczył leżący w kokpicie pilot.**

**Znowu spojrzał w dół i dostrzegł plamę jeszcze głębszej niż dotąd ciemności z jakąś**

**jasną obwódką.**

**Fale przyboju? pomyślał. Wyspa? Skoro taka duża, to może Mullion? Co mnie tam czeka?**

**Gdyby to była Mullion, miałby się z pyszna. Wedle tego, co się nasłuchał, wyspa obfitowała w rozmaite monstra, tak wodne, jak i lądowe. Na pewno nie było na niej tylko ludożerców.**

**Jedynym dobrze mu znanym kawałkiem terenu była baza i jej najbliższe okolice.**

**Powinna znajdować się gdzieś tam... gdzieś tam, bardzo precyzyjna lokalizacja.**

**Nagle w mroku coś zamigotało.**

**Co to może być? zastanowił się Ben. Światła kutra rybackiego? Wioska? Czyjaś przyjazna myśl?**

**Odszukał małą skrzynkę z kontrolkami spadaka. Łamiąc paznokieć, zdołał ją otworzyć i tak posterował urządzeniem, aby poniosło go w stronę światła.**

**Aksai ponownie przeleciał obok, nabrał szybkości i zniknął.**

**Plama intensywniejszej ciemności była już pod nim. Ben miał nadzieję, że trafi na plażę albo w najgorszym razie na drzewa. Światło nie było już daleko i prawie na tej samej wysokości.**

**Proszę, niech to będzie kawałek lądu, pomyślał Dill. Poszukał spojrzeniem horyzontu, zebrał razem nogi, lekko zgiął kolana i chwycił linki wysoko nad głową. Próbował właśnie przypomnieć sobie jakąś modlitwę, gdy wpadł do wody. Słonej wody. Odruchowo zakrył twarz dłońmi i już był pod falami. Porwał go prąd i Ben zaczął tonąć.**

–Skubaniec jeden – westchnął ze smutkiem Garvin. – Zawsze mi się zdawało, że Ben jest nieśmiertelny.

–On chyba też tak myślał – odparł Njangu. – Wygląda na to, że obaj się myliliście.

–Obawiam się, że musthowie nie dadzą nam dość spokoju, abyśmy mogli za niego wypić – dodała Monique.

–Chyba nie – zgodził się Njangu. – Ale gdy w końcu przestaną strzelać, Ben nie będzie sam. Zapijemy się na śmierć.

–Potrafisz pocieszyć w potrzebie – mruknął Garvin, gdy na betonowej ścianie schronu zapaliła się lampa alarmu i cała trójka pobiegła na stanowiska.

Tym razem musthowie nadlecieli znad morza. Wynty mknęły tuż nad falami od strony Leggett, co nie pozwalało bateriom Grupy otworzyć na razie ognia.

Velvy i aksaie trzymały się nieco wyżej, a ich piloci rozglądali się w poszukiwaniu celów, jednak nie widzieli nic poza dymiącymi rumowiskami.

–Do wszystkich stanowisk – odezwał się mil Rao. – Oszczędzać amunicję. Mierzyć nisko. Eksplozja w wodzie tuż przed lecącym pojazdem może być równie skutecznie jak bezpośrednie trafienie.

I rzeczywiście. Wynt, który uderzył we wzbity eksplozją fontannę, roztrzaskał się, jakby trafił na betonowy mur. Pozostałym pilotom puściły nerwy i poderwali maszyny, wystawiając ich brzuchy na strzał.

Wyrzutnie odpaliły salwę i schowały się pod ziemią, zanim przeciwnik zdołał odpowiedzieć.

Tylko garstka wyntów dotarła do plaży i wyrzuciła żołnierzy. Nie wszyscy znaleźli schronienie wśród zalegających w piasku towarzyszy.

Z ukrycia wypelzli snajperzy Grupy wspierani przez ciężkie blastery. Musthowie próbowali się ostrzeliwać, ale byli na nie znanym im terenie i nie znajdowali zbyt wielu celów.

Z frustracji i wściekłości zaczęli na dodatek tracić rozsądek. Zaniedbując podstawowe wymogi ostrożności, coraz częściej wystawiali się na cel.

Kolejny atak piechoty musthów został zatrzymany, zanim jeszcze się zaczął.

**–Współczujemy – powiedział Rahfer, adiutant Wlencinga.**

**Wlencing odwrócił oczy i spojrzał na niego oraz drugiego adiutanta, Daafa.**

**–Zostawił po sobie puste miejsce i zabraknie mi następcy – powiedział. – Jednak Alikhan to nie pierwszy mój potomek, który zginął w walce, poza tym wszyscy pewnego dnia umrzemy. Ważniejsze, że odszedł godnie. Nie mogło zresztą być inaczej, skoro to ja go spłodziłem.**

**Rahfer poruszył potakująco łapą.**

**–Teraz należy już do przeszłości i nie ma się nad czym rozwodzić – podjął dowódca. – My zaś musimy zająć się chwilą obecną, a przede wszystkim złamać ten absurdalny opór. Nie przypuszczałem, że ludzie potrafią tak walczyć. Nie zaprezentowali takich umiejętności podczas tłumienia buntu tego robactwa, Raumów.**

**–Może właśnie w tym rzecz – wtrącił Daaf. – Niewykluczone, że lepiej walczą z godnym przeciwnikiem.**

**–To sentymentalne podejście – sapnął Wlencing. – Nie warto marnować czasu na takie gadanie. Niestety, tak czy tak powodują ciężkie straty w naszych szeregach.**

**–Straciliśmy już prawie jedną czwartą myśliwców – zgodził się Rahfer.**

**–Może sięgniemy po broń atomową? – spytał Daaf.**

**–Nie do przyjęcia. A jeśli opad skazi jakieś miasto? Nawet Leggett mogłoby ucierpieć, gdyby wiatr wiał od bazy na wyspie. Poza tym nie jestem pewien, czy to przyniosłoby zamierzony skutek. Nie zapominajcie, że potem będziemy potrzebowali ludzi do pracy w kopalniach i innych usług.**

**–Ale dlaczego nie stają do walki jak na wojowników przystało? – spytał Daaf.**

**Wlencing postawił uszy i coś błysnęło mu w oczach.**

**–Nie trzymam cię po to, abyś opowiadał mi głupoty! Dlaczego niby mieliby walczyć tak, jak ty tego oczekujesz, skoro mogą nam zaszkodzić innymi sposobami?**

**–Niemniej to niehonorowo – upierał się Daaf.**

**–Nie zaprzeczę – mruknął Wlencing i spojrzał na ekran ukazujący pole zmagania wokół wyspy Chance. Na innych ekranach widać było okolice Aire, Taman City i Kerrier.**

**Tam też trwały walki. – Siedzą jak robaki w ziemi i bronią się, żeby ich ktoś stamtąd**

nie wyciągnął.

Pora zmienić taktykę. Myślę, że mamy dwie możliwości. Możemy zastosować to, co oni nazywają obłążeniem, czyli zamknąć ich w bazie i nękać. Nie podoba mi się to rozwiązanie, wymaga bowiem nieustannego ponoszenia ofiar. Jednak studiując ich historię, znalazłem jeszcze jeden sposób, któremu brak finezji, ale może okazać się skuteczny.

Ostatecznie ludzie nie wiedzą, co to honor, prawda?

–Nie do wiary – powiedziała Jasith.

–Jesteś strasznie naiwna, kochanie – rzucił Loy. – To obcy, zwierzęta. Walczą więc też jak zwierzęta.

–Nie mówię o musthach – warknęła Jasith. – Oni niczym już mnie nie zadziwią.

Zastanawia mnie, że tak radośnie pchasz się im w objęcia. Jakbyś nie mógł się doczekać, co jeszcze wymyślą.

–Już ci mówiłem. Nie mamy wyboru. Nasi głupi żołnierze siedzą zablokowani na wyspie i w niczym nam nie pomogą. Co więc niby mam robić? Powiedzieć musthom, żeby się wypchali? Jak sądzisz, długo by wtedy czekali z zamknięciem mojej stacji i wywaleniem wszystkich pracowników na bruk?

–Ciekawe, że zawsze, gdy przedsiębiorcy coś się nie podoba – powiedziała Jasith – twierdzi, że to jest złe dla jego pracowników. Uwierzyłby kto, że tak się o nich troszczymy.

–No to co powinienem zrobić? Co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Jasith zastanowiła się, odrzuciła to, co przyszło jej do głowy, i poszukała innej odpowiedzi.

–Chyba raczej zezwoliłabym na zamknięcie stacji. To lepsze niż oddawanie im kamer i ludzi, aby każdy w całym układzie musiał patrzeć na to, co nam szykują.

Kuoro pokręcił głową.

–Twój ojciec w grobie się przewraca. Prędzej by zginął, niż oddał ze swojego imperium chociaż guzik.

–Nie mieszaj, proszę, do tego mojego ojca. Gdyby żył, byłby teraz razem z tymi głupimi, jak ich nazwałeś, żołnierzami. Albo szukałby sposobu, jak im pomóc.

–Proszę, panna Resistance we własnej osobie – zakpił Kuoro. – I co dla nich robisz,

jeśli można spytać? Poza siedzeniem w swojej rezydencji i załamywaniem rąk, naturalnie.

Może wydasz herbatkę dobroczynną na ich cześć? Albo zaczniesz drzeć szarpie, jak to podobno robiły bohaterki w dawnych czasach?

Jasith zapatrzyła się w okno. W dali widać było nurkujące nad wyspą Chance maszyny musthów, dobiegał stamtąd przytłumiony huk eksplozji.

–Nie wiem, co robić – powiedziała. – Nie wiem. Ale na pewno coś zrobię.

–Piękne postanowienie. Nie mogę się doczekać, kiedy moja żona trafi na czarną listę musthów.

–Biorą zakładników – powiedział ponuro mil Rees, zastępca dowódcy pierwszego pułku. Między Aire a bazą Mahan doszło do zakłóceń w łączności, bo obraz zafalował, ale po chwili się wyklarował. – Zabrali trzydziestu z Aire i ogłosili, że w innych miastach będzie podobnie. Dziwne, że zostawili w spokoju Leggett.

–Powiedzieli, co zamierzają z nimi zrobić? – spytał caud Rao, ale Rees pokręcił głową.

–Nie, sir. Zapowiadają jednak, że jutro w południe pokaże to holo.

Rao spojrział na Angarę i Hedleya. Wszyscy myśleli to samo.

–Trzymajcie żołnierzy z dala od odbiorników – odezwał się Hedley. – Cokolwiek pokażą, na pewno nie będzie to nic dobrego.

I rzeczywiście, nie było.

–Nadajemy na żywo z oddziału „Matin” w Aire – powiedział monotony głos zza kadru. – Transmisja jest przeprowadzana na wyraźny rozkaz musthów.

Na ekranie pojawił się wysoki betonowy mur. Po chwili gdzieś w pobliżu szczęknęły stalowe drzwi. Pod ścianą pojawiło się piętnaścioro mężczyzn i kobiet. Wyglądali na wystraszonych i zagubionych, bezradnie rozglądali się wkoło.

–Ta grupa to zakładnicy wzięci przez musthów, którzy uważają ich za przywódców Cumbre.

Kliknął wyłączany mikrofon i po chwili w głośnikach zabrzmiał inny głos, tym razem należący do mustha:

–W związku z przedłużającymi się walkami uznaliśmy, że winni są temu wszyscy ludzie zamieszkujący układ znany kiedyś jako Cumbre. Innymi słowy, od dzisiaj

traktowani będą jak kryminaliści. Walka musi natychmiast zostać zakończona. Jeśli tak się nie stanie, wszystkich ludzi znajdujących się w naszych rękach spotka taki sam koniec.

Zakładnicy mieli tylko chwilę, aby doświadczyć strachu, po czym specjalny oddział otworzył do nich ogień z miotaczy insektoidów. Trysnęła krew i niby-owady rzuciły się na wnętrzności ofiar.

Kamera śledziła wszystko do chwili, gdy ostatnie ciało przestało się ruszać.

Garvin odwrócił wzrok od ekranu i spojrzał na Njangu. Bardzo starał się zachować podobieństwo do niego. – Jeśli walka nie dobiegnie końca, niebawem spełnimy naszą groźbę i zginą następni. A potem weźmiemy kolejnych zakładników – ciągnął musth.

–Ciekawe, jak zareagują nasi? – mruknął Garvin.

Zanim Njangu zdołał odpowiedzieć, ożyło łącze z dowództwem.

–Mówi caud Rao. Cała Grupa nalega na natychmiastowe uderzenie na musthów. Nikt nie chce negocjacji.

–Chyba tego należało oczekiwać – westchnął Garvin.

–Mniej więcej. Ale chodzi mi po głowie coś więcej – dodał Njangu.

Atak Grupy nadszedł z kosmosu. Skorzystano z sił ukrytych w bazie na Fowey, największym księżycu Cumbre D. Najeźdźcy przeoczyli ją, gdyż była niemal całkowicie skryta pod powierzchnią tego satelity.

Statek badawczy, który stamtąd wystartował, miał przednie przedziały zapchane ładunkami wybuchowymi, a na mostku zamontowano prosty system samonaprowadzania.

Z dużą szybkością ruszył ku planecie.

Dwuosobowa załoga nerwowo wpatrywała się w ekrany ukazujące przestrzeń powietrzną nad wyspą Chance.

–Tam. – Pokazała dowodząca misją kobieta. – To jeden z tych okrętów macierzystych.

–Mam – powiedział mężczyzna. – Naprowadzam... jest tryb śledzenia... Zmywajmy się stąd!

Pobiegli do kapsuły ratunkowej i czym prędzej wystrzelili się w przestrzeń.

**Skazany na zagładę statek poleciał dalej.**

**Prawie im się udało. Niestety, ich kapsuła pojawiła się jako drobna świetlna plamka na ekranie jednego z aksaiów. Musth odpalił salwę pocisków. Małe kapsuła nie miała szans.**

**Dwie sekundy później statek badawczy wbił się w kadłub okrętu macierzystego i na niebie Cumbre C rozblęło przelotnie drugie słońce.**

**Jednak to było za mało.**

**–Musthowie mają jednoosobowe dowództwo, zgadza się, Jon? – spytał Njangu.**

**–Chyba tak.**

**–I sprawuje je pewnie Wlencing?**

**–Prawdopodobnie.**

**–To bardzo dobrze – mruknął Njangu i wyjaśnił szczegóły swojego planu.**

**Hedley zmarszczył czoło.**

**–Jasne, to nie będzie wymagało żadnych skomplikowanych analiz, wystarczy liczydło, ale nie dasz rady zrobić tego sam. Ani ze swoją kompanią.**

**–Dlaczego? – spytał Garvin. – Wymkniemy się stąd i...**

**–I pewnie oberwiecie, zanim zdążycie przelecieć kilometr – przerwał mu Hedley. – Nie, to trzeba zrobić inaczej.**

**Musthowie zmienili w końcu taktykę: sięgnęli po ciężkie rakiety. Przypominały one stosowane przez Grupę pociski typu Fury, ale były o wiele większe. Odpalano je na wyspę salwami. Ziemia trzęsła się przy każdej, mielącej ruiny na pył eksplozji.**

**Jednak zginęła tylko garść obrońców.**

**Pod ziemią pył sypał się z sufitów schronów i załogi ogarniała klaustrofobia, ale i tak było tam o wiele lepiej niż na powierzchni.**

**Baza Mahan nie kapitulowała.**

**–Cóż... musimy założyć, że cały ten Wlencing nie jest jednak patentowanym idiotą – powiedział Hedley.**

**–Poniekąd prawda – przyznał Njangu. – Ale zdaje się nie korzystać z usług sztabu.**



**Gdy coś się dzieje, zawsze to on wydaje rozkazy.**

**–Miejmy nadzieję, że to wystarczy, aby go zabić – stwierdził Hedley. – Zaczynamy za godzinę. Żadnych pocisków, Rao nie chce ryzykować przypadkowych ofiar.**

**Trzymajcie kciuki.**

**Njangu pokręcił głową. – Nie wierzę w takie rzeczy. Szczęście zawsze uśmiecha się do kogoś innego, nie do mnie.**

**Dwa przerobione ślizgacze nie były uzbrojone, przenosiły tylko po jednej, za to wielkiej bombie domowej konstrukcji. Maszyny wystartowały tuż przed świtem z tajnej bazy na wyspie Mullion, pokrzyły po okolicy, aby zmylić ewentualnych obserwatorów co do swojego kursu, i bardzo nisko i powoli ruszyły na wschód. Po pewnym czasie lekko skręciły ku północy i zostawiając za sobą spienione fale, o wschodzie słońca dotarły do wyspy Dharma. Wciąż zachowując radioelektroniczną ciszę, wzniosły się kilkanaście metrów wyżej, przemknęły nad plażą i wierzchołkami drzew.**

**Przed nimi wznosił się otulony mgłami masyw Płaskowyżu. Modląc się w duchu, aby wysokościomierze okazały się dobrze wyskalowane, piloci nawigowali w oparze, korzystając jedynie z odczytów satelitarnego systemu pozycyjnego. Żaden nie śmiał włączyć radaru ani wznieść się wyżej niż dwadzieścia metrów nad poziom gruntu. Lecieli wolno, góra sto dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, czyli prawie na granicy przeciągnięcia.**

**Nawigatorzy nieustannie sprawdzali wyświetlany na ekranach czas.**

**–Już – powiedział w końcu dowódca.**

**Oba ślizgacze poderwały się na pułap dwustu metrów i włączyły radary bojowe.**

**–Cel namierzony – zameldował pierwszy.**

**–Też mam – dodał drugi.**

**–Zaczynam odliczanie przed zrzutem – powiedział pierwszy.**

**Njangu uznał, że skoro Wlencing sam dowodzi całymi siłami musthów, należy szukać najsilniejszego źródła sygnałów. Technicy wzięli się do roboty i udało im się takie źródło znaleźć. Mieściło się na Płaskowyżu, gdzie jeszcze przed wojną była kwatera główna musthów, jednak nie w głównym kompleksie budynków, ale jakiś kilometr na południowy wschód od nich. Jak Hedley przypuszczał, Wlencing nie był kompletnym głupcem.**

**Okazał jednak zbyt wielką pewność siebie. Mimo obaw analityków nie wykryto w okolicy żadnych systemów obrony radioelektronicznej.**

**Oba ślizgacze zbliżyły się do zabudowań.**

**Piloci zauważyli pulsujące plamki na ekranach. Musthowie dopiero teraz otworzyli ogień. Za późno.**

**–Beta – powiedział dowódca i obie maszyny wzniosły się na pułap zrzutu.**

**–Pięć sekund.**

**W określonej chwili od prowadzącego ślizgacza oderwał się pękaty obiekt. Odbił się od ziemi i wyleciał wysoko w górę.**

**W tej samej chwili drugi ślizgacz zwolnił swój ładunek, całkowicie nieaerodynamicznych kształtów skrzynię z antygravitorami, które sprawiły, że opadała bardzo wolno.**

**Pierwsza bomba eksplodowała z siłą, która zatrzęsała Płaskowyżem. Podmuch miażdżył drzewa, maszyny, budynki. Drugi ładunek detonował jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Też miał sporą moc, ale raził głównie kawałkami metalu i szkła.**

**Niestety, pierwsza bomba chybiła i spadła na samym skraju bazy musthów, a druga dokładnie tam, gdzie miała, jednak w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca pierwszej eksplozji.**

**Zginęło wielu wyższych oficerów, w tym trzech adiutantów dowódcy, oraz prawie setka żołnierzy.**

**Jednak Wlencing ocalał, podobnie jak większość jego sztabu.**

**Marzenie Njangu, aby zakończyć wojnę jednym precyzyjnym uderzeniem, nie ziściło się.**

Trudno było nazwać tę wymianę zdań rozmową. Mimo że sygnał transmitowały łącza nadprzestrzenne, potrzebował kilku godzin na przebycie olbrzymich odległości dzielących Wlencinga, Paumota i jego młodszego rodaka, Keffę.

–Nie idzie wam za dobrze – zaczął Paumoto.

–Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedział Wlencing. – Nie potrzebuję pouczenia.

–Ani myślę cię pouczać – rzucił Paumoto. – Myślałem tylko, że skoro wiele nas łączy, możesz być zainteresowany zmianami, jakie zaszły tu ostatnio.

–Ten przeklęty Senza ciągle gardłuje za wycofaniem naszych sił – wtrącił się Keffa.  
– Uważa, że powinniśmy pogłębić porozumienie z ludźmi.

–Gdybyś podbił Cumbre tak szybko, jak obiecywałeś, jego gadanie puszczono by mimo uszu.

–Okoliczności okazały się o wiele bardziej nie sprzyjające, niż się spodziewaliśmy – powiedział Wlencing. – Na wojnie takie niespodzianki to norma.

–Ale w polityce jest inaczej – stwierdził Paumoto. – W polityce to katastrofa.

A jeśli już do niej dojdzie, trzeba jak najszybciej poszukać nowych rozwiązań.

–A właściwie dlaczego tak się interesujecie moimi poczynaniami? – spytał w końcu Wlencing.

Opóźnienie transmisji dało Paumotowi czas, aby ochłonać, więc jego odpowiedź była już całkiem polityczna. Inaczej wyszło z Keffą, który od paru dni chodził coraz bardziej wzburzony.

–Ponieważ twoje obecne poczynania to woda na młyn Senzy. Przez to jego popularność rośnie, a nasza spada.

Paumoto wyraził niemal to samo, ale innymi słowami:

–Senzie nie jest obojętne, co się dzieje w układzie Cumbre, i daje temu wyraz.

Inni, wcześniej neutralni albo w ogóle nie zainteresowani sprawą, zaczynają przychylić się do jego zdania.

–Ale co on może mi zarzucić?

**–Chodzi o twój sposób myślenia i postępowania – wyjaśnił Paumoto, siłąc się na cierpliwość. – Senza i jego sympatycy twierdzą, że to niegodne musthów, nie mieści się w tym, co nam przeznaczone, i kłóci się z poczuciem sprawiedliwości.**

**–To czego by chciał? Abyśmy zawarli sojusz z ludźmi?**

**–Niemał dokładnie tego – powiedział Paumoto. – Z jego analiz i symulacji, chociaż niewątpliwie błędnych, wynika, że wszechświat jest dość wielki dla obu naszych gatunków, przynajmniej na razie. Jego zdaniem powinniśmy sprzymierzyć się z ludźmi, tymczasowo albo na dłużej, gdyż to przyniosłoby nam szybko dość korzyści, aby nie martwić się długofalowymi skutkami takiego posunięcia. Ostatecznie, jak twierdził, musthowie i tak okażą się silniejsi od ludzi i ich pokonają, jednak całkiem pokojowo i nie wcześniej niż za tysiąc lat. I tylko dzięki temu, że nami kieruje wola stwórcy, nimi zaś jedynie przypadkowe wariacje genów.**

**–Co za brednie! – wybuchnął Wlencing. – Wygra ten, kto okaże więcej siły i zdecydowania. To jedyne, co rządzi wszechświatem. Że też ktoś tak inteligentny jak Senza nie potrafi tego pojąć.**

**–Nie traćmy czasu na bezproduktywne rozważania – powiedział Paumoto. – Zmarnowałem cały dzień na dyskusję z nim i nic z niej nie wynikło, dajmy więc temu spokój.**

**Nie zamierzam ci niczego narzucać, Wlencing. Ufam, że poradzisz sobie z tą sytuacją, jak zapewniałeś, mimo że obecnie trudno ci zrozumieć pewne rzeczy. Keffa i ja nie poddamy się i nie dopuścimy tak łatwo do zmiany układu sił. Ostatecznie chodzi o obronę naszych interesów. Niemniej jeśli przegrasz, nasze wpływy poważnie się skurczą.**

**–Czego więc ode mnie oczekujecie? – Że wygrasz – powiedział Keffa. – Zdecydowanie i szybko. Nieważne jak. Jesteśmy gotowi wysłać ci posiłki, jeśli będziesz ich potrzebował. Musisz jednak doprowadzić do zwycięstwa. W przeciwnym razie zyskasz wroga nie tylko we mnie, ale zapewne i w osobie Paumota.**

Ben Dill uderzył piętami w dno i pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Odruchowo zwolnił uprząż spadaka. Nie chciał utonąć, zaplątawszy się w linki, a był pewien, że czeka go długa droga do powierzchni. Odepchnął się mocno nogami i nagle zrozumiał, że stoi w wodzie, która nie sięga mu nawet po pachy.

Zrobiło mu się głupio, lecz zaraz kolejna fala przewróciła go i znowu wtłoczyła pod wodę. Pozbierał się i poczuł, że coś się o niego ociera. Spadak. Złapał go. Nie wiedział wprawdzie, do czego mógłby mu się jeszcze przydać, ale był pewien, że znajdzie dla niego zastosowanie, bo rozbitkowi brakuje dosłownie wszystkiego.

Stawił opór następnej fali i tym razem utrzymał się na nogach. Patrząc za grzywaczem, ustalił, gdzie powinien znajdować się brzeg, i ruszył tam z wolna.

Jeszcze dwa razy go przewracało, aż w końcu pod stopami zachrzęściły mu kamyki plaży. Ledwie kilka metrów dalej rosła dżungla.

Dill był cały zapiaszczony, ciężko zdyszany i posiniaczony od upadku, ale dzięki bliżej mu nie znanym bogom – żywy. Zapomniawszy się, wzniósł kilka okrzyków na cześć ulubionego syna pani Dill.

Coś odpowiedziało mu rykiem z dżungli. Sądząc po odgłosie, nie znajdowało się daleko, było duże oraz zapewne głodne.

Dill zaklął cicho i zaczął się zastanawiać, co teraz począć.

Ryk powtórzył się i Dill, przykucnąwszy na skraju wody, rozejrzał się dokoło.

Z jednej strony, dość blisko, wyrastało coś ciemnego. Ruszył w tamtą stronę i znalazł skupisko skał. Wdzięczny losowi wpełzł pomiędzy nie.

Westchnął z ulgą, że nie wylądował na nich. Teraz zostało mu już tylko doczekać świtu.

Przypomniał sobie o zestawie ratunkowym i wyjął go z kieszeni naszytej na nogawce kombinezonu. W środku znalazł mały pistolet, co go ucieszyło, chociaż z uwagi na czającego się w ciemności wyjca poczułby się pewniej, mając pod ręką wyrzutnię rakiet. Ale i taka broń była lepsza niż nic. Trafił też na wielofunkcyjny składany nóż, co również było miłą niespodzianką, podobnie jak flara wielkości i kształtu ołówka. Zastanowił się, czyby jej nie odpalić, ale na razie dał spokój. Na końcu wyciągnął pozycjoner satelitarny.

Włączył urządzenie i zaklął, gdyż ekran pozostał ciemny. Nic to. Przyjrzy mu się

rano.

Przypomniął sobie o dostrzeżonym wcześniej blasku. Rozejrzał się i w końcu zauważył gasnącą poświatę. Zaryzykował mały wypad za skałki po wyrzucone przez fale drewniko i ułożył je na piasku, wycelowując w stronę światła. Miał nadzieję, że nie uniesie go przyływ i będzie wiedział, w którym kierunku iść.

Teraz mógł już tylko czekać na brzask.

Oparł się wygodnie o skałę, w jednej dłoni ścisnął pistolet, w drugiej nóż i zastygł w bezruchu.

Ryk powtórzył się później jeszcze trzy razy.

W końcu, gdy według Bena minęło z pięćdziesiąt lat, niebo zaczęło szarzeć, ukazując nisko zwieszony, grożący deszczem chmury.

Rozejrzał się. Przed nim, całkiem niedaleko, zieleniała zwarta ściana dżungli, a pod nią biegł wąski, zakrzywiony pas czarnej plaży. Za Benem zaś... Skrzywił się boleśnie.

Za nim fale rozbijały się o wielkie skupisko sterczących z wody głazów. Naprawdę miał szczęście, że wylądował, gdzie wylądował.

–Udało mi się – powiedział do siebie. Teraz przyda łaby się jeszcze ekipa ratunkowa, porządny posiłek, nieco snu i mógłby wracać na wojnę.

Sięgnął po radiostację awaryjną, ale okazała się równie głucha jak ta na pokładzie aksaia. Dill mruknął coś o zawodnej technice i ponownie wydobył pozycjoner satelitarny.

Przynajmniej on działał. Ben wcisnął klawisz z napisem LOKALIZACJA. Maszynka zapiszczała po swoim i wyświetliła:

# **LOKALIZACJA NIEZNANA. ODDAĆ**

## **DO REKALIBRACJI.**

**Zachodząc w głowę, co mogło się popsuć, wsunął kolejny elektroniczny złom do kieszonki na łydce, skąd nie powinien wypaść tak łatwo.**

**Nie pojmował, dlaczego w zestawie survivalowym nie ma najzwyczajszego kompasu, chociaż uznał, że przy jego szczęściu do wszelkich urządzeń pewnie dawno by już na nim usiadł i rozgniótł. Pomyślał jednak, że gdy wróci, sam skompletuje sobie nowy zestaw.**

**Będzie jak znalazł przy kolejnym zestrzeleniu.**

**Postanowił już ruszyć w kierunku wskazywanym przez kawałek drewna, gdy chmury nagle się rozeszły, umożliwiając dokonanie pewnych pomiarów.**

**Wbił w piasek prostą gałązkę, odszukał niewyraźny cień, który rzucała, i sprawdził na zegarku godzinę. Zanim chmury znowu zakryły słońce, pospiesznie narysował na piasku coś przypominającego tarczę zegara, tyle że podzieloną na czternaście godzin, co dawało nieco więcej niż połowę dnia na Cumbre D.**

**Zaznaczył cień jako aktualną godzinę. Połowa odległości pomiędzy tym miejscem a czternastą powinna z grubsza wskazywać południe.**

**Był to mniej więcej ten sam kierunek, który wskazywał ułożony w nocy kawałek drewna, co oznaczało, że wyspa Dharma musiała znajdować się gdzieś na południowy wschód, za szarym jak niebo morzem. Nieco na zachód powinna leżeć skryta w dżungli tajna baza. Musiał zatem skierować się na południe w nadziei, że w końcu trafi na jakąś ścieżkę i dotrze nią do swoich.**

**Ale to później, pomyślał. Znalazł suche racje, które wymagały tylko odrobiny słodkiej wody, aby zmienić się w jadalny posiłek. Niestety, nigdzie nie widział jej ani kropli.**

**Najpierw zobaczę, co z tym światłem, zdecydował w końcu. Chociaż przy moim szczęściu okaże się pewnie, że to jakiś złom odbijający diabli wiedzą co...**

**Akumulator spadaka był w siedmiu ósmym naładowany. Ben nie wiedział, do czego poza powolnym opadaniem może się przydać coś takiego, ale uczono go, żeby w podobnej sytuacji nie wyrzucał niczego, co może się okazać nawet mało użyteczne, przerzucił więc uprząż przez ramię i ruszył plażą.**

**Obszedł dwie zatoczki i już gotów był uznać, że podąża za jakimś mirażem, gdy przy**

**brzegu dostrzegł aksaia.**

**To była ta sama maszyna, którą zestrzelił w walce manewrowej. Brakowało jej części skrzydła, pylonów na uzbrojenie i owiewki kabiny pilota. Ben miał nadzieję, że pilot w porę się katapultował, gdy nagle ujrzał coś... a w zasadzie kogoś zwisającego na pasach z głową ledwie pół metra nad podnoszącymi się w miarę przyływu falami.**

**Dill nieraz zabijał, ale nie kolekcjonował trofeów zdartych z nieboszczyków.**

**Uważał, że to chore hobby, i już miał ruszyć dalej, gdy nagle domniemany trup się poruszył.**

**Co gorsza, za rafą pojawiło się coś ciemnego. Na pewno nie była to skała. Skały nie miewają macek.**

**Kurna, pomyślał ponuro Ben, cisnął spadak na piasek i pobrodził w stronę aksaia.**

**Ten z mackami zrobił to samo.**

**Głowa mustha pokryta była czymś, co musiało być krwią. Kolejna fala obmyła twarz pilota i wtedy Dill poznał, z kim ma do czynienia.**

**To był Alikhan, potomek Wlencinga.**

**Otrzeźwiony chłodną wodą musth otworzył oczy i ujrzał pistolecik ginący w olbrzymiej dłoni Bena.**

**–Dobrze – powiedział. – Lepiej tak, niż czekać na śmierć.**

**–Zamknij się – warknął Dill, chowając broń do kieszeni, i sięgnął po nóż. – Ja to betka, gorzej z tamtym mackowatym.**

**Znalazł przycisk awaryjnego zwalniania uprząży, ale że mechanizm się zablokował, zaczął pracowicie przecinać pasy.**

**–Połamałeś sobie coś?**

**–O ile wiem, to nie. Ale wiszę tu już trochę i cały zdrętwiałem, więc nie jestem pewien, czy...**

**Ostatni pas puścił i Alikhan spadł na Bena. Obaj poszli pod wodę. Dill wstał i splunąwszy, wyciągnął głowę Alikhana nad fale. I nagle poczuł na plecach ostrożne muśnięcie macki.**

**Momentalnie ożyły mu w pamięci wszystkie oślizłe zmary i potwory straszące i gryzące go w dzieciństwie. Jęknął w duchu, ale odruchowo wydobyl pistolecik i**



strzelił przez ramię za siebie. Rozległ się zaskakująco głośny huk i macka wycofała się gwałtownie.

Mimo że od słonej wody piekły go oczy, Dill dostrzegł, jak coś wielkiego zanurzyło się pospiesznie i odpłynęło.

Po chwili Ben dźwignął Alikhana.

Musth posykiwał rozbawiony.

–Bardzo śmieszne – warknął Dill. – Ten stwór z mackami nie ciebie próbował zjeść na śniadanie.

–Ale to zabawne: dwóch bohaterskich pilotów reagujących jak wystraszone zwierzęta.

–Kiedy wejdiesz między wrony... Dobra, masz może w myśliwcu coś, co pomogłoby nam przeżyć, aż wrócimy na łono cywilizacji?

–Kilka rzeczy – powiedział musth, sięgając ku pakunkowi przypiętego do resztek jego fotela.

Dill zaraz wycelował w niego pistolecik.

–Powoli. Łapy z daleka.

Alikhan posłuchał i Ben wziął pakunek.

–Coś jeszcze? Pokaż tylko, a tatuś się wszystkim zajmie.

–Nic. Nie przypuszczałem, że zostanę zestrzelony.

–Dobra. To zabierajmy tyłki na suchy ląd. Tam pomyślimy, co dalej. – Pokazał pistoletem, aby musth ruszył przodem. Zerkając na niego kątem oka, otworzył pakunek.

W środku był pistolet wyrzucający stężony kwas i trzy granaty z insektoidami. – Żadnego żarcia, tylko broń?

–A do waszych co ładują?

–Pistolet, nóż, racje żywnościowe na dzień albo dwa i nieco złomu, który i tak nie działa, gdy jest potrzebny.

–Uważają, że potem dzielny pilot wyżywi się świeżym powietrzem?

**–Daruj sobie te żarty. Musimy ustalić porządek dziobania.**

**–Nie rozumiem. Przecież nie mam dzioba.**

**–Chodzi o uzgodnienie, kto tu rządzi.**

**–Zdaje się, że to ty masz broń? – zdziwił się Alikhan.**

**–Tak. Ale wcześniej czy później będę musiał się zdrzemnąć, a wolałbym, żebyś się wtedy na mnie nie rzucił. Zaczniemy więc od początku – stwierdził Ben. – Jestem tu starszy stopniem, rozumiano?**

**–Zakładam, że skoro to ty mnie zestrzełeś, ty też ustalasz reguły.**

**–Gadanie. Nadziałeś się na mój pocisk, to i wygrałem.**

**–Tym razem. Ale będą jeszcze inne okazje.**

**–Właśnie o to chodzi – mruknął Ben. – Czy znacie coś takiego jak słowo honoru?**

**No wiesz, obiecujesz coś solennie, na przykład że nie spróbujesz dać mi w łeb czy uciekać, do chwili, gdy zwolnię cię z przyrzeczenia.**

**–Zabawny pomysł – powiedział Alikhan i lekko najeżył sierść na grzbiecie. – Dlaczego nie miałbym obiecać wrogowi wszystkiego, czego tylko będzie chciał? – Żeby wypatroszyć go, gdy tylko się odwróci...?**

**Alikhan przechylił głowę.**

**–Właśnie. Musthowie nie zwykli brać jeńców. Niemniej zdarzają się wyjątki. Na przykład jak teraz. Nie pozwoliłeś, aby ten dziwny stwór odgryzł mi głowę.**

**Musthowie rozumieją, czym jest dług wdzięczności. Jeśli więc chcesz, żebym go spłacił, dając ci słowo honoru w tej sprawie, zrobię to. I dotrzymam obietnicy.**

**–No, to najważniejsze za nami – powiedział Dill. – A teraz druga sprawa. Będą cię szukać? Jakiś aksai przeleciał w nocy obok mnie, gdy wisiałem na spadaku. Nie wiem czyj, może wasz?**

**–Raczej nie – odrzekł po zastanowieniu musth. – Zestrzełeś Yalfa, zatem to musiał być Tvem. Ciągłe gada, że trzeba zabić wszystkich ludzi, więc pewnie nie zostawiłby cię w spokoju.**

**–Nie okazałby miłosierdzia bezbronnemu?**

**Alikhan machnął łapą, odrzucając tak absurdalny pomysł.**

**–Chyba że skończyłaby mu się amunicja.**

**–Powiedzmy, że tak właśnie było. I założmy, że widział, jak skraksowałeś i przeżyłeś.**

**Czy twoi wyślą ekipę ratunkową?**

**–Raczej nie. Być może zrobiliby to, gdyby byli pewni, że wylądowałem szczęśliwie.**

**Naszym przeznaczeniem jest umrzeć godnie, kiedy przyjdzie pora, a potomka Wlencinga dotyczy to w szczególności. Gdy zaś chodzi o wybór między śmiercią a niewolą, sprawa jest oczywista. Powinienem być martwy. Tak jak czworo moich sióstr i braci – dodał Alikhan, a Dillowi zdało się, że wyczuwa w jego głosie nutę żalu.**

**–Więc tatuś nie będzie cię szukał – mruknął Ben. – W takim razie to Jacqueline mnie znalazła. Widziała, że żyję, więc pewnie zaczną mnie szukać. Problem w tym, że przylecą z miejsca, o którym nie macie prawa wiedzieć, i nie pojawią się, dopóki twoi nie przestaną się kręcić w okolicy. Co może nastąpić w przyszłym tygodniu. Wychodzi więc na to, że żaden z nas nie ma na co czekać, i lepiej będzie, jeśli poradzimy sobie sami. W myśl zasady, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają...**

**–Owszem – zgodził się Alikhan. – To dokąd idziemy?**

**Dill wskazał kierunek.**

**–Będziemy szli plażą tak długo, aż zobaczymy wyspę Dharma. Powinna być gdzieś tam. Wtedy albo doczekamy się pomocy, albo zbudujemy tratwę i popłyniemy.**

**–Myślisz, że może nam się udać? – spytał Alikhan. – Nie skończy się to kośćmi bielejącymi na słońcu na zapomnianej plaży?**

**–Kto cię uczył naszej mowy? Edgar Allan Poe? Jasne, że się nie uda. Ruszamy.**

**Plaża nie była niestety wygodnym szlakiem. Przecinały ją ujścia strumieni i bagienka, a dwa razy trafili na wybiegające daleko w morze cyple i musieli przedzierać się wtedy przez dżunglę, żeby nie nadkładać drogi. Na dodatek co jakiś czas padał deszcz.**

**Zatrzymali się, żeby zmyć z siebie błoto i owady.**

**–Wiesz co? – odezwał się Dill, wychodząc z wody. – Następnym razem przyprawię sobie ogon. Nawet taki krótki jak twój. Dobrze jest mieć się czym oganiać od muszek.**

**–A możesz go sobie wyhodować? – spytał zdumiony Alikhan. – Jeśli tak, dlaczego**

**jeszcze tego nie zrobiliście?**

**–To był żart. Może niezbyt dobry, ale w tych okolicznościach nie stać mnie na lepszy.**

**–Rozumiem. Też nie jestem zachwycony obrotem spraw.**

**–Zwykle tak się dzieje, gdy ktoś zaczyna wojnę – mruknął Ben. – Nie ma ofiar, nie ma medali, jak to mówią.**

**Alikhan przyjrzał mu się uważnie i wstał.**

**–Chodźmy.**

**Koło południa trafili na czyste źródło i Dill wyciągnął dwie racje ze swoich zapasów. Jedna była opisana jako „Wołowina w sosie”, druga „Giptel z fasolą”.**

**–Jesteś moim nieprzyjacielem, więc dostaniesz fasolę – oznajmił Ben.**

**Otworzył torebkę, dolał wody, zamknął opakowanie i stuknął w stosowny punkt u jego podstawy. Po chwili danie zrobiło się gorące, uleciało nieco pary.**

**Alikhan niewprawnie powtórzył jego manewry.**

**–Będziemy jedli palcami? – Z boku powinna być łyżka. Oderwij ją.**

**–A... Zmyślne.**

**W milczeniu wzięli się do przeżuwania.**

**–Skoro też to jesz, zakładam, że nie próbujesz mnie otruć – odezwał się w końcu musth.**

**–Teoria głosi, że ten, kto przeżył na tych racjach, przeżyje wszystko – powiedział Ben.**

**Dill odsunął pnącze i nagle się cofnął. Na jego drodze siedziało i syczało duże jak ludzka głowa stworzenie przypominające żabę.**

**Po chwili poszło w swoją stronę, ale z dala ryknęło straszliwie na intruza. To był ten sam odgłos, który Ben słyszał po nocy.**

**–Niech mnie... Takie małe, a takie hałaśliwe.**

**Alikhan, który cofnął się zaniepokojony, zjeżył sierść.**

**–Może jednak powinieneś oddać mi broń?**

**–Ciągle się jeszcze zastanawiam, na ile mogę ci wierzyć – mruknął Ben. – Gdy skończę, powiem ci, do czego doszedłem.**

**Obok ujścia obfitującej w rozlewiska rzeki wznosiła się skała z dość szerokim nawisem, aby można było schronić się przed deszczem, który z przelotnego zmienił się w porządną ulewę.**

**Dill zebrał stertę gałęzi, a potem znalazł zmurszały pień, który rozbił kopniakiem.**

**Wybrał ze środka próchno i usypał z niego zgrabny stosik. Nastawił pistolet na minimalną moc i podpalił próchno, a następnie wolno podsyczał ogień gałęziami, aż urósł w całkiem porządne ognisko.**

**Alikhan siedział na kłodzie i przyglądał się temu w skupieniu.**

**–Nieźle – powiedział w końcu. – Nas tego nie uczą.**

**–Tak to jest, kiedy nie dopuszcza się myśli o porażce. My podchodzimy do sprawy pragmatycznie.**

**–Racja – przyznał Alikhan. – Gdy studiowałem u Senzy, ciągle utyskiwał, że musthowie zapominają o przeszłości, a zwłaszcza o dawnych klęskach. Mój ojciec twierdzi jednak, że rozpamiętywanie tego to nonsens i sprzeciwianie się przeznaczeniu.**

**Uważa, że powinniśmy się skupiać na przyszłych zwycięstwach.**

**–Największy problem z takimi sporami, że nie napelni się nimi brzucha – stwierdził Dill.**

**–Obawiam się, że znowu będziemy musieli sięgnąć do twoich racji. Lepsze to niż nic, chociaż przez to znów zaciągnę u ciebie dług.**

**–Nie przejmuj się, lubię, gdy ktoś jest mi coś winien. Wolałbym jednak zachować tę suszoną padlinę na czarną godzinę. Chodź.**

**–A już zdążyłem podeschnąć – stwierdził Alikhan, ale posłusznie wyszedł za olbrzymem na deszcz.**

**–Pora na pierwszą lekcję łowienia ryb – zapowiedział Ben, kierując się ku rzece.**

**–Umiem łowić ryby. Mam naciąć wędek?**

**–Nie mówię o moczeniu kija, tylko o prawdziwym połowie. W plecaku mam sieć.**

**Najpierw jednak trzeba sprawdzić, czy w wodzie w ogóle są ryby. O, widzę, że coś się tam rusza. Miejmy nadzieję, że nie spróbuje nas zjeść. Po drugie, musimy wybrać odpowiednie miejsce. Nie za głębokie, bo jako początkujący będziesz musiał do niego wejść.**

**Przeszli kilkanaście metrów w górę rzeki.**

**–To chyba się nadaje. Widzisz to przewężenie? Zastawię tam sieć, żeby odciąć rybom drogę ucieczki. A teraz patrz uważnie i pytaj, jeśli czegoś nie rozumiesz, bo doszliśmy do najtrudniejszej części.**

**Dill wyjął z kieszeni jeden z granatów mustha.**

**–Szkoda, że nie mamy zwykłych albo chociaż kawałka teleksu. Z tego, co wiem o waszej broni, wynika, że trzeba go nacisnąć tutaj, a potem policzyć do siedmiu czy ośmiu i te małe dranie wylatują?**

**–Tak, ale ostrożnie – przestrzegł go Alikhan. – Jeśli nie odnajdą celu, mogą zaatakować tego, kto je uwolnił.**

**–Spokojnie, pod wodą będą miały dość własnych kłopotów. Teraz przygotowuję się do rzutu. Należy stanąć w odpowiedniej postawie, zwolnić zawleczkę i cisnąć granat tam, gdzie ostatnio widziało się jedzenie.**

**Granat chlupnął do wody i kilka sekund później wystrzeliła w tym miejscu niewielka fontanna. Po parunastu sekundach na powierzchnię brzuchami do góry wypłynęły ogłuszone ryby.**

**–Pora na zbiory – oznajmił Ben. – Rusz tyłek i włącz do wody. Rzucaj je na brzeg. Na dnie znajdziesz ich więcej. Wkrótce dojdą do siebie, więc nie marnuj czasu.**

**Niebawem na brzegu piętrzył się imponujący stos ryb.**

**–Teraz je wypatroszymy i wrzucimy wnętrzości z powrotem do rzeki. Pamiętaj, aby nie oprawiać ich w obozie, bo nigdy nie wiadomo, kto jeszcze poluje w takiej głuszy. Nie trzeba wabić nieproszonych gości.**

**–Ale ich jest niesamowicie wiele – stwierdził Alikhan. – Nie wiem, czy damy radę zjeść choć połowę.**

**–W tej kwestii mamy wybór. Jeśli zamierzamy zatrzymać się gdzieś na dłużej, możemy uwędzić ryby nad ogniskiem. Możemy też wyrzucić część zdobyczy, ale to byłoby marnotrawstwo, bo nie mamy zbyt wiele granatów, aby powtarzać połów po drodze.**

**Sam nie wiem, co lepsze, ale mam jeszcze w pakiecie nieco haczyków i linkę, myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli zjemy ile się da i ruszymy dalej.**

**Nazajutrz wczesnym popołudniem usłyszeli przeciągłe wycie. Poderwali głowy. Tuż pod podstawą niskich chmur, ginąc co chwila w oparze, nadlatywał ślizgacz z oznaczeniami Konfederacji.**

**–Jasny gwint – zawołał Ben. – Jeśli mnie oczy nie mylą, nadciąga ratunek! – Pospiesznie wyciągnął lusterko z dziurką. – Tędy patrzysz, żeby wycelować, i poruszasz nim lekko w nadziei, że drań łaskawie spojrzy w dół. Proszę!**

**Maszyna zanurkowała i Dill zaczął podskakiwać i machać rękami.**

**–Wcale mi się to nie podoba – mruknął Alikhan.**

**–Wolisz dżunglę?**

**–No... chyba jednak nie.**

**Dill znowu sięgnął po miniaturową flarę i czym prędzej ją odpalił. Niestety, flara wystrzeliła na jakieś trzy metry, uderzyła w konar drzewa i spadła na plażę, gdzie fala zdławiła czerwony dym.**

**–Cholera... Ślizgacz jednak nadlatywał.**

**–No chodź, maleńki... taś, taś... Cholera, ślepych teraz przyjmują! Ślizgacz powoli nabrał wysokości i zniknął w chmurach.**

**–Może wszedł wyżej, żeby wezwać pomoc – łudził się jeszcze Dill.**

**Musth spojrział na niego sceptycznie.**

**–Wy, obcy, zawsze macie nam coś za złe – warknął Ben.**

**Czekali jeszcze kilkadziesiąt minut, ale maszyna już się nie pojawiła.**

**Dwa kolejne dni szli plażą na południe. Nic więcej nad nimi nie przeleciało, nie widzieli też żadnej łodzi. Cały ten czas żywili się złapanymi w rzece rybami, udało im się nawet złowić na haczyk kilka większych sztuk w oceanie.**

**–Mam już dość – oznajmił Alikhan pod koniec trzeciego dnia. – Jeszcze jeden kęs ryby, a wyrosną mi płetwy.**

**–Też mi się już przejadły – powiedział Ben. – Spróbujmy więc czego innego.**

**Pocięli na kawałki linkę z zestawu ratunkowego i zrobili kilka pętli, które**

przymocowali do długich żerdzi. Potem poszli w głąb dżungli i znaleźli drzewo, z którego dobiegały odgłosy wydawane przez różną drobną zwierzynę. Powbijali żerdzie pochyło w ziemię tak, aby wierzchołkami dotykały pnia zasiedlonego drzewa.

–Zwierzaki są jak ludzie: zwykle wybierają łatwiejszą drogę – wyjaśnił Dill. – My zaś zbudowaliśmy właśnie coś, co może kojarzyć się tym stworzeniom z wygodną kładką do domu. Będą więc biegać po tych żerdziach tam i z powrotem, aż w końcu któreś wsadzi łeb w pętlę. Wieczorem zjedli resztę ryb, a o świcie wrócili pod drzewo, żeby sprawdzić, co się złapało.

Pułapki zadziałały bez zarzutu. Cztery z pięciu pętli zacisnęły się na szyjach małych, przypominających ssaki zwierząt. Niestety, zostały z nich same głowy, które jeszcze ociekały świeżą posoką.

–O tym nie było w poradniku – stwierdził Ben.

–Przykre zaskoczenie – zgodził się musth. – Niemniej ciekawi mnie, co to za zwierzak pożarł nasz obiad. Wolałbym, aby nie zasadził się na mnie.

–Co myślisz o powrocie do obozu i kolejnym połowie apetycznych rybek?

–W tej sytuacji jestem za. Może jednak najpierw przenieśliśmy obozowisko nieco dalej? – Świetny pomysł. Jakaś nieciekawa atmosfera tutaj panuje.

Półtora dnia później dotarli do wioski. A właściwie do ruin wioski.

Została zbombardowana, domyślał się Dill. Zginęło kilkadziesiąt osób: rybacy i ich rodziny. Na plaży leżały wraki łodzi.

Alikhan, spojrzawszy na szczątki i Dilla, zatrzymał się na skraju wsi.

Ben chodził między wypalonymi ruinami. Wstrząśnięty, odruchowo liczył poczerwiałe i powykręcane ciała. W końcu opanował się, dochodząc do wniosku, że nic na to wszystko nie poradzi. Nie miał dość odpornego żołądka, aby przekopywać się przez rumowisko w poszukiwaniu czegoś użytecznego, dołączył więc do mustha.

–Moi to zrobili? – bardziej stwierdził, niż zapytał Alikhan.

Dill pokiwał głową.

–Ci ludzie nie byli żołnierzami?

–Nie.

–Więc to nie było honorowe.



**–Wojna nie ma nic wspólnego z honorem – odparł Ben.**

**Alikhan uniósł ręce w geście znaczącym, że to żadne wyjaśnienie.**

**–Nie domyślasz się, dlaczego to zrobili? – zapytał.**

**–Nie wiem. Może sprawy wymknęły się spod kontroli. A może twój ojciec uznał, że pora zabrać się do młodych wilczków.**

**–Co to znaczy?**

**–Nieważne.**

**Poszli dalej w milczeniu.**

**O zmroku Dill dostrzegł giptela, miejscowe, pokryte łuskami zwierzę trzymane po wsiach dla delikatnego białego mięsa. Zwierzak popijał wodę ze strumienia. Chyba był oswojony, bo nie przestraszył się specjalnie, gdy człowiek podkradł się do niego z kamieniem w garści.**

**Ben oprawił zdobycz, rozpałił ognisko i zrobił rożen z grubych, wilgotnych gałęzi.**

**Nadział zwierzaka owocami, które rosły na pobliskich krzewach – takie same widział w sklepie. Za talerze posłużyły szerokie liście.**

**Zjedli, nie odzywając się ponad konieczność.**

**Gdy Alikhan zakopał liście i ogryzione kości, usiedli przy dogasającym ogniu.**

**Z wolna robiło się ciemno.**

**–Jeśli można, chciałbym porozmawiać o tym, co zobaczyliśmy w tej rybackiej wsi – odezwał się Alikhan.**

**–Lepiej nie. Nie jestem zbyt opanowanym gościem.**

**–Chyba jednak zaryzykuję. Wspominałem już, że studiowałem u mustha imieniem Senza. Jest on przywódcą klanu Polperro. Oni decydują, do jakiego przedsięwzięcia warto się wziąć i czy coś jest zgodne z naszym przeznaczeniem i normami etycznymi.**

**–Prawnicy – rzucił Dill.**

**–Dobra analogia. Wspominałem już, że mój nauczyciel mówił, iż powinniśmy pamiętać o klęskach, takich jak ta, która zakończyła poprzedni konflikt z Konfederacją. Uczył nas, że nie chodzi o pielęgnowanie hańby, ale wyciąganie**

**wniosków na przyszłość.**

**Często zastanawiał się, czy nasza wojowniczość, która pozwoliła nam zdominować inne stworzenia, nie jest obecnie wadą, a nawet poważną przeszkodą wstrzymującą nasz rozwój cywilizacyjny.**

**To, co dzisiaj zobaczyłem, z pewnością nie było dziełem istot cywilizowanych.**

**Dill pokiwał głową i stłumił narastającą złość.**

**–Mój ojciec uważa oczywiście, że Senza i ci, którzy myślą podobnie jak on, to zdrajcy naszej rasy. Gdy odkrył, że interesuję się naukami Senzy, zażądał, abym zmienił kierunek studiów i przeniósł się na jakąś inną planetę. Chciał, żebym został wojownikiem, a ja zawsze lubiłem latać, pomyślałem więc, że mogę spełnić jego życzenie. Niełatwo być synem wielkiego wodza. A co z twoimi rodzicami?**

**–Niewiele jest do opowiadania – odparł Ben. – Matka miała gospodarstwo.**

**Hodowała zwierzęta na mięso na pewnej pogranicznej planecie. Ojciec był muzykiem.**

**Oczarował matkę, a ja jestem wytworem tych czarów. Zostawił nas, gdy miałem trzy albo cztery lata. Nie mam pojęcia, gdzie się podział. Nie miałem ochoty go szukać. Dorastając, nie myślałem wiele o przyszłości, byłem tylko pewien, że nie chcę zostać na gospodarstwie. Zawsze jest tam co robić i nigdy nie można wyjechać na dłużej niż jeden dzień. Trzeba karmić i poić zwierzęta, usuwać obornik i tak dalej. Wydawało się jednak, że nie mam wyboru. Gdy miałem jakieś piętnaście lat, matka poleciała ślizgaczem spędzać bydło z pastwiska. Chyba nie dość uważała, bo zahaczyła o jakąś przeszkodę i wypadła za burtę prosto pod kopyta ksebeków.**

**Wystawiłem gospodarstwo na licytację i jakiś drań zrobił na mnie świetny interes, biorąc je za piętnaście procent wartości. Ale ja byłem zadowolony, że mogę to rzucić.**

**Pojechałem do głównego portu planety. Nie wiedziałem, co dalej, toteż wstąpiłem do punktu rekrutacyjnego. – Ben wzruszył ramionami. – Tak więc nie znam swojego ojca.**

**–Przepraszam – powiedział Alikhan. – Wciąż mam kłopot z niektórymi słowami w waszej mowie, ale chyba zrozumiałem. Przepraszam raz jeszcze. Zawsze komuś może być gorzej. Pozwól jednak, że wrócę do tego, od czego zacząłem. Naprawdę mówię, co myślę, i staram się przebić przez to, w co kazał mi wierzyć ojciec i członkowie naszego klanu.**

**Odkąd przyleciałem do tego układu, nie podoba mi się nic, co tutaj zobaczyłem.**

Wcale mi się nie podoba. Nie rozumiem, dlaczego musthowie mieliby mieć większe prawo do Cumbre niż wy. Cała ta wojna jest jak ponura zabawa młodziaków, którzy nagle odkrywają, do czego służą pazury. Bardzo chciałbym coś z tym zrobić.

–Zawsze możesz przejść na drugą stronę – rzucił Dill.

–I zabijać pobratymców? Dla ludzi?

–Przepraszam. Chyba mnie poniosło.

–Zapomniane – powiedział Alikhan. – Ale powinien być jakiś sposób.

–Jak go znajdziesz, nie zapomnij mi powiedzieć.

Następnego dnia nadszedł sztorm. Dżungla rozjęczała się i rozszumiała, deszcz zmatowił powierzchnię oceanu, szare chmury zakryły słońce. Wiatr garściami ciskał im piasek w twarz, schronili się więc pod drzewem, na oko dość potężnym, aby wytrzymało huraganowe pod muchy, i próbowali rozmawiać, przekrzykując zawieruchę i huk fal.

Rychło doszli do wniosku, że obaj nie lubią zabijania i najchętniej bawiliby się tylko w gry wojenne, bez prawdziwych pocisków i rakiet.

Jednak wojna zdawała się im nieodłączną częścią porządku tego świata.

–I nic się w tym nie zmieni, dopóki starcy będą mogli wszczynać wojny, na których nie muszą sami walczyć – powiedział Alikhan.

–Może dobrze byłoby najpierw mobilizować właśnie ich? – spytał Ben, pogryzając jakiś owoc.

Obaj patrzyli ze złością na długą i stromą skalną ostrogę wybiegającą daleko w morze.

–Chyba będziemy musieli obejść ją krzakami – stwierdził Dill.

–Czy to na pewno najlepsza droga? – spytał Alikhan. – Mam wrażenie, że te skały sięgają daleko w głąb lądu.

–I owszem. Ale kipieli z drugiej strony bardzo mi się nie podoba. Masz inne pomysły?

–Może dałoby się przejść górą? Tamtym zboczem na grań, a potem poszukać zejścia po drugiej stronie.

Dill westchnął.

**–Koncepcja równie dobra jak każda inna. Ruszajmy. Nie mamy nic do stracenia poza paznokciami... i pazurami.**

**Założył uprząż spadaka, włączył urządzenie na pełną moc i podszedł do skały.**

**Przyjrzał się jej uważnie, szukając oparcia dla stóp i palców, i zaczął wspinaczkę. Alikhan szedł zaraz za nim. Nie było to nawet takie trudne, gdyż skałę znaczyły pęknięcia, niekiedy całkiem szerokie.**

**Alikhan radził sobie o wiele lepiej niż Dill.**

**–Za bardzo mi to przypomina szkolenie zwiadowców – wysapał Ben. – Dawne, bardzo dawne czasy... I jak niby mam to... cholera... przydałaby się lina...**

**Wyciągnął rękę w stronę kolejnego, średnio zachęcającego chwytu, gdy nagle akumulator spadaka wydał ostatnie tchnienie. Dill krzyknął, odpadł od ściany i przeleciawszy dziesięć metrów, chlupnął do jeziora odgrodzonego od oceanu przez pomniejszą odnogę skały. Po chwili wypłynął z hałasem na powierzchnię.**

**–Idę! – zawołał Alikhan, ruszając w dół, gdzie fale biły o kamienie.**

**–Doceniam... – wykrztusił Dill, łapiąc się skalnych występów. – Już dobrze.**

**Cholera, szkoda, że nie pływam lepiej.**

**Alikhan był już na półce tuż nad nim i wyciągał rękę.**

**Dill sięgnął ku niej, ale stopa mu się omsknęła i znowu poszedł pod wodę. Po chwili jednak uczeplił się skały i ręki Alikhana.**

**–Trzymam – oznajmił musth.**

**Nagle z jeziora wyrzął jakiś stwór. Syczał niczym cofające się z plaży fale, był szary i miał dziób oraz jedno, pionowo osadzone oko. Dill wolną ręką sięgnął do kieszeni po pistolet, ale bestia złapała go modliszkowatym odnożem.**

**–Głowa niżej! – krzyknął Alikhan i Dill posłuchał, odruchowo chowając twarz pod wodę.**

**Za Dillelem coś huknęło i woda uderzyła go mocno w uszy, oczy, nos oraz odbył.**

**Jednooki stwór puścił jego nogę, a musth silnie pociągnął Bena za rękę.**

**–Szybko! Nie wiem, czy go zabiłem!**

**Ciężko łapiąc powietrze, wspięli się na górę, a potem, niemal na oślep, łapiąc się**

był czego, na grań. Dopiero tam obejrżeli się za siebie. W jezioru coś się kotłowało, barwiąc wodę na biało. Mignął im dziób oraz wybałuszone oko i nagle wszystko zniknęło.

–Rany... – westchnął Dill. – Co to było?

–Nie wiem. W naszych biuletynach wspominało tylko, że tutejsze morza i lasy zamieszkują dzikie zwierzęta, wobec których należy zachować ostrożność.

Dill łypnął na mustha.

–Nie o to pytałem. Czym go zabiłeś, czy raczej zraniłeś do żywego, skoro tak się tam tłukł?

–W moim aksaiu były trzy granaty. Jednego nie zauważyłeś.

–Czyli mogłeś poczekać, aż zasnę, zabić mnie i pójść sobie?

–Mogłem. Ale dałem słowo.

–Skubaniec jeden... – mruknął Ben, wyciągając ku musthowi wielką dłoń.

–Co mam z nią zrobić?

–Nie dość studiowałeś miejscowe zwyczaje. Złap za koniec, ściśnij i potrząśnij w górę i w dół.

–Tak?

–Właśnie. A tutaj masz swój cholerny pistolet.

Nieco później tego samego dnia usłyszeli odgłos pracy silnika i odruchowo spojrzeli w niebo. – Nie – powiedział Alikhan. – Na wodzie. Patrz.

–Kuter – orzekł Dill.

–Może znowu spróbujesz z lusterkiem?

Tym razem zadziałało. Kuter wziął kurs na nich i stanął w dryfie jakieś dwadzieścia metrów od brzegu.

Szczęknął włączany megafon.

–Wyglądacie na niezłe sponiewieranych – usłyszeli kobiecy głos. – Który dowodzi?

–Ja! – odkrzyknął Ben. – Potrzebujemy pomocy! Jssteśmy pilotami! Rozbiliśmy się

**kilka dni temu!**

**–Nie przeszkadza ci, że rozwalę tę kupę futra obok ciebie? Miałam paru przyjaciół w zatoce Bocage.**

**Ze sterówki wyszła jakaś kobieta. W rękę trzymała karabin. Oparła go na relingu.**

**–Nie! – krzyknął. – On jest z nami! Obaj jesteśmy z Grupy Uderzeniowej, z Mahan na wyspie Chance!**

**Kobieta spojrzała przez celownik, ale po chwili wycofała się do sterówki i znowu wzięła mikrofon.**

**–Lepiej, żebyś nie kłamał, przyjacielu. Mam nadzieję, że obcy nie podali ci żadnych narkotyków.**

**–Nie! Widzicie przecież, że to ja mam broń! On nie jest groźny!**

**–Niech będzie. Umiecie pływać?**

**–On tak! Ja kiepsko!**

**–Blżej nie podpłynę – oznajmiła kobieta. – Lepiej, żebyście dali radę.**

**–Spróbujemy!**

**Dill rzucił się wpław, Alikhan za nim. Kątem oka dostrzegli, że do relingu podchodzi jakiś mężczyzna z bosakiem.**

**–Złap się tego – powiedział do Dilla i pomógł mu się wdrapać na pokład.**

**Alikhan wczepił się pazurami w reling i wydźwignął się z wody. Ben zobaczył, że kobieta uśmiecha się lekko i unosi broń.**

**Jakimś cudem zdołał wyrwać bosak mężczyźnie i cisnąć go w górę. Podbił lufę karabinu w tej samej chwili, gdy kobieta strzeliła. Zaraz potem trzymał już swój pistolet w dłoni i mierzył w panią szyper.**

**–Przepraszam – powiedział, gdy Alikhan stanął na pokładzie – ale to nie jest dobra okazja do zemsty. Mimo wszystko dziękujemy za ratunek.**

Kolejny atak na Mahan Wlencing przeprowadził z nieco większą finezją niż poprzednie, frontalne szturmy.

Musthowie najpierw skierowali na obóz ogień baterii rakietowych, zbombardowali go i ostrzelali z powietrza, ale nie wysadzili desantu.

W pobliżu krążyła eskadra aksaiów i trzy velvy obsadzone przez najlepszych pilotów i strzelców, którym Wlencing rozkazał czekać z otwarciem ognia do czasu, aż ujawnią się wyrzutnie rakiet przeciwnika.

Podziemia Mahanu zasnuł niebawem szary betonowy pył, który osiadał na ludziach, ścianach i drżącej podłodze.

Wlencing wysłał następnie eskadrę wyntów, ale bez desantu. Przeleciały prostym kursem, nie zmieniając nawet pułapu, żeby ściągnąć na siebie ogień baterii przeciwlotniczych.

Ludzie zestrzelili tylko trzy maszyny, Wlencing nakazał więc, żeby eskadra ponownie przeleciała nad bazą.

Ożyły kolejne wyrzutnie. Na to właśnie czekał Wlencing. Aksaie i velvy zaatakowały rozpoznane stanowiska. Trzy wyrzutnie nie zdążyły się schować i zostały zniszczone. Tunele pod obozem wypełnił ogień.

Wlencing nakazał artylerii na wyspie Dharma zmienić nastawy i strzelać tylko w te trzy miejsca.

Przy kolejnym nalocie musthowie zniszczyli jeszcze dwa stanowiska plot.

Wprowadziwszy do walki wszystkie rezerwy artylerii i lotnictwa, wczesnym popołudniem zdobyli przewagę ogniową nad Grupą.

Wtedy Wlencing nakazał, żeby lądowały pierwsze oddziały piechoty. Mimo silnego oporu działających z ukrycia obrońców musthom tym razem udało się zdobyć przyczółek.

Wlencing wysłał więcej wyntów, żeby go wesprzeć i poszerzyć.

O zachodzie słońca jedna dziesiąta wyspy znalazła się w rękach musthów i Grupa nie mogła już zapobiec kolejnemu desantowi.

Bitwa została rozstrzygnięta.

**–Wiecie, co się stało? – spytał caud Rao.**

**–Tak, sir – odparł Garvin. Razem z Njangu starał się nie patrzeć na dowódcę, który od początku walk postarzał się o dobre dwadzieścia lat. Mil Angara, haut Hedley i alt Erik Penwyth nie wyglądali wiele lepiej.**

**–Powiem krótko – odezwał się znowu Rao. – Zajęcie przez nich wyspy to już kwestia góra kilku dni.**

**Garvin zacisnął zęby.**

**–Tak, sir.**

**–Pamiętacie, jakiś czas temu proponowaliście, żeby natychmiast przejść do wojny partyzanckiej. – Rao przetarł poczerwieniałe oczy. – Zdecydowałem inaczej, ale obawiam się, że mieliście rację.**

**Ani Garvin, ani Njangu nie odezwali się nawet słowem.**

**–Spytam więc: czy waszym zdaniem to jeszcze da się zrobić?**

**Garvin spojrzał na Njangu.**

**–Z trudem, sir – powiedział w końcu Yoshitaro. – Nasze siły to ledwie dziewięćdziesięciu trzech zwiadowców. Nie wiem, ilu ochotników przyciągniemy.**

**Wszyscy są wyczerpani, a taka wojna nie jest łatwa. Nie przypuszczam też, aby musthowie zamierzali brać jeńców. Chociaż... ilu ludzi obecnie broni wyspy?**

**–Według porannego meldunku około dwustu dwudziestu – odpowiedział Angara.**

**–Wszystko zależy zatem od tego, ilu spośród nich zgodzi się do nas przyłączyć.**

**Moglibyśmy przerzucić ich do Leggett i ukryć tam.**

**–Mam gotowy plan takiej operacji – wtrącił Hedley. – Powinna się udać.**

**–Właśnie, sir – powiedział Njangu. – A co z pozostałymi pułkami?**

**–Poniosły podobne straty – stwierdził Rao.**

**–Ale przynajmniej nie są odcięte na wyspie – dodał Garvin.**

**–Jeśli mamy od zaraz grać po naszymu, najlepiej będzie rozkazać ludziom, żeby się wyrwali z okrążenia – podjął Njangu. – Niech wychodzą małymi grupkami i przenikają jak najdalej poza linie musthów. Mogą zapadać potem gdzieś w terenie albo szukać**



bezpiecznych wiosek, schronienia u przyjaciół, krewnych. Każdy powinien wziąć tyle broni, ile tylko udźwignie, zwłaszcza pistolety i granaty, ale też blastery, najlepiej w konfiguracji karabinowej. Jeśli uda im się zabrać ze sobą coś cięższego, tym lepiej. Proszę im przekazać, że zapewne bezpieczniejsi będą w miastach, ale jeśli znają dobre kryjówki poza nimi, niech też z nich korzystają. Odszukamy ich później, gdy przyjdzie czas.

–Jak to zrobicie?

Garvin spojrzał na przyjaciela. Nie rozmawiali jeszcze o tym.

–Mamy to uzgodnione – powiedział Njangu. – Niech pilnie śledzą „Matin”, holo Loya Kuoro.

–Wiecie, jak go skłonić do współpracy? – spytał z niedowierzaniem Hedley. – A może macie tam kogoś?

–Wolelibyśmy na razie nic nie mówić, sir – odezwał się Garvin, nieco rozbawiony wymyślonym naprędce rozwiązaniem przyjaciela. – We właściwej chwili wszystko przekazemy.

Hedley zawahał się, ale po chwili pokiwał głową. – Jednak chcę znać wszystkie szczegóły, zanim zaczniecie cokolwiek robić.

Rao pozwolił sobie na lekki uśmiech nadziei.

–Jeśli rozproszymy oddziały, wywoła to pewien chaos – powiedział. – Zapewne odwróci też trochę uwagę musthów od Mahanu i da nam kilka dodatkowych godzin, a może i dni. Dobrze. Oto nowa struktura dowodzenia: mil Angara przejmie Grupę z kwaterą główną na Mullion. Korzystajcie z tej bazy, jak długo uda się utrzymać jej istnienie w tajemnicy.

Hedley, pozostajesz dowódcą Sekcji II, ale masz większą samodzielność niż dotąd.

Przy okazji, ze skutkiem natychmiastowym awansuję cię na mila. Obaj macie pełną swobodę działania. Poprowadźcie tę wojnę tak długo, jak wam się uda, i najlepiej, jak potraficie. Jeśli uznacie w jakiejś chwili, że pora się poddać... to będzie już wasza decyzja.

Erik, przechodzisz pod rozkazy Angary. Służ mu równie dobrze jak mnie.

–A co z panem, sir? – spytał Erik.

–Zostaję tu jako dowódca bazy Mahan.

–Ale...

–Takie są moje rozkazy, panowie. Wykonać.

Angara, Hedley i Penwyth stanęli na baczność.

–Jeszcze chwila, sir – powiedział Njangu.

–Tak? – rzucił ostrym tonem Rao.

–Czy mamy jeszcze łączność z pozostałymi pułkami? Bezpieczną łączność?

–Oczywiście. Odezwę się do nich przed ostatnią akcją.

–Proszę o pozwolenie na skorzystanie z niej. Mniej więcej za godzinę.

–Zgadzam się – rzucił nieco zirytowany Rao. – Coś jeszcze?

Nikt się nie odezwał.

–Rozejść się. Od razu zabierzcie się do roboty i dajcie znać, kiedy będziecie gotowi.

–Dobra, sir – powiedział Garvin do Hedleya, gdy wyszli z gabinetu Rao. – Co panu chodzi po głowie?

Hedley streścił sprawę w kilku zdaniach.

–Wszystkie jajka do jednego koszyka?

–Może nie zauważyłeś, ale nie mamy teraz zbyt wielu statków.

–To jest argument – przyznał Njangu, tuląc się do ściany, gdy w górze eksplodowała salwa rakiet.

Hedley spojrzał na Angarę.

–Pańska opinia, sir?

–Podziwiam ludzi, którzy potrafią zrobić coś praktycznie z niczego – powiedział Angara i spojrzał w stronę gabinetu Rao. – Ale obawiam się, że stary wyciągnął parszywy los.

Njangu ani Garvin nie skomentowali tego.

–Co będzie, to będzie – westchnął Angara. – Bierzmy się do roboty.

–Słucham – wybił się ponad szumy głos Jo Poynton.

**Njangu wyjaśnił, o co mu chodzi.**

**–Mamy więc to nagrać, przekazać warn, a wy puścicie to na całą planetę?**

**–Tak. Dzięki temu was nie namierzają.**

**Przez chwilę panowała cisza, po czym dał się słyszeć chichot.**

**–Założę się, że nie oczekiwałeś takiego rozwoju sytuacji. Nie sądziłeś, że kiedykolwiek poprosisz mnie o coś takiego.**

**–Prawdę mówiąc, masz rację.**

**–Dobra. Dlaczego nie?**

**–Właśnie. Dlaczego nie?**

**–Będę gotowa za pięć... nie, dziesięć minut – powiedziała Poynton. – Odezwę się.**

**–Będę czekać.**

**–Jeszcze jedno. Nie daj się zabić. Chętnie pogadałabym z tobą o starych czasach.**

**–Mam taki zamiar – odparł Njangu. – Bez odbioru.**

**–To wiele pieniędzy, sir – powiedział Baku al Sharif.**

**–Owszem – odparł Garvin. – Zrób z nich dobry użytek..**

**–Sir... a co miałyby mnie powstrzymać przed... powiedzmy... zgarnięciem ich do własnej kieszeni? Nie, żebym to chciał zrobić, w żadnym razie, ale jestem ciekaw.**

**–W zasadzie nic. Nic poza twoim poczuciem honoru, nienawiścią do musthów i tym, że jesteś dobrym żołnierzem, który chce dalej prowadzić wojnę, a potem żyć w spokoju.**

**–I jeszcze to, że jeśli przepuścisz choć kredyt na cokolwiek innego niż nasza słuszna sprawa, sama cię dopadnę – powiedziała twęg Monique Lir. – Wypruję ci flaki przez tyłek i przyrządzę je na obiad. A ty będziesz musiał patrzeć, jak się gotują.**

**–Jasne, pani twęg. Zrozumiałem, pani twęg. Tak tylko z ciekawości pytałem.**

**–Następny – rzucił Garvin, tłumiąc uśmiech, gdy kolejny żołnierz z kompanii zwiadu stanął zdumiony przed stołem, na którym piętrzyły się stosy otrzymanych od Jasith Mellusin kredytów.**

**–Do wszystkich stacji – powiedział otwartym tekstem technik. – Z rozkazu cauda Rao przygotować się do retransmisji przekazu skierowanego do wszystkich Raumów służących w Grupie Uderzeniowej.**

**Spojrzał na Njangu, który kiwnął głową. Technik włączył nagranie.**

**Z głośników rozległ się spokojny i pewny siebie kobiecy głos:**

**–Mówi Jo Poynton. Jestem Raumką. Jeszcze niedawno wchodziłam w skład rządu planetarnego, ale zesłam do podziemia, przewidując, że wkrótce Rada zmieni się w teatrzyk marionetek musthów.**

**Nie pomyliłam się.**

**Jeszcze wcześniej należałam do Ruchu. Byłam członkinią zespołu planowania, działającego najpierw pod przewodnictwem Comstocka Briena, potem Jord’na Brooksa.**

**Walczyliśmy za sprawę, w którą wierzyliśmy... i ponieśliśmy klęskę.**

**Być może odmieniliśmy przy tym Cumbre na tyle, żeby zostawić po sobie dobry ślad, może nie.**

**Teraz jednak walczymy z większym nieprzyjacielem, którego nie obchodzi, czy ma do czynienia z Raumem, czy z rentierem. Dominacja musthów jest zagrożeniem dla całej ludzkości. Nie wiemy, co przyniosą ich rządy, niewolę czy coś jeszcze gorszego.**

**Wzywam was zatem, bracia i siostry, abyście powstali przeciwko okupantowi. Nie tłumnie, nie w jawnych atakach, ale podobnie jak już walczyliśmy... i jak omal nie wygraliśmy z rentierami i żołnierzami Konfederacji.**

**Teraz są oni naszymi sprzymierzeńcami i wzywam was, abyście w imię przyszłości Raumów i wszystkich mieszkańców Cumbre stanęli do walki ramię w ramię z nimi, do walki skrytej i przebiegłej. Przynajmniej do czasu, gdy urośniemy w siłę i będziemy mogli wystąpić jawnie.**

**Odszukajcie dawnych towarzyszy, waszych dowódców i raz jeszcze stwórzcie podziemną armię. Jeśli sami nie możecie walczyć, wspierajcie walczących pieniędzmi, schronieniem czy żywnością. Wypatrujcie żołnierzy Konfederacji i ukrywajcie ich, a jeśli wiecie o partyzantce więcej niż oni, uczcie ich pilnie.**

**Nastał mroczny czas, a będzie jeszcze ciemniej. Ale jeśli staniemy zwarci do walki, w końcu zaświta dla nas dzień.**

**Za Cumbre! Cumbre i wolność!**

**–Skąd to przyszło? – spytał stanowczo Loy Kuoro.**

**–Chyba z Mahanu. Nadawali na jednej z wojskowych częstotliwości – powiedział Vollmer. – Jak „Matin” ma to rozegrać? – Że jak?**

**–Chciałbym wiedzieć, czy robimy z tego wydarzenie, czy tylko przekazujemy, czy...**

**–Oszalałeś – rzucił Loy. – Jeśli to nadamy, musthowie zamkną stację. Możliwe, że razem z nami.**

**–Trzy stacje już puściły cały materiał – zauważył Vollmer. – Widocznie brak im instynktu samozachowawczego. Zresztą, kto by słuchał tego bełkotu? A co dopiero uwierzył.**

**Takie gadanie nie przynosi nic dobrego, zupełnie nic, skłania tylko ludzi do głupich posunięć!**

**–Zatem mamy przygotować komentarz redakcyjny potępiający tę bezmyślność?**

**–Tak! Nie, czekaj! Nie możemy przydawać wagi czemuś takiemu oficjalnym komentarzem. W ogóle nie zareagujemy.**

**–Jest pan pewien?**

**–Oczywiście, że jestem pewien! I bardzo bym chciał, aby niektórzy tutaj nauczyli się samodzielnie myśleć!**

**–Tak jest. Dziękuję panu.**

**Tej nocy musthowie przypuścili atak na trzeci pułk stacjonujący na przedmieściach Taman City. Szturmu nie poprzedziło przygotowanie artyleryjskie, nie było uderzenia z powietrza. Przeciwnik przełamał obronę z zaskoczenia.**

**Nim nastał świt, ucichły ostatnie wezwania o pomoc. Żadnej pomocy być nie mogło.**

**Krótko potem caud Rao po raz ostatni przemówił do Grupy. Nie mówił długo: – Żołnierze, wasi dowódcy przekazali wam już moje ostatnie rozkazy. Wykonajcie je najlepiej, jak potraficie. Wyrwajcie, jak długo zdołacie. Walczcie po nowemu, ale pamiętajcie o honorze, który zawsze był wam tak drogi. Jeśli będziecie musieli złożyć broń, noście głowę wysoko.**

**Być może przegracie, ale walka potrwa dalej.**

**Grupa przegrała bitwę. Ale się nie poddaje.**

**–Mamy transmisję – powiedział Rahfer. – Źródło w Mahanie. Zakodowane szyfrem obrazkowym. Wcześniej był bardzo długi przekaz, też zaszyfrowany. W obu przypadkach chodzi o nowy kod, którego jeszcze nie złamaliśmy. Niedawno skończyli, od tamtej pory wszystkie ludzkie oddziały milczą.**

**–Przypuszczam, że nie oplakiwali w ten sposób rozbitej jednostki – odrzekł Wlencing.**

**–Zachowujemy pełną gotowość, ale żadnych działań, póki się nie dowiemy, co szykują.**

**Jednak na razie, naprawdę czy na pozór, nic się nie działo.**

**Wcześniej tego dnia z wyspy Mullion wystartował jeden z transportowców kosmicznych, które Hedley zorganizował dla Grupy. W eskorcie pozostałych aksaiów i jednego zhukova przeleciał nad dżunglą ku wschodowi, oddalając się od Mahanu, potem skręcił na północ i głębokim wąwozem dotarł do oceanu. Tam zszedł nad same fale i powoli, jako że nie został zbudowany z myślą o lotach atmosferycznych, dotarł do ujścia wielkiej zatoki wyspy Dharma, gdzie zszedł pod wodę. Wprawdzie nie był też projektowany do poruszania się w takim środowisku, ale zarówno systemy sterownicze, jak i pilotów odpowiednio do tego przygotowano.**

**Transportowiec powoli ruszył ku Mahanowi pogłębionym kanałem dla frachtowców.**

**Około pięciu kilometrów od wyspy Chance zaległ na dnie, aby oczekiwać na sygnał.**

**Trzy pozostałe pułki stacjonujące w pobliżu Leggett, Aire i Kerrier odebrały rozkaz Rao i wzięły się do jego wykonywania. Najpierw rozpoznały walką przeciwnika.**

**Musthowie, jak to mieli w zwyczaju, wycofali się nieco, przegrupowali i zaczęli przygotowania do miażdżącego kontrataku. Zanim skończyli, spadła na nich nawała artyleryjska ze wszystkich luf i wyrzutni, które pozostały jeszcze wojskom Konfederacji.**

**Wyglądało to na poważny atak. Wlencing nakazał swoim podwładnym wzmocnić zagrożone pozycje i odepchnąć ludzi.**

**Musthowie ponownie zabrali się do przegrupowania, co zbiegło się z drugim atakiem obłożonych, skierowanym dokładnie w te miejsca, do których ściągaly posiłki. W danej chwili najlepsze miejsca do ataku.**

**Pierwszy i czwarty pułk przebiły się stosunkowo łatwo. Drugi miał około pół godziny opóźnienia. Wyłomy zostały natychmiast poszerzone i umocnione.**

**Przez lukę zaczęli wymykać się wszyscy oprócz pozostawianych z żalem**

niezdolnych do marszu rannych i lekarzy, którzy mieli się nimi zajmować. Reszta brała tyle sprzętu, ile zdołała udźwignąć, i w małych grupach, nie większych niż drużyna, znikła w ciemnościach.

Pierwszy pułk, który zawsze uważał się za lepszy od pozostałych, zdołał uratować nawet małe ślizgacze i cooki, wszystkie wyładowane wyrzutniami i raketami Fury.

Wlencing dłuższą chwilę nasłuchiwał chaotycznych meldunków podkomendnych, aż w końcu zrozumiał, co się dzieje. Ciężko zdumiony nakazał zamknąć wyłomy. Nie mógł pozwolić, żeby ludzie uciekli i dalej prowadzili walkę.

Wszystkie trzy bitwy były zażarte, toczyły się w ciemnościach rozjaśnianych co chwila wybuchami, flarami i błyskami laserów. Ludzie i musthowie krzyczeli i ginęli od granatów, raket, pocisków, noży i pazurów.

Gdy zamieszanie osiągnęło apogeum, z ukrytych lądowisk wystartowało znowu lotnictwo Konfederacji, aby spaść na kręcące się bezradnie nad polami bitew maszyny musthów.

Wlencing znowu musiał rzucić do walki rezerwy.

Jednak tym razem miała to być przecież ostatnia bitwa.

Jedna z dwóch jednostek obserwacyjnych dostrzegła transportowiec wynurzający się u brzegu wyspy Chance, jednak meldunek zginął w szumach, które pojawiły się nagle na wszystkich używanych przez musthów częstotliwościach. Jakiś aksai próbował ataku, ale zhukov błyskawicznie zdmuchnął go z nieba.

Statek przeleciał nad pływaczami i rejonami desantu musthów. Zaraz za nim sunęły ziejące ogniem griersony.

Wylądował z poślizgiem na zrytym przez pociski pla cu. Omal się przy tym nie przewrócił. Zaraz otworzono wszystkie luki i żołnierze wysypali się z bunkrów, schronów i stanowisk bojowych. Każdy coś niósł, niektórzy pomagali zdolnym do ruchu rannym i chorym wejść na pokład.

Jakiś musth dostrzegł sposobność i trafił transportowiec w rejonie rufy. Załoga sprawnie ugasiła płomień i stwierdziła, że żaden ważny system nie ucierpiał.

Musth przymierzał się do drugiego strzału, ale pociski kalibru 35 milimetrów wystrzelone z zhukova uciszyły go na zawsze.

–Szybciej, szybciej! – krzyczał Angara, stojąc przy jednej z ramp, podczas gdy mężczyźni i kobiety przemykali obok niego. Ewakuacja odbywała się w miarę zorganizowanie, chociaż trudno byłoby ją nazwać spokojną. Pozostali wyżsi

**oficerowie czuwali przy innych wejściach.**

**W końcu na placu nie było już nikogo. Angara krzyknął, aby zamykać włązy i startować.**

**Statek uniósł się, lekko się zachwiał i przyspieszył ostro, kierując się w stronę zatoki, przeleciał nad półwyspem, znowu zszedł nad same fale i zniknął w ciemnościach zalegających nad wyspą Mullion.**

**W obozie zrobiło się pusto.**

**Pozostało w nim tylko siedemdziesięciu ośmiu ochotników pod dowództwem cauda Prakasha Rao. A także ranni, których stan nie pozwalał na transport.**

**W milczeniu czekali na musthów.**

**–To niemożliwe! – powiedział Wlencing z oczami przekrwionymi z wściekłości. – Nie można wygrać, przegrywając! Co oni sobie myślą?! Tak nie prowadzi się wojny!**

**Dokąd zmierzają?!**

**–Nie wiemy – odparł Rahfer. – Chyba nie mają jakiegoś jednego celu. Poruszają się małymi grupkami, zwykle w kierunku miast, obok których stacjonowali. Próbuje ich ścigać, ale nasi nie znają terenu i nawet z noktowizorami nie radzą sobie najlepiej. Gdy trafiamy na jakąś grupę, ludzie czasem się poddają, czasem walczą do ostatniego, zwykle jednak kilku wiąże patrol ogniem, podczas gdy pozostali uciekają.**

**–Co z ich lotnictwem?**

**–Staramy się śledzić, gdzie lecą. Bardzo rozpraszają siły, ale wykryliśmy kilka małych lądowisk i zaatakowaliśmy je.**

**–Przeciekają nam przez palce – powiedział Wlencing. – Nie możemy im na to pozwolić.**

**–Proszę rozważyć – odezwał się Daaf – czy te rozproszone siły mogą nam zaszkodzić.**

**Nie sposób prowadzić wojny kilkoma żołnierzami.**

**–Nie sposób – przyznał Wlencing. – Ale można w ten sposób zabijać musthów tak samo, jak wcześniej to robactwo, Raumowie, atakowali ich żołnierzy. To znać nie utrudni zaprowadzenie ładunku i prawa. A teraz zamilknijcie i nie popisujcie się więcej ignorancją.**

**Musthowie ruszyli na obóz o pierwszym brzasku. Szli z dużą pewnością siebie,**



przekonani, że w ruinach została już tylko garstka obrońców.

Dochodząc do placu, zwarli szyki i zaraz zostali ostrzelani z kilkunastu ukrytych stanowisk.

Rzucili się szukać osłony i odpowiedzieli ogniem, jednak żołnierze Konfederacji zmienili stanowiska i znów zasypali ich pociskami.

Dowódca musthów wezwał wsparcie powietrzne i aksaie zanurkowały do ataku. Velv wybrał na cel największe skupisko ruin, niegdysiejszy budynek dowództwa.

Podszedł prostym kursem i przygotował się do odpalenia rakiet.

Strzelec Barken wyczołgał się z ukrycia i ustawił niezgrabną wyrzutnię pocisków Fury. Wcisnął guzik odpalenia z opóźnieniem i odcoczył się na bok. Rakieta ożyła, pisnęła, potwierdzając namierzenie celu, i wystrzeliła ku maszynie musthów.

Uderzyła tuż pod owiewką i eksplodowała w kokpicie, rozmazując załogę po ścianach. Velv zakręcił się bezwładnie i runął prosto w środek ugrupowania musthów, po czym eksplodował.

W zamieszaniu snajperzy Grupy zabili jeszcze kilkunastu przeciwników i musthowie wycofali się, by dokonać przegrupowania.

Gdy ponowili atak, doszło do walki na bliski dystans. W krwawych pojedynkach ludzie byli metr po metrze wypierani ku tunelom.

Musthowie szli za nimi.

Nagle z ukrytego bunkra wypadło piętnaścioro mężczyzn i kobiet. Gęsto strzelając, pobiegli do głównego tunelu.

Większość musthów padła w pierwszych sekundach, ale reszta tych uwięzionych w tunelu nie poniechała walki.

Tuż obok Rao upadł granat. Caud próbował się uchylić, ale nie zdążył. Insektoidy rozdarły mu głowę.

Strzelanina trwała dość długo, ale zaczęła zamierać i w końcu zapanowała cisza.

Z tunelu chwiejnym krokiem wyszedł oficer musthów, a za nim jeszcze dziesięciu obcych. Wszyscy byli ranni. Gdy się tam wdzierali, było ich pięć razy więcej.

Oficer otępiłym wzrokiem rozejrzał się wkoło.

Kilkanaście metrów od niego wznosił się maszt ze sztandarem Grupy,

przedstawiającym lance z rozchodzącymi się od grotu falami uderzeniowymi. Wiatr od morza poruszał nim łagodnie.

–Zerwać – rozkazał musth.

Czterech jego żołnierzy pospieszyło wykonać polecenie.

Rzucony nie wiadomo skąd granat eksplodował parę metrów nad ziemią i poraził całą czwórkę. Gdy Barken, który go cisnął, wyłonił się zza ruin, oficer sięgnął po broń, ale nie zdążył jej unieść.

Chwilę później dwóch musthów ścięło Barkena, kiedy obracał się w ich stronę.

Ocalała szóstka obcych spojrzała na maszt, po czym odwróciła się obojętnie i potykając się, ruszyła ku własnym pozycjom. Byle dalej od tego koszmaru.

Krwawe walki dobiegły końca i na Cumbre zapanował względny spokój. Żaden człowiek nie wiedział, co się teraz stanie.

Musthowie przetrząsali pobojojiska w poszukiwaniu niedobitków, czasem nawet wysyłali uzbrojone po zęby patrole do miast. Ludzie patrzyli ponuro na obcych obnoszących się z bronią gotową do strzału.

Co jakiś czas znajdowano jakiegoś uciekiniera, co zazwyczaj kończyło się zastrzeleniem go albo wzięciem do niewoli.

Kilkanaście razy muthowie natknęli się na większe grupy. Wtedy nie obywało się bez walki, przy czym co najmniej w połowie takich wypadków patrole zostały odparte, a ludzie w mundurach Konfederacji zniknęli w dżungli.

Nikt nie wiedział, ilu żołnierzy Grupy wymknęło się musthom, pewne było tylko, że większość. Nie było też wiadomo, kto dokładnie ocalał, gdzie przebywają konkretne pododdziały ani jakie właściwie zamiary ma armia.

Cywile w Leggett zerkali nerwowo na dymiące ciągle szczątki bazy Mahan, to samo robili Cumbryjczycy w innych miastach, gdzie doszło do ciężkich walk. Niemal nikt, kto miał w Grupie syna, córkę, partnera, rodzica albo przyjaciół, nie wiedział, czy ma się niepokoić, czy od razu przywdziać żałobę Przez ostatni tydzień walki nie publikowano już list ofiar.

Czasem po nocy rozlegało się gdzieś niespodziewane pukanie, po którym następował wybuch radości. Cudem ocalałym czym prędzej znajdowano kryjówkę.

Niektórzy mieli broń, którą trzeba było dobrze schować. Inni organizowali pomoc dla przyjaciół. Jeszcze inni robili, co mogli, aby otrząsnąć się z przerażających wspomnień, które nie pozwalały im wykonać ostatniego rozkazu Rao.

Nie było przypadku, aby ktoś wydał ukrywających się okupantom.

Na razie.

–Teraz, gdy zwycięstwo stało się faktem, jakie są wasze plany odnośnie do Cumbre? – spytał Loy Kuoro.

Ubrany w wieczorowy garnitur Kuoro był jednym z ponad dwudziestu rentierów, którzy przyjęli „zaproszenie” musthów na „Bankiet z okazji pokoju”.

Odbывał się on w restauracji na szczycie Banku Cumbre,

**sześćdziesięćpięćtrowego wieżowca górującego nad Leggett.**

**Wlencing, który włożył na tę okazję paradną uprząż wykonaną z futra jakiegoś pasiastego stworzenia i miał przy pasie jedynie kaburę z pistoletem i zasobnik z granatami, zastanowił się nad odpowiedzią.**

**–Pierwsze rozkazy będą nakierowane na zapewnienie sstabilizacji ludzkiemu sspołeczeństwu.**

**–Oczywiście – odezwał się Kuoro. – Bez tego mielibyśmy ciągle wojnę. Ufam, że zaprowadzenie sstabilizacji nie będzie trudne.**

**–To już zależy głównie od ludzi, nieprawdaż? – powiedział Rahfer, posyukując z rozbawienia.**

**–Zapewne tak – odparł Kuoro. – Czy macie już jakieś konkretne plany, którymi moglibyście się podzielić?**

**–Na początek będziemy ssami rządzić wszystkim – zaczął Wlencing. – Najwyższy priorytet otrzyma uruchomienie pełnych mocy przerobowych kopalń na planecie, którą nazywaliście Cumbre C, a która od teraz będzie znana jako Mabassi, tak ssamo jak ta tutaj planeta to obecnie Whar.**

**–Oczywiście.**

**–Wynajmiemy robotników na Whar i poszukamy jeszcze innych źródeł ssily roboczej.**

**–Na przykład jakich?**

**Wlencing spojrział na Loya, ale nie odpowiedział.**

**–Dołożymy też wszelkich sstarań, aby wyłapać bandytów, którzy byli niegdyś żołnierzami, i powsstrzymać ich przed wyrządzeniem wam krzywdy. Nadal będziemy utrzymywać nasze konsullaty, ale zosstaną one rozbudowane na potrzeby nowych mussthów, którzy przybędą z naszych rodzinnych światów, aby tu sstacjonować, a właściwie uzupełnić perssonel. Potrzebne będą nam do tego wasze firmy budowlane. Mamy zamiar powiększyć też bazę na Płasskowyżu, na Ssiltricu i na Mabassi. Odbudujemy to, co zniszczyli Raumowie. Oczywiście zapłacimy warn za pracę przy odbudowie. Z czasem zapewne wprowadzimy jeszcze inne środki sssłużące utrzymaniu sspokoju, jak powiązane z centralnym rejesstrem karty identyfikacyjne. Rozważamy też zatrudnianie wass przy pewnych odpowiedzialnych zadaniach, które mają zapobiec pojawianiu się dyssydentów.**

**–Czy można zacytować te słowa?**

**–Oczywiście – powiedział z emfazą Wlencing. – Przecież je wypowiedziałem, prawda? Nie powiedziałbym czegoś, co nie jest prawdą.**

**–Przepraszam, to pytanie było tylko formalnością.**

**–Rozumiem – rzekł Wlencing i pokiwał głową. – Nie widzę twojej partnerki. Gdzie jest?**

**–Poczuła się chora i prosiła, abym przeprosił w jej imieniu, że nie mogła przybyć.**

**–Wielu wass dzisiaj nie ma – zauważył musth. – Odnotowaliśmy ich nazwiska i dobrze je zapamiętamy.**

**Kuoro uśmiechnął się nerwowo.**

**–Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu. Jestem pewien, że spodoba się panu nasz program na temat zmiany rządu.**

**–Na pewno – powiedział Wlencing.**

**Przebywająca na wyspie Mullion część Grupy dochodziła z wolna do siebie i zaczęła nawet szukać rozproszonych pododdziałów.**

**Zająto się też rozdawnictwem medali oraz przyznawaniem awansów.**

**Grig Angara, awansowany przez Rao na cauda, objął dowództwo Grupy.**

**Jon Hedley został zastępcą Angary, ale wciąż sprawował pieczę nad Sekcją II.**

**Pośród innych awansowanych byli Garvin Jaansma i Njangu Yoshitaro. Pierwszy do stopnia centa, drugi alta. Centem został też Eryk Penwyth.**

**W Leggett narodziła się nowa moda, która szybko przeniknęła do innych miast.**

**Każdy dzieciak, który miał kompa, mógł w kilka chwil wyprodukować duży, kolorowy plakat i zdrukować kilkadziesiąt egzemplarzy. Sztuką było zawiesić je tam, gdzie musthowie musieli je zobaczyć, i nie dać się przy tym złapać.**

**Inny problem wiązał się z tym, że nikt nie znał mowy ani pisma obcych, wszystko więc musiało być w basiku. Niemniej okazało się, że całkiem sporo musthów zna język ludzki, warto więc było się wysilić. Jeden z plakatów głosił przeto:**

# MUSTHOWIE!

WASZE POTOMSTWO WŁAŚNIE SIĘ

PARZY

GDY WY MOŻECIE TYLKO WSPOMINAĆ

JAK TO BYŁO W RODZINNEJ NORZE

Pozostałe przekazywały podobne treści, chociaż czasem były one sprzeczne z biologią obcych. Tak czy owak, plakaty odnosiły zamierzony skutek. Nadwrażliwi w kwestii swoich zachowań seksualnych obcy dostawali na ich widok piany na pysku i zupełnie tracili nad sobą panowanie.

Najpierw tylko zdzierali plakaty, ale na ich miejsce zaraz pojawiały się nowe.

Uznawszy zatem, że ludzie powinni sami pilnować, co kto wieśza na ich domach, zaczęli aresztować wszystkich przebywających w tak udekorowanych budynkach.

W już pełnych więzieniach zapanował jeszcze większy tłok.

Plakaty stawały się coraz ciekawsze i zaczęły się pojawiać nawet na tyłach konsulatów obcych, na rufach ich pojazdów, a kilka razy nawet na plecach żołnierzy z patrolu. Jakieś dwa tygodnie po upadku Mahan radar na wyspie Mullion zarejestrował przelot jakiejś dziwnej maszyny. Zanim udało się ją zidentyfikować, wylądowała z kilometr od bazy.

Wciąż odbudowująca się kompania zwiadu posłała zaraz drużynę na rozpoznanie. Żołnierze znaleźli mały ślizgacz służący na co dzień do opryskiwania upraw.

Każda jego część była innego koloru, a maszyna trzymała się tylko na słowo honoru. Na dodatek na przecince, gdzie wylądowała, nie było żywej duszy.

Lir rozwinęła patrol na skraju zarośli i przywołała prowadzącą.

–Ty i ja rozejrzemy się trochę Kobieta z trudem przełknęła coś, co nagle zaczęło ją dławić w gardle, ale pokiwała głową.

Lir wymknęła się ostrożnie na otwartą przestrzeń. Czekwała, czy coś się poruszy, może ktoś strzeli. Nic. Przekradła się dalej. Patrol trzymał broń w gotowości.

Pokonała może z pięć metrów, gdy nagle z krzaków rozległ się krzyk:

–Lir! Tweg Lir!

**Głos był ludzki i na dodatek dziwnie znajomy.**

**Podbiegła do ślizgacza i wykorzystała go jako osłonę.**

**–Tak?! – odkrzyknęła.**

**–To ja, Ben Dill!**

**–Ty nie żyjesz!**

**–Diabła tam nie żyję!**

**–Dobra! Żyjesz! – zawołała Lir. – Wyłaż na otwarte! Powoli i bez broni!**

**Ben wyszedł z zarośli noga za nogą, z na wpół uniesionymi rękami. Miał na sobie resztki kombinezonu lotniczego, który skurczył się do przewiązanych sznurkiem szortów, sandały własnej roboty i kolorową koszulę, która mogła być modna z dwadzieścia lat temu albo i dawniej. Była na dodatek bardzo obszerna i damska.**

**Lir wstała. Nie mierzyła już w żaden szczególny punkt.**

**–Dobra – powiedziała. – Tylko co ty tu robisz?**

**–Próbuję wrócić do domu. Zestrzelili mnie z miesiąc temu...**

**–Wiem. Myślałam, że lada dzień pójdę w twoje ślady.**

**–Będziesz musiała poczekać – odparł Dill. – Dotarłem do brzegu, nieco wędrowałem, aż w końcu jeden kuter zabrał mnie do wioski. Tam zdołałem poskładać jakoś tę maszynę i poleciałem w stronę bazy. Gdy zobaczyłem naszych wracających z akcji, poleciałem kawałek ich śladem, wylądowałem i czekałem na następnych. Znowu trochę podleciałem i tak dalej. Nie mogłem za nikim nadążyć, ten złom ledwo trzyma się powietrza, a radia to już w ogóle nie ma. No ale w końcu poznałem okoliczne wzgórza, wszedłem na chwilę wyżej, abyście na pewno dostrzegli mnie na radarze, i od razu wylądowałem, żeby nikt mnie nie potraktował rakieta. I potem już tylko czekałem na towarzystwo. Mogę cię pocałować?**

**Lir uśmiechnęła się przelotnie.**

**–Oficerowie nie powinni dawać wojsku złego przykładu.**

**–No to ty mnie pocałuj. Udało mi się! A... jeszcze jedno. Przyleciałem z kumplem.**

**–Dawaj go tu.**

**–Tylko chwilę... jeśli można prosić, zabezpiecz najpierw blaster i skieruj go gdzieś w**

bok, dobra?

Monique zrobiła, o co prosił.

–Wychodź, Alikhan. Powoli.

Ujrawszy mustha, Lir odruchowo sięgnęła palcem do bezpiecznika. Obcy pojawił się tak samo jak Dill, z szeroko rozłożonymi, pustymi rękami. Dziewczyna odprężyła się po chwili.

–O kurna... – dała wyraz zaskoczeniu. – Masz jeńca.

–No... niezupełnie.

Alikhan, Dill oraz ich kupa złomu zostali dokładnie przeszukani dla sprawdzenia, czy nikt im nie przyczepił żadnej pluskwy. Niemniej, choć niczego nie znaleziono i uznano, że najprawdopodobniej nikt ich nie śledził, baza wciąż trwała w pełnym pogotowiu.

Delikwenci zostali zaprowadzeni do Angary i Hedleya. Dill wyjaśnił ze szczegółami, co właściwie zaszło. – Świetnie mówisz po naszymu, Alikhan – mruknął Hedley. – Ciekawy zbieg okoliczności.

–Macie mnie za podwójnego agenta – stwierdził musth.

–Istnieje taka możliwość – zgodził się Hedley.

–Nie sądzę, sir – powiedział Dill. – Czy można przypuszczać, aby głównodowodzący obcych wysłał własnego syna? Poza tym ja też musiałbym być wtedy w spisku, bo go zestrzeliłem.

–Masz rację – przyznał Hedley. – Chyba gonię w piętękę.

–Nie wiem, czy rozumiem – odezwał się Angara. – Chcesz, żeby ta wojna dobiegła końca?

–Właśnie.

–Dlaczego?

–Bo cierpi na tym honor nas wszystkich.

–Twoi rodacy zdają się to widzieć inaczej – powiedział Angara. – Uważają, że w ten sposób wypełnia się ich przeznaczenie.

–No tak – przyznał Alikhan. – Ale czego innego można od nich oczekiwać? Nigdy



nikt nie przedstawił im innego punktu widzenia. Nie znają innych. Ja jestem wyjątkiem. W swoim czasie postanowiłem studiować nauki Senzy. Większość jednak słucha ślepo tego, co mówią starzy. Niemal wszyscy, którzy są teraz w układzie Cumbre, wywodzą się z klanów wojskowych, nie mają więc zbyt szerokich horyzontów.

–A ty chciałbyś to zmienić? – spytał Angara. – Jak? Przez audycje propagandowe?

–To by chyba wiele nie dało. Poza jednym: mój ojciec zapewne umarłby ze wstydu.

Zresztą i tak nie wiedziałbym, co mówić.

–Jeśli odrzucasz to rozwiązanie, zapewne nie będziesz też chciał walczyć u naszego boku? – rzucił Angara.

–Albo naprowadzać nam swoich na cel? – dodał Hedley.

–Nie – przyznał musth.

–On jest żołnierzem, a nie szpiegiem – warknął Dill.

Angara spojrzał na niego i chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

–Dobra – stwierdził w końcu. – Nie mam pojęcia, do czego mógłbyś się nam przydać. Chyba żeby sięgnąć po uwarunkowanie, ale po pierwsze nie wiemy, jak warunkować musthów, a po drugie, uważam to za nieetyczne.

Hedley spojrzał na Alikhana takim wzrokiem, jakby jednak wiedział coś na temat warunkowania obcych, ale nie odezwał się ani słowem.

–Czy zamierzasz... czy podejmiesz próbę ucieczki? – spytał Angara.

–Nie, przynajmniej dopóki Ben nie zwolni mnie z przyrzeczenia.

–Dobrze. Będziemy więc traktować cię jak honorowego gościa, chociaż oczywiście z pewnymi ograniczeniami. Alcie Dill, zaopiekujesz się Alikhanem. Miej na niego oko. Niektórzy nasi ludzie zrobili się ostatnio nerwowi. Przepraszam, Ben, że nie pozwolę ci wrócić do personelu latającego, ale to chyba jest ważniejsze.

Dill stanął na baczność, zasalutował i obaj z Alikhanem wyszli. Angara pokręcił głową.

–Ta cholerna wojna robi się z każdą chwilą coraz dziwniejsza. Teraz mamy jeszcze obcego pacyfistę, jedyne go mustha, który dostał się do niewoli, i zupełnie nie wiemy, co z nim zrobić.

**–Witamy w psychiatryku, sir – zaśmiał się Hedley.**

**Teren wkoło bazy musthów roił się od prowadzonych przez ludzi maszyn budowlanych. Wyrównano już sporą część Płaskowyżu pod kolejne lądowiska.**

**Wlencing patrzył na to z satysfakcją. Obok niego stał Daaf.**

**–Jest pan pewien, że otrzymamy uzupełnienie maszyn? – spytał. – O pilotach nie wspomnę.**

**–Oczywiście. Dlaczego nasi bracia mieliby nie odpowiedzieć, skoro nadarza się okazja przeżycia wspaniałej przygody?**

**Daaf pomyślał o stratach, które sięgały obecnie sześćdziesięciu procent stanu, ale uznał, że lepiej nie dyskutować z przełożonym na ten temat. Poza tym i tak na pewno musiał się mylić, Wlencing nie raz wykazał mu już, że ma poważne braki w edukacji.**

**Jasith Mellusin patrzyła wstrząśnięta na ekran, na którym widniała twarz Hona Felpsa, jej zastępcy do spraw personalnych.**

**–Przecież nie mogą tego zrobić – odezwała się w końcu.**

**–Gdyby musthowie zawarli z nami zwyczajową konwencję o traktowaniu jeńców, moglibyśmy ich pozwać o naruszenie prawa wojennego – wyjaśnił Felps. – Zgodnie z nim nie można zmuszać jeńców do pracy. Ale musthowie nie przystąpili nawet do rozmów w tej sprawie, a formalnie rzecz biorąc, nie są nawet w stanie wojny z Konfederacją.**

**–Mam więc przyglądać się spokojnie, jak będą wykorzystywali żołnierzy do... to się chyba nazywa praca niewolnicza?**

**–Gotowi są wypłacać skromne wynagrodzenie – powiedział Felps. – Poza tym będą pokrywać wszystkie wydatki związane z utrzymaniem pracowników, gdy ci znajdą się już na Cumbre C. Przepraszam, ale jakoś dziwnie mi nazywać tę planetę Mabasi.**

**–Nieważne. Dla wszystkich, których szanuję, to wciąż Cumbre C. Rozumiem więc, że nie możemy wiele zrobić w tej sprawie? – Rozejrzała się niespokojnie, chociaż poza nią w gabinecie nie było żywej duszy. – Mogę prosić o przysługę? Chciałabym wiedzieć, czy wśród tych jeńców nie ma nikogo nazwiskiem Jaansma. Garvin Jaansma.**

**–Tak, proszę pani.**

**–To czysto prywatna sprawa i chciałabym, aby zajął się pan nią sam i nikomu o tym nie wspominał.**

**–Oczywiście. – Zastępca miał już się rozłączyć, ale wstrzymał dłoń. – Byłbym zapomniał, jeszcze jedno. Ten rozkaz musthów wcale mi się nie podoba.**

**–Nie panu jednemu.**

**–Powiedzieli mi też, że mogę oczekiwać następnych transportów robotników.**

**Ludzkich robotników. Spytałem skąd i usłyszałem, że zamierzają zrobić użytek z kryminalistów, którzy gniją bezużytecznie po więzieniach.**

**Jasith zamruwała.**

**–Chcą zatrudnić zwykłych rzezimieszków?**

**–Na to wygląda.**

**–I w tym nie możemy im przeszkodzić.**

**–Nie możemy. Przynajmniej jeśli chcemy zachować choćby częściową kontrolę nad Mellusin Mining.**

**–Rozumiem – powiedziała Jasith i rozłączyła się bez pożegnania.**

**Wstała i podeszła do okna z widokiem na zatokę i ruiny bazy. Chciało jej się kłąć, ale przecież nic by z tego nie przyszło. Wróciła do ekranu i zaczęła wybierać numer Loya. Nagle się wstrzymała.**

**–I co mógłby mi powiedzieć? – powiedziała do siebie.**

**Poczuła, że zbiera jej się na płacz, ale przełknęła łzy. Wyszła z gabinetu i zatrzymała się pod oprawionym w czarne ramy portretem ojca.**

**–I co byś zrobił na moim miejscu?**

**Wieczorem patrol musthów przyłapał dwunastolatka wieszającego plakat. Chłopiec, zamiast się poddać, próbował uciekać. Dwóch obcych otworzyło ogień. Dzieciak stracił obie nogi. Musthowie pogubili się i zaczęli debatować, co należałoby teraz zrobić.**

**Zanim powiadomili szpital, chłopak wykrawawił się na śmierć.**

**–Paru spraw tu nie rozumiem – warknął Wlencing, gdy jego wynt krążył nad tłumami manifestującymi na ulicach Leggett. – Skąd oni się tak szybko dowiedzieli o śmierci tego dzieciaka? Przecież kontrolujemy wszystkie holo.**

**–Tak, oczywiście – odparł Rahfer.**

**–Meldowałeś jednak, że w innych miastach tak samo burzą się przez tego kryminalistę?**

**–Tak mi doniesiono.**

**–Jakim cudem już o tym wiedzą?**

**–Nie mam pojęcia.**

**Odpowiedź była prosta. Jeszcze podczas rebelii zarówno Raumowie, jak i ich przeciwnicy nauczyli się nie ufać holo, zaczął więc funkcjonować obejmujący całą planetę szeptany telegraf. Jeśli ktoś coś ciekawego usłyszał, dzwonił do znajomych, oni dzwoniли do swoich i tak dalej. Powszechna wymiana informacji obejmowała każde miasto, wioskę, sióło czy osadę, a nawet statki i kutry rybackie.**

**Rodzice zabitego chłopca należeli niegdyś do twórców tego systemu, a dla mieszkańców niewielkiego pogranicznego świata śmierć pobratymca, a zwłaszcza dziecka, była czymś szczerze poruszającym.**

**Wlencing ponownie spojrzął w dół.**

**–Jak mamy zareagować? – spytał Rahfer.**

**–W ogóle nie reagować – powiedział Wlencing. – Za kilka godzin zmęczy ich wrzeszczenie do zatrzaśniętych drzwi i wszystko wróci do normy.**

**Stało się jednak inaczej.**

**Pięciu musthów patrolowało rejon w okolicy głównego lotniska w Launceston.**

**Zgodnie z rozkazami trzymali się środka ulicy.**

**Mieli gogle noktowizyjne i czujniki podczerwieni przy pasach. Cały czas rozglądali się wkoło.**

**Jednak żaden sprzęt nie mógł ich ostrzec przed dziesięcioma osobami skrytymi za kamiennym murem. Dziewięciu z tej dziesiątki było Raumami, jeden synem pewnego nauczyciela. Pierwszy trzymał sterzące nad murem lustro na kijku.**

**Dojrzał w nim nadchodzący patrol i poklepał następnego spiskowca po plecach, a ten kolejnego i tak do końca. Każdy policzył spokojnie do dziesięciu, aby musthowie podeszli bliżej. Nadal wyskoczyli z ukrycia. Mieli broń z zapasów dostarczonych niegdyś przez Redrutha albo podarowanych przez Garvina.**

**Zaskoczeni musthowie znajdowali się ledwie cztery metry od nich.**

**Bez rozkazu, bo i nie był on potrzebny, dziesięciu mężczyzn wybrało cele i opróżniło magazynki.**

**Jeden obcy zdążył wystrzelić i przypalić bok Rauma, ale po chwili zmarł w konwulsjach.**

**Ranny przyklęknął, zaciskając zęby, a jego towarzysze wzięli się do odzierania trupów z uzbrojenia.**

**Ktoś pochylił się nad cierpiącym.**

**–Możesz biec?**

**–Tak. Tyle że boli.**

**–To chodź. Niebawem zaczną ich szukać.**

**Ranny wstał i wraz z innymi rozplynął się w ciemności.**

**Nie był to jedyny atak na patrol musthów, ale w pozostałych nie odniesiono równie spektakularnych sukcesów.**

**Następnego dnia Wlencing nakazał wziąć nowych zakładników. Media, a szczególnie „Matin”, miały zrobić z tego wielkie wydarzenie.**

**–Szukam ochotnika – powiedział mil Hedley.**

**Cent Erik Penwyth rozejrzał się po namiocie, ale nie dostrzegł nikogo poza Hedleyem. Byli sami.**

**–Rozumiem, że to ja jestem kandydatem?**

**–Dobrze rozumiesz.**

**–Nie palę się do ochotnikowania – mruknął Erik. – Zwykle oznacza to nadgodziny i pracę w niebezpiecznych warunkach.**

**–Nie tym razem. Czas pracy byłby idealny, a zapłata taka, jakiej sobie zażyczysz. Ryzyko zaś... chyba niewielkie, przynajmniej z początku.**

**–To dlaczego właśnie ja mam się tym zająć?**

**–Bo wróciłbyś do domu. – Słucham?**

**–Grupa musi mieć swojego człowieka wśród rentierów. Chcemy, żebyś wrócił na łono rodziny, najlepiej jako zblazowany młodzieniec, który zdezerterował z duszą na**

ramieniu i ma ochotę znowu oddać się dekadencji. I którego nie obchodzi żadne wojsko ani polityka. Tańczyłbyś tak, jak musthowie zagrają, brał ich polecenia na poważnie, a po cichu nadal byłbyś z nami i korzystał z każdej okazji, by przeciągać innych na naszą stronę.

–Hm... – Penwyth zastanowił się. – Chyba nie wy – głosiłem dotąd zbyt wielu patriotycznych przemówień, a większość ludzi z mojej sfery jest zbyt durna, żeby się zastanawiać, gdzie się podziewałem, co robiłem i czy to było szczerze. Rodzice zaś nie stanowią problemu, szczególnie że jestem jedynakiem. Cóż, przyznaję, że mam już dość munduru i chętnie bym go zrzucił. Znowu miałbym pełną garderobę cywilnych ciuchów i garderobianego... Ale nie.

–Dlaczego nie, u licha?

Penwyth zaczerpnął powietrza.

–Bo czułbym się jak zdrajca. Miałbym kawior i szampana, podczas gdy wy tutaj męczylibyście się po staremu. Nie, im dłużej o tym myślę, tym mniej mi się to podoba.

–Dobra. Spróbujemy inaczej. Zostajesz odkomenderowany do samodzielnej, tajnej służby wśród rentierów.

–Domyślam się, że w tej sytuacji nie mam wielkiego wyboru. Na jakie wsparcie mogę liczyć?

–Jutro albo pojutrze podrzucimy cię na przedmieścia Leggett. Dostaniesz standardowy zestaw łączności, który będziesz trzymał gdzieś daleko i co trzy dni sprawdzał, czy coś nie przyszło. Damy ci też szyfrator i kompresor wiadomości, które z kolei zawsze masz mieć pod ręką. Będziesz przez nie przepuszczał meldunki przed wysłaniem. Przede wszystkim chcemy, abyś miał oczy szeroko otwarte, nic więcej, w każdym razie do chwili, gdy sytuacja się pogorszy. Pogorszy dla musthów. Wtedy być może w jakiejś mierze się ujawnisz. Na wszelki wypadek będziemy cały czas na nasłuchu i gdyby coś poszło nie tak, wyciągniemy cię, jeśli zdołamy. Jakies pytania?

Penwyth zastanowił się.

–Chyba nie. Swoją drogą, miło będzie brać kąpiel niezależnie od tego, czy akurat pada deszcz.

–Mam wrażenie, że tam zbiera się powoli na regularne powstanie – powiedział Njangu, wyłączając kanał wiadomości. – My zaś stoimy ciągle z boku, a nie tak miało być. W końcu robimy tu za autorytety moralne i tak dalej. Chyba mam ochotę wejść do gry.

**–Jak? – spytał Garvin.**

**–Raz już próbowaliśmy dopaść Wlencinga. Byłaby pora na powtórkę.**

**–A dlaczego uważasz, że teraz mielibyśmy więcej szczęścia?**

**–Ponieważ teraz sam poprowadzę ludzi – odparł Njangu. – Zadziałamy bez wielkiej techniki i zobaczymy, jak futrzaki sobie poradzą, gdy duzi chłopcy wezmą się do roboty.**

**–W porządku – powiedział Garvin. – Oczywiście uzgodnisz to jeszcze z Jonem i Angara.**

**–Ale ty jesteś moim bezpośrednim przełożonym i ciebie chciałem spytać najpierw.**

**–Chcesz przez to dać do zrozumienia, że zostawisz mnie w dżungli robalom na żer?**

**–Daj spokój. Jestem pewny, że zainspirowany moim przykładem wymyślisz coś równie paskudnego.**

**Cztery dni później w biurze zatrudnienia w Seyi pojawiło się czworo ludzi: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Rozważyli różne oferty, odrzucili możliwość pracy w kopalniach na Silitricu i zdecydowali się na plac budowy koło bazy musthów na Płaskowyżu.**

**Nie wydawali się szczególnie zainteresowani warunkami zatrudnienia czy godzinami pracy. Zarzucili na ramiona dziwnie ciężkie plecaki i wsiedli do transportowca, który przewiózł ich przez ćwierć planety na okrytą mgłami równinę.**

**Niektórzy ich towarzysze nigdy jeszcze nie widzieli musthów i wystraszyli się, a także trochę zezłości, gdy ich nowi pracodawcy pojawili się na lądowisku, na wspomnianej czwórce obcy nie zrobili jednak szczególnego wrażenia.**

**Robotnicy zostali podzieleni na brygady i przypisani do baraków, gdzie otrzymali wydruki z regulaminu i usłyszeli, że dzień dzieli się na trzynaście godzin pracy i trzynaście godzin odpoczynku, od którego trzeba jednak odliczyć godzinę na transport na stanowiska i z powrotem.**

**Następnego dnia czworo nowych pracowników nie pojawiło się jednak w pracy, lecz nikt tego nie zauważył, gdyż w nocy dziwnym trafem pożar strawił biuro personalnego. Przez wiele godzin odtwarzano potem, kto gdzie pracuje i ile powinien za tę pracę dostawać.**

**Tymczasem Njangu Yoshitaro, Monique Lir, finf Val Heckmyer i Darod Montagna, podłożywszy ogień w biurze, bez trudu pokonali skromne zabezpieczenia wkoło**

obozu i zapadli w okolicy.

Z bronią w ręku przeczesywali wzgórza, aż w końcu trafili na jamę, która okazała się tak obszerna, że można było w niej nawet stać. Nie mieli pojęcia, jakie to zwierzę wykopało coś tak okazałego, żywili jednak nadzieję, że znalazło sobie inną norę.

Nic nie zakłóciło im snu, rano zaś podkradli się do placu budowy i zaczęli wypatrywać celu.

Mimo że nieco sarkali na bez przerwy wiszącą mgłę, ułatwiała im ona zadanie.

Musthowie rzadko lornetowali teren i chyba nigdy nie sięgali na tym pustkowiu po czujniki podczerwieni.

Zwiadowcy przygotowali sobie kilka schronień wokół bazy. Parami przenosili się z jednego do drugiego, przestrzegając zasady, że za dnia wszyscy czuwają, a w nocy zawsze jedna osoba pełni wartę.

Aksaie, wynty i velvy co rusz przelatwały im nad głó wami i lądowały na nieustannie rozrastającym się lądowisku, jednak poza patrolami powietrznymi innej aktywności bojowej nie zauważono, a technicy z personelu naziemnego w ogóle się nie interesowali tym, co dzieje się wkoło.

Po pięciu dniach grupka wróciła do nory i pozwoliła sobie na ciepły posiłek.

–Nie mam wiele – powiedział Njangu. – Musthowie trzymają się centrum bazy, za daleko, żebyśmy sięgnęli. Wyszliśmy łatwo, ale z wejściem mogą być kłopoty. Poza tym nie widziałem nikogo, kto wyglądałby na wyższego oficera, o Wlencingu nie mówiąc.

–U mnie to samo – stwierdziła Montagna, ich strzelec wyborowy. – Miałam nadzieję, że jeśli mi zrzucą snajperkę, załatwimy sprawę, ale przy takiej mgle celowniki zawodzą.

–Tak samo z pociskami raketowymi – dodał Heckmyer. – Jeśli udałoby się nam przejąć zrzut, oczywiście.

–Nie mówiąc już o tym, że ktokolwiek odpaliłby raketę, ściągnąłby na siebie taki ogień, że nie byłoby co zbierać – dokończyła Lir.

–Nie chciałbym się wycofywać bez żadnych rezultatów – powiedział Njangu. – Może poprosilibyśmy chociaż o materiały wybuchowe? Podkradlibyśmy się do paru maszyn, wysadzili je i postrzelali jeszcze trochę na odchodnym.

–I zmarnowalibyśmy okazję, szefie? – spytała Lir. – Drugi raz nie uda nam się raczej



tu przeniknąć. Głupio byłoby skończyć teraz na pukaniu, a za tydzień albo miesiąc dowiedzieć się, że mogliśmy dokonać czegoś więcej. Na razie wiemy, czego nie da się zrobić, mamy też niezłe rozeznanie w tym, jak funkcjonuje baza. Musthowie najwyraźniej uważają, że nie muszą się martwić intruzami, więc dobrze by było wrócić tu z lepszym pomysłem na większą rozróbę.

–Też tak myślę – mruknął Njangu.

–Więc zmywamy się? – zapytała rozczarowana Montagna. – Wprawdzie macie większe doświadczenie niż ja, ale ten pomysł wcale mi się nie podoba. – Mnie to mówisz? – prychnął Njangu. – Na dodatek Garvin niezłe nas obśmieje. Pewnie znalazł już sobie jakieś pożyteczne zajęcie i zgarnia medale.

–Zawsze możemy spróbować jeszcze raz – powiedział Heckmyer.

–Taa... – rzucił Yoshitaro. – Pocieszyłeś mnie. Dobra, ściągamy transport.

Gdy dwóch kolejnych musthów zostało napadniętych w bocznej uliczce, Wlencing nakazał zaostrzyć rygory godziny policyjnej. Każdego spotkanego w tym czasie na ulicy należało zastrzelić.

Garvin ani myślał śmiać się z Njangu. Nie wykombinował nic wystarczająco zwariowanego, aby przebić pomysł przyjaciela.

Cała kompania od wielu dni starała się trzymać jak najdalej od dowództwa, które łamało sobie głowę, usiłując wpaść na jakiś ciekawy pomysł.

Trudnił się myciem okien. Nigdy nie służył w wojsku, nie znał żadnego Rauma, nie pracował w policji. Był cichym, statecznym samotnikiem, którego największą przyjemnością było doskonalenie się w sztuce strzelania z muzealnych egzemplarzy broni do bardzo małych i nader odległych celów.

Nie miał żadnego zdania o musthach, byli mu zupełnie obojętni. Do czasu, gdy kilkoro dzieci z sąsiedztwa wpadło na genialny pomysł, aby obrzucić patrol obcych kamieniami. Żołnierze otworzyli ogień. Dwóch chłopców zostało ciężko rannych, jedna dziewczynka zginęła na miejscu.

Mężczyzna zainteresował się wtedy okupantami. Zaczął się im przyglądać, gdy pracował w dzielnicy biurowców w Leggett.

Nikt nie zwracał uwagi na czyściciela szyb, który podjeżdżał poobijanym ślizgaczem do budynku, mocował do niego liny asekuracyjne i niczym pająk jeździł w górę i w dół na platformie z dwoma zmodyfikowanymi spadakami.

W końcu poczynił interesujące odkrycie.

Wyżsi rangą musthowie pojawiali się w siedzibie rządu zawsze w pierwszy dzień tygodnia. Bez wątplenia, aby wziąć udział w odprawie dla marionetkowej Rady.

Czyściciel szyb trzy tygodnie sprawdzał, czy można polegać na ich punktualności.

W końcu uznał, że tak.

Gdy następnym razem wynt Wlencinga wylądował pod nie ukończonym jeszcze gmachem rządowym, nikt z jego ochrony nie zauważył platformy czyściciela szyb wiszącej na wysokości dziesiątego piętra przy odległym o pięćset metrów wieżowcu. Gdyby tak się stało, ktoś mógłby się zdziwić, że platforma nie znajduje się akurat przy żadnym oknie, lecz przy litej betonowej ścianie. Leżący na niej mężczyzna wiedział jednak, co robi.

Nie chciał, aby ktokolwiek podpatrzył, jakimi to niecodziennymi narzędziami się dzisiaj posługuje. Po kolei wyjął ze skrzynki dwa podłużne przedmioty i połączył je. Potem sięgnął po spory celownik optyczny i zamocował go na wierzchu, a następnie oparł wszystko na dwójnogu.

Jednak nawet teraz nie przypominało to nowoczesnego blastera czy lasera i zapewne mało kto uznałby ten przedmiot za groźny.

Mężczyzna ułożył się wygodnie. Poruszał się powoli, aby nie rozkołysać platformy.

Wprowadził nabój do komory.

Spojrzał na plac przez celownik. Zignorował wynta, trzech policjantów, aż odnalazł grupkę musthów.

Wciągnął w płuca i wypuścił powietrze, wstrzymał oddech, po czym ściągnął język pustowy.

Nie sprawdzając skutków strzału, niespiesznie rozłożył i schował broń, a następnie przesunął się z platformą na drugą stronę budynku, po której zjechał na ziemię.

Dziesięć minut później wracał już do swojego skromnego domostwa. Nigdy nie wspomniał nikomu, co zrobił. Następnego dnia stawiał się normalnie do pracy. Nikt nie zainteresował się nim w związku z zamachem.

Na placu przed siedzibą rządu podniósł się krzyk bezładnie ganiających ludzi i musthów.

Wlencing siedział na ogonie obok ciała Rahfera. Adiutant miał małą dziurkę po jednej stronie głowy, druga strona praktycznie zniknęła.

**Obok stał Daaf.**

**–To był strzał przeznaczony dla ciebie – powiedział.**

**–Może – odparł Wlencing. – A może nie. Może chcieli zabić jakiegokolwiek mustha.**

**–To nie była nieprzemyślana akcja.**

**Wlencing spojrział na niego.**

**–Skoro tak, postaram się, aby odpowiedź była współmierna do tego czynu.**

**Stacje holo znowu otrzymały polecenie przeprowadzenia transmisji z egzekucji zakładników.**

**Musthowie zapowiedzieli, że tak samo będą odpowiadać na każde wymierzone w nich przestępstwo.**

**–Pora na nieco przestępczej działalności, panie Njangu – powiedział Garvin.**

**–Przeszłość zobowiązuje – zgodził się Yoshitaro. – Masz wreszcie jakiś plan?**

**–Tak. Chodźmy porozmawiać ze starym.**

Langnes 65443/Siedziba Senzy Senza zapatrzył się na kolorowe tabele i zestawienia wiszące nad jego biurkiem.

Machnął ręką, wywołując następny zestaw.

–I to właśnie Paumoto i jego klika nazywają triumfalnym zwycięstwem? – zapytał swojego asystenta.

–Tak – odparł Kenryo bezbarwnym głosem.

–Zatem albo cierpi na rozmiękczenie mózgu, albo zamierza utrzymać te dane w sekrecie. Przeróżające, naprawdę przerażające! Aesc zabity, straciliśmy ponad połowę wysłanych tam żołnierzy i tyleż sprzętu. Keffa jest głupcem, który nie potrafi dwukrotnie dodać tych samych liczb, żeby za każdym razem nie otrzymać innego wyniku. Ale Paumoto? Przecież jest mądrzejszy! Chociaż... czy na pewno?

Asystent, który był zresztą jednym z potomków Senzy, dyplomatycznie nie odpowiedział.

–Obliczyłeś, ile lat minie, aż po tych stratach układ Cumbre zacznie przynosić dochód?

–Tak.

–I?

–Od kilkunastu do trzydziestu kilku. Zależnie od tego, czy przejmą tylko źródła kopalin, czy opanują cały układ i przestawią go całkowicie na pokojowe tory.

–Ktoś tu oszalał – stwierdził Senza. – Albo... Albo to podstęp, żeby mnie skłonić do ostrzejszych wystąpień, po których ujawnione zostaną prawdziwe dane. Albo po prostu czegoś nie uwzględniliśmy w symulacjach.

–Nikt z nas nie dostrzegł innej możliwości.

–Jednak coś musiało nam umknąć – powiedział Senza, bezradnie rozkładając ręce.

–Owszem... chciałbym wykorzystać te informacje przeciwko Paumotowi, aby go uciszyć. Może nawet wyłączyłbym wówczas z gry tego imbecyla Keffę, zanim spróbuje mnie zabić. Ale z tak absurdalnie niewiarygodnym materiałem... Nie, potrzebuję czegoś lepszego. Nie wiem tylko, co by to miało być.

**Cumbre D – Wiesz, czuję się jak stetryczwały wódz, któremu pokazano nowy rodzaj dzidy albo czegoś takiego – powiedział Dill do Alikhana. – Dziadek patrzy na nie znaną sobie broń, nie ma najmniejszego pojęcia, do czego toto służy, memle coś, a wodzowanie idzie mu coraz gorzej, aż w końcu jakiś pieprzony barbarzyńca włazi mu do namiotu przez tylną ścianę, daje w łeb kamieniem i koniec wojny.**

**Rzucił kamykiem w niegroźną jaszczurkę wygrzewającą się przed namiotem.**

**–Jak na ciebie to była cała przemowa – stwierdził musth. – Czy dobrze zrozumiałem?**

**Uważasz mnie za nowy rodzaj dzidy?**

**–Ani trochę. Mówisz, że chcesz nam pomóc zakończyć tę wojnę, ale co rusz wychodzi, że tego nie możesz, tamtego nie wypada i tak dalej.**

**–Nie złość się. A co ty byś zrobił na moim miejscu?**

**–Nie wiem – chrząknął Ben. – Najpierw chyba poszukałbym jakiegoś lokalu z wyszynkiem i wdał się w burdę, żeby się wyładować.**

**–To chyba niezbyt praktyczny pomysł – powiedział Alikhan. – Po pierwsze, nie tykam alkoholu. Po drugie, gdybyśmy nawet skądś wytrzasnęli dla mnie zgniłe mięso, zrobiłoby ci się niedobrze. Po trzecie, nie mam ochoty na bijatykę. Po ostatnie zaś, gdybyśmy znaleźli lokal, w którym podają alkohol, najpewniej ktoś sięgnąłby po broń i zastrzelił mnie, nie czekając na wyjaśnienia. Mało atrakcyjna perspektywa na wieczór.**

**–Poza tym na całej wyspie nie ma ani jednej knajpy – dodał Dill.**

**–Przykro mi, ale naprawdę nie widzę dla siebie zastosowania. Nie macie ekspertów od takich spraw?**

**–Na przykład?**

**–Na przykład od musthów. Musi tu być ktoś, kto trochę nas zna. Każda armia potrafi sprokurować eksperta od dowolnej dziedziny.**

**–Miło mi cię widzieć – powiedział Danfin Froude w języku musthów.**

**Alikhan machnął łapą, dając do zrozumienia, że nie trzeba aż tak się starać.**

**–I ja cię witam – odparł, po czym przeszedł na basik. – Chyba jednak wygodniej**

**będzie nam komunikować się w twoim języku.**

**–Czyżby moja wymowa była aż tak straszna?**

**Alikhan uprzejmie nie odpowiedział.**

**–Twój przyjaciel uznał, że mogę pomóc, sporo więc rozmawialiśmy o tym, co usłyszał od ciebie – powiedział matematyk. – Coś mi się w końcu nasunęło.**

**Wspomniałeś kiedyś altowi, że wasi żołnierze nie mieli nigdy okazji poznać innego punktu widzenia na wojnę niż ten, który przedstawiają im dowódcy.**

**–Zgadza się – odparł musth. – Nauka myślenia i dbania o siebie przebiega w gnieździe, gdzie nauczycielami są rodzice i rodzeństwo. Gdy opuszczamy je jako dorośli i wstępujemy na służbę pod dowództwem innego mustha, zakłada się, że był to dojrzały i przemyślany wybór, służbę więc należy pełnić z poświęceniem.**

**–Tak nakazuje honor.**

**Alikhan zastanowił się.**

**–Może dlatego częściej się zdradzamy, niż współpracujemy – dodał z nutą, która wydała się Benowi bliska melancholii. – Trudno przychodzi nam przyznać, że popełniliśmy błąd i powinniśmy robić w życiu coś innego.**

**–I wtedy łatwiej jest po prostu strzelić komuś w plecy? – spytał Dill.**

**–Czy muszę odpowiadać? – Wygląda na to, że macie zupełnie inne zasady etyczne niż my – skonstatował Ben.**

**–Bądźcie łaskawi się zamknąć – warknął Froude. – Mam pewien pomysł. Alikhan, czy wiesz, że można przetworzyć czyjś głos tak, że nie da się rozpoznać osoby, do której należy?**

**–Owszem. Nasze władze też z tego korzystają.**

**–Jak sądzisz, czy gdybyś mógł porozmawiać z jakimś żołnierzem musthem, zdołałbyś go nakłonić, żeby przeszedł na naszą stronę albo chociaż przestał ślepo wykonywać rozkazy?**

**–Nie – odparł musth. – Coś takiego potrafi tylko wielki mówca, jak Senza, u którego studiowałem. Poza tym trzeba, aby słuchacz już wcześniej żywił jakieś wątpliwości.**

**–Wątpliwości, mówisz? – mruknął Froude. – Ben, znalazłbyś dla naszego przyjaciela jakiegoś nadgniętego giptela, a dla mnie flaszkę wody ognistej? Mamy z Alikhanem do pogadania.**

**Kupcy z Leggett, Aire, Launceston i Seyi nie kryli zdumienia – mimo okupacji interesy nie szły wcale tak źle, jak się obawiali, nawet jeśli ludzie mieli mniej kredytów, a bogatsi niezbyt chętnie je wydawali, czekając, aż sytuacja nieco się wyklaruje. Niemniej żadne przedsiębiorstwo handlowe nie zostało dotąd przejęte przez musthów.**

**Zyski były mniejsze, co nikogo nie zaskakiwało, lecz co rusz otwierano nowe firmy. W większości małe, ale zawsze z porządnym kapitałem wyjściowym. Ich właściciele płacili za wszystko twardą gotówką.**

**Ciekawe też, że nowi inwestorzy byli dość do siebie podobni: młodzi albo w średnim wieku, zwykle samotni. Nie mieli bogatej oferty, ale to akurat nie dziwiło, bo przemysł Cumbre nie podniósł się jeszcze po powstaniu Raumów.**

**Wspomniani przedsiębiorcy wstępowali do miejscowych gildii, ale nie wtrącali się w niczyje sprawy i w ogóle nie zwracali na siebie uwagi.**

**Niektórzy ze starej gwardii przypuszczali, że to zdemobilizowani wojskowi, i byli pod wrażeniem wysokości odpraw, które Grupa potrafiła wypłacać nawet w tak ciężkich czasach.**

**Zastanawiające było to, że nowe sklepy i hurtownie handlowały przede wszystkim elektroniką, i to wcale nie najtańszą.**

**Wśród innych nowinek największe zainteresowanie wywołał zespół muzyczny Hammer And Thud Blowout Boys, liczący czternaścioro mężczyzn i kobiet. Zaczęli grać w Leggett, a po jakimś czasie poprosił musthów o zgodę na tournée po miastach Cumbre D. Obcy uważnie sprawdzili całe wyposażenie i instrumenty, nie znaleźli niczego podejrzanego i wydali pozwolenie. Uznali, że nieco rozrywki dobrze wpłynie na nastroje.**

**HTB Boys wyruszyli więc – wraz z przyjaciółmi, technikami i wielu innymi osobami – w trasę. Nie odmawiali koncertu w najmniejszej miejscowości, jeśli tylko ktoś ich tam zaprosił.**

**Trochę tylko było niezwykle, że lider zespołu, jowialny dryblas zwany Hedley, nie grał na żadnym instrumencie prowadzącym, a podczas koncertów machał co najwyżej tamburynem i udzielał się w chórkach.**

**Przyjęcie zaczęło się w nieco nerwowej atmosferze. Dało się zauważyć, że niektórzy z zaproszonych rentierów nie przybyli. Przede wszystkim ci, którzy bardzo pragnęli zachować swoje stołki w utrzymywanej przez musthów Radzie.**

**Bankiet w zasadzie wydał bogaty rentier Bampur na cześć Erika Penwytha, który wrócił zza grobu czy skądinąd, jak poszeptywano. Oficjalne przyjęcie zorganizowali**

już wcześniej rodzice Erika.

Penwyth pozornie nie zmienił się wiele przez lata służby. Ciągłe wyglądał dość pospolicie, średnio przystojnie i zdawał się nie brać niczego poważnie.

Nikt nie zauważył, że bohater wieczoru pije o wiele mniej niż kiedyś i z uśmiechem odmawia wszystkim, którzy podsuwają mu prochy. Krążył tu i tam, może nieco mniej rozmowny niż kiedyś i bardziej skłonny słuchać innych. Nie odrzucił też żadnego zaproszenia do tańca.

Nie protestował również, gdy na parkiet wyciągnęła go rudowłosa Karo Lonrod.

–Domyślam się, że tylko czekasz, aby wyszeptać mi do perłowego uszka, jakich to bohaterskich czynów dokonałeś – wydyszała, przylepiwszy się zaraz do niego.

–Nie za bardzo – powiedział Penwyth. – Wysłali mnie do jakiejś stacji radarowej na zapomnianej wyspie, gdzie niczego nie widziałem i niczego nie słyszałem.

Odczekałem tylko, aż zapmieszanie się skończy, i wróciłem.

Odsunęła się nieco i spojrzała na niego sceptycznie.

–Myślałam, że zgłosiłeś się na ochotnika do tego tam... zwiadu?

–Krótco tam zabawiłem – stwierdził Erik. – Na mój gust ci zwiadowcy zbyt ryzykowali. Wiesz, niektórzy nawet zginęli.

–Nie, nie wiedziałam – mruknęła Lonrod. – Ale wiem jedno. Nigdy jeszcze nie pojechaliśmy razem do mnie.

–Naprawdę?

–Tak. Masz ochotę to zmienić?

–Jasne – odparł Penwyth. – Mężczyzna nie powinien odrzucać takich zaproszeń, szczególnie gdy jest dżentelmenem.

Zachichotała i już miała coś wyszeptać, gdy Jasith Mellusin dotknęła łagodnie jej ramienia.

–Chyba teraz moja się kolej zająć naszym włóczykijem?

–Właśnie zaczęło nam się ciekawie rozmawiać – powiedziała Lonrod, ale odlepiała się od Erika. – Mogę uznać, że doszliśmy do porozumienia?

–Oczywiście – odrzekł Penwyth. – Szczegóły omówimy później.



**Jasith odtańczyła z nowym partnerem.**

**–Domyślam się, że Karo chodziło o gimnastykę pościelową – mruknęła. – Chce sprawdzić, czego nauczyłeś się w wojsku.**

**–Obawiam się, że ją rozczaruję. Nauczyli mnie tam głównie salutowania i malowania wszystkiego na białą.**

**–Doprawdy? – rzuciła z niedowierzaniem Jasith. – Pamiętam cię jeszcze z czasów, zanim wyszłam za męża, kiedy to... – Urwała i uśmiech znikł z jej ust.**

**–Właśnie, gdzie jest twój mąż? – spytał Erik.**

**–Nie tutaj, rzecz jasna. Jego futrzani władcy mogliby się skrzywić, gdyby spotkał się z byłym żołnierzem.**

**–Cały Loy. Zawsze bardzo ostrożny.**

**Przez chwilę tańczyli w milczeniu.**

**–Nie wiesz, co się stało z Garvinem? – spytała nagle Jasith.**

**–Słyszałem trochę plotek. Jestem pewien, że żyje, chociaż trudno mi powiedzieć, gdzie przebywa.**

**–Rozpytywałam trochę. Dowiedziałam się tylko, że mnóstwo żołnierzy nie wróciło jeszcze do domu.**

**–Jasith, to naprawdę paskudne czasy. Do dziś nie ustalono, co się stało z masą tych, którzy zaginęli jeszcze podczas powstania Raumów.**

**–Wiem – przyznała Jasith. – Ale dlaczego wśród zaginionych jest aż tylu oficerów?**

**–Może dlatego, że nie uczono ich, by się trzymali za swoimi ludźmi.**

**–Może. A może nie.**

**–Może i nie – zgodził się Erik. – Dobrze grają, prawda?**

**–Myślę, Erik, że nie jesteś ze mną szczery.**

**–W żadnym razie. Nie mam tylko nic do powiedzenia.**

**–Wiesz, że nie jestem idiotką – powiedziała Jasith. – Po tacie odziedziczyłam sporo oleju w głowie.**

**–Nie zaczynaj tak poważnie. Wróciłem do cywila z postanowieniem, aby od tej pory wieść beztroskie życie i nic poza tym.**

**–Jasne. Jednak gdybyś wpadł przypadkiem na Garvina, powiedz mu, żeby zadzwonił pod ten numer. – Podała mu świstek papieru. – Odbiorę na pewno ja i nikt inny.**

**Noszę ten aparat zawsze przy sobie, nie ma nagrywania, nikt inny w ogóle nie zna tego numeru. Szczególnie mój mąż.**

**Penwyth lekko uniósł brwi.**

**–Brzmi nader intrygująco.**

**Jasith spojrzała na niego.**

**–Intrygująco? To słowo może znaczyć bardzo wiele.**

**–I znaczy – przyznał obojętnie Penwyth.**

**Od czasu upadku Mahan Ab Yohn zaryzykował tylko dwie krótkie wycieczki do Leggett. Zrobił trochę zakupów, zajrzał do paru barów i restauracji, posłuchał, co ludzie mówią. Zauważył wysyp nowych, niewielkich sklepików i przyjrzał się ich właścicielom. Próbował nawet z nimi pogawędzić, ale byli mało rozmowni.**

**Ciekawe, pomyślał. Może sam powinienem czegoś takiego spróbować?**

**W końcu jednak uznał, że niewiele by z tego miał, a w razie kłopotów nazbyt wystawiałby się na strzał.**

**Poza tym jego najważniejszym klientem był ciągle protektor Redruth.**

**Niemniej był pełen podziwu dla wywiadu Konfederacji, a w każdym razie docenił pomysł. Należało wątpić, czy musthowie okażą się na tyle bystrzy, aby wziąć pod lupę drobny handel.**

**Co innego ich marionetki. Ci wcześniej czy później coś spostrzegą.**

**Wlencing odwrócił się z obrzydzeniem od czterech wielkich V, które sformowali przywiezieni właśnie rekruci, i spojrzał na Daafa.**

**–Czy zachowuję się niewłaściwie, czy też oni nie okazują takiego zapału jak ci, których dostaliśmy wcześniej? – zapytał po cichu.**

**–Wedle akt, które przeglądałem podczas lotu przez układ, chodzi o ich nastawienie. Niewielu przeszło właściwe szkolenie, czy to w gniazdach, czy u swoich mistrzów.**

**Prawie żaden nie brał dotąd udziału w walce. Pełnili co najwyżej służbę wartowniczą. Zauważyłem też coś, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Mogę mówić swobodnie?**

**–Słucham – powiedział Wlencing. – Nie zaszkodzi im, jak pomokną trochę na deszczu.**

**–Większość pochodzi z szanowanych klanów, ale nie wszyscy. Znalazłem chwilę, aby z nimi porozmawiać, i dowiedziałem się, że ich klany wcale sobie nie życzyły, aby zaciągnęli się do oddziałów pod twoim dowództwem.**

**–O jakie klany chodzi?**

**Daaf spojrział na wykaz i podał nazwy.**

**–Dwóch nie znam – rzucił ze złością Wlencing. – Trzy jednak pamiętam. Gdy pierwszy raz tu przybyliśmy, wspierały nasze działania.**

**Wspomniał spotkanie na czwartej planecie. Nie było to wcale tak dawno, a jednak zdawało mu się, że chodzi o odległą przeszłość, tyle od tego czasu popłynęło krwi. Przelotnie pomyślał o poległym synu, ale zaraz odepchnął jego obraz.**

**–Czekają na przemowę – przypomniał Daaf.**

**–Mniejsza z nimi – warknął Wlencing. – Te trzy klany, które wcześniej były z nami i zmieniły nastawienie... Pytałeś, co mówili ich mistrzowie?**

**–Tak. Ogólnie rzecz biorąc, są coraz bardziej przekonani, że to żaden honor służyć tak daleko od naszych światów.**

**–Trucizna sączona przez Senzę – syknął Wlencing. – Już dawno powinniśmy byli coś z nim zrobić. Ale trudno. Nie słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem. A co z wyposażeniem, które dostarczono nam razem z rekrutami?**

**–Jest najlepszej jakości. Przynajmniej tyle.**

**–Dobrze. Ilu nowych ma kwalifikacje pilotów?**

**–Okolo czterdziestu. Ale brakuje im porządnego wykszolenia.**

**–Mianować ich instruktorami i niech wyszukają wszystkich, którzy nadają się na pilotów bojowych. Pozostali... wszyscy pozostali zostaną zwykłymi żołnierzami, niezależnie od tego, co im się marzyło. Gdy już to załatwisz, nawiążesz łączność z Keffą i Senzą. Muszę z nimi pomówić tak szybko, jak tylko się da.**

**Jasith wyczuła nagle wibrację telefonu.**

**Wstała. Jej analitycy spojrzeli zdumieni znad stołu. Pozostali uczestnicy zebrania byli równie zaskoczeni.**

**–Przepraszam – powiedziała, starając się nadać głosowi szczere brzmienie. – Przymyślałam sobie właśnie, że muszę odbyć pewną rozmowę. Proszę mi wybaczyć.**

**Nie czekając na odpowiedź, minęła dwóch ochroniarzy i wyszła pospiesznie na korytarz. W czas, gdyż telefon znowu ożył.**

**Wyjęła go z kieszeni i czym prędzej odebrała.**

**–Jasith Mellusin.**

**–Garvin Jaansma. – Żyjesz!**

**–A tak – odparł dziwnie obojętnie Garvin.**

**–Muszę się z tobą zobaczyć.**

**Cisza.**

**–Nie mogę... Jestem teraz bardzo zajęty.**

**–To, co cię zajmuje, to także moja sprawa. Nie myślałam o niczym innym.**

**Znowu chwila ciszy.**

**–Dobra.**

**–Może w... – Żadnych nazw – przerwał jej Garvin. – Tam, gdzie ostatnio cię widziałem. Jutro wieczorem. Tam, gdzie miałaś być z nim na uroczystym obiedzie. O tej samej porze. Przejdź się po nabrzeżu.**

**–Tak? To niebezpiecznie. Bardzo blisko...**

**–Nie przejmuj się tym.**

**Garvin się rozłączył.**

**Jasith przez chwilę wpatrywała się w telefon, aż w końcu schowała go i wróciła na salę.**

Langnes 889234/Siedziba Keffy – Nazbyt się niepokoisz – powiedział Keffa z gardłowym pomrukiem. – Ci, którzy się wahają albo stracili oddanie dla twojej sprawy, są niegodni być musthami i czerpać korzyści z naszych zdobyczy.

Czekając na odpowiedź z układu Cumbre, zwanego obecnie Redon, obejrzał dwie walki stoczone na jego prywatnej arenie, a nawet kawałek trzeciej.

–Wciąż uważam, że martwię się niebezpiecznie – odparł Wlencing. – Pamiętaj, że przebywam na krańcu zamieszkanego świata i sporo czasu minie, nim odczuję efekty działań, które dopiero zamierzasz przedsięwziąć. Dlatego chcę czegoś już teraz.

Najbardziej przysłużyłoby się nam uciszenie Senzy, o ile oczywiście jest na to jakiś sposób.

Byłbym też bardzo wdzięczny, gdybyście ty i twój klan mogli nam podesłać więcej wyszkolonych żołnierzy oraz sprzętu. Próbowałem skontaktować się z Paumotem, ale usłyszałem, że obecnie jest nieosiągalny. Byłbym zobowiązany, gdybyś przekazał mu moje uszanowanie oraz prośby.

–Możesz być pewien, że zrobię, co mogę, aby ci udzielić wsparcia – powiedział Keffa.

–Chociaż muszę wyznać, że koszty walki oraz wielkość strat wśród żołnierzy nieco mną wstrząsnęły. Niemniej wciąż najważniejsze jest, abyśmy zwyciężyli. To także mój cel. Pamiętaj, nie jesteś sam.

Keffa skinął na asystenta, aby wyłączył nadajnik. Spróbował znów zainteresować się walkami, ale myślami był ciągle gdzie indziej.

Zatem Wlencing nie mógł się skontaktować z Paumotem. Dziwne. Keffie udało się to niecałe trzy dni temu i Paumoto nie wspominał wtedy, że zamierza wybrać się gdzieś w podróż. Czyżby unikał Wlencinga? Co zaś do uciszenia Senzy... Wielu już tego próbowało. Z równym skutkiem można by gasić supernową. Keffa chciałby mieć kogoś kompetentniejszego niż ci dwaj zabójcy, których wcześniej wynajął.

Czyżby Paumoto rozważał zasadność swego zaangażowania w sprawę?

Keffa w to powątpiewał. Gdyby Paumoto uznał, że pora na zmianę stanowiska, poinformowałby o tym współnika.

Ale czy na pewno?

**Może warto samemu wybrać się do tego dziwnego układu? Może dzięki temu zaczęłby lepiej radzić sobie z całą sprawą? Może nawet zrozumiałby zachowanie Paumota?**

Cumbre D Jon Hedley skończył czytać przekład i opuścił kartkę.

–Ciekawy materiał – powiedział. – Ale paru słów nie rozumiem. Na przykład lert.

–W waszej mowie chyba nie ma odpowiednika – stwierdził Alikhan.

–Rzeczywiście – przyznał Froude. – Określenie to nawiązuje zarazem do dumy, uporczywości i rozmaitych innych cnót wojownika. Można się tego nauczyć. Albo odziedziczyć po przodkach, jak uważają mistycznie nastawieni musthowie.

–Dobra – powiedział Hedley. – A krang?

–Prawa, ale nie tylko. To coś więcej – wyjaśnił musth. – Prawa i zwyczaje jednocześnie.

–Kody kulturowe – podpowiedział Froude. – Tyle w każdym razie zrozumiałem z wyjaśnień Alikhana.

–Brahda?

–Los, kariera.

–Następne pytanie. Nie wzywasz ich, aby przeszli na naszą stronę. Dlaczego?

–A czy pan by zdezerterował namawiany przez wroga, który na dodatek jest innej rasy? – spytał Froude.

–Oczywiście, że nie.

–No właśnie.

–Dobrze – mruknął Hedley. – Podoba mi się to, co przygotowaliście. Zajmę się jeszcze paroma drobiazgami technicznymi i pogadam ze starym. Jestem jednak pewien, że się zgodzi.

–Nie próbowałbym was oszukać – powiedział Njangu, a jego głos poniósł się po skwerze.

Issus było pełne rybaków z Dharmy i tuzina pobliskich wysp. Dojść do placu strzegli uzbrojeni żołnierze z kompanii zwiadu, a przenośne wyrzutnie rakiet Shrike i Shadow ustawione na skraju miasteczka tylko czekały, żeby jakiś musth pokazał się w powietrzu.

**–Zamierzamy im odpowiedzieć i będziecie nam do tego potrzebni, głównie jako kurierzy i przemytnicy. Nie sędzę, abyśmy musieli was w tym celu specjalnie szkolić. Ponadto przewidujemy przerzucanie żołnierzy z jednego miejsca w drugie, a z czasem zapewne będziemy też chcieli uzbroić wasze kutry.**

**–A co będziemy z tego mieli? – spytał jeden z szyprów.**

**–Bardzo mało – przyznał Njangu. – Cumbre wolne od musthów, jeżeli warn na tym zależy. W razie pecha zatopioną łódź i martwą załogę. Po ewentualnym zwycięstwie niezmierną wdzięczność rządu.**

**Rozległy się śmiechy i gwizdy. Njangu też się uśmiechnął, odpowiedziała mu kolejna salwa radości.**

**–Widzicie?! Mówiłem, że nie będzie ściemniania! – rzucił ktoś.**

**–Musthowie lubią ryby! – zawołał inny rybak. – To dobry rynek zbytu! – Jasne – powiedział Njangu, opierając się o barierkę ganku. Czuł się całkiem jak wtedy, gdy namawiał swoich ludzi z gangu do skoku, który im nie pasował. – Lubią je tak bardzo, że pewnie chętnie zabiorą was na swoje światy, żebyście ich nauczyli zarzucać sieci.**

**Niektórzy się roześmiali, większość jednak pomruczała coś gniewnie pod nosem.**

**–Albo robili za przynętę, co Njangu?! – krzyknęła jakaś kobieta.**

**To znowu wywołało salwę śmiechu. Większość słyszała, jak Yoshitaro łowił ryby z Milotami. Został wtedy wykorzystany do przywabienia drapieżnego barraco.**

**–Teraz wiecie, dlaczego wybrałem walkę – powiedział – Nie chcę więcej być przynętą. Szczególnie dla obcych. A wy? Myślicie, że jakoś wam się uda i musthowie zostawią was w spokoju?**

**–Nie było jeszcze rządu, który przejmowałby się rybakami! – zawołał ktoś. – Dlaczego banda futrzanych obcych miałaby być inna?! – Życie mnie nauczyło – ciągnął Njangu – że lepiej załatwić napastnika, póki się jeszcze stoi na nogach. Na razie musthowie krążą we mgle. Ale nie są głupi. Z wolna zaczną czuć się tu coraz pewniej, coraz lepiej będą nas poznawać, a my będziemy tkwić coraz głębiej w bagnie. Pomyślcie o tym. Jeśli zechcecie się do nas przyłączyć, nie będziecie sami. W razie potrzeby odezwiemy się do was. Jeśli odmówicie, nie poczujemy się urażeni. Ale nie próbujcie donosić musthom na nas, nie powtarzajcie im, co wam powiedziałem. I milczcie, jeśli zobaczycie, że wasz sąsiad robi coś dziwnego – dodał Njangu tonem pobrzmiwającym groźbą. – Gdyby jednak do tego doszło, zjawimy się tu, żeby z kimś takim porozmawiać. Na pewno tego nie chcecie.**



Zszedł z ganku i zarzucił blaster na ramię. Ktoś w tłumie – zapewne Ton Milot, który już się zaciągnął, albo jego brat, Alei – zaczął wiwatować i porwał za sobą kilkanaście osób, jednak większość milczała. Rozmyślali o tym, co powiedział Yoshitaro, o tym, co już wiedzieli na temat musthów, i o niepewnej przyszłości.

–Znikamy stąd dzisiaj, sir? – spytał twęg Stef Bassas.

Njangu spojrział na opadające ku horyzontowi słońce.

–Nie. Lepiej nie ruszać naszej kupy złomu po zmroku. Daje zbyt duże odbicie, a nie chciałbym nadziać się na aksaia po nocy. Ani kiedykolwiek indziej.

Grierson z załogą czekał pod siatką maskującą jakieś pół kilometra od miasteczka. Była to już czwarta przemowa wygłoszona tego dnia w kolejnej miejscowości i Njangu czuł się zmęczony. Rozmyślnie wybrał Issus na ostatni przystanek, gdyż czuł się tutaj prawie jak w domu.

–Rozbijemy obóz za rogatkami – zdecydował.

–Zaraz poślę ludzi – powiedział Bassas. – Weźmiemy racje z griersona. Może uda nam się dostać jakieś owoce.

–Njangu – rozległ się nagle nieśmiały głos.

Yoshitaro odwrócił się i ujrzał Deirę. Straciła nieco na wadze, odkąd widział ją ostatni raz, ale ciągle wyglądała apetycznie. Jak większość tutejszych kobiet nosiła owinięty wkoło ciała pas materiału, który łatwo odwijał się w potrzebie. Njangu już to sprawdził. Poczul drgnienie w strategicznym miejscu.

–Zostajesz na noc?

–Tak...

Deira uśmiechnęła się – Ze mną?

–Hm... – odparł inteligentnie Njangu, spoglądając na Bassasa. Twęg wpatrywał się w ziemię.

Najpierw twoi ludzie, potem ty, przypomniał sobie Njangu.

–Znajdzie się miejsce i dla twoich ludzi – dodała Deira. – Nie mamy ostatnio wielu okazji do przyjęć i chętnie was ugościmy.

Njangu zauważył, że parę kroków dalej stoi Ton z bratem. Towarzyszył im jakiś mężczyzna z imponującą brodą, zapewne miejscowy autorytet. Patrzył na Yoshitara dość przyjaźnie. Bassas uśmiechnął się na myśl, że nie trzeba będzie naruszać

żelaznych racji.

–Dziękujemy – powiedział Njangu. – Jednak nie możemy pić. Gdyby musthowie się pokazali, musimy być zdolni do czegoś więcej niż tylko do rzucania kamieniami.

–Przekażę wszystkim – odezwał się Ton. – Chętnie czy nie, ograniczą się do wody z sokiem.

Njangu spojrział na niebo, potem na Deirę, pomyślał o służbie, potem o Deirze...

Pieprzyć służbę.

–Dobra. – Świetnie. Niektórym naszym spodobały się dziewczyny z waszej załogi.

–Nie zapominajcie o naszych kobietach – dodała Deira. – Miło jest czasem porozmawiać z mężczyzną, który nie śmierdzi rybą.

–Wielkie dzięki – mruknął Ton.

–Cicho – rzuciła dziewczyna. – Ty jesteś żonaty.

–Wiem – odparł Milot.

–Lupula powiedziała mi, że już zadba, abyś o tym nie zapomniał – powiedziała Deira, biorąc Njangu pod ramię. – Wiesz, mam pewien pomysł. Tylko ty, ja i Babeu – szepnęła mu do ucha. – To ona, tam. Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami. Opowiedziałam jej wszystko o tobie, o nas. Jeśli ci się spodoba, to będzie jak kiedyś, hm? – Deira wskazała na smukłą blondynkę mniej więcej w jej wieku. – Wtedy było świetnie, teraz też chyba nie będziesz się nudził.

–Obawiam się tylko, czy zdążę się zdrzemnąć.

–Bez obaw. Nie zmrużysz oka.

–Wiedziałem, że tak będzie... – mruknął Njangu.

–Chodź – ponagliła go Deira. – Ryba będzie gotowa dopiero za godzinę. Nie marnujmy czasu.

Njangu jęknął.

Następnego dnia czekały go kolejne cztery spotkania, tym razem w wioskach na pogórzu. Miał werbować obserwatorów do służby przeciwlotniczej.

Wylądowali cicho ponad pięćset metrów od stacji przekaźnikowej. Czterech techników rozłożyło pomost z modułami antygravitacyjnymi i przy pomocy żołnierzy

wynieśli go z griersona przez tylny właz, a potem pociągnęli wyżej ku niskim budynkom na wzgórzu. Alikhan i Froude doglądali roboty, chociaż obaj już zrobili, co do nich należało. Froude dostał nawet blaster i ktoś zaczął go instruować, jak używa się tej broni. Matematyk się obruszył. Mógł być cywilem, ale przecież coś jednak umiał.

Ben Dill, który zgodnie z rozkazem pilnował Alikhana, występował w roli pilota griersona i teraz klął, że znowu przyszło mu robić za zająca. dzielnie prowadził ich jednak pod górę.

Na miejscu nie dojrzeli żywej duszy. Dwaj technicy, którzy specjalizowali się w zabezpieczeniach, obejrżeli ogrodzenie.

–Czysto, sir – zameldowali Froudemu. Nie znali jego rangi, ale założyli, że skoro ubiera się tak niedbale, z pewnością musi być szarżą. – Tylko kilka alarmów i zasilanie dla ochrony przed zwierzętami. Już unieszkodliwione, zaraz wytniemy zamek.

Przenieśli masywny nadajnik przez bramę, odczekali, aż technicy otworzą pomieszczenie kontrolne, i wtargali ciężar do środka.

–Dokładnie jak myślałem, sir – powiedział inny technik. – Standardowa robota, żadnych zabezpieczeń. Za piętnaście... może nawet dziesięć minut podłączymy to ustrojstwo.

W zapowiedzianym czasie nadajnik został podłączony do przekaźnika i dostał zasilanie. Nastrojony na główne częstotliwości używane przez musthów, mógł wysłać przekaz na całą planetę i daleko w kosmos. Korzystał ze źródeł mocy samej stacji.

Nieprzypadkowo wybrali do tego celu stację przekaźnikową należącą do „Matin”.

–Jesteśmy gotowi, sir.

–Zaczynać – polecił Froude i sygnał poszedł. Niemal natychmiast trafił do setek odbiorników, tak stacjonarnych, jak i na pokładach okrętów. Nie trzeba dodawać, że krańcowo zdumiał wszystkich odbiorców.

Opuścili zabudowania i potruchtali w dół zbocza do griersona. Odlecieli, zanim ktokolwiek miał szansę się nimi zainteresować.

Nagranie nie zostało może wyprodukowane w pełni profesjonalnie, jedynie przefiltrowany głos przemawiał spokojnie w czystym języku musthów: „Pamiętacie, jak byliście mali, jak wtedy walczyliście, bawiliście się i patrzyliście w gwiazdy, widząc w nich obietnicę?”

**Walczyliście ostro w waszych gniazdach, by dowieść, że jesteście najsilniejsi, najlepsi, najbardziej lert. Zdobyliście, co było możliwe, a potem wyruszyliście w świat. Zostaliście wojownikami, dla których krang jest świętością. Walczyliście ze swoimi braćmi na poligonach, znów dowodziliście swojej wartości. Czasem zaś dawaliście posłuch zewowi krwi i wracaliście ze szkarłatnymi pazurami.**

**Byliście dumni, dzielni, honorowi i pamiętaliście, co to lert.**

**Cóż jednak stało się potem?**

**Ujrzeście ginących braci. Ginących od strzałów w plecy, ginących w zasadzkach.**

**Odpowiedzieliście siłą. Czego broniliście?**

**Potomstwa? Kobiet? A może zgoła niczego?**

**Czy to honorowa walka?**

**Czy przybyło warn od niej lertu?**

**Wielu, zbyt wielu naszych towarzyszy odeszło nie oplakanych. Ciało niektórych gniją po dżungli, inni rozrzucili swe kości po dnie morza... jeszcze inni po prostu zniknęli i nikt nigdy się nie dowie, jak zginęli.**

**Czy będą o nich pamiętać w gniazdach? Czy zapamiętają ich klany? Czy potomstwo zadba o ich honor?**

**A co będzie z wami?**

**Czy młodzi zanoszą modły, aby odziedziczyć wasz lert?**

**A może jak wielu innych zginiecie tutaj na zapomnianej przez wszystkich planecie, w zielonym piekle dżungli?**

**Martwi.**

**Zapomniani.**

**Bez honoru.**

**Może już pora odejść, wrócić na światy, gdzie nasze życie, znaleźć właściwą dla siebie brahdę, nową brahdę dla klanu?**

**Możecie sami o tym decydować.**

**Jesteście wojownikami. Umiecie myśleć.**

**Nieprawdaż?” Wlencing przesłuchał nagranie dwa razy, aż w końcu warknął:**

**–Domyślam się, że to robactwo opanowało naszą stację nadawczą?**

**–Chyba tak – powiedział Daaf. – Nie wyobrażam sobie, żeby Kuoro stracił tak bardzo kontakt z rzeczywistością.**

**–Nie, to nie on – potwierdził Wlencing. – Wysłaliście już kogoś, żeby zabezpieczył stację i zbadał wszystko na miejscu?**

**Daaf zawahał się.**

**–Nie?**

**–Nie. Dowódca eskadry aksaiów zlokalizował nadajnik i ze swoim skrzydłowym zniszczył go z powietrza.**

**Wlencing warknął jeszcze głośniej.**

**–Chcę jego głowy... Nie. Nie mogę go ukarać za zawziętość. Ale niech przez jakiś czas nie pcha mi się przed oczy. Pogadaj też z Kuoro. Może nie mieć nic wspólnego z tym przestępstwem, ale to i tak jego wina. Ukarać go stosownie. Niech zapłaci grzywnę. To chyba zaboli go bardziej niż cokolwiek innego.**

**–Zajmę się tym.**

**Wlencing włączył odtwarzacz i raz jeszcze wysłuchał tekstu. Co ci bandyci mieli nadzieję osiągnąć? Nie wzywali do buntu ani dezercji. Wspominali tylko o śmierci i nicości.**

**Duch wojownika mógł ucierpieć od słuchania takich rzeczy. Wlencing już miał rozkazać, żeby karano każdego zainteresowanego transmisją, ale opanował się. To byłoby głupie. Zakaz przyciągnąłby tylko więcej ciekawskich.**

**Posłuchał ponownie.**

**Wypowiedź była superpoprawna. Żaden człowiek nie byłby do tego zdolny. Na dodatek autor musiał dobrze znać umysłowość musthów. Ludzie przecież nie wiedzą, co to honor. Ale przecież żaden musth nie zgodziłby się pracować dla tych robali. Nie było nawet żadnych meldunków, aby tamci wzięli choć jednego jeńca...**

**Kto więc był za to odpowiedzialny?**

**Jasith chodziła tam i z powrotem po nabrzeżu. Co rusz spoglądała na zegarek.**

**Garvin był już pół godziny spóźniony. Czy w ogóle zamierzał się pokazać?**

Wiatr znad zatoki ciągle niósł woń pogorzeliska bazy Mahan, mimo słońca nie było więc na nabrzeżach nikogo oprócz rybaka, który łatał sieci pistoletem klejowym, i małego Rauma, który od niechcienia czyścił trap.

Jasith nie dostrzegła niewielkiego wybrzuszenia kieszeni szortów chłopca, nie wiedziała więc, że jest uzbrojony, podobnie jak nie podejrzewała, że ma już czternaście lat i podczas powstania służył jako kurier. Nie dostrzegła też ukrytych pod rybackimi sieciami blasterów.

Zaczynała się już złościć, ale przypomniała sobie, że Garvin, wybierając się na spotkanie z nią, zapewne ryzykuje życie..Na dodatek już podczas poprzedniej zawieruchy nauczyła się, że w takich razach mało co przebiega zgodnie z planem. Postanowiła dać mu jeszcze pół godziny.

Z zatoki nadpłynęła lśniąca jasnym drewnem i chromem łódź, prawdziwy zabytek sprzed dwustu albo i trzystu lat. Ciągnąc za sobą spieniony kilwater, zbliżyła się do nabrzeża.

Jasith wystraszyła się, że lada chwila łódź uderzy w kamienie, gdy nagle silnik zamilkł na chwilę, po czym śruba zaczęła się obracać w odwrotnym kierunku. Woda za rufą zagotowała się i łódź zgrabnie zatrzymała się przy odbijaczach.

Ze sterówki wyskoczył Garvin Jaansma w nieskazitelnie białych szortach, takiejż koszuli i kremowym swetrze. Niespiesznie obłożył cumy.

Jasith patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

–Och... Skąd masz tę łódź? – wykrztusiła.

–Jeden z twoich znajomych podarował mi ją dziś po południu. Szykowna, prawda?

Opowiadałem ci o przedstawieniu, które mój cyrk dał kiedyś na wodzie?

Jasith znowu mu się przyjrzała, ale nie potrafiła orzec, czy żartuje, czy mówi prawdę.

Garvin zerknął na staroświecki zegarek zapięty na nadgarstku.

–Trochę późno na lunch – powiedział, jakby był cudem odnalezionym bratem Erika Penwytha. – Ale może masz ochotę na szklaneczkę wina albo herbatę? – Podał Jasith ramię.

–A jeśli trafimy na musthów? Czasem tu zachodzą.

–To byłby pech. Dla nich.

Nie wyjaśnił, że łódź została wyładowana prawie toną materiałów wybuchowych, a detonator spoczywa u niego w kieszeni, rybak i chłopak zaś są tylko dwoma z całego plutonu, który kręci się wkoło hotelu Shelbourne.

Jasith zauważyła, że Garvin zmienił się, odkąd ostatni raz go widziała. Rysy mu się wyostrzyły, oczy zdawały patrzeć gdzieś dalej albo i głębiej i ani na chwilę nie pozostawały nieruchome. Był smuklejszy, poruszał się nieco szybciej, jakby się obawiał, że w każdej chwili może nastąpić na minę.

–Nie przypuszczałam, że będziesz chciał wejść do hotelu – powiedziała. – Ale dwóch moich ludzi sprawdziło już stoliki w restauracji. Nie ma podsłuchu.

Garvin prawie się uśmiechnął. Dlatego właśnie trochę się spóźnił. Jego ludzie zobaczyli ochroniarzy przy pracy, dopadli ich przy wyjściu z hotelu, sprawdzili, z kim mają do czynienia, i upewnili się, czy ekipa Jasith nie założyła własnego podsłuchu.

–Nie musisz się też przejmować moim mężem. Nie zjawi się, żeby zadawać kłopotliwe pytania.

–Wiem. Wlencing zapewnił mu zajęcie na resztę dnia.

–Miałeś z tym coś wspólnego? Myślę o podłączeniu się do przekaźnika „Matin”...

–Szczerze mówiąc nie. – Powiedział samą prawdę, chociaż uważał pomysł Hedleya za genialnie prosty.

–Szkoda – mruknęła Jasith. – W sumie wyszło bardzo zabawnie.

Garvin uśmiechnął się, tym razem otwarcie, i oboje się roześmiali. Miły dźwięk przypomniał mu lepsze czasy.

Jasith umilkła nagle.

–Loy i ja... nie układa nam się ostatnio. – Bezwiednie dotknęła twarzy w miejscu, gdzie mąż ją uderzył. – Następnym razem... jeśli będzie następny raz... na pewno coś z tym zrobię.

Szef sali zaprowadził ich do stolika przy oknie. Nawet drgnieniem brwi nie okazał zdumienia, że widzi Jasith Mellusin z kimś innym niż Loy Kuoro. Shelbourne mógł mieć wiele gwiazdek, ale nie uważano go za najlepszy w mieście, gdyż personel nie stronił tu od plotek.

Jasith zamówiła to samo białe wino co poprzednim razem. Garvin tylko herbatę. – Ślubowałeś czystość? – spytała Jasith.

**–Jestem w pracy.**

**–I dlatego właśnie chciałam z tobą porozmawiać – zaczęła Jasith. – Zrobiłeś użytek z pieniędzy, które ci przekazałam?**

**–Tak. Dziękuję. Bardzo się nam przydały.**

**–Tylko nie mów do czego.**

**–Nie zamierzałem.**

**Sięgnęła do torebki przy pasku i wyjęła błękitną kartę czipową. Podała ją Garwinowi.**

**–Mellusin Mining to wielkie przedsiębiorstwo. Nie tak wielkie jak przed wojną, ale wciąż spore.**

**–Doszedłem już do tego. Jakiś czas temu.**

**–Jedną z rzeczy, o których ojciec nigdy mi nie wspomniał, jest to, że miał na swoje usługi grupę ludzi gotowych zrobić dla niego praktycznie wszystko. Powiedział mi o nich Hon Felps, pierwszy asystent taty.**

**–Wielu bogatych ludzi ma swoją prywatną gwardię. To dla mnie nic nowego.**

**–Zatrzymałam ich. Może wobec tych kłopotów z musthami będą mi kiedyś potrzebni.**

**Ale nie dlatego o nich wspomniałam. Spójrz na tę kartę.**

**Garvin opuścił oczy.**

**–Wygląda jak staromodny klucz hotelowy z numerem pokoju.**

**–Chodzi właśnie o numer. GT937. Zapamiętaj go.**

**–Dobra.**

**–Wszyscy moi zastępcy otrzymali instrukcję, że jeśli zgłosi się do nich ktokolwiek znający ten kod, mają udzielić mu każdej pomocy i dać wszystko, czego zażąda.**

**Wszystko znaczy w tym wypadku dosłownie wszystko.**

**–Aż się prosi o nadużycia.**

**–Hon powiedział, że tak też się zdarzało, ale tylko dwa razy. Nie pytałam o szczegóły.**



Teraz z kolei Garvin przyjrzał się Jasith. Jakby dorosła, wyglądała już na więcej niż dwadzieścia lat, w kącikach ust pojawiły się drobne zmarszczki. Garvin przypomniał sobie jej uśmiech, ale zaraz przegonił romantyczne ciągotki.

–Masz ten numer i gdybyś czegoś potrzebował... Nie wahaj się. Także wtedy, gdybym ja mogła się przydać.

–Dzięki – powiedział Garvin i schował kartę.

–Co z pieniędzmi? Potrzebujesz więcej?

–Chyba nie.

–Gdyby były potrzebne, daj znać.

–Raz jeszcze dziękuję. – Garvin zastanowił się, czy nie powinien powiedzieć czegoś więcej. Uznał, że właściwie nie ma przeciwwskazań. – Zmieniłaś się trochę.

–Wszystko się zmieniło, prawda?

–Tak – powiedział Garvin, ostrożnie popijając gorącą herbatę. – Z pewnością.

Ale pomyślałem o jeszcze jednym. Czasem brakuje nam środków transportu. Mellusin Mining ma wiele statków kosmicznych i frachtowców.

–Tylko powiedz. – Jasith odstawiła kieliszek i pochyliła się ku Garwinowi. – Czy to prawda, że zanim zrobi się lepiej, będzie jeszcze gorzej, o wiele gorzej?

–Tak.

–A co z Konfederacją? Nie zjawią się?

–Pojęcia nie mam. Ale nie oczekiwałbym pomocy z tej strony. Ani z żadnej innej.

–A Redruth?

–Nie będzie chciał zadzierać z całym imperium musthów ani nawet z tymi ich siłami, które mamy u siebie. Na razie nie musimy się więc nim martwić. Zapewne sądzi, że tutaj roi się od obcych, chociaż przyznaję, że też nie rozumiem, dlaczego jest ich ciągle tak mało. Gdybyśmy to my odebrali musthom jakiś układ, zaraz ściągnęlibyśmy tam olbrzymie siły. Pokpiliśmy sprawę, zakładając, że każdy, nawet jeśli nie wygląda jak my, myśleć musi tak samo.

Jasith uśmiechnęła się lekko.

–My, kobiety, wiemy to od dawna.

**Garvin zaśmiał się.**

**–Coś jeszcze? – spytał.**

**Jasith rozejrzała się wkoło.**

**–Szkoda, że nie jesteśmy gdzieś indziej – powiedziała.**

**–A gdzie chciałabyś się znaleźć?**

**Znowu się uśmiechnęła.**

**–Może w tej limuzynie unoszącej się koło obozu Mahan. Albo na kwietnym posłaniu w moim domu.**

**Przygotowując się do spotkania, Garvin kazał na wszelki wypadek wynająć w hotelu pokój, z którego dałoby się bezproblemowo ulotnić. Ale mógłby... mógłby go też wykorzystać do innych celów. Omalże tego nie powiedział. Opanował się w ostatniej chwili.**

**–Miło, że tak mówisz. Też ciepło wspominam tamte chwile. – Wyjął pieniądze z kieszeni i położył na stole. – Może... następnym razem. – Pochylił się, pospiesznie pocałował ją w usta i zaraz wyszedł.**

**Jasith sięgnęła po kieliszek, ale straciła ochotę na wino. Wstała i spojrzała przez okno na Garvina, który podszedł szybkim krokiem do łodzi, zdjął cumy i zapalił silnik. Za rufą pojawiła się piana i łódź odbiła od nabrzeża. Ruszyła całą naprzód, unosząc wysoko dziób.**

**Jasith patrzyła za nią, aż zniknęła na wschodzie, za mgiełką... Po chwili zorientowała się jednak, że to żadna mgła, ale łzy. Znalazła w torebce chusteczkę, osuszyła oczy i twarz, sprawdziła makijaż i wyszła.**

**Kelner i pokojówka składająca serwetki przy stoliku obok wyjścia poczekali, aż gość zniknie za progiem. Dopiero wtedy dziewczyna sięgnęła po mały telefon.**

**–Oboje czyści – powiedziała. – Żadnych ogonów ani pluskiew, spokój. Zwijamy się.**

**–Ciekawe – powiedział Njangu. – Mamy więc Mellusin Mining w kieszeni. Trzeba ich tylko odpowiednio wykorzystać. – Spojrzał sceptycznie na przyjaciela. – Dobrze się sprawiłeś, braciszku. Gdybym nie przeczytał meldunku zespołu, chyba bym sobie coś pomyślał.**

**–Dostrzegł, że Garvin lekko się skrzywił. – Rozumiem, że to delikatna sprawa.**

**Przepraszam, nic nie mówiłem.**

**–Być może robię się nadwrażliwy, ale... Nie wiem, co to było. A raczej czego nie było...**

**–Jeszcze raz przepraszam, że wściubiam nos. A jeśli jesteś zainteresowany, mam tu małą i wredną robótkę. Wejść, postrzelać i wyjść. Wynik naszych peregrynacji sprzed paru tygodni, gdy chcieliśmy dopaść Wlencinga, który niestety nie zatańczył, jak nam się marzyło. Wiedziałem jednak, że coś jeszcze będziemy z tego mieli. – Lir wpadła na jakiś pomysł? – Żadne takie. To moja impreza i jeśli chcesz się przyłączyć, to jako mój podwładny. A nawet zwykły żołnierz. Jesteś dostatecznie umięśniony.**

**–Tak jest, sir. Daj mi szansę, to pociągnę z tobą ten wózek.**

**Prawdę mówiąc, Njangu tego nie wymyślił. Zaczęło się od pewnego małżeństwa, które postanowiło zatrudnić się u musthów. Wyjeżdżając do roboty, wzięli ze sobą nieco baloników z metalizowanej folii oraz puszki z gazem do ich napełnienia.**

**Przygotowali sobie całą opowieść o urodzinach, na które nikt nie przyszedł, ale ku ich rozczarowaniu obcy tylko rzucili okiem na ich bagaż, a balony zignorowali. Przeoczyli też ukryty w rączce jednej z walizek mały odbiornik nastrojony tylko na jedną częstotliwość.**

**Zespół Njangu został wysadzony z griersona jakieś dwie godziny marszu od bazy.**

**Składał się z sześciu zwiadowców oraz dziesięciorga ludzi z kompanijnego plutonu wsparcia. Każde niosło lekki moździerz i pakunek z pociskami.**

**Zaszyli się w znalezionej przez Njangu norze i nie wychodzili z niej do zmroku następnego dnia. Gdy zrobiło się ciemno, zjedli coś i umyli się w pobliskim strumieniu.**

**Njangu sprawdził kierunek wiatru. Jak zwykle o tej porze dmuchało z południowego zachodu, z szybkością około czterech węzłów. Idealnie. Jak zawsze też mgła wisiała nad całą okolicą, ograniczając widoczność ledwie do dziesięciu metrów.**

**Posługując się kompasem, zespół znalazł wybrany przez Njangu punkt tuż za niskim wzgórzem. Dwieście metrów dalej, po drugiej stronie pagórka, przebiegało strzeżone i naszpikowane czujnikami ogrodzenie.**

**Korzystając z pomocy SatPosu, ustawili moździerze, obciążyli ich podstawy workami z piaskiem i ustawili celowniki. Strzelać mieli według wcześniej ustalonych namiarów.**

**Uzbroili po trzy pociski na lufę, dokonali jeszcze paru drobnych poprawek i bateria była gotowa do otwarcia ognia.**

Garvin przycisnął guzik nadajnika i odbiornik w obozie pisnął raz. Kobieta, która go trzymała, rozejrzała się raz jeszcze po baraku dla pewności, że wszyscy poza nią i jej partnerem śpią, przekręciła rączkę przy walizce i poczekała na następne piśnięcie. Wówczas oboje czym prędzej napełnili balony i otworzyli okno.

Szesnaście srebrzystych baloników wzniosło się nad barakami i poszybowało w kierunku lotniska.

Njangu odczekał dziesięć minut i poklepał dwoje zwiadowców po plecach. Ci przemknęli pochyleni do piechociarzy, przekazali co trzeba i zaraz wrócili.

Artylerzyści, którzy trzymali już pociski nad wylotami luf, teraz je puścili.

Moździerze wystrzeliły niemal równocześnie i pociski poszybowały stromym torem ku bazie musthów. Jeszcze były w powietrzu, kiedy oddano drugą i trzecią salwę.

Gdy rozryczały się syreny, zespół złożył już moździerze i zbierał się do ewakuacji. Odchodząc, ludzie pilnowali, aby mieć wzgórze między sobą a bazą.

Njangu musnął przełącznik trzymanego w kieszeni mininadajnika i na krzakach zapaliły się na kilka sekund światełka wytyczające drogę ucieczki. Po chwili wypaliły się na popiół, ale zespół szybko i bez kłopotów dotarł do griersona.

Pociski, które spadły na bazę, postawiły wszystkich musthów na nogi. Na podstawie toru ich lotu szybko wyliczono, skąd zostały wystrzelone, i bateria rakiet kilkoma salwami zamieniła drugą stronę pagórka w piekło płomieni.

Piloci biegli już do stojących we mgle aksaiów, wyntów i velvow, obsługa techniczna zapalała silniki. Wszyscy mieli czym prędzej wystartować, aby uniknąć zniszczenia na ziemi.

Wtedy ogłoszono alarm lotniczy. Radary wskazywały, że nad bazę przedarły się nieznane maszyny, które zapewne wybierały sobie właśnie cele. Mgła nie pozwoliła dostrzec, że alarm wywołały urodzinowe baloniki.

Wciąż jeszcze można było uniknąć katastrofy, jednak większość pilotów była niedoświadczona i słabo wyszkolona, na dodatek wycie syren i bezładna gadanina w eterze zamieszały im w głowach. W panice zaczęli startować na oślep, byle wyżej ku niewidocznemu niebu. Niektórzy piloci mimo gęstej mgły przestali nawet zwracać uwagę na ciągle mało im znane instrumenty.

Najpierw aksai uderzył w velva, który eksplodował. Po chwili doszło do następnych kolizji. Kontrolerzy lotów ochrypli od wrzasków, co jednak nic nie dało, wręcz odwrotnie. Mimo ich wysiłków kolejne maszyny wpadały na siebie, piloci tracili orientację i krążyli bezradnie albo kraksowali na ziemi czy budynkach. Lotnisko

rozkwitło pożarami.

Zespół, który narobił całego tego zamieszania, był już nad morzem, w połowie drogi na Mullion, gdy operator systemów walki radioelektronicznej maszyny prowadzącej zameldował, że mają musthów na wyższym pułapie. Jednak do tego czasu pojazdy były już bezpieczne pod osłoną zhukowow.

A potem zniknęły.

Musthowie ponieśli ciężkie straty i musiały minąć dwa dni, nim lotnisko doprowadzano do jakiegoś takiego porządku.

Najboleśniej jednak nie były straty wśród personelu i w sprzęcie, ale szkody poczynione w morale wszystkich musthów.

Gdy Grupa przygotowała kolejną audycję propagandową i wysłała zespół, który miał ją puścić w eter, okazało się, że musthowie nie są tacy głupi. Stacja przekaźnikowa, którą wybrano, była zaminowana, chociaż wcale nie należała do Loya Kuoro. Zginęło trzech techników, dwie osoby były ciężko ranne, a wszyscy ledwie zdążyli się ewakuować, nim przybyli musthowie.

–Spróbowaliśmy o jeden raz za wiele, przyjacielu – powiedział Froude.

–Musi być jakiś skuteczniejszy sposób – stwierdził Alikhan.

–Skombinujmy gdzieś zgniłe mięso i zaprośmy Ann Heiser – powiedział matematyk.

–Może z jeszcze jednym naukowym umysłem wypichcimy coś odpowiedniego.

Odpowiednio ukształtowany ładunek teleksu przylgnął gładko do ciężkich wrót stojącego w Leggett największego więzienia w całym układzie. Dwóch spoconych Raumów skoczyło na bok. Ktoś włączył alarm w więzieniu, ale było już za późno.

Eksplozja wyrwała z zawiasów jedno skrzydło bramy i powyginała drugie.

Z biurowca naprzeciwko wybiegli Raumowie z wyrzutnią rakiet i odpalili po kolei dwa pociski, które trafiły w bramę wewnętrzną.

Jedna z wieżyczek strzeleckich na murach obróciła się w stronę atakujących, ale inna grupka, z działkiem, zasypała ją natychmiast pociskami, które po chwili przedarły się przez kuloodporne podobno szkło. Obsługa zginęła. Zamysł zlikwidowania strażników wzbudzał pewne kontrowersje u planujących akcję, ale ostatecznie pewien cyniczny Raum stwierdził, że nikogo nie obchodzi los klawiszy, choćby nawet byli braćmi.

**Kolejna rakietą przebiła drugą bramę i wejście stanęło otworem.**

**Sekcja z wyrzutnią usunęła się z drogi i do ataku ruszyło siedemdziesięciu pięciu zahartowanych w boju Raumów. Na czele biegła Jo Poynton, ale ktoś podciął jej nogi, gdy z więzienia zaszczekały karabiny maszynowe i padły pierwsze szeregi atakujących.**

**Kolejna rakietą trafiła w główny budynek, zabijając strażników z ciężkim blasterem na trójnogu. Po chwili Raumowie byli już na terenie więzienia.**

**Poynton skłęła mężczyznę, który uratował jej życie, i pobiegła przez dymiące ruiny.**

**Znalazła trzech żywych ze swojej grupy specjalnej i zdjęła z pleców mały pakunek z ładunkami wybuchowymi. Dała znać ludziom, aby przzerwali na chwilę ogień, i podbiegła zygzakami do budynku administracyjnego. Cisnęła ładunek i przypadła do ziemi, nim eksplodował. Gdy wywalił drzwi, cisnęła do środka granat i skoczyła w dym.**

**Rozległy się wrzaski, a potem wołania: „Dość, dość! Poddajemy się”!**

**Poynton ze swoimi biegła już dalej, do dyżurki z mechanizmami zamykania cel.**

**Wiedziała, co należy nacisnąć – jeden ze strażników dwa tygodnie wcześniej przeszedł na ich stronę i Poynton mogła przeciwiczyć wszystko na kartonowych atrapach.**

**Zaniepokojeni więźniowie usłyszeli nagle nagrany głos: „Uwaga, odsunąć się od drzwi. Otwieramy cele...”, a potem jak najbardziej żywy głos kobiety:**

**–Wszystko otwarte! Kto chce na wolność, może uciekać! Szybko!**

**Większość więźniów posłuchała, ale znaleźli się i tacy, którzy uznali, że to podstęp strażników zamierzających zastrzelić ich przy próbie ucieczki. Ci pozostali w celach. Tłum wysypał się na ulicę. Większość stanowili zwykli kryminaliści.**

**Raumowie przepatrywali wybiegających w poszukiwaniu więźniów politycznych, jednak w zamieszaniu wielu przeoczyli. Część sama znalazła potem schronienie w Leggett, niektórzy zostali zatrzymani przez patrole policji albo musthów.**

**Tych parunastu, którzy nie chcieli uciekać, zostało niestety rozstrzelanych następnego dnia w odwecie za najazd na więzienie.**

**–Po trochu dobierzemy się im do skóry – powiedziała Poynton podwładnym.**

**Ted Vollmer rozgryzł z cierpiętniczą miną środek przeciwko nadkwasocie,**

zastanowił się, czy nie rzucić tej posady, ale przypomniał sobie, jak bardzo ma obciążoną hipotekę oraz że musthowie myślą o tym, aby wysłać wszystkich bezrobotnych do kopalni, i spróbował mimo wszystko spojrzeć nieco przyjaźniej na Loya Kuoro.

–Tak, będziemy nadal prowadzić własną politykę, jeśli chodzi o serwisy – ciągnął jego szef. – Nie pozwolimy tym renegatom i bandytom, aby nam dyktowali, o czym mamy mówić.

–Czyli nie będziemy dawać prawdziwych wiadomości? – bardziej stwierdził, niż spytał Vollmer.

–Tak bym tego nie określił, ale owszem, powinniśmy zrewidować nasze podejście do pewnych treści. Musimy na przykład położyć większy nacisk na osiągnięcia naszych sojuszników, ograniczyć zaś czas poświęcany różnym pożałowania godnym zajęciom.

Najlepiej przesuniemy je do drugiego wydania dziennika i umieścimy w specjalnym dziale, który możemy nazwać „Kronika policyjna”. Myślę też...

Co właściwie myślał w tej chwili Loy Kuoro, pozostało tajemnicą, gdyż z hukiem otworzyły się drzwi windy i do biura wpadło pięć zamaskowanych osób z blasterami w dłoniach.

Jeden z napastników w czarnych kominiarkach zaczął coś krzyczeć i Vollmer po chwili pojął, że to nie mężczyzna, tylko kobieta.

–Nie ruszać się, bo zastrzelę! Zostać na miejscach!

Vollmer spociał się ze strachu i błyskawicznie zrozumiał, dlaczego świadkowie zbrojnych napadów tak często robią głupstwa.

–Kim jesteście?! – krzyknął Kuoro. – Co robicie w moim gmachu?

Niespodziewanie wyszarpnął skądś mały pistolet, którego Vollmer nigdy u niego nie widział. Dwóch napastników zaraz skierowało na niego blastery.

Wtedy Ted Vollmer zrobił coś, za co miał się przeklinać przez resztę życia.

Pchnął szefa na szafę z aktami tak silnie, że Kuoro, uderzywszy silnie głową o mebel, upadł nieprzytomny, wypuszczając pistolet.

Dziwne, ale żaden z napastników nie próbował zastrzelić Vollmera, a jeden nawet się roześmiał.

**–Nie ruszać się – padło znowu, tym razem na spokojnie.**

**Trzech napastników pobiegło przez biuro w kierunku studia.**

**Winda syknęła i wypuściła kolejnych zamaskowanych ludzi z bronią.**

**Oni też pobiegli do studia.**

**Kuoro jęknął. Vollmer zauważył, że dwóch pilnujących gabinetu nie patrzy akurat w jego stronę, i starannie wymierzywszy, kopnął szefa w głowę. Włożył w to prawie wszystkie siły i Kuoro ponownie stracił przytomność, a Vollmer poczuł zadowolenie, że dobrze wypełnił swój obowiązek.**

**W studiu Garvin Jaansma wycelował broń w trzy osoby, które nadzorowały przekaz, a Monique Lir podeszła z blasterem do dziewczyny z obsługi technicznej i podała jej dysk.**

**–To ma iść. Teraz.**

**Pani technik pokiwała głową i wsunęła dysk do odtwarzacza.**

**Obraz na wszystkich holomonitorach w studiu zamigotał.**

**Najpierw pokazała się sylwetka mustha, która ustąpiła miejsca zielono-biało-brązowej fladze Cumbre. Coś zagrało krótko i ucichło, a potem ktoś powiedział z namaszczeniem: „Mówi głos Wolnego Cumbre. Opanowaliśmy budynek «Matin», aby nadać tę audycję.**

**Mieszkańcy Cumbre, wypadło wam żyć pod twardym butem musthów. Jednak nic nie trwa wiecznie. Wielu spośród nas walczy już z okupantem.**

**Walczymy najlepiej, jak możemy. Umiemy budować bomby i ciskać nimi w znieprawionego wroga. Mamy też karabiny i nie boimy się ich używać.**

**Wielu z nas zostało zmuszonych do pracy w fabrykach obcych... ale oni wiedzą przecież, że czasem bolec wciśnięty nie tam, gdzie trzeba... albo nie wciśnięty w ogóle... może zniszczyć najlepszą maszynę, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń.**

**Jeszcze inni nadzorują wysyłanie różnych towarów na planety musthów albo tylko je dźwigają. Czasem wystarczy zmienić manifest ładunku, a cały transport przesyłany jest gdzie nie trzeba albo nawet ginie w jakimś porcie tranzytowym.**

**Dzielni chłopcy i dziewczęta rozwieszają plakaty przekazujące nam prawdziwe wiadomości, których nie znajdziemy w kontrolowanych przez obcych holo.**



**Nauczyciele tych dzieci nie boją się mówić im prawdy i za nic mają papkę podsuwaną przez musthów.**

**Niektórzy z nas nie mogą zrobić nic takiego, ale nawet oni zdolni są do najprostszego protestu. Nie odzywajcie się do musthów, chyba że was do tego zmuszą. Jeśli dostrzeżecie coś dziwnego, nie meldujcie o tym. Nie rozpowszechniajcie plotek. Jeśli narzucono wam dzielnicowego, utrudniajcie mu robotę jak to tylko możliwe. Jeśli ktoś z was sam jest dzielnicowym, niech pamięta, co powiedziałem na początku: nic nie trwa wiecznie.**

**Wcześniej czy później wyrzucimy musthów z Cumbre, a wtedy rozliczymy się z tymi, którzy współpracowali z okupantem i donosili na swoich.**

**Jednak nie jest jeszcze za późno, aby ci, którzy ulegli namowom obcych, naprawili swój błąd i zerwali kolaborację.**

**Wojna jeszcze się nie skończyła.**

**Nie skończyła się i nie skończy, dopóki ostatni musth nie zostanie wypędzony z Cumbre.**

**Cumbre było wolne i znowu takie będzie!**

**Niech żyje Wolne Cumbre!” Zanim transmisja dobiegła końca, napastnicy opuścili budynek windą, zostawiając tylko po jednym człowieku w biurze i w studiu. Byli to Garvin i Lir, którzy wbiegli schodami przeciwpożarowymi na dach, gdzie czekał na nich cywilny ślizgacz.**

**Rzucili się do środka i ślizgacz na maksymalnej szybkości pomknął między budynkami, po czym zniknął w mroku nad zatoką.**

**Loy Kuoro doznał wstrząsu mózgu i przez tydzień wracał do zdrowia w swojej posiadłości. Niestety, jego małżonka była akurat zbyt zajęta problemami związanymi z Cumbre C, aby spędzić z mężem tyle czasu, ile by chciała.**

**–Może nasza polityka nie jest jednak dość przemyślana – zaryzykował sugestię Daaf. – Wygląda na to, że niezbyt nam się wiedzie z zaprowadzeniem spokoju.**

**Wlencing zjeżył sierść i zgromił adiutanta wzrokiem. Oczy miał przekrwione.**

**–Nasza polityka... moja polityka została bardzo starannie przemyślana. Nie widzę powodu, żeby cokolwiek w niej zmieniać. Nie możemy dopuścić, aby to robactwo uznało nas za skłonnych do ustępstw. Za tchórzy. Musimy kontynuować ten kurs, tylko będziemy jeszcze surowsi!**

**–To chyba jesst to, o co chodzi – powiedział Alikhan, po raz pierwszy przeciągając „s”, jak jego pobratymcy. – Mamy odpowiedź.**

**–Na co? – spytał mil Hedley, rozszerzając ujęcie na ekranie wideofonu. Danfin Froude prawie leżał na krześle obok przewróconej szklanki. Na podłodze chrapał Ben Dill. Jedna Ann Heiser wyglądała na trzeźwą.**

**–Chyba już wiemy, jak zakończyć tę cholerną wojnę – oznajmiła i czknęła potężnie.**

–Bardzo się zaprawili, że na to wpadli? – spytał Njangu.

–Bardzo – odpowiedział Hedley. – W trzy trupy.

–Stary to kupił? – zaciekawiał się Garvin.

–Tak. I obiecał nam pośmiertnie awanse.

–Dlaczego mamy ukraść właśnie ten okręt macierzysty?

–Alikhan twierdzi, że to przestarzały model i dlatego przeważnie stoi na Cumbre C i jest słabo pilnowany.

–Ale zatankowany i gotowy do startu?

–Podobno tak. Tyle że pewnie bez kompletu map i zaprowiantowany tylko do lotów wewnętrznych.

–Musimy więc wziąć jedzenie, wodę...

–Wody nie – powiedział Hedley. – Krąży tam w układzie zamkniętym.

–Ludzie mają pić siki musthów?

–Muszą się poświęcić.

–Dobra – stwierdził Garvin. – Przy odrobinie szczęścia przejmujemy ten okręt, ładujemy się i co dalej?

–Korzystamy z map, które już wykradliśmy, i lecimy z wizytą.

–Do kogo?

–Jest pewien przywódca musthów zwany Senza. Uchodzi za ich naczelnego pacyfistę, a w każdym razie twierdzi, że jeszcze nie pora na konflikt z ludźmi. Alikhan studiował jego nauki. Musthowie nie są przesadnie zgodni w opiniach. Chyba tylko część przywódców klanów wspiera naszych okupantów.

–To pogadamy sobie z Senzą – powiedział Njangu. – Co nam to da?

–Alikhan twierdzi, że mając w ręku dowody na katastrofalny rozwój sytuacji w układzie Cumbre, Senza użyje swoich wpływów i doprowadzi do odwołania Wlencinga. Wedle naszych kryteriów jest kimś w rodzaju zawodowego dyplomaty. –

**Czy to, że Alikhan jest synem Wlencinga, ma tu jakieś znaczenie?**

**–Chyba dodaje mu wiarygodności. Tak czy owak, Senza od lat toczy wojnę z jastrzębiami musthów i korzysta z każdej okazji, żeby wziąć ich na krótszy łańcuch. Alikhan przypuszcza, że możemy dać mu taką sposobność, w wyniku czego dojdzie do zawieszenia działań wojennych, a potem zapewne i do jakichś rozmów pokojowych – powiedział Hedley.**

**–Musthowie chyba jeszcze pamiętają, jak się dla nich skończyła poprzednia wojna z Konfederacją – mruknął Garvin.**

**–Oby, bo inaczej Alikhan wyjdzie na ostatniego błazna – stwierdził Njangu. – Czy pomyśleliście, co będzie, jeśli te mapy, które zdobyliśmy, nie zaprowadzą nas do Senzy?**

**Szczyście szczęściem, ale...**

**–Pomyśleliśmy – przerwał mu Hedley. – Wylądujemy gdzieś po drodze i pošlemy Alikhana, żeby poszukał sklepu z mapami.**

**Njangu spojrział na Hedleya z niedowierzaniem.**

**–Co proszę...? No dobrze. Wracajmy zatem do naszych baranów. Domyślam się, że załogę skompletujemy ze zwiadowców?**

**–Dobrze się domyślasz.**

**–A po starcie będziemy zabawiać Alikhana i parzyć pilotowi kawę?**

**–Właśnie. Weźmiemy też Bena Dilla i wszystkich, którzy mają choć minimalne doświadczenie w lotach kosmicznych. Łącznie jeszcze z piętnaście osób.**

**–Za mało – stwierdził Garvin.**

**–Reszta kompanii i tak będzie miała dość roboty – jęknął Hedley. – Mamy tu wojnę, panowie, i nie mogę oddać wam zbyt wielu ludzi tylko dlatego, że chcecie się bawić w kawalerię kosmiczną.**

**–Mniejsza z tym – powiedział Njangu. – Wiem, gdzie możemy znaleźć załogantów.**

**–Nie podoba mi się tylko sam początek planu i pomysł, żeby wykorzystać ostatniego aksaia do pozoracji. Łatwo może nam się wszystko posypać.**

**–Masz lepszy pomysł? – spytał Hedley.**

**–Owszem. Dysponujemy pewnym zapleczem, niech no tylko nasz przystojny**

kolega...

–Chwilę – zaprotestował Garvin. – Żadne chwilę, tylko pod prysznic, kwiatek w klapę i do roboty... sir.

–To podniecające – powiedziała Karo Lonrod, gdy Erik Penwyth łagodnie posadził ślizgacz pod rezydencją Jasith Mellusin. – Nigdy jeszcze nie byłam zasłoną dymną.

–Na pewno ci się uda – stwierdził Erik.

–Albo nie. Jak myślisz, jest coś jeszcze między Garvinem a Jasith?

–Co na przykład?

–Coś związanego z wojną... Co wyjaśniałoby też, dlaczego jesteś taki tajemniczy w kwestii tych swoich wyjazdów i przyjazdów i dlaczego ojciec dał ci w zeszłym tygodniu czek na naprawdę pokaźną sumę.

–Wojna już się skończyła.

–Jestem grzeczną dziewczynką i też tak mówię. Ale mogę przestać być grzeczną.

–Czasem zastanawiam się... – zaczął Erik, ale przerwał z ulgą, widząc, że Jasith z mężem wychodzą przed próg. Jasith przelotnie ucałowała Loya i pobiegła do ślizgacza. Erik opuścił szybę.

–Szkoda, że nie możesz zabrać się z nami, chłopie! – zawołał. – Ta wystawa to jest coś!

Kuoro uśmiechnął się sztucznie i wrócił do domu. Jasith wśliznęła się na tylne siedzenie.

–Ruszaj! Słowo daję, mój mąż z każdym dniem bałwanieje coraz bardziej.

–Dokumenty – powiedział pierwszy musth, podczas gdy drugi, z blasterem gotowym do strzału, cofnął się o krok.

Njangu lewą ręką wyciągnął powoli kartę z kieszeni. – Dokumenty – powtórzył obcy. Zapewne było to jedyne słowo, jakie znał w języku ludzi.

Gruba tuba, którą Njangu trzymał w prawej dłoni, huknęła głucho i musth zakrztusił się krwią. Njangu cisnął pusty jednostrzał w oczy drugiego, odkopnął jego blaster na ułamek sekundy przed strzałem, przykucnął i skoczył, mierząc czołem w głowę żołnierza.

Musth syknął i odruchowo machnął łapą, rozdierając Njangu przedramię.

Yoshitaro obrócił się bokiem do obcego, dwa razy kopnął go w żebra i cofnął się nieco, gdy przeciwnik rzucił się na niego. Zablokował cios mustha, i pod jego gardą uderzył w krtań. Coś chrupnęło. Obcy zachwiał się, upadł i więcej już się nie poruszył.

–Dobrze – powiedziała Jo Poynton, wyrastając jak spod ziemi. – Poradziłeś sobie, zanim zdążyliśmy wystrzelić.

–Ale i tak dzięki za wsparcie – powiedział Njangu, patrząc na rozpełzającą się po rękawie ciemnoczerwoną plamę. – Chyba muszę pogadać z naszą sekcją fałszerstw.

Karta ze stołówki to chyba jednak za mało. Daj mi jakiś bandaż, zanim więcej tego towarzystwa przylezie. I jakieś piwo.

Dziwnie było umawiać się na przyjęcia wczesnym popołudniem, ale cumbryjskie wyższe sfery przekonały się już, że godzinę policyjną wszyscy, nawet rentierzy, powinni traktować bardzo poważnie.

Penwyth, Lonrod i Jasith weszli do małej galerii, gdzie Jasith na wstępie kupiła dwa obrazy, po czym wszyscy troje zostali zaproszeni przez właściciela i autora wystawianych prac na zaplecze. Obaj mężczyźni wywodzili się oczywiście z Grupy Uderzeniowej i w razie czego gotowi byli przysiąc, że znają swoich gości od zawsze.

Na zapleczu czekał Garvin Jaansma.

–Wrócimy za dwie godziny – powiedział.

–A dlaczego nie za trzy? – spytał Erik.

Garvin spojrzał na niego zdumiony i wzruszył ramionami.

–Niech będą trzy.

Poprowadził Jasith do bocznych drzwi.

–Ciekawe, dlaczego Erik nalegał, żebym wrócił później?

–Myślałam, że jesteś bardziej domyślny – powiedziała Jasith. – Jak sądzisz, co zdaniem Karo kombinujemy?

–Aa...

–Każdy z czasem dorasta – mruknęła Jasith. – W każdym razie tak słyszałam.

Garvin upewnił się, że nie mają ogona, i zabrał Jasith kilka przecznic dalej do dzielnicy bogatych sklepów, a dokładniej na zaplecze salonu meblowego. Zamknął za

sobą drzwi i sprawdził tylne wyjście.

Jasith patrzyła na jego manewry z obszywanej złocistymi koronkami pufiastej kanapy.

–Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała.

–Potrzebuję jednego z twoich statków, żeby dostarczył parę osób na Cumbre C.

–Masz go.

Garvina zdziwiła trochę ta natychmiastowa zgoda.

–I jeszcze twojej limuzyny.

Jasith pokiwała głową.

Tym razem wyjaśnił jednak, po co jest mu potrzebny taki reprezentacyjny pojazd.

–Możemy zrobić jeszcze lepiej – powiedziała. – Zorganizuję spotkanie z musthami i dzięki temu wylądujemy od razu w samej bazie.

Garvin zauważył, że powiedziała „my”.

–A co będzie z tobą, jeśli dojdzie do strzelaniny? – spytał.

–To nie problem – odpowiedziała beztrąsko. – Możesz mnie związać... Powiem potem, że zostałam porwana. Nie przejmuj się mną. Ciągle jeszcze zostało im nieco szacunku dla właścicielki Mellusin Mining.

Garvin niezbyt w to wierzył, ale nie zaprotestował.

–To wszystko, czego chciałeś?

–Tak... Nie! Chcę cię pocałować.

–Dzięki niebiosom – mruknęła Jasith. – Zaczynałam się już zastanawiać, czy coś z tego będzie. – Powoli... mamy dobre dwie godziny. Chcę mieć co zapamiętać.

–A co potem? – spytała Poynton.

–Wasi ludzie razem z moimi żołnierzami wrócą pojedynczo do kopalni i będą udawać niewiniątka.

–Ranni?

**–Jeśli będą mogli chodzić albo da się ich ponieść na noszach, też do kopalni.**

**Podeślemy im ekipę medyczną. Pozostali... będą musieli zostać i czekać na musthów. Jak to na wojnie. Jeśli chcesz, możemy wydać truciznę.**

**Poynton uważnie spojrzała na Yoshitara.**

**–Dobrze cię nauczyliśmy, jak prowadzić taką walkę, co?**

**–Owszem. Chociaż podstawowe wykształcenie zdobyłem na pewnej zapyziałej planecie zwanej Waughtal.**

**–A co będzie ze mną? Utknę na Cumbre C?**

**–W żadnym razie. Jesteś potrzebna tutaj. Przerzucimy cię, gdy się uspokoi, zapewne na jednym ze statków Mellusin Mining, razem z moim zespołem. Jeśli zechcesz, oczywiście. Ja uważam, że lepiej byś zrobiła, zabierając się z naszym nitrzastym przyjacielem. Ciągłe jesteś członkiem rządu i należysz do prawdziwej Rady. Gdyby plan Alikhana się powiódł, mogłabyś podjąć rozmowy w imieniu Cumbre.**

**Poynton spojrzała na niego krzywo.**

**–Nie jesteś trochę za młody, żeby się bawić w międzygwiazdowego dyplomatę?**

**–Czytałem gdzieś, że polityka nie znosi próżni. Dlaczego nie wykorzystać sposobności? Tak chyba lepiej, niż czekać, aż rentierzy ruszą dupy. Poza tym co to znaczy młody, hę? Masz tylko parę lat więcej niż ja.**

**Poynton roześmiała się.**

**–Zapomniałam, że jesteś jednym z tych, którzy nie odróżniają szpadla od łopaty.**

**Chciała jeszcze coś powiedzieć, gdy bezceremonialnie wszedł jakiś Raum i zaczął jej coś szeptać do ucha.**

**Njangu skończył piwo i rozejrzał się. Byli jakieś dziesięć metrów pod ziemią w długiej i niskiej piwnicy ze starannie wymurowanymi kamiennymi ścianami, sklepieniem i posadzką. Wchodziło się do niej po wąskich schodach ukrytych wśród ruin. Po bokach otwierały się przejścia do innych pomieszczeń. Były tu sypialnie, łazienki i warsztaty. Poynton powiedziała mu, że kiedyś ukrywał się tutaj zespół planowania Ruchu i że bombardowania tylko pomogły w maskowaniu.**

**Było tu czysto, klimatyzacja działała bez zarzutu. Ktoś mógłby pewnie dostać ataku klaustrofobii, ale nie Njangu, którego żywiołem były wąskie uliczki i noc.**



**Raum skończył i wyszedł pospiesznie.**

**–Musthowie weszli do Eckmuhl większą siłą – powiedziała Poynton. – Szukają tego, kto zabił ich żołnierzy. Chyba lepiej będzie, jeśli na razie stąd znikniesz.**

**–Zapewne.**

**–Wyprowadzimy cię po zmroku. Jest trochę dobrych przejść. Stare kanały i podziemne korytarze.**

**–Musimy więc tylko zabić czas do wieczora?**

**–Masz jakiś pomysł? – spytała Poynton.**

**Njangu przypomniał sobie gładkość jej ciała.**

**–Coś mi chodzi po głowie.**

**–Mnie też. Koniec końców w zasadzie uratowałeś mi życie.**

**–To kiepski powód – mruknął z niechęcią Njangu.**

**–A co powiesz na to, że... nie zapomniałam, jak byłeś we mnie?**

**Njangu nagle poczuł, że ma sucho w ustach.**

**–Tak już o wiele lepiej.**

**Trzy masowce obniżyły lot nad strzeżonym przez musthów lądowiskiem na Cumbre D. Wszystkie nosiły obwiedzione czernią pomarańczowe logo Mellusin Mining. Nad nimi krążyła para aksaiów.**

**Obcy sprawdzili już magazyny rudy w poszukiwaniu kontrabandy, ale była to jedynie formalna kontrola. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby się pchać na suche, gorące i pełne pyłu pustkowia Mabasi? Obsługa była w pełni zautomatyzowana i załadunek szedł sprawnie. Nieco zamieszania było tylko przy jednostce prowadzącej, która miała na pokładzie właścicielkę Mellusin Mining oraz jej długą, lśniąca limuzynę, także w barwach przedsiębiorstwa.**

**Jeśli nawet ktoś się zainteresował, na co Jasith ten monstrualny pojazd, skoro podróżuje tylko z jednym ochroniarzem, to nic nie powiedział. Jasith była w podłym humorze, rozstawiała wszystkich po kątach i zaklinała się, że jeśli dostrzeże choć jedno uchybienie, winny z miejsca wyleci z roboty. Było nieco szemrań na przeklętych rentierów, ale po cichu.**

**Musthowie uznali to za interesujące przedstawienie i zgromadzili się wkoło,**

**zaniedbując służbę.**

**Dzięki temu nikt nie zauważył prawie setki obładowanych mężczyzn i kobiet, którzy wemknęli się na pokład środkowego masowca. Z góry kryły ich wiaty przeciw – deszczowe.**

**Po ukończeniu załadunku paruosobowe załogi transportowców nawiązały kontakt z wieżą i po krótkiej wymianie zdań otrzymały zgodę na start.**

**Poza atmosferą miejsce aksaiów zajął samotny velv i cała formacja wzięła ekonomiczny kurs na Cumbre C.**

**Grupa dowodzenia zebrała się w kabinie właścicielki Mellusin Mining. Brakło Hedleya, który pierwotnie miał im szefować, ale Angara nie chciał go puścić, twierdząc, że wszystko i tak w łapach Alikhana, któremu do towarzystwa starczy byle zabijaka.**

**Poparł natychmiast pomysł Njangu, żeby zabrali także Jo Poynton. Poza nią i Alikhanem w kabinie znaleźli się jeszcze Ben Dill, dwaj oficerowie ze zwiadu, Ann Heiser, Ho Kang i Danfin Froude.**

**–Do czasu, aż dotrzemy na Cumbre C, nie mamy nic do roboty – zaczął Garvin. – Oddział na drugim statku ma przez cztery najbliższe dni czyścić broń i odpoczywać. Proponuję, żebyśmy zajęli się tym samym. Gdy wylądujemy, nie będzie łatwo.**

**Pomysł był dobry, gorzej z wykonaniem. Mimo obecności Jo i Jasith ani Garwinowi, ani Njangu nie udało się wypocząć. Podobnie jak i Alikhanowi, który tak długo ćwiczył różne wersje mowy, którą zamierzał wygłosić przed Senzą, aż Ben Dill zapowiedział, że go udusi, jeśli jeszcze raz usłyszy słowa „proces pokojowy”.**

**W końcu podeszli do Cumbre C, gdzie znowu otrzymali eskortę aksaiów i skierowali się na rozległe lądowisko Mellusin Mining.**

**–Chcą, żebyśmy za nich walczyli?**

**Słowa kobiety wyzwoliły pełen złości pomruk, który przetoczył się po skrytej kilometr pod ziemią skalnej komorze. Zebrani w niej górnicy płci obojga byli brudni i zmęczeni. Do końca szychty została jeszcze godzina i wielu miało ze sobą narzędzia, a wszyscy nosili na szyi maski przeciwpyłowe.**

**–Za nich, czyli za kogo?! – odkrzyknęła Jo Poynton. – Bo jeśli o tym mowa, ja teraz jestem z nimi!**

**–Nie byłabyś pierwszą, która sprzedała siostry i braci za kredyty rentierów – rzuciła kobieta.**

Poynton przyglądała jej się tak długo, aż zmusiła ją do opuszczenia oczu.

–Właśnie – powiedziała lodowatym głosem. – Biorę pieniądze od musthów. Może kupią mi potem jakąś posiadłość za to, że was sprzedałam.

Rozległo się kilka ponurych chichotów.

–Powiedzmy, że zrobimy, co chcesz – odezwał się jakiś górnik. – Nie powiedziałaś nam za wiele, o co tu chodzi.

–I nie zamierzam – stwierdziła Poynton. – Wystarczy wam wiedzieć, że będzie okazja zabić paru musthów, możliwe też, że samemu dać głowę. Wszyscy byliście w powstaniu i wiecie, że czasem trzeba zachować coś w tajemnicy.

–A jeśli to coś się uda?

–Wtedy może uda się zakończyć to ponure przedstawienie i znowu będzie normalnie.

–Co to znaczy normalnie? – spytał spokojnie jakiś brodac. – Na pewno nie było normalnie za rentierów ani potem, za czasów podziemia. Gdy pojawili się musthowie, miałem nawet nadzieję, że wreszcie trochę się poprawi. – Na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Ale niech tam... Wchodzę, Poynton. Soh zawsze powtarzał mojemu tacie, że jego syn urodził się, aby zginąć od kulki.

Wyszedł przed towarzyszy. Zaraz dołączył do niego następny, a potem kobieta, która odezwała się pierwsza.

–Więc to jest nasze maleństwo – stwierdził Garvin, popatrując przez brudny bulaj statku, który przelatywał właśnie nad ogrodzeniem bazy musthów.

–Wygląda na trochę opuszczone – powiedział z nadzieją Njangu.

–Byle nie za bardzo. Lepiej, żeby nie wyłączyli mu wszystkiego.

–Spokojnie, szefie – rzucił Njangu. – Na miejscu pewnie się okaże, że Alikhan nigdy nie latał taką łajbą, i zwiną nas przed startem.

–To byłoby zgodne z tradycją zwiadu – zauważył Garvin. – Radosna improwizacja.

–Potrzebne nam tanie kłamstwo, Jasith – powiedział Garvin. – Umówisz się na osobności z musthem, który jest szefem tego bajzlu...

–Pilfernem – wtrąciła Jasith. Byli w jej apartamencie w budynku administracji Mellusin Mining na Cumbre C.

**–Pilfernem. Spóźnij się, ile tylko będziesz mogła. Potem zatrzymasz się przy tym statku, żeby coś sprawdzić...**

**–Będę chciała sprawdzić, kiedy naprawią luk, żebyśmy mogli wreszcie załadować te sztaby z hut.**

**–Dobrze. Ku twojemu rozczarowaniu okaże się, że statek opanowali bandyci, którzy przechwycają limuzynę, zwiążą cię i zostawią w pobliskim magazynie.**

**–Lepiej niech mnie zatrzymają jako zakładniczkę i zaczną stawiać żądania. To będzie wyglądało bardziej autentycznie. Rozwiązałyby mnie zaraz przed startem.**

**–Do cholery, Jasith, nie wiesz, w co się pakujesz!**

**–Może i nie. Ale czas najwyższy, żebym zaczęła coś robić! Tak musi być, Garvinie!**

**–Dobra. Jestem zbyt zmęczony, żeby się kłócić.**

**–Czy to znaczy, że jesteś też zbyt zmęczony na coś innego?**

**Garvin spojrzał na zegarek.**

**–Dobra. Mamy kwadrans, potem zaczynam odprawę.**

**–Jak to się stało, że skończyłam u boku kogoś tak nieromantycznego?**

**W pierwszym zespole uderzeniowym było sześć osób: Garvin, Dill, Monique Lir, Ho Kang, Darod Montagna i Alikhan. Musth odmówił przyjęcia broni.**

**–A jeśli ktoś cię będzie chciał zastrzelić? – spytał Ben.**

**–Jak mnie trafi, odwołujemy akcję.**

**Dill parsknął i dodał do swojej kolekcji jeszcze jeden pistolet.**

**Jasith przysłała wiadomość, że spotkanie umówione. Tuż przed kolacją.**

**Gdy słońce zaczęło zachodzić, jej limuzyna wylądowała obok masowca. Jasith sama prowadziła. Wyjaśniła Njangu, że nie chciała narażać kierowcy.**

**Njangu skrzywił się na jeszcze jedno odstępstwo od przyjętych zachowań, które mogło zwrócić uwagę musthów, ale nic nie powiedział.**

**Gdy tylko Jasith dała znak Garwinowi, z kopalni zaczęły się wymykać ślizgacze z ludźmi w ciemnych strojach, z poczernionymi twarzami i bronią pod ręką.**

**Rozkazy mieli proste: „Gdy wysiądziecie obok jednostki macierzystej obcych, zabijajcie każdego, kto wygląda jak musth. Słuchajcie każdego człowieka w mundurze albo z białą opaską na ramieniu. Wycofujecie się na rozkaz albo gdy okręt wystartuje. Kierunek odwrotu – transportowiec rudy”. Poynton wywołała kilkunastu górników i wydała im opaski.**

**W ładowni masowca Mellusin Mining czekało blisko dwustu raumskich bojowników i żołnierzy.**

**Garvin zastanowił się, czy nie palnąć jakiejś mowy, ale w końcu rzucił tylko:**

**–Dobra. Pomożemy paru musthom zginąć za to ich imperium.**

**Zbiegł po rampie i wcisnął się do zatłoczonej limuzyny.**

**Drzwi zamknęły się i pojazd wystartował. Za jego sterami siedział Biegnący Niedźwiedź.**

**Zaraz potem wszystko zaczęło iść nie tak.**

**Limuzyna zbliżyła się z dużą szybkością do ogrodzenia bazy. Już z daleka nadawała kod rozpoznawczy dostarczony przez musthów. Baterie przeciwlotnicze odpowiadały automatycznie, a mały przekaźnik zamontowany w limuzynie przesyłał te odpowiedzi na transportowiec. Siedząca w hangarze Heiser dokonywała szybkiej triangulacji i nanosiła pozycje kolejnych baterii na plan okolicy.**

**Musthowie wysłali aksaia jako eskortę limuzyny, co było głównie kurtuazyjnym gestem wobec wysoko postawionej istoty ludzkiej. Nie zwrócili najmniejszej uwagi, kto prowadzi pojazd.**

**Biegnący Niedźwiedź skręcił nagle z planowanej trasy i ruszył ku lądowisku.**

**Przed nimi rysowała się okolona zachodzącym słońcem sylwetka okrętu macierzystego, który mieli opanować.**

**Kontrola wywołała ich raz i drugi, zażądała wyjaśnień.**

**–Dwa kilometry – zameldował Niedźwiedź. – Dochodzimy.**

**Przyziemił na dużej szybkości, w ostatniej chwili zwiększając moc antygravitatorów. Limuzyna zakołysała się i znieruchomiła. Wskoczyli na betonową płytę.**

**Okręt był odległy prawie o pięćdziesiąt metrów. Dwaj wartownicy przy śluzie otworzyli szeroko oczy, jeden uniósł broń. Alikhan krzyknął mu, żeby się poddał, ale było już za późno na pertraktacje. Dill zastrzelił obcego. Drugi zanurkował za jakies**

**pojemniki, ale Garvin cisnął tam granat.**

**Alikhan zamachał nerwowo łapami.**

**–Dalej! – krzyknął Dill i musth wbiegł po rampie na pokład, a za nim reszta zespołu.**

**Krążący w górze aksai obniżył lot. Jego pilot, żółtodziób po podstawowym szkoleniu, chciał zobaczyć, co się dzieje.**

**Biegący Niedźwiedź usłyszał szum nadlatującej maszyny, złapał Jasith, przerzucił ją sobie przez ramię i pobiegł ku pojemnikom. Widząc to, pilot aksaia uznał, że coś tu nie gra, poderwał maszynę, uaktywnił systemy uzbrojenia, zanurkował i odpalił dwa pociski. Jeden poszedł w bok, drugi rozwalił limuzynę w drobny mak.**

**Jasith załkała i przytuliła się do śmierdzącego betonu. Gdy hałas ucichł, uniosła twarz i zobaczyła, że leży w kałuży krwi. Niecałe dwa metry dalej spoczywały zmasakrowane zwłoki obcego.**

**Aksai przeleciał nisko nad lądowiskiem, ale pilot nie dostrzegł żadnego poruszenia.**

**Wzleciał wyżej i zatoczył szeroki krąg. Jedna z przenośnych wyrzutni plot zespołu namierzyła go, ale pocisk nie dosięgnął celu.**

**Chwilę później obok okrętu musthów pojawił się masowiec Mellusin Mining. Ledwie wylądował, zaraz wysypali się z niego ludzie.**

**Aksai skręcił ostro i zaczął kolejny nalot.**

**Mar Henschley wycelowwała wyrzutnię i naprowadziła znacznik na aksaia. Shrike wystartował z wizgiem. To było jej pierwsze odpalenie, ale pocisk trafił i aksai spadł w dwóch częściach na beton. Kolejna rakietka, wystrzelona przez innego żołnierza, przeleciała tylko przez chmurę dymu i zniknęła w oddali. Po dłuższej chwili zadziałał układ samozniszczenia.**

**Henschley krzyknęła radośnie i ponownie załadowała wyrzutnię. Zespół przemieszczał się w kierunku dziobu okrętu. Natknęli się jedynie na paru musthów, tak jak zapowiadał Alikhan, i wezwali ich do poddania się. Tylko jeden był uzbrojony.**

**Garvin go zastrzelił, gdy musth uniósł broń. Pozostali rzucili się na blastery z gołymi rękami.**

**Oczywiście zginęli, dzielnie albo głupio, zależnie od punktu widzenia., Co jakiś czas słyhać było dobiegające z zewnątrz przytłumione odgłosy wybuchów, ale mogli się tylko zastanawiać, co się tam dzieje. Gdy dotarli na mostek, tak zaskoczyli oficera wachtowego, że nie zdążył nawet wyciągnąć broni. Okręt macierzysty należał do**

nich.

Alikhan podszedł do pulpitów i przesunął po nich łapami.

–I co? – spytał Dill.

–Znam ten model – odpowiedział musth z dużą pewnością siebie.

Na lądowisku leżały dymiące wraki sześciu aksaiów i jeszcze większej liczby wyntów. Ich niedoświadczeni piloci nie mieli szans w spotkaniu z operatorami shrike'ow.

Mimo dobrej osłony, kolejny wynt zdołał wysadzić żołnierzy, którzy rzucili się do ataku.

Nieco sprytniejszy od innych pilot velva podszedł do celu szerokim łukiem.

Wystrzelił ułamek sekundy przed tym, jak shrike zniszczył mu stery i posłał koziołkującą maszynę na ziemię.

Pocisk z velva jednak trafił. Prosto w maszynownię masowca Mellusin Mining, która eksplodowała, zabijając całą załogę i dwudziestu pięciu bojowników. Okręt musthów zakołysał się od podmuchu.

Przebywający na Wharze Wlencing ujrzał wybuch na jednym z ekranów i domyślił się w końcu, o co chodzi temu robactwu.

–Co za półgłówki! Zostawić tych na lądowisku! Im chodzi o okręt macierzysty!

Zniszczyć go! – ryknął do mikrofonu i znowu zaklął, zastanawiając się, czy naprawdę nikt poza nim nie potrafi zrozumieć ludzi.

Garvin zerknął na monitory obserwacji zewnętrznej. Wokół okrętu panował chaos.

–Ile jeszcze do startu?

–Pięć minut – odpowiedział spokojnie Alikhan. – Mam go już na antygrawach.

Garvin podjął decyzję.

–Dill! Ściągnij wszystkich na pokład! Tak, wszystkich. Musimy zabrać ich ze sobą.

Ogłuszony eksplozją Njangu splunął krwią i wstał. Jak przez watę usłyszał krzyk Dilla.

–Na okręt! Wszyscy na okręt!

Yoshitaro zachwiał się, zrozumiał, co się stało, i powtórzył rozkaz Dilla, który został podjęty przez pozostałych dowódców.

Raumowie i żołnierze pobiegli do okrętu macierzystego. Niektórzy w panice, inni karnie wycofywali się drużynami.

Njangu ujrzał nadlatującego aksaia i operatora shrike'a stojącego spokojnie z wyrzutnią na płycie lądowiska.

Aksai i Mar Henschley odpalili równocześnie i uniknęli w dwóch kulach ognia.

Njangu nie wiedział, kto zyskał dla nich w ten sposób jeszcze trochę czasu.

Wziął się do zaganiania maruderów. Jednym z nich był Biegnący Niedźwiedź dźwigający na ramieniu półprzytomną kobietę w cywilnym ubraniu. Jej twarz kryły plamy krwi mustha, ale Njangu pojął nagle, kto to jest.

–Czy ona...?

–Tylko wstrząs! – zawołał Niedźwiedź i wbiegł po rampie.

Njangu zauważył nagle, że na lądowisku nie ma już nikogo oprócz niego i Lir, a rampa zaczyna się z wolna podnosić.

–Dość tej zabawy, cholera! – krzyknął. Lir zasalutowała mu środkowym palcem i posłała pół magazynka w tyralierę nadciągających musthów.

Njangu skapitulował i skoczył do środka. Lir wpadła do śluzy zaraz za nim i włąz zamknął się z głuchym szczęknięciem.

Okręt macierzysty oderwał się od ziemi, zachybotał lekko i ruszył w górę.

Eskadra aksaiów przyspieszyła i rzuciła się świecą w pogoń.

Jeden pilot nawet odpalił raketę, ale chybił, a po chwili okręt był już poza zasięgiem pocisków.

Kilka sekund później wyszedł z atmosfery i natychmiast zniknął w nadprzestrzeni.

Wlencing raz za razem oglądał nagrany przez automatyczne kamery film, na którym widać było podlatującą limuzynę i wyskakujące z niej postaci.

Nie musiał już powiększać obrazu, aby rozpoznać mustha, który okazał się renegatem.

Trudno. Jego syn został zdrajcą. Wlencing wiedział dlaczego. Wiedział, kto wsączył



w niego truciznę. Wiedział też, gdzie Alikhan poleciał i co zamierza zrobić.

Wstał i spojrzał na Daafa. Adiutant odwrócił oczy.

–Natychmiast połącz mnie z Keffą.

Langnes 778377/nieznana planeta Planetę otaczały trzy pierścienie: czerwony, brązowy i zielony. W każdym razie tak pokazywały je monitory.

Alikhan wysyczał odpowiedź do mikrofonu, który wisiał w powietrzu tuż przed nim.

Po wszystkich trzech ekranach przemknęły jakieś dane i zniknęły. Było to zgodne z praktyką musthów, aby bez potrzeby nie zwracać pilotowi głowy nadmiarem informacji.

Głośnik coś odpowiedział i zaczęła się prowadzona staccato rozmowa.

Jeden ekran wysunął się do przodu, pozostałe odjechały na boki. Najpierw widać było tylko chmury, ale po chwili skanery przeszły na podczerwień i pokazał się masyw kontynentu.

–Możecie mówić, jeśli chcecie – odezwał się Alikhan, nie odwracając głowy. Jego palce przebiegały po pulpicie, a pomruk silników nabierał z wolna mocy. – Mamy zgodę na lądowanie.

Garvin, Njangu i dwoje naukowców patrzyli na wszystko w milczeniu z narożnika, a Dill siedział na fotelu stojącym nieco z tyłu i z boku od Alikhana. Jego palce bezwiednie powtarzały ruchy mustha.

–To zadziała? – spytał Njangu. – Wylądujesz, wyjdiesz, kupisz właściwą mapę i odlecimy?

–A dlaczego nie? – spytał Alikhan. – Nie mają powodu o nic nas podejrzewać.

–Nie bawicie się w takie rzeczy jak cło, kwarantanna i względy bezpieczeństwa? – spytała Ann Heiser.

–Po co? Mój klan pilnuje swego nosa i nie zamierza atakować tego układu. Kogo więc obchodzi, co robię?

Garvin i Njangu wymienili spojrzenia.

Obraz na ekranie wrócił do normalnych rozmiarów. Alikhan znalazł na konsoli właściwy sensor i ujrzeli powierzchnię planety widzianą z wysokości jakichś pięciuset metrów. Pod nimi przemykały kawałki stepu, niewielkie lasy, stawy i czasem osady.

–Tak wygląda porządny świat – powiedział musth. – Całkiem co innego niż ten zielony gąszcz, który sobie upodobaliście.

**–Wiesz, nie zapraszaliśmy was tam – mruknął Dill.**

**–Prawda. A teraz proszę o ciszę. Wprawdzie bez wątpienia jestem najlepszym pilotem, jakiego świat widział, ale brak mi doświadczenia w prowadzeniu tej łajby. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś sprawdzał ciąg na wypadek, gdybym coś przeoczył.**

**Na ekranie pojawiło się skupisko budynków, które urosło w średniej wielkości miasto z licznymi wieżowcami. Alikhan wprowadził okręt w zawis i kolejny kadr pokazał rozległe lądowisko z licznymi pojazdami kosmicznymi i zabudowaniami. Musth włączył moduły antygravitacyjne i zmniejszył moc napędu pomocniczego. Jakies sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią wyłączył go całkiem i miękko posadził okręt.**

**–Może być?**

**–Nieźle jak na początkującego – powiedział Dill.**

**–Teraz zajmę się czym trzeba. Pewnie nie chcecie żadnych wizyt na pokładzie?**

**Po starcie z Cumbre D i wejściu w nadprzestrzeń Alikhan zabrał się do wykradzionych przez Njangu map i wprowadził okręt w dwa skoki.**

**Medycy zajęli się rannymi, a Garvin i Njangu wraz ze swoimi podoficerami, Poynton i jej dowódcami zaczęli zaprowadzać porządek wśród podwładnych. Najpierw musieli wyłuskać około siedemdziesięciu zwiadowców spośród ponad setki Raumów i rozlokować jakoś całe towarzystwo.**

**Nie było żadnych dyskusji. Wszyscy musieli zostać na okręcie, a ich los zależał teraz od powodzenia misji Alikhana.**

**Musth, Dill, Ho i naukowcy przejrzeni znajdujące się na pokładzie mapy i bez specjalnego zaskoczenia stwierdzili, że nie ma żadnej obrazującej ten kawałek próżni, gdzie znajdowała się planeta Senzy.**

**–Musimy zatem znaleźć na tych mapach jakieś miejsce do lądowania. Układ, który będzie leżał w naszej strefie wpływów. Tam kupimy co trzeba.**

**Dill zachichotał – Tego jeszcze nie grali...**

**Kilkoro rannych zmarło i pochowali ich w próżni. Musth dziwił się, dlaczego nie przepuścili ciał przez układ odzysku.**

**Jeszcze bardziej się zdumiał, gdy Garvin nie pozwolił zrobić tego z trupami musthów.**

Potraktowano je tak samo jak ludzkie zwłoki. Garvin nie wiedział, czy musthowie znają pojęcie duszy, na wszelki wypadek jednak wyszeptał nad nimi w śluzie aż nazbyt dobrze znaną formułkę stosowaną w siłach zbrojnych Konfederacji.

Pierwszą przyjemnością, jaką zafundowali sobie górnicy i wiecznie niedomocy żołnierze, była kąpiel. Pysznice musthów można było nastawić zarówno na mgiełkę wodną, jak i na prawdziwy tajfun. Woda miała z początku lekko miedziany posmak, ale po pewnym czasie używania przez ludzi zrobiła się całkiem normalna.

Mniej rozrywkowe były toalety obcych, gdyż stanowiły je po prostu dziury w pokładzie. Garwinowi tak bardzo się to nie podobało, że Poynton pokpiwała sobie z niego.

–Widzisz? Czasem warto wyrastać w biedzie. Nie nabiera się nawyku rozsiadania się na kiblu. Nawet brak ogona wtedy nie przeszkadza.

Z zaprowiantowaniem było jednak już całkiem źle. Alikhan wyjaśnił, że musthowie dobrze żywią załogi swoich okrętów, co oznaczało porządnie skruszałe mięso.

Jeden z żołnierzy mimo wyraźnych rozkazów otworzył rację żywnościową obcych.

–Jedzie trupem – jęknął i na kilka chwil zmienił się w model pogładowy czynnego wulkanu.

Doktor Froude wyliczył, że własnego jedzenia powinno im wystarczyć na jakieś trzy tygodnie z hakiem.

–Potem przejdziemy na kanibalizm – dodał z podejrzanym błyskiem w oku.

W końcu jednak znaleźli rozwiązanie. Alikhan spędził nieco czasu w chłodni i znalazł coś odpowiedniego dla ludzkiego podniebienia. Pożywienie to było nieco tłuste i przypominało kaszkę z wodą, za to niemal całkowicie nie miało smaku.

Wzbogacali nim żołnierskie racje. Lir, która interesowała się kiedyś dietetyką, orzekła, że chwilowe zmniejszenie dawki potrzebnych człowiekowi składników pokarmowych nikomu nie zaszkodzi, a to, co zawiera papka obcych, jest na tyle niegroźne, że nikogo od razu nie zabije.

Alikhan wyjaśnił Dillowi, że to pożywienie dla więźniów, rozmyślnie tak spreparowane, aby nie mieli żadnej przyjemności z jedzenia. Ben podzielił się tą informacją ze wszystkimi oprócz Garvina i Njangu.

Szczęśliwie okręt był wyposażony w autopilota, zatem podczas lotu w nadprzestrzeni na mostku mógł wszystkiego pilnować jeden przyuczony wachtowy.

**Dill i Alikhan zgonili ocalałych operatorów wyrzutni shrike'ow i zaczęli zgłębiać z nimi tajniki obsługi uzbrojenia pokładowego.**

**Dwa razy, zawsze podczas lotu w normalnej przestrzeni, przeprowadzili ćwiczenia, odpalając rakiety średniego zasięgu, pociski przeciwokrętowe małego zasięgu o charakterystykach podobnych jak w wypadku shrike'ow oraz ciężkie, ale bardzo zwrotne dalekosiężne pociski manewrujące.**

**Podobnie jak ludzcy operatorzy, musthowie też stosowali hełmy pozwalające na spojrzenie z perspektywy pocisku, jednak sterowanie odbywało się nie za pomocą joysticka, ale ruchu gałek ocznych.**

**Była to spora nowość dla żołnierzy. Nie pasujące na ludzkie głowy hełmy też nie ułatwiały szkolenia.**

**Ilekcioć jakiś pocisk eksplodował, rozjaśniając na moment próżnię, Njangu jęczał, że jeśli będą tak opróżniać okrętowy arsenał, to nici z jego pirackiej kariery.**

**Robił to z takim zaangażowaniem, że Garvin zaczął się zastanawiać, czy przyjaciel nie mówi tego poważnie.**

**Jedną z miłych stron okrętu musthów była liczba ekranów. Na ludzkich jednostkach montowano je z reguły tylko w centrali i jeszcze paru pomieszczeniach i zwykle nie pokazywały podczas lotu nic więcej poza wirami trudnych do nazwania kolorów nadprzestrzeni.**

**U musthów ekrany były praktycznie wszędzie, także w kabinach i na korytarzach, na dodatek można było na nich zobaczyć często zmieniające się obrazy z normalnej przestrzeni.**

**Wielu ludzi spędzało przed nimi całe godziny i poznawało w ten sposób obce światy.**

**Wyjątkiem byli cierpiący na klaustro – albo agorafobię. Znalazło się ich nieco wśród Raumów, którzy nigdy nie odbyli podróży dłuższej niż między dwoma sąsiednimi planetami.**

**Było też paru dotkniętych tymi przypadłościami żołnierzy. Wszyscy oni zaszyli się z jękiem w kabinach bez ekranów.**

**–Pomogłabym im, ale nie mam dość odpowiednich środków – powiedziała sanitariuszka Jil Mahim. – Miejmy tylko nadzieję, że gdzieś wylądujemy, zanim kompletnie oszaleją.**

**Wprawdzie nakazano mężczyznom i kobietom zachować wstrzeźliwość i**

przydzielono im kwatery w oddzielnych sekcjach, ale co i rusz zdarzało się komuś nakryć parkę kochanków. Czasem Raumów, czasem żołnierzy, niekiedy zaś w składzie mieszanym.

Tweg Lir chciała z początku położyć kres tym praktykom, ale Garvin stwierdził, że jak długo te nieformalne więzi nie nadwerężają łańcucha dowodzenia, tak długo nie ma o co kruszyć kopii.

Nie chodziło mu tylko o złagodzenie przesadnej służbistości Lir, ale i o własny interes. On, Jasith, Njangu i Jo też przekradali się regularnie do nie swoich sekcji.

Garvin i Jasith przyglądali się widocznym na ekranie jednostkom obcych, a także krajobrazom nie znanego im świata. – Byłoby miło wybrać się tutaj na wakacje – westchnęła Jasith.

Albo w dowolnym innym celu, pomyślał Garvin. Byle po wojnie.

Jakieś dwie godziny po tym, jak wylądowali, obok ich okrętu wylądował ślizgacz.

Wysiadł zeń Alikhan z jakąś paczką i ślizgacz odleciał.

Ben Dill czekał na mustha przy śluzie.

–Tak prosto poszło?

–A jak niby miało pójść?

Już po starcie okrętu dyżurny kosmoportu wprowadził jego numer do komputera i wywołał pełen zapis rejestru.

Ledwie zaczął czytać, targnął głową i zasyczał ze zdumienia.

## Nadprzestrzeń

Była pokładowa noc i mało kto nie spał.

Dwoma z tych niewielu byli Alikhan i Ben Dill, który postanowił, że pierwszy spośród ludzi będzie miał w książce lotów wpisany okręt obcych. Alikhan szkolił go chętnie i sam też sporo na tym korzystał.

Poza tym nie było wielu sposobów spędzania wolnego czasu. Kilka książek, które wniesiono na pokład, miało charakter religijny, a ci dwaj dawno już wyrobili sobie zdanie na temat wierzenia w cokolwiek.

Statek wyszedł z nadprzestrzeni i wachtowi sprawdzili nastawy do kolejnego skoku.

–Jeszcze pięć razy i...

Nagle w próżni pojawiła się druga jednostka.

Alikhan sięgnął do sensora, nadprzestrzeń zawirowała na ekranie i w kadrze pojawił się kadłub wielkiego okrętu.

–Co... co to jest? – spytał Dill.

–Wygląda na okręt przywódcy klanu – odparł Alikhan. – Ale nie wiem, skąd się tu wziął.

–Na pewno nie jest to nasz przyjaciel. Otworzył ogień!

Alikhan uderzył w kontrolki. Wrócili do normalnej przestrzeni i znowu skoczyli.

–Liczby... – jęknął. – Podawaj mi przypadkowe ludzkie liczby.

–Trzy... jeden... **WSZYSCY POBUDKA, gotowość bojowa!** – ryknął Dill i drzemiący na mostku żołnierze zerwali się na równe nogi. Łącznościowiec sięgnął do radiostacji. – Jeden... jedenaście...

Dill pojął, że Alikhan chce użyć tych liczb jako namiaru kolejnego skoku. Miał nadzieję, że w ten sposób zmyli posługujących się innym systemem liczbowym prześladowców.

Na „jedenaście” ścigający ich okręt pojawił się za rufą i wystrzelił. Zniknęli mu sprzed nosa dosłownie w ostatniej chwili.

**–Obsługa na stanowiska – wykrztusił Alikhan. – Niech spróbują go zniszczyć.**

**–Raz jeszcze pytam: kto to, u diabła, jest?**

**–Kolory... szary... czerwony... i jeden, na który nie macie nazwy. – Pocisk eksplodował na tyle blisko, że ekran na chwilę pociemniał. Kolejny doszedł do celu i Dill poczuł drgnienie kadłuba.**

**–Dostaliśmy – oznajmił niepotrzebnie.**

**Na mostku pojawili się Garvin i Njangu.**

**–Mamy dużą sztukę na ogonie – zaczął wyjaśniać Ben. – Wygląda jak...**

**Nie musiał kończyć, bo obcy okręt znowu pojawił się na ekranie. Alikhan syknął, zastrzygł uszami i skoczył w nadprzestrzeń. – Ben, przejmij na chwilę stery.**

**–Dobra. Trzy... cztery... dziewięć... szesnaście... sukinsyn, nie można mu dawać tyle czasu, prawie nas dostał... Garvin, niech wszyscy się przypasają... cztery...**

**–Wyrzutnie obsadzone – oznajmił głośnik.**

**Alikhan skoczył na moment do rezerwowego pulpitu, żeby coś sprawdzić.**

**–Szary, czerwony i płat... niedobrze. To klan Keffy. Jednego z najbardziej zagorzałych zwolenników mojego ojca i Paumota.**

**–Jak, u licha, nas znalazł?**

**Na mostek weszła też Lir.**

**–Szefie, mamy trochę zniszczeń. Wprawdzie poszycie samo się uszczelniło i nikt nie został odcięty, ale...**

**Garvin przygryzł wargę.**

**–Ben, daj nas do normalnej przestrzeni na dość długo, abyśmy mieli czas na czysty strzał. Przekazać na wszystkie stanowiska: niech strzelają, gdy tylko będą mieli drania na celowniku.**

**–Chyba dobrze będzie poszukać jakiegoś miejsca do lądowania – powiedział Alikhan.**

**–Najpierw krótki skok – rozkazał Garvin. – Teraz dłuższy. – Dill posłuchał.**

**–Daj nas do normalnej... OGNIA!**



**Pociski opuściły wyrzutnie.**

**–SKOK!**

**–Znalazłem dobre miejsce do lądowania – oznajmił Alikhan. – Jeszcze trzy skoki.**

**Ich prześladowca wychynął z nadprzestrzeni, wystrzelił i znowu trafił. Kadłub zatrzęsł się, w głośniku zachrząściło.**

**–Szefie – rozległo się po chwili. – Irthing melduje jeden przedział odcięty.**

**Straciliśmy tam paru ludzi.**

**Garvin skrzywił się, ale nic nie powiedział. Znowu skoczyli. Raz jeszcze obsługi wyrzutni otrzymały rozkaz otwarcia ognia. Przed następnym skokiem dojrzeli na kadłubie statku Keffy dwa rozbłyski.**

**–Przypuszczam, że ktoś rozpoznał mnie na Silitricu i przekazał informację mojemu ojcu, on zaś wydedukował, gdzie mogę się udać i zawiadomił o tym sojuszników.**

**Nasza wizyta w celu zakupu map nie poszła jednak tak dobrze, jak myślałem.**

**–To już nieważne – rzucił niecierpliwie Njangu. – Alikhan, możesz skontaktować się z Senzą, powiedzieć, gdzie zamierzamy wylądować, i poprosić go o pomoc?**

**–Mogę wysłać wiadomość, ale nie wiem, kiedy zostanie odebrana ani tym bardziej kiedy otrzymamy odpowiedź. Ben, gdy teraz się oderwiemy, będziemy już bardzo blisko tej planety. Przenieś nas jeszcze bliżej. Śmiało. Zaraz wyślę wiadomość.**

**Wyrwał z mostka, a Dill przebiegł palcami po sensorach.**

**Gdy wyszli ponownie w normalną przestrzeń, znajdowali się w środku układu typu E. Niezbyt daleko przed nimi wisiała w próżni jasnozielona planeta.**

**Okręt Keffy zmaterializował się za rufą, ale oberwał rakieta i zniknął w nadprzestrzeni.**

**–A teraz pokażę ci sztuczkę, której na pewno jeszcze nie widziałeś, mój drogi – mruknął Ben do siebie.**

**Okręt skoczył krótko. Żołądki podeszły wszystkim do gardła.**

**–Pięknie, Ben – pogratulował sobie Dill. Teraz oddziela nas od tego brzydala cała wielka planeta. Opanuj mdłości i podziwiaj swój talent. Pozostaje nam już tylko wylądować i jakoś sobie poradzić.**

**–Dostaliśmy w przedział napędu nadprzestrzennego. Uszkodzenia są poważne.**

**Oberwał też układ kontroli przeciwpożarowej – zameldował oficer.**

**–A co ze statkiem zdrajcy? – spytał Keffa.**

**–Jeśli miał szczęście, przeszedł przez planetę. Również został uszkodzony, więc zapewne wylądował na niej.**

**–Co to za planeta? – Świetne warunki do życia, ale dotąd nie została zasiedlona. – Odszukać ich – rozkazał Keffa. – Zniszczyć, zanim wylądują. A jeśli już to zrobili... – Keffa zastanowił się Pożałował, że nie wziął pełnej grupy bojowej piechoty. – Wtedy też wylądujemy i zabijemy ich wszystkich, gdy się zaborą do napraw.**

**Okręt wyglądał jak dom wariatów, z którego uciekają ciężko obciążeni pacjenci.**

**Alikhan posadził go z lekkim przechyłem w pobliżu wielkiego jeziora otoczonego stromymi, samotnymi wzniesieniami. W dali widniało wysokie pasmo górskie oddzielone od nich pofałdowanym lesistym pogórzem.**

**–Jak najdalej od okrętu...! Szybko... przechodzić...! Do szyku i biegiem marsz...! Ten drań zjawi się tu lada chwila i nikogo nie może zobaczyć! Szybko, zbierać dupę w troki! – krzyczeli dowódcy drużyn.**

**Uformowano kolumny, które ile sił w nogach skierowały się ku lasom.**

**–Zauważyłeś, jaką piękną planetę znalazłem? – zapytał Alikhan, mijając Bena, który w rękach trzymał jeden koniec noszy, a na plecach dźwigał wyrzutnię rakiet.**

**–Pierwszy dopilnuję, aby ją nazwano twoim imieniem. Mam nadzieję, że twoja wiadomość doszła i mamusia szybko przyleci nas utulić.**

**Gdy od porzuconego okrętu dzieliła ich godzina marszu, przez niebo przetoczył się grom i w górze pojawiła się jednostka Keffy.**

**Garvin kazał się wszystkim kryć, a sam wbiegł na pagórek i przylgnął do ziemi.**

**Okręt Keffy był jakieś cztery kilometry od niego.**

**Wroga jednostka zeszła na niższy pułap i odpaliła pociski. Garvin skulił się, oczekując nuklearnego błysku, ale grunt zatrzęsł się od tradycyjnych eksplozji. – Łobuz chce sobie na nas zapolować – warknął Jaansma.**

**Spojrzał w górę. Wielki okręt podchodził do lądowania nieco ponad kilometr od ich uszkodzonego środka transportu.**

**Obok Garvina pojawiła się Monique Lir z niewielką lornetką.**

**–Teraz mamy ich jak na tacy – powiedziała i uśmiechnęła się z zadowoleniem.**

**Cumbre D – Zachowanie twojej partnerki jest abssolutnie nie do przyjęcia – indyczył się Wlencing. – Co z wass za gatunek, że nawet ktoś z ssamej góry może sstracić panowanie nad ssobą i zosstać bandytą?**

**Loy Kuoro skrzywił się, dając do zrozumienia, że Jasith to tylko zmienna słaba kobieta, która dała się zauroczyć jakiemuś żołnierzykowi.**

**–Nie wiem, co się stało – stwierdził. – Dziwnie się ostatnio zachowywała. Miała problemy z głową.**

**–Wiem, czym jesst szaleńsstwo – syknął musth, wspomniawszy Alikhana. – Ale to bez znaczenia, bo zosstanie zabita, gdy tylko Keffa odnajdzie sskradziony sstatek.**

**Kuoro ledwie opanował zaskoczenie.**

**–Dobrze – ciągnął Wlencing. – Przyjąłeś to jak wojownik. A teraz ważniejsza ssprawa. Kto zajmie się jej interessami, a w szczególności kopalniami?**

**–No... pewnie ja – powiedział Kuoro i wyraźnie poweselał.**

**–A gdyby tobie coś się sstało?**

**–Podobnie jak Jasith, nie mam innej rodziny.**

**Wlencing zastanowił się. – Zatem w najlepszym interesie twoich przedsiębiorstw powinno teraz leżeć utrzymanie pokoju pomiędzy naszymi gatunkami, prawda?**

**–Oczywiście!**

**–Radzę ci zatem robić w tym celu wszystko co możliwe, zosstaniesz bowiem umieszczony na liście potencjalnych zakładników.**

**Kuoro ledwie ukrył strach i złość. Najchętniej rzuciłby musthowi w twarz, że jest cholernym mordercą i rabusiem, ale rzecz jasna zmilczał.**

**–Wiele razy już okazywałem, jak dalece sięga moja gotowość do pomocy – powiedział w końcu.**

**–Teraz więc podwoisz sstarania.**

**Gdyby Kuoro lepiej znał musthów, wiedziałby, że gardłowy syk towarzyszący ostatniej wypowiedzi Wlencinga był wyrazem rozbawienia.**

–Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał, Eriku – powiedział Tregony, jeden z najbogatszych ludzi w układzie Cumbre.

–Przepraszam, ale nie rozumiem – odparł Penwyth.

–Przynosząc mi te straszne... naprawdę straszne nagrania... dopuszczasz się szantażu.

–Zaraz, zaraz, panie Tregony. To paskudne oskarżenie, zwłaszcza że rzucone na osobę, która dorastała razem z pańskimi synami. Natknąłem się na te nagrania przypadkiem. Bez wątpienia zostały sfalszowane, ale postanowiłem jednak je zdobyć, co kosztowało mnie nieco zachodu, o sporych wydatkach nie wspominając. Na dodatek jestem niemal pewien, że sprzedano mi nie oryginały, lecz kopie. Niemniej daję je teraz panu w prezencie.

Gdzie w tym szantaż?

Tregony westchnął – Ale oczekujesz refundacji kosztów.

–Owszem.

–Ile?

Penwyth podał sumę. Tregony zachichotał nerwowo.

–Bogowie! Człowieku, masz mnie za Krezusa?

–To jest dokładnie dwadzieścia pięć procent dywidendy, którą miał pan w tym roku z Tregony Holdings. Ani kredytu więcej.

–Skąd wiesz?

Penwyth uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

–Wypiszę czek – jęknął starszy pan.

–Na okaziciela, jeśli łaska. Prosiłbym też o poinformowanie banku, aby dokonał wypłaty w banknotach o niskich nominałach.

Tregony pokiwał energicznie głową.

–Jeszcze jedno – dodał Erik. – Grupa moich przyjaciół chciałaby gościć przez jakiś czas na pańskiej wyspie. Prowadzą dość nie uregulowany tryb życia i mogą się zjawić bez uprzedzenia, a będzie ich zapewne więcej niż kilku. Gdyby więc mógł pan uprzedzić o tym swoich ludzi, aby nie czuli się zaskoczeni...

**–Ilu ma być tych obieżyświatów?**

**–Może pięciu, może sześciu. A może dwustu.**

**Tregony aż podskoczył.**

**–I ty mi mówisz, że to nie jest szantaż?**

**–Wyjaśniłem to już na początku – odparł z uśmiechem Erik.**

**Angara wyłączył ekran.**

**–Rozumiem, co masz na myśli, Jon, gdy mówisz, że czas gra na naszą niekorzyść – powiedział. – Tracimy ludzi niemal równie szybko jak w normalnej walce.**

**–Nie tyle czas jest tu ważny, sir, ile ta cholerna dżungla. Przede wszystkim chodzi o brak stałej bazy. Nawet tutaj, na Mullion, ludzie muszą co rusz oglądać się przez ramię, czy im jakiś musth nie wyrośnie jak spod ziemi. Dżungla, wypadki, podłe żarcie, brak przepustek... to wszystko ich dołuje.**

**–Ich i nas – dodał Angara. – A te parę dni odpoczynku na wyspie, którą załatwił Penwyth, to nie dość.**

**Hedley westchnął. – Czasem żałuję, że nie jestem już tak religijny jak wtedy, gdy byłem dzieciakiem. Wierzyłbym chociaż w cuda.**

**–Na przykład w to, że nasz oswojony musth zrobi swoje.**

**–Myślę o prawdziwych cudach. Do diabła, ucieszyłoby mnie nawet, gdyby zjawił się Redruth i trochę tu namieszał.**

**Angara wstał od składanego biurka, podszedł do pryczy w rogu bunkra, otworzył szafkę i wyjął butelkę. Podał ją Hedleyowi.**

**–Proszę. Masz dzień urlopu. Nie dziel się tą flaszką z nikim własnej płci.**

**Przedstawicielki płci przeciwnej możesz częstować, ale góra dwie. Kac pozwoli ci na chwilę zapomnieć o kłopotach.**

**Musthowie nie mieli wielu powodów do radości. Oficjalnie panował pokój, ale ich żołnierze ginęli. I nie tylko to. W miastach na przykład towarzyszyły im zawsze watahy krzywiących się na nich dzieci, bo musthowie uznali, że otwarcie szkół klóciłoby się z obowiązującym wciąż zakazem zgromadzeń. Po godzinie policyjnej ulice robiły się puste, ale każdy patrol mógł się spodziewać, że zostanie ostrzelany z ukrycia i nie będzie mógł nawet odpowiedzieć ogniem, bo napastnicy natychmiast rozpląną się w mroku.**

Byli obserwowani pilniej, niż się domyślali. Każda maszyna, która gdzieś leciała, wpadała w oko wyznaczonym obserwatorom, ci zaś od razu przekazywali informacje „kupcom” i w ten sposób cały ruch powietrzny na Cumbre D był nadzorowany nie gorzej niż przez regularną sieć radarową. Gdy tylko trafiała się sposobność, gdzieś z krzaków wystrzeliwał samotny shrike.

Eckmuhl i centra innych miast stały się niemalże strefami zakazanymi dla musthów, którzy nie wazyli się tam zapuszczać inaczej jak w sile kompanii i ze wsparciem powietrznym. A nawet wtedy tracili zwykle kilku żołnierzy.

Naprawdę twardo trzymali się tylko na największych wyspach.

Niemniej krok po kroku wygrywali. Niektórzy bojownicy chorowali, inni ginęli albo trafiali do niewoli. Najwięcej jednak ubywało tych, którzy mieli już dość i wra cali do cywilnego życia. Nikt nie miał wielkich pretensji do dezertów, nie próbowano też ich ścigać wojna partyzancka może wykończyć każdego. Szczególnie że nie było wiadomo, do czego doprowadzi.

Ale Grupa nie przerywała walki.

Wlencing widział na swoim kompie równie ponure zestawienia jak Angara, przy czym to nie listy ofiar przyprawiały go o największy ból głowy.

Okupacja Cumbre kosztowała o wiele więcej, niż wynosiły zyski z eksploatacji układu. Na światy musthów trafiał jedynie wąły strumyk surowców mineralnych i przedmiotów zbytku.

Nie należało oczekiwać, aby przywódcy klanów, którzy wsparli Wlencinga, skłonni byli długo dokładać do interesu i ryzykować bankructwo.

Coś trzeba było z tym zrobić. Wlencing bardzo chciałby wiedzieć co.

Dzielnicowy był z siebie dumny. Wypatrzył czających się w zasadzce bandytów, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, którzy czekali pod jego domem na patrol, i powiadomił o tym musthów. Skorzystał z telefonu, który dostał od nich właśnie w takim celu.

Obcy rzucili tam od razu ponad trzydziestu żołnierzy. Bandyci zapewne nie chcieliby się poddać, ale musthowie nawet tego nie sprawdzili. Strzelali do nich tak długo, aż z całej czwórki zostały tylko krwawe ochłapy.

Dzielnicowy dostał nagrodę pieniężną. Wybłagał też u musthów, aby nie podawali nigdzie jego personaliów.

Niemniej i tak dwie noce później, tuż po północy, mieszkanie dzielnicowego zostało

podpalone. On, jego żona, czworo dzieci i matka żony dzielnicowego zginęli w płomieniach.

Następca okazał się o wiele mniej ambitny i spostrzegawczy.

Dziesięcioosobowy oddziałek buntowników został osaczony u stóp urwiska w pobliżu Wzgórz. Nie mogąc oderwać się od przeciwnika, zaatakował, żeby wydostać się z okrążenia.

Wlencing rozkazał sięgnąć po wsparcie powietrzne. Urwisko zostało zasypane raketami i bombami, jednak gdy opadł kurz i musthowie ruszyli do ataku, dostali się pod ogień skrytego w skalnej szczelinie blastera.

Zaczął się powolne zdobywanie terenu. Trzy dni później został zastrzelony ostatni z dziesiątki buntowników. Musthowie stracili cztery wynty, jednego aksaia i czterdziestu trzech żołnierzy.

Obie strony uznały starcie za porażkę.

W jednym z głębokich szybów Mellusin Mining na Cumbre C doszło do eksplozji.

Niemal na pewno była to zwykła katastrofa kopalniana, a nie zamach.

Uwięzieni dwa kilometry pod ziemią górnicy mieli łączność z powierzchnią i meldowali o podchodzącej wodzie.

Pracujący gorączkowo ratownicy szybko się zorientowali, że nie wydrążą na czas szybu ewakuacyjnego, i kopalnia zwróciła się o pomoc do rządu.

–Kim są ci górnicy? – spytał Wlencing Daafa.

–Głównie Raumowie. Zbieranina jeńców i kryminalistów.

Wlencing nie zastanawiał się długo.

–Odmawiam. Obecna sytuacja nie pozwala na taki wydatek.

–Wodzu, czy to honorowa odpowiedź? – odezwał się nieśmiało adiutant.

Wlencing syknął wściekle i pokazał pazury.

–Jeszcze raz okażesz taką bezczelność, a odeślę cię do twojego klanu!

Daaf popatrzył dziwnie na swego dowódcę i wyszedł bez słowa.

Wlencing wbił oczy w pustkowie Silitricu. Od gór wzbierała burza. Zastanowił się, co



by odpowiedział rok temu.

Ale to było wtedy. Nigdy jeszcze nie przerwał roboty w połowie i tym razem nie zrobił wyjątku. Zbyt wielu musthów zginęło, od Aesca poczynając, na szeregowych żołnierzach kończąc.

W młodości często się zastanawiał, czy pierwsza wojna z ludźmi naprawdę nie mogła się zakończyć zwycięstwem musthów. Może gdyby wzmogli napór, uderzyli bardziej zdecydowanie...

Teraz, na Cumbre, nie pozwoli sobie na błąd słabości, który popełnili jego przodkowie.

Wiadomość, że prawie setka górników znalazła straszną, powolną śmierć w ciemnej, zalewanej wodą kopalni, wstrząsnęła całym Cumbre. Szeptanym telegrafem rozeszło się wkrótce wezwanie do strajku generalnego.

Wlencing usłyszał o tym i oczywiście zabronił wszelkich przerw w pracy. Zagroził najsurowszymi sankcjami.

Jednak w wyznaczonym dniu tylko nieliczne firmy przystąpiły do pracy. Wlencing wysłał patrole, aby zmusiły ludzi do otwarcia sklepów i zakładów usługowych, ale i tak prawie nie było klientów.

Co gorsza, do pracy nie stawiała się też zdecydowana większość administratorów, urzędników, strażników i tłumaczy.

Wlencing wściekł się i kazał ich wszystkich zwolnić.

Gdy strajk się skończył, musthowie pozostali jak bez obu rąk. Zabrakło ludzkiego czynnika, który utrzymywał ich maszynę w ruchu. Niektórzy obcy zaapelowali o przywrócenie zwolnionych do pracy, ale usłyszeli, że raz wydanego rozkazu nie można cofnąć. Zatrudnili więc ludzi ponownie, tyle że po cichu, czasem pod fałszywymi nazwiskami, i życie prawie wróciło do normy.

–Chyba nie ma tu nic, co groziłoby jakąś niespodzianką – powiedział Angara.

–Też niczego nie zauważyłem – stwierdził Hedley.

Angara raz jeszcze przebiegł wzrokiem dane, wstał od komputera i zaczął krążyć po podziemnym centrum dowodzenia na wyspie Mullion.

–Cholera, ale tu ciasno – marudził. – Zaczynam się zmieniać w Rauma.

Hedley wciąż wpatrywał się w ekran.

**–Musimy przeprowadzić coś dużego. Jeśli nie dla innych, to przynajmniej dla własnego dobra – powiedział Angara.**

**Hedley skinął głową.**

**–Plan zaakceptowany. Ruszamy pojutrze.**

**Agenci Hedleya zauważyli, że wzmógł się ruch nad bazą na Płaskowyżu. Udało się ustalić, że musthowie dostali uzupełnienia – nowych, świeżo wyszkolonych pilotów.**

**Pomny na ponure epizody w dziejach ludzkości Hedley nadał operacji kryptonim Niewiniątko.**

**O pierwszym brzasku, gdy piloci obcych wybierali się dopiero na odprawy, kilka formacji zhukowow, uzbrojonych jachtów i ostatni aksai Grupy runęły do ataku.**

**Uderzenie było druzgocące. Niszczono wszystko, co miało znaczenie militarne: stanowiska obrony przeciwlotniczej, stojące na ziemi myśliwce i szturmowce, bojowe pojazdy piechoty, warsztaty. Po drugim przejściu flotylla skierowała się z powrotem na Mullion.**

**Były jednak i straty wśród napastników. Kilka maszyn zostało zestrzelonych, kilka rozbiło się, inne wracały uszkodzone. W jednym wypadku doprowadziło to do brzemiennej w skutki katastrofy.**

**Lecąca w swym aksaiu Jacqueline Boursier zakłęła głośno, ujrawszy jacht, który ciągnąc za sobą smugę dymu, przeleciał nad wąską plażą wyspy Mullion. Za nim gonił wynt i dwa aksaie.**

**–Dalej, idioto, wyskakuj...! Żeby cię, nie prowadź ich do domu!**

**Ale pilot jachtu nie posłuchał. Skraksował na samym środku lądowiska tajnej bazy, a zanim się zatrzymał, zerwał siatki maskujące nad bunkrami, namiotami i stanowiskami artylerii plot. Sekret w końcu się wydał.**

**Boursier zanurkowała i strąciła wynta, a po chwili również aksaia. Jednak nie miała już więcej pocisków i mogła tylko patrzeć, jak ostatnia maszyna musthów zmyka w kierunku Dharmy.**

**Musthowie odpowiedzieli zmasowanym atakiem, lecz dopiero trzy dni później, bo tyle potrwało ściągnięcie posiłków z Silitricu i przygotowanie ich do akcji.**

**Nie znaleźli jednak nikogo. Grupa rozproszyła się dwa dni wcześniej.**

**Został jednak cały ciężki sprzęt, maszyny w naprawie, większości zapasów**

żywności, broni i amunicji.

**Grupa straciła jedyną bazę, z której mogła prowadzić działania bojowe.**

Nieznany układ/nieznana planeta – Biedne dranie – powiedziała Monique Lir, patrząc na dwie kolumny musthów maszerujące w ich kierunku od okrętu Keffy. – Jest ich więcej niż nas.

Dwukrotnie? Jak myślisz? – Co najmniej – odparł Njangu. – Ale teraz pochyl głowę, bo nadlatuje ich wsparcie powietrzne.

Z luku znajdującego się w połowie wysokości kadłuba okrętu Keffy wystrzeliły dwa niewielkie pojazdy mogące mieścić nie więcej niż po czterech wojowników.

–Chyba w pośpiechu zapomnieli wziąć aksaie – mruknęła Monique. – Przekazać ludziom, żeby wpakowali im po rakiemie?

–A jaka jest szansa, że ten ich bożek, Keffa, siedzi na pokładzie któregoś z nich?

–Ee... sześć do pięciu – rzuciła na chybił trafił Monique, strzelając palcami.

–No to niech na razie nie wiedzą, do czego jesteśmy zdolni. Garvin będzie miał okazję się odznaczyć. A na razie chodźmy w jakieś gęste krzaki na wypadek, gdyby mieli detektory podczerwieni i kogoś, kto potrafi ich używać.

Zbiegli z pagórka i schronili się w kępie dziwnych bladozielonych drzewiastych roślin, które zdawały się mieć sporo wspólnego z grzybami.

Czekało tam już prawie dwudziestu pięciu Raumów i drużyna zwiadowców. Njangu dostrzegł też Jasith. Dziewczyna wyglądała na wystraszoną i zagubioną. Poynton uspokajała ją jak mogła. Co ciekawe, Jasith ścisnęła w dłoni mały pistolet, który dostała od jednego z Raumów.

Przynajmniej nie okazała się bogatą idiotką i nie sprawia kłopotów, pomyślał Njangu.

Nieprzyjaciel był coraz bliżej. Dziesięcioro mężczyzn i kobiet na przeciwległym stoku wychyliło z ukrycia, ostrzelało prawą kolumnę i zniknęło.

Garvin z drugą dziesiątką wyrósł z gromady skałek, za którymi, jak się zdawało, nikt nie zdołałby się ukryć, i otworzył ogień, pomagając pierwszej drużynie wycofać się do rozpadliny i dalej, na drugą stronę wzgórza.

Musthowie też zaczęli strzelać, ale nie mieli już do kogo.

Jeden ze ślizgaczy skręcił w stronę pola walki, zszedł na niższy pułap i zwolnił.

Finf Heckmyer opróżnił w niego pół taśmy amunicyjnej. Maszyna zachwiała się i ciągnąc za sobą smugę dymu, odleciała w stronę okrętu.

Stojący już na wzgórzu Garvin pokiwał z zadowoleniem głową.

–Dobra, chłopaki. Teraz zobaczcie, jak naprawdę wygląda wojenka.

Ludzie przemieszczali się w grupach po dwadzieścia osób. Łączność utrzymywali za pośrednictwem radia. Większe zespoły tworzyli tylko na czas ataków. No i nigdzie nie zagrzewali dłużej miejsca.

Pogoda była więcej niż znośna, czasem tylko siąpił deszczyk.

–Coś mi tu nie gra – zauważył jeden z żołnierzy. – Od kiedy to pogoda sprzyja wojowaniu? Gdzie lód? Gdzie śnieg? Gdzie huragany chędożone?

Kolumna musthów posuwała się ostrożnie przez zagajnik. Nagle w środku szyku huknęło i zadymiło. Kto mógł, zaczął strzelać po okolicy i trochę trwało, zanim do obcych dotarło, że nikt nie odpowiada ogniem.

Opuścili broń. Sanitariusze i oficerowie podbiegli do rannego.

Jeden z nich wszedł na kolejną minę, ukrytą niecałe pięć metrów od pierwszej.

Dziesięciu Raumów zerwało się z ziemi, wystrzeliło po pięć pocisków w kolumnę i rzuciło się do ucieczki. Jeden nie był dość szybki.

Musthowie jednak się uczyli. Drużyna zwiadu Grupy, która podchodziła pięćdziesięciu obcych, wpadła w umiejętnie przygotowaną zasadzkę. Nikt nie ocalał.

Rozejrzawszy się po zasłanej zwłokami polanie, Garvin palnął podwładnym mowę na temat tego, do czego może dojść, gdy ktoś uważa przeciwnika za głupszego od siebie. Ludzie nie spędzali w jednym miejscu więcej niż kilka godzin. Jednym okiem spoglądali przy tym zawsze na niebo, drugim na zarośla. Cały czas krążyli wokół okrętu Keffy i korzystali z każdej okazji, aby zbliżyć się niepostrzeżenie do przeciwnika, zaatakować i zniknąć.

Coraz lepiej poznawali teren, w którym przyszło im walczyć.

Musthowie nie pozostawali w tyle.

Keffa coraz bardziej się irytował. Miał okręt, który mógłby niemalże wytrącić planetę z orbity, ale brakło mu sprzętu dość czułego, aby wykryć czającego się w zaroślach snajpera.

Mógłby poniechać lądowania, ale jak wówczas dopadłby zbiegów?

**Nie chciał nawet myśleć o wycofaniu i powrocie z większymi, lepiej wyposażonymi siłami.**

**Musth nie wie, co to odwrót.**

**–Spróbuj tego – powiedział Alikhan.**

**Dill spojrzał sceptycznie na kawałek pomarańczowego owocu, ale nadgryzł go ostrożnie.**

**–Smakuje trochę jak zgniły ziemniak – stwierdził. – Ale się nie cofa. – Zapisał spostrzeżenia w notatniku.**

**–Teraz to. „Tym” było coś zielonego w białe prążki. Dill poruszył dwa razy szczęką, potem oczy wyszły mu na wierzch i skoczył ku najbliższym krzaczkom, gdzie wymiotował.**

**Przeplukał usta wodą z manierki i wrócił.**

**–Następne – powiedział bezlitośnie Alikhan.**

**–Daj mi chwilę.**

**Upił jeszcze wody i poczuł, że mdłości mijają.**

**–Jak dotąd mamy siedem roślin, które obaj możemy jeść, cztery całkiem niejadalne i jednaście takich, których twój żołądek nie przyjmuje – stwierdził musth.**

**–I zabawę po pachy w imię nauki – warknął Ben.**

**–Cóż, skoro nie jesteśmy piechociarzami, musimy służyć inaczej.**

**–A co by z nas była za piechota... Ale nikt jeszcze nie dostał medalu za rzyganie na polu chwały.**

**Dill czochrał zapuszczaną ostatnio brodę, która w zamyśle miała mu dodać dystynkcji, jednak zdaniem towarzyszy broni upodabniała jego fizjonomię do sponiewieranej drucianej szczotki.**

**–Skoro jesteś tak dobrym analitykiem, co twoim zdaniem teraz nastąpi? – zagadnął Alikhana.**

**–W kolejności prawdopodobieństwa. Pierwsza możliwość: Keffa wezwie posiłki i nas załatwi. Druga: da nam spokój i odleci. Trzecia: Senza odbierze moją wiadomość i uzna, że leży w jego interesie, aby nam pomóc. Może zresztą pokonamy Keffę.**

**–Można wytrzymać.**

**–Ale najpewniej Keffa da sobie z nami radę sam.**

**–Wspaniale. Jak zwykle, los gra znaczonymi kartami. Najlepsze na samym końcu.**

**Nie mówiłem? – Dill zmienił temat rozmowy. – Dlaczego nie widzieliśmy dotąd nic większego od szczura? Marzy mi się stek z rusztu.**

**–Może nic takiego tu nie ma? Nie jestem ekologiem.**

**–Szkoda. Mam już dość żarcia z torebki.**

**W nocy wartownik dostrzegł poruszenie w zaroślach i obudził śpiącą zmianę.**

**Wyciągnął nawet granat, gdy nagle zobaczył przed sobą coś dwa razy większego od mustha. Jak potem powiedział, stworzenie miało „więcej nóg niż wszyscy święci razem wzięci”, wydało odgłos przypominający mruczenie i uciekło.**

**–Chyba jeszcze ktoś marzy tu o steku – powiedział potem Alikhan do Dilla. – Tyle że nie z rusztu.**

**–Zamknij się – warknął Ben.**

**–Przepraszam, Garvin – powiedziała Jasith. – Nie mam ochoty.**

**–Mnie też strach jakoś nie pobudza. – Myślisz, że nam się uda?**

**Garvin zawahał się.**

**–Oczywiście.**

**–Ale z ciebie kłamca.**

**–W wojsku to normalne. Chyba już przywykłem.**

**Jasith spojrzała na staw, nad którym obozowała ich drużyna. Słońce zachodziło właśnie za drzewa.**

**–Chyba nigdy nie przywyknę do tutejszych kolorów. – odezwała się. – Są zupełnie nie takie jak trzeba.**

**–Z czasem przestałabyś to zauważać.**

**–Ciekawe, co teraz porabia Loy – mruknęła Jasith po dłuższej chwili.**

Może musthowie powiesili go już za jaja za wspieranie bandytyzmu, pomyślał z nadzieją Garvin, ale zaraz uznał, że Kuoro jest najpewniej bardzo zajęty przejmowaniem Mellusin Mining. Nic jednak nie powiedział.

–Zawsze mnie bierze, gdy mam pietra – wydyszał Njangu do ucha Poynton. Leżeli przytuleni kilka metrów od reszty drużyny.

–Znowu? Nic dziwnego, że zostałeś kryminalistą.

Z jakiegoś powodu Njangu nie miał żadnych oporów, aby opowiedzieć Jo o swojej przestępczej młodości i pełnym przemocy dzieciństwie. Może dlatego, że Poynton pierwsza szczerze przyznała mu się do swej mało świetlanej przeszłości.

–Oczywiście, że znowu – zamruczał.

Dwóch zwiadowców śledziło kolumnę musthów, gdy nadlatująca jakby znikąd rakietą zabiła ich w połowie przekazywania meldunku. Wysłana na pomoc drużyna znalazła miejsce zdarzenia, szybko dała znać, co się stało, po czym żołnierze zgodnie z poleceniem doktora Froudego odbiegli pięćdziesiąt metrów i ukryli się w zaroślach. Chwilę później druga rakietą wybuchła tam, skąd nadawali.

–Oczekiwałem tego – powiedział Froude Garwinowi. – Zrobiliśmy się zbyt beztroscy i w końcu nauczyli się nas namierzać. Musimy zmienić zasady łączności. Krótkie transmisje, częsta zmiana częstotliwości i dyslokacja zaraz po złożeniu meldunku. Jeśli to nie zadziała, zaczniemy korzystać z łączników. Albo chorągiewek.

Pętla powoli się zaciskała.

–Jak stoimy z zapasami, Monique? – Żywności mamy na jakieś trzydzieści dni. Jeśli zdołamy utrzymać w żołądku coś miejscowego, to na trochę więcej. I nieco ponad dwa zestawy na człowieka.

Zestawem nazywali standardowy pakunek amunicyjny zawierający 150 nabojów do blastera w wersji podstawowej, 500 do blastera wsparcia drużyny, dwie rakiety Shrike na drużynę i trochę innego towaru.

–Niedobrze – zasępił się Garvin.

–Bardzo niedobrze – zgodziła się Lir.

Jak ustaliło dwoje naukowców, musthowie mieli na pokładzie pięć ślizgaczy.

Uważne rozpoznanie pozwoliło odkryć interesującą zależność: ilekroć któryś z nich startował albo lądował w hangarze, na okręcie wyłączano wszystkie czujniki i radary.



**Najwyraźniej musthowie nie ufali zamontowanym w ślizgaczach układowi zapytującym swój-czy- obcy.**

**O zmierzchu drużyna z wyrzutnią shrike'ow podpełzła w okolice okrętu Keffy i odczekała do chwili, gdy wrota hangaru stanęły otworem, aby przyjąć nadlatujące ślizgacze.**

**Rakieta wleciała do środka i eksplodowała.**

**Detonacja zakołysała wielką jednostką, z hangaru buchnęło dymem. I tyle.**

**Pozostałe ślizgacze wleciały przez luk awaryjny, ale tym razem radary i czujniki nie zostały wyłączone.**

**W nocy brygada naprawcza zaspawała poczerniały otwór, nałożywszy nań wielką łatę. Walka trwała dalej.**

**Następnego dnia okręt Keffy odpalił nagle ponad dziesięć pocisków dalekiego zasięgu. Poleciały na ślepo we wszystkich kierunkach, uderzając w drzewa, głązy i ziemię. Nikt z obserwatorów nie ucierpiał – Awaria systemu? Panika na pokładzie? Zobaczyli coś? O co tu chodzi? – głowił się Froude.**

**–Za mało danych, aby teoretyzować – stwierdziła Heiser.**

**Szczałki nadprzestrzennego napędu rakiet skaziły krąg ziemi wokół okrętu. Garvin zasugerował, że może Keffa chciał się otoczyć czymś na kształt radioaktywnej fosy.**

**Dwa dni później okręt uniósł się niezgrabnie i przeleciał trzy kilometry dalej.**

**Musthowie znowu wyruszyli w teren szukać ludzi.**

**Dla ludzi incydent z raketami pozostał zagadką.**

**Heiser i Froude zniknęli na kilka dni i wrócili dopiero z jedną z drużyn obserwacyjnych.**

**–Nie słyszeliście nigdy o wojskowej dyscyplinie? – warknął Garvin. – Nie pomyśleliście, że możemy się o was martwić?**

**–Poszliśmy, nie pytając o zgodę, bo wiedzieliśmy, że nie miałbyś nic przeciwko – wyjaśniła Heiser.**

**–I prosimy nie karać żołnierzy – dodał matematyk. – Powiedzieliśmy im, że mamy specjalne rozkazy i jesteśmy w tajnej misji.**

**–Nie sądziliśmy też, że będziesz się tak złościł – stwierdziła Heiser. – Chyba wiemy**

**już, jak pozbyć się musthów z tej planety.**

**–Mieliśmy wprowadzić nadzieję, że wymyślimy, jak przejąć ich okręt, ale cóż...**

**Garvin i Njangu najpierw wyrazili zdziwienie, że wszystkie dobre pomysły muszą trafiać się akurat naukowcom, a potem pobledli, gdy Froude wyjaśnił, jak para amatorów dokonała swego „odkrycia”.**

**–Nikt nie jest tak głupi – wyjąkał Njangu.**

**–Oni chyba są wyjątkiem.**

**–Teraz potrzebujemy tylko tuzina naszych idiotów, żeby to przeprowadzić.**

**–Tak – wtrącił Garvin. – I dwojga najlepszych skałkowi cz ów zwiadu.**

**–Mnie i Lir.**

**Garvin pokiwał głową.**

**–Nie jest to trochę zbyt ryzykowna impreza? – zapytał.**

**–A co? Wolisz się zabawiać na łonie przyrody, aż Keffa dostanie posiłki?**

**Froude i Heiser odwalili kawał porządnej roboty. Krążąc razem z drużyną obserwacyjną, zauważyli, że podobnie jak większość ludzi, również musthowie popadają w rutynę.**

**O świcie i o zmierzchu, czyli w tradycyjnych porach ataku, obcy zajmowali pozycje wokół okrętu w płytkich, sięgających góra do kolan transzejach. Rankami przeprowadzano apel i przydzielano zadania. Żołnierze wyruszali w teren, wracali wieczorem.**

**Kilka minut po tym, jak weszli na pokład, zapalały się reflektory, włączano czujniki podczerwieni, radary i kamery. Tak było do brzasku.**

**Niemniej obserwacja nie obejmowała najwyraźniej terenu pod samym okrętem.**

**Pewnego razu zwiadowcy zauważyli jakieś nie zidentyfikowane stworzenie, które najzwyczajniej w świecie zaszyło się w pobliżu jednej z podpór, a gdy tylko musthowie sobie poszli, próbowało smyrgnąć do lasu. Nie udało mu się: trafiło w krąg światła ze szperacza i musthowie zmarnowali na nie rakietę, ale wykazało, że w systemie obrony jednostki jest luka.**

**–Sądzę, że okręt przeznaczony także do działań bojowych na powierzchni planety byłby lepiej pod tym względem zaprojektowany – dywagował Froude. – Ta luka**

dowodzi, że mamy do czynienia z jednostką zbudowaną do działań w próżni, co w tych okolicznościach może stwarzać zagrożenie dla załogi.

Njangu zastanowił się przelotnie, komu bardziej ten okręt zagraża, ale nic nie powiedział.

Następnej nocy, zaraz po capstrzyku, naukowcy wpełzli do transzei i dotarli nimi na odległość kilku metrów od jednej z przypominających płetwy podpór. Okręt zdawał się mieć aerodynamiczne kształty, ale był typowo próżniową konstrukcją. Jego kadłub był oznaczony zgrubieniami osłon przeciwradiacyjnych, włazami kontrolnymi, radarami i masą rozmaitych czujników.

Obejrząwszy wszystko dokładnie, para naukowców, odczekawszy do przedświt i wyłączenia świateł, wróciła po własnych śladach do obozu, aby porozmawiać z dowództwem.

–Uda im się? – spytała Jasith, patrząc za znikającym w lesie oddziałem.

–Może – odparł Biegający Niedźwiedź.

–A jeśli nie?

Niedźwiedź wzruszył ramionami.

–Myślisz, że ten przyjaciel Alikhana przyleci? – indagowała go dalej.

Biegający Niedźwiedź ledwie się powstrzymał od warknięcia: „A skąd, u diabła, mam wiedzieć?” – Jest taka stara amerykańska bajka – powiedział uprzejmie – o tubylcach i białych. Mój lud poznał ją z filmów w zamierzonych czasach, kiedy jeszcze nie wymyślono holo i obraz był płaski. Ten opowiadał o białych, którzy raz byli żołnierzami, a raz tylko pastuchami, ale zawsze próbowali mojemu ludowi zabrać ziemię. Bo to my byliśmy w tamtym kraju tubylcami. Wszystkie tamte filmy kończyły się tak samo: mój lud zwyciężał w końcu białych i czynił sprawiedliwość, a gdy wszyscy się cieszyli i było dużo muzyki, wódz wychodził na wzgórze i zawsze dostrzegał nowe zastępy białych nadjeżdżające z oddali. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego moi tak uwielbiali te bajki.

–Ja też nie rozumiem – powiedziała Jasith. – Jak można się tak dołować...?

–Pilnujemy tylko, żeby nie było ci za wesoło – odezwał się Garvin, który podszedł do nich niezauważenie. – Może będziesz chciała się spakować? Ruszamy za Njangu.

Podkradali się zygzakowatymi transzejami musthów. Łącznie dwunastu żołnierzy.

Wszyscy oprócz Lir i Yoshitara nieśli ciężkie plecaki z ładunkami wybuchowymi i

wyposażeniem. Żadne nie spoglądało na gromadę musthów czekających, aby wejść na okręt. Nieco przesądnie woleli nie ryzykować, że ściągną na siebie ich uwagę. Śluza zamknęła się za obcymi i drużyna ruszyła szybciej. Teraz już nie pełzła, tylko szła na czworakach. Prosto pod wielkie dysze silników napędu głównego. Njangu spojrzął w górę.

Gdybyśmy byli kawalerią kosmiczną, wleźlibyśmy tamtędy do środka, jakąś dziurą przeszlibyśmy na pokład i wybili złych obcych do nogi, pomyślał. Mam tylko nadzieję, że nie wpadnie im teraz do głowy startować.

Wspinaczka zapowiadała się ciekawie, jako że nikt nie przewidywał łażenia po górach i nie wzięli ze sobą specjalistycznego wyposażenia.

Njangu i Monique zrobili uprząże z linek, które każdy żołnierz zwiadu nosił w plecaku. Płaskie kamienie miały posłużyć za kliny, a dwie pary skarpet za pantofle wspinaczkowe. Karabinki większość żołnierzy nosiła na co dzień, tym więc nie musieli się martwić, podobnie jak linami do wspinaczki i asekuracji. Brakiem haków nie przejęli się w ogóle – i tak nie wbiliby ich w kadłub okrętu.

Związali się pięciometrowym odcinkiem liny. Njangu pierwszy sięgnął w górę, znalazł chwyt i podciągnął się. Najpierw poruszał się powoli, potem coraz szybciej. Ciało przypominało sobie godziny treningu i dla rozrywki urządzanych wypraw.

Na szczęście kadłub był usiany różnymi wypustkami i antenami. Na jednych się opierali, do innych przywiązywali linki asekuracyjne.

Dwa razy zmienili się na prowadzeniu. Njangu wiedział, że Monique lepiej się wspina niż on, ale wyraźnie wołała iść druga.

Raz stopa mu się obsunęła i zjechał trzy metry. Nie spoglądał w dół. Wolał nie wiedzieć, z jak wysoka musiałby spaść, ani pokazywać Lir, jak bardzo się boi.

Mięśnie rąk drżały z wysiłku, miał wrażenie, że stopy są poranione miejsce przy miejscu.

Wbił pięścią płaski kamyk w szparę pomiędzy płytami pancerza, przywiązał do niego linkę z karabinkiem, wpiął się i skinął na Monique, żeby go minęła. Z bolesną monotonią ruszył jej śladem.

W pewnej chwili uderzył głową w jej stopy i pomyślał, że mają kłopoty, ale okazało się, że dotarli do celu. Byli przy zaślepionych łątą wrotach hangaru. Prawie trzysta metrów nad ziemią.

W mroku dojrzał, że Lir radośnie szczyrzy zęby. Przesunęła się w bok na nierówną listwę, na której dało się stanąć. Njangu wspiął się do niej.

Listwa miała dwa centymetry szerokości, dość nawet na defiladę. Co więcej, metr wyżej wystawały dwa bolce. Na jednym z nich można było zamocować linę. Lir sięgnęła do plecaka Njangu i wyjęła gruby zwój bardzo cienkiej linki obliczonej na utrzymanie stukilowego ciężaru. Rozwinęła ją i pozwoliła jednemu końcowi opaść na ziemię.

Coś tam nią poruszało, po czym poczuli dwa mocne szarpnięcia. Zaczęli wybierać linkę i niebawem wciągnęli solidny bloczek wystrugany z wyjątkowo twardego drewna.

Zaczepili go na drugim bolcu, przełożyli linkę i ponownie opuścili koniec na dół.

Jeden po drugim wciągali na górę ładunki wybuchowe. Rozwieszali je wokół zdemolowanego wjazdu.

Njangu myślał, że to się nigdy nie skończy, gdy nagle okazało się, że wszystkie dwadzieścia ładunków tkwi na poszyciu kadłuba.

Zerknął na horyzont w nadziei, że jeszcze nie świta.

Coś tam już jaśniało na wschodzie.

Zjechali na linkach asekuracyjnych. W pewnej chwili Monique prawie że obróciła się do góry nogami i niechcący silnie kopnęła w kadłub, ale opanowała sytuację i mogli tylko mieć nadzieję, że huk nikogo nie zaalarmował.

Po chwili byli już na ziemi.

Njangu najchętniej poleżałby tam sobie z tydzień, zorientował się jednak, że zaczyna rozpoznawać w szarówce twarze swoich ludzi, i dał znak do odwrotu. Popęzli tą samą drogą, którą przyszli.

–To chyba twoje zaszczytne zadanie – powiedział Njangu, podając Garwinowi detonator.

–Daj doktorkowi. On wszystko wymyślił.

Froude wziął detonator i zerknął na okręt. Było już prawie całkiem jasno i przed rampą ustawiali się do apelu musthowie.

Oblizał wargi i pokręcił głową.

–Nie, ja...

Garvin odebrał mu pudełko.

**–Nie przejmuj się – powiedział. – Chciałbym mieć twoje skrupuły. Twego, to chyba wy zrobiliście większość roboty.**

**–A ja? – spytał Njangu, gdy Monique przyjęła urządzenie, odsunęła zabezpieczenie i wcisnęła guzik.**

**Keffa postanowił, że tego ranka sam poprowadzi apel, i schodził właśnie powoli po rampie, spoglądając na swych żołnierzy i zastanawiając się, dlaczego właściwie nie udaje mu się zetrzeć tego obcego robactwa w proch oraz kiedy wreszcie przylecą posiłki, gdy jeden z oficerów zatrzymał się i wskazał na coś w górze.**

**Keffa z irytacją uniósł głowę i ujrzał szereg niewielkich obiektów przyczepionych jakimś sposobem do kadłuba. Zaczął zachodzić w głowę, co też to może być...**

**Coś błysnęło i w pierwszej chwili Garvin pomyślał, że to odblask słońca.**

**Zaraz jednak ogień ogarnął okolicę śluzy, a potem ze środka strzelił długi płomień, który zaraz przygasł. Pokazał się dym i coś huknęło raz i drugi.**

**Garvin i Lir zaklęli głośno, gdy poszycie statku pękło na całym obwodzie.**

**W poszerzającej się gwałtownie szczelinie pokazały się płomienie. Niecałą sekundę później jedna trzecia kadłuba od dziobu rozpadła się w potężnej eksplozji. Zatrzęsła się ziemia, po okolicy przetoczył się potężny podmuch.**

**Drużyna zerwała się do ucieczki. Biegli, potykając się co rusz, wpadając na siebie niczym pijani, ogłuszały ich wciąż nowe detonacje, a za ich plecami rósł sięgający już ku niebu grzyb wielobarwnego dymu.**

**Alikhan wbił spojrzenie gdzieś w dal. Drużyna już się zebrała, ale wciąż szła byle dalej od kataklizmu, który właśnie udało jej się wywołać.**

**–Chodź – powiedział Dill. – Keffa, gdyby miał okazję, postąpiłby tak samo z tobą. Albo i gorzej, bo powoli.**

**Alikhan nie odpowiedział.**

**Dill zostawił go w spokoju. Musth stał wpatrzony w słup dymu, u podstawy którego ciągle coś eksplodowało i płonęło.**

**Wrak dopalał się i huczał jeszcze trzy dni.**

**Garvin wysłał grupę ochotników, aby sprawdziła pogorzelnisko. Detektor promieniowania jonizującego odezwał się, gdy byli kilometr od szczątków. Dalej nie poszli, zawrócili.**

**Nie udało się ustalić, czy ocalał jakikolwiek musth znajdujący się akurat poza okrętem Keffy.**

**Pięć dni po powrocie zwiadowców na niebie pokazał się kolejny okręt obcych.**

**Przeleciał nad szczątkami jednostki Keffy i uszkodzonym okrętem macierzystym, w którym ludzie urządzili sobie bazę.**

**Alikhan pożyczył od Lir lornetkę i zerknął przez jeden okular w niebo.**

**–I co?**

**–Kolejne pastuchy – mruknął Biegnący Niedźwiedź.**

**–Błękitny z żółtym pasem – powiedział Alikhan. – To barwy Senzy.**

**–Dlaczego tak długo?! – krzyknął ktoś z tylnych szeregów, oddając odczucia wszystkich obecnych.**

**Cumbre D Wlencing zdusił ślepią złość. Jego ślizgacz już lądował.**

**Senza zemścił się, lądując nie na Silitricu czy na Płaskowyżu, ale w ludzkim porcie Leggett. Poniżył Wlencinga i jego żołnierzy przed robalami.**

**Wiadomość od niego spadła na wodza jak grom z jasnego nieba, szczególnie że Wlencing nie odtworzył jeszcze sieci automatycznych sond pozaukładowych.**

**Biorąc pod uwagę ostatnie wypadki na naszych światach, przypuszczam, że chciałby pan omówić ze mną nowe zasady polityki wobec układu zwanego Cumbre. Do tego czasu doradzałbym maksymalne umiarkowanie we wszelkich działaniach przeciwko ludziom.**

**Wlencing umiał czytać między wierszami. Wszystko było jasne: Keffa został pokonany, Alikhan wypełnił swoją misję.**

**Senza wygrał, niszcząc kruchą koalicję zebraną wokół Wlencinga. Zdołał zebrać wystarczająco wielu przywódców klanów, aby zmusić go do... właśnie, do czego?**

**Co najmniej do przywrócenia dawnego porządku. Wlencing wiedział jednak, że jeśli ludzie odzyskają władzę, wypędzą z układu i jego, i jego towarzyszy. Zapewne zezwolą wtedy Senzie i jego pacholkom dobrać się do bogactw Cumbre.**

**Zresztą nieważne. Cumbre to było marzenie, które riie mogło się ziścić.**

**Najlepiej o tym zapomnieć. Wlencing chciałby się zemścić, zabić Senzę, gdy przed nim stanie. Wiedział jednak, że nie będzie miał na to szansy.**

**I jeszcze jego syn. Lepiej, żeby nie widział poniżenia ojca. Ale na pewno nie oszczędzą mu i tego.**

**Jedno dobre, że Alikhan najwyraźniej odziedziczył po mnie determinację, pomyślał Wlencing. Tylko dlaczego stanął po złej stronie? W zasadzie powinien dać głowę za zdradę...**

**Nigdy już nie zobaczy Alikhana. Wbije sobie do głowy, że jego syn zginął zestrzelony w swoim aksaiu. Teraz liczyła się tylko przyszłość. Musi wrócić do klanu, poczekać na gody i spłodzić więcej potomstwa, odbudować stosunki z Paumotem, znaleźć nowy cel.**

**Wlencing wysiadł ze ślizgacza i wraz z Daafem i pozostałymi adiutantami ruszył w kierunku statku Senzy.**



**Ujrzał stojący w pobliżu tłumek ludzi. Zdziwił się, że nie krzyczą, tylko patrzą na niego z zaciętymi minami.**

**Zatopiony w myślach ledwie zauważył starszego mężczyznę, niegdyś raumskiego bojownika, który wyszedł spośród towarzyszy i jakby od niechcienia, niemal nie unosząc ręki, rzucił w jego stronę niewielką piłkę...**

**Bomba eksplodowała z hukiem, rozrywając Wlencinga i zabijając dwóch jego adiutantów.**

**Ciężko ranny Daaf zdołał wyciągnąć miotacz insektoidów i zastrzelić Rauma.**

**Na lądowisku zapadła cisza, w której słyhać było tylko głuchy pomruk agregatów statku Senzy.**

**Jednak cisza ta nie trwała długo.**

Była spokojna tropikalna noc. Garvin Jaansma, ubrany w letni, biały mundur z pagonami mila, stał na tarasie hotelu Shelbourne. Oparł się o barierkę i upił zimnego drinka. Tuż obok pieścił szklankę piwa cent Njangu Yoshitaro.

Caud Angara nie tylko awansował Garvina, ale także mianował go szefem Sekcji II.

Njangu, którego Angara nazwał przywołań jon do porządku złodziejaszkiem, przeskoczył od razu dwa stopnie i dostał dowództwo kompanii zwiadu.

–Czyż to nie triumf cnoty? – szepnął Garvin podczas długiej uroczystości rozdawania awansów, medali i wyróżnień. – Mam nadzieję, że przez wzgląd na mój wysoki stopień będziesz odnosił się do mnie z szacunkiem.

–Tylko nie pęknij z dumy – odparł Njangu. – Mogę ci nawet pogratulować. Z tymi pagonami będziesz lepszym celem.

W hotelu Shelbourne panowała atmosfera jak kiedyś: cicha muzyka, miłe zapachy, beztrudne śmiechy.

Zjawili się tu na obiad i czekali teraz na swoje towarzyski. Nie na sucho, oczywiście. Nie lubili marnować czasu.

–Domyślasz się, co zamierza teraz Senza? – spytał Njangu.

–Nie muszę się domyślać – odparł Garvin. – Rozmawiałem z nim kilka godzin temu.

Nie będzie żadnych negocjacji dla ratowania twarzy. Po śmierci Wlencinga nie są już potrzebne. Musthowie zostaną zapakowani na statki i odesłani do swoich klanów, a jak ich tam przyjmą, to już nie nasz kłopot. Będziemy robić interesy z Senzą. Zapewne przez Mellusin Mining, na razie nie będzie więc w Cumbre żadnych przedstawicielstw musthów.

–Niektórzy i tak się wkurzą.

–Trudno. Niby z kim innym mamy handlować? Konfederacja wciąż nie daje znaku życia.

–Racja. To ma sens. Podejrzewam, że nie będzie też wielu procesów o zbrodnie wojenne i kolaborację.

Garvin zacisnął usta.

–Jon też ma takie zdanie. Może zlinczują paru dzielnicowych i podobnych gnojków,

ale niewiele więcej. A niemal na pewno nie dobrać się do żadnego rentiera.

–Skoro o tym rnowa – zagadnął Njangu – jak tam twoje sprawy?

–Loy Kuoro zostanie w więzieniu tak długo, jak długo uda mi się wymyślać nowe, fałszywe zarzuty. Może trzy tygodnie. Próbowałem przekupić jednego recydywistę, aby wbił mu sprężynę z pryczy między trzecie a czwarte żebro, ale bez powodzenia. Jasith wnosi jutro pozew o rozwód.

–Co to oznacza dla was dwojga?

Garvin milczał przez chwilę – Chyba... Nie wiem. – Dostrzegł kilka ciemnych postaci kręcących się tuż nad wodą. Rozpoznał Alikhana, Bena Dilla i dwóch musthów. – Ciekawe, co teraz będzie z Alikhanem?

–Benowi mówił, że nie chce zostać w klanie ojca – powiedział Njangu. – Zapewne nie podziękowaliby mu za wystawienie Wlencinga. Oni też mają uraz na punkcie podnoszenia ręki na ojca. Podobno ma zamiar przystąpić do klanu Senzy albo zaciągnąć się do Grupy.

Garvin spojrzał zdumiony na przyjaciela.

–Co?

–Jest paru takich musthów, którym wojna się jeszcze nie znudziła. A poza tym pamiętasz, co było z Raumami? Po rebelii sporo ich się zaciągnęło do Grupy. To nie w moim stylu, ale dlaczego nie?

Garvin pokiwał głową.

–Jasne. Dlaczego nie? Zawsze będziemy potrzebować pilotów i żołnierzy. Może dlatego tych dwóch na dole tak zagadało się z Benem.

–Szczególnie że zamierzamy zakupić zmodyfikowane aksaie i zapewne trochę velvow. No i parę okrętów macierzystych, bo zostaliśmy całkiem bez floty.

–No proszę, jak to się kręci – zaśmiał się Garvin.

–Zawsze tak jest.

Njangu dokończył piwo i postawił kufel na barierce.

–Rząd wraca do dawnych planów – powiedział – A my musimy odbudować stan osobowy i dozbrajać się. Wiesz, co nas czeka.

–Tak. Protektor Redruth. To może być ciekawe. Może przy okazji się dowiemy, co z

**Konfederacją. O ile jest jeszcze jakaś Konfederacja.**

**W szerokich drzwiach pojawiły się dwie kobiety. Zobaczyły żołnierzy i skierowały się w ich stronę.**

**–Tak, będzie ciekawie – przyznał Njangu. – Szczególnie jeśli dla odmiany to my będziemy mogli wywołać wojnę.**

**Jasith Mellusin była w sięgającej do pól uda sukni z zielonych koronek na niemal przezroczystej purpurowej haleczce. Jo Poynton ubrała się bardziej tradycyjnie w czarne spodnium z rozcięciami na nogawkach. Przylegało do jej ciała jak druga skóra i odsłaniało ramiona.**

**Obaj skomplementowali stroje kobiet.**

**–Chodźmy – powiedział Garvin, podając Jasith ramię. – Choć raz udawajmy, że jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, a nie kiepsko opłacanymi mordercami.**

**Weszli do hotelu i zniknęli pośród światła, muzyki i śmiechów.**

**Dodatek Słońce układu Cumbre jest średniej wielkości gwiazdą zmienną o średnicy około półtora miliona kilometrów. Obiega je trzynaście planet nazwanych, raczej bez wyobraźni, od kolejnych liter alfabetu. A oraz B znajdują się zbyt blisko słońca, aby nadawać się do zamieszkania. Mają rzadką atmosferę. Utrzymuje się na nich jedynie astronomiczne stacje badawcze.**

**Ludzie i musthowie zdecydowali się na kolonizację układu z uwagi na bogactwo kopalin występujących na Cumbre C. Wydobywa się na niej mangan, wolfram, wanad, niob, tytan, godarium, żelazo gamma naturalnego pochodzenia i niektóre metale szlachetne.**

**Zbudowane przez obie rasy kopalnie zmieniły krajobraz tej planety. Nie ma na niej dobrych warunków do zamieszkania, chociaż ludzie czują się tu lepiej niż musthowie. Krąży wokół niej jeden księżyc, Balar.**

**Cumbre E jest zimna, mało przyjazna dla człowieka, ale dobra dla musthów, którzy nazywają ją Silitric i uważają za najważniejszą w układzie.**

**Planety F, H i I to lodowe giganty.**

**Cumbre G została w przeszłości częściowo zniszczona w zderzeniu z pozasystemową asteroidą. Na jej orbicie krąży duża liczba małych księżyców.**

**J oraz K to planetoidy, na których znajdują się niewielkie stacje obserwacyjne.**

**L i M, nieco większe niż J oraz K, niemal na pewno są przechwyconymi asteroidami.**

**Krążą po mocno wydłużonych orbitach.**

**Cumbre D jest przede wszystkim światem człowieka. Ma trzy małe księżyce: Fowey, Bodwin i Penwith. Tylko największy i najbliższy, Fowey, wywołuje zauważalne pływy.**

**Cumbre D ma na równiku średnicę około trzynastu tysięcy kilometrów. Kąt nachylenia jej orbity wynosi czternaście stopni, co powoduje o wiele mniejsze zróżnicowanie stref klimatycznych niż na Ziemi. Nie ma tu także mas kontynentalnych, tylko bardzo liczne wyspy, głównie w pasie tropikalnym. Dwa większe obszary lądu znajdują się na biegunach. Niektóre wyspy są całkiem duże, głównie te pochodzenia wulkanicznego. Erozja wygładziła kraterę dawnych wulkanów, które zmieniły się w płaskowyże o zdecydowanie surowszym klimacie niż niziny. Jest tam zawsze wilgotno i zimno, często występują mgły.**

**Wegetacja jest skąpa, przeważają paprocie, od wielkich po bardzo drobne. Na największym z tych płaskowyży, na wyspie Dharma, zbudowali swoją bazę musthowie.**

**Człowiek osiedlił się na poziomie morza, głównie w tropikach. Stolica planety, Leggett, leży w północno-zachodniej części Dharmy. Zajmuje też trzy pobliskie wysepki.**

**Poza tym na planecie, w strefie umiarkowanej i tropikalnej, są jeszcze dwadzieścia cztery mniejsze miasta.**

**Klimat jest łagodny i nie stwarza wielu zagrożeń pogodowych, chociaż na otwartym oceanie z dala od wysp występują niekiedy olbrzymie, okrążające cały glob fale, a pora deszczowa bywa dokuczliwa. Środowisko naturalne generalnie jest przyjazne, chociaż w dżunglach żyją nie sklasyfikowane jeszcze drapieżniki, w morzu zaś można napotkać groźne dla człowieka wielkie węże, meduzy oraz drapieżne ryby.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-17

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*